PISMA
NARCYZY
Żmichowskiej

4

B. W.

PISMA GABRYELLI.

PISMA

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

z życiorysem autorki skreślonym

przez

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Wydanie uskutecznione staraniem

Redakcyi Bluszczu.

TOM CZWARTY.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1885.

Дозволено Цензурою.

Варшава, — 8 Ноября 1884 года.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska № 26.

NIEKTÓRE PISMA

BEZIMIENNEJ AUTORKI,

PRZEZ

ZUPEŁNIE NIEZNANEGO WYDAWCĘ OGŁOSZONE.

I.

Kilkanaście lat temu byłem nadetatowym urzędnikiem w pewnem biurze i honorowym członkiem-korektorem w pewnej świeżo otwartej redakcyi. Przychód z przychodem łącząc, na całoroczne utrzymanie jeszcze podobno nie miałem dwutysięcznej okrągłej sumy; mimo to przecież byłem szczęśliwy jak król, jak bankier, jak wyrobnik, jak żebrak. Moje królestwo, cicha facyatka na Ogrodowej ulicy— kapitał mego banku, przyszłość najświetniejsza — mój zarobek, chleb powszedni, jałmużna moja, najpiękniejsze bezpłatne wrażenia, bliższe stosunki z literackiemi znakomitościami, zawsze przypadkowe, a raz na raz spotykające mnie artystyczne uciechy. Słowem pełno radości, zachwytów, chwilek błyskawic co to ziemię złocą, aż nie wiem dziś jeszcze, czyli urok młodości przyoblekał wdziękiem swoim najdrobniejsze lat owych króciutkich zdarzenia, czy też istotnie na zegarze wieczności lepsza jakaś, pełniejszem brzmieniem biła wtedy godzi-

na?—Kto chce, niech sobie wątpliwość rozstrzygnie—ja powiem tylko, w którą stronę przychylały się wskazówki. Było to właśnie po dziesięcioletnim, a może po dwunastoletnim letargu; życie umysłowe przebudziło się z uśpienia. Warszawa zaczęła na gwałt drukować, prowincye zaczęły czytać. a do pisania i tu i tam zerwali się mnodzy ochotnicy. Chociaż z przychylnem uprzedzeniem o ich dziełach sądzę, muszę wyznać wszelako. iż w dziedzinie czysto naukowej żaden z nich pomnikowej nie zostawił pamiątki, żaden imienia swego na chrzcie świętym nowonarodzonej nie dopożyczył epoce; lecz epoka sama przez się była epoką dobrej wiary. Kolumbowych przedsięwzięć. Archimedesowych nadziei. Zdawało się, że byle tylko trochę dalej popłynąć na wschód. czy na zachód, na północ, czy na południe, różne były głosy żeglarzy, ale byle popłynąć tylko. wnet nowe odkryją się brzegi, nowe światy, nowe niebiosów przestworza—i byle tylko punkt oparcia znaleść, w sobie. czy w Bogu, w rozumie. czy wierze, różne były próby i rady szalejących Sophii kochanków; lecz byle tylko ów punkt znaleść maleńki, to dźwignią jednego aforyzmu, jednego artykułu w „Bibliotece warszawskiej“ lub w „Pielgrzymie,“ w „Przeglądzie naukowym“ lub w najniewinniejszym „Noworoczniku,“ dźwignią kilkunasto-wierszową będzie można planetę z jej posad wysadzić i pchnąć po jakiejś bliższej słońca drodze. Dla większej części piszących ogłoszone drukiem zdanie miało wartość przygotowawczego do czynu uczynku, było niejako osobistem zobowiązaniem i na własne sumienie wystawionym wekslem. Ktoby go przy zdarzonej sposobności co do sylaby postępkami swemi spłacić nie był gotowy, ten mógł w przekonaniu wszystkich współpracowników obok i naprzeciw stojących za haniebnego bankruta uchodzić. Jeżeli się mimowolna zdarzyła kiedy nierzetelność. dziwiono jej się przynajmniej z naiwną złotych wieków prostotą — ale rzadkie były wypadki. Autorowie mieli wolny wybór nieposzczerbionej jeszcze broni, każdy chwytał za ta-

ką, która się lepiej z jego usposobieniem zgadzała: ten brał Ewangelią, a ten katechizm, tamten znów filozofią niemiecką; zdarzyło się niejednemu gołą ręką potykać, niemniej przeto czuł się względem ogłoszonego dziwactwa na życiu i na majątku solidarnie odpowiedzialnym. Szczęście wielkie, że się nie wtedy i nie w tutejszej głowie Goetowski „Werter“ lub „Rozbójnik“ Schillera urodził; jeżeli pomiędzy niemieckimi czytelnikami te dzieła manią naśladownictwa wywołały, u nas być mogły niebezpieczniejsze daleko, bo czytelnicy naśladujący zawsze śmiesznie i blado w cudzych pomysłach wyglądają, a między nami rodzony ojciec stałby się synem wyobrażeń swoich, autor prawodawca urzeczywistnieniem i władzą wykonawczą— lecz jak powiadam, nie tak szkodliwe osobliwości lęgły się naówczas w mózgach młodych piśmienników naszych. Był kąkol, była i pszenica; wygodnie dzisiaj w spokoju chłodnej bezczynności możemy sobie przebierać i rozsądzać pozostałe ziarnka; przynajmniej tę sprawiedliwość oddać im musimy, że kąkol wierzył w swoje prawa, ufał w swoje dobre chęci porównie z najzłocistszą sandomierską pszenicą. Trąciłem słówkiem o teraźniejszą chłodnawą bezczynność — coprędzej wytłumaczyć się muszę, że tylko bezczynność moralną, uczuciową, a nie literacką na myśli miałem, używając tego wyrażenia; owszem, w obecnej chwili bodaj czy nie więcej drukują i piszą, nawet drukują ozdobniej, piszą kunsztowniej daleko, bibliograficznym zbiorom dostarczają wykwintniejszych materyałów; ale na cenę historyczną wolę ja tamtoczesne niedokładności i szkice, jak wolę człowieka z silnem przekonaniem, niż człowieka z talentem w autorze, jak wolę z zapałem szukającego prawdy ucznia, niż wykształconego amatora w czytelniku. Na mnie samym silniejsze wrażenie robi każde słowo uroczystego manifestu, niż mistrzowska dla akademickiej publiczności wypracowana rozprawa—i nawzajem gdybym do konfraternij piśmiennych należał, toby mi stokroć milsza była hurońska prostoduszność takiego hreczkosieja, obywatela

czy tam studenta z siódmej klasy, który po przeczytaniu mojej książki byłby zaraz gotów do gardła mi skoczyć, albo do nóg mi upaść, który moim wierszykiem, moją powieścią, moim gazeciarskim artykułem oburzyłby się jak wróg przeciwko wrogowi, albo ucieszył jak z przyjaciela najserdeczniejszy przyjaciel; och! stokroćbym to wolał, niż teraźniejszych czytelników pochwały, teraźniejszych sędziów sprawozdania i choćby nawet wielce pochlebne a gruntownie przemyślane recenzye.

Dzisiaj ten tylko bierze książkę do ręki, kto nie ma umówionej partyi wista na wieczór, ani przejażdżki w sąsiedztwie, ani gospodarskich regestrów do przejrzenia, ani urzędowych referatów do przepisania, kto w łóżko się położy, a zasnąć odrazu nie może. Kobiety nawet, owe tak chciwe niedawno wpół zdobytego na przesądach, a wpół zakazanego jeszcze owocu, już się nim trochę przesycone być zdają. Mało takich, coby sutsze garnirowanie przy sukni lub trudniejszy na kołnierzyku desenik dla przeczytania najsławniejszego dzieła poświęciły. Literatura ściśle naukowa pracuje dla bardzo szczupłej gromadki fachowo uczonych ludzi; jest to niby ich prywatna rozmowa, ich farmazonia, ich własność nietykalna i według dziesiątego przykazania niepożądana nawet. Literatura zaś bieżąca, przystępna, ułatwiona, osłodzona, wpraszająca się koniecznie, aby ją na powszechny i powszedni użytek przyjęto, nie może biedna tej chwały dostąpić. Przy całej artystyczności utworów swoich, panowie X., Y., Z. aż nadto są przekonani, że tyle czasu jedynie w życiu swych czytelników zajmują, ile go od zatrudnień, od wizyt, od tańców i próżniactwa zbędzie, tyle wrażenia po sobie zostawią, ile sztucznej ciekawości rozbudzić umieli. Szalone zachwyty, gorliwe przystosowania do własnych czynów i wyobrażeń, bezpośrednie hołdy powadze piszącego składane, wszystkie te niedojrzałe częstokroć, lecz najpełniejsze jędrnego soku owoce w tamtych latach się przesiliły. Na obecność mamy gruntowniejsze krytyki, dokładniej-

szą prawideł retorycznych znajomość, „smak“ wybredniejszy bezwątpienia, ale wtedy zdrowsze były i, co niemało znaczy, głodniejsze żołądki; w całem znaczeniu tego słowa „karmiono“ się literaturą, więc jej nie „smakowano“ gastronomicznie. Żeby mieć upragnione książki, niejedna dobrych kolegów stancya bez ognia w zimie się obeszła, niejeden obiad z mięsa i rosołu na ofiarę stoicznem wyrzeczeniem poświęcił. Żeby trochę prędzej ostatniego tomu dokończyć, żeby śpieszniej znowu jakiś pierwszy zacząć, odmawiano sobie przechadzek i drogich strojów, dosiadywano po nocach i walczono z własną duszą, aby innych nie zapomnieć obowiązków. Kto co przeczytał, to zaraz obejmował w posiadłość miłością lub nienawiścią: po całych tygodniach i miesiącach trwała polemika, nie gazeciarska, ale towarzyska, nie współautorów zazdrosnych sobie mniejwięcej, ale bezstronnych czytelników, którzy za myślą lub przeciw myśli, nie za piszącym lub przeciw piszącemu stawali. Były stronnicze wprawdzie poklaski i zawziętości, nie było wzajemnych pochwał rzemiosła i kłótni industryalnych. Ówczesny autor do pewnego stopnia i w pewnych ma się rozumieć wymiarach był niejako mówcą ateńskim z czasów wojny peloponeskiej; władał zbiegłym dokoła siebie tłumem, stanowił o życiu i śmierci, o wojnie i pokoju; teraz jest retorem rzymskim z czasów Augustyna ś-go, musi wiele bardzo pracować, uczyć się, mozolić; otrzyma za to posadę jaką, przy sprzyjających okolicznościach honorarium zyskowniejsze, lecz nie otrzyma wpływu na sprawy dziejowe, nie zapanuje sercom, nie rozgrzeje piersi, a jeśli będzie Augustynem św... to się miejsca i zaszczytów zrzecze, porzuci w znojnym trudzie wydeptane ścieżki i z nowego materyału, na uboczu, bez prawideł sztuki, coś od gruntu budować zacznie. Mógłby mię kto posądzić, iż właśnie ten cel wysoki założyłem sobie.—Och! nie, nie, pokorne mam sumienie i do tak trudnych nie zrywam się rzeczy. Milczałem ciągle wtenczas, gdy łatwiej było zdolność chwilą uniesienia, trafność pomysłu dobrą wiarą zastąpić — zkąd-

że wziąłbym tyle śmiałości, abym dziś dopiero. na tak ciężkie czasy się odezwał, gdy w dwójnasób zręczności i talentu do zrobienia skąpszego plonu potrzeba? Nie stać mię na retora, jeszcze mniej mam prawo o zasługę hippońskiego biskupa się kusić—te kilkadziesiąt wierszy zpod pióra mi uciekło, zwyczajnie jak człowiekowi nieświadomemu różnych sztuki arkanów i który nałogowo przywykł wszystko co mu się po mózgu roi. bez przetaka, na biały papier rzucać w formę listów poufnych, lub notatek niemających nigdy światła dziennego, ani czarnej masy drukarskiej oglądać. Daleki bardzo od autorstwa jestem—przed publicznością staję w charakterze skromnego wydawcy; tylko gdy chciałem się poważnie i spokojnie z ogłoszenia niniejszych pisemek usprawiedliwić. wspomnienie lat ubiegłych przy pierwszem zaraz słowie roztęskniło mi duszę i na wierzch się wydarło niepotrzebnem przeszłości z teraźniejszością porównaniem; bardzo przepraszam za ten uskok od głównego założenia i, na dowód poprawy. do początku znów się wracam.

Kilkanaście lat więc już temu będzie. jak piastowałem godność korektora przy pełnem dobrych zamiarów i świetnych nadziei czasopiśmie. Z prenumeratą szło nam trochę opornie, ale zato redakcya wzorowo się sprawowała. Cotydzień miewaliśmy uczone posiedzenia i sumienne względem mających się ogłosić artykułów narady. Podrzędne moje stanowisko nie tamowało mi wcale wolności sądu i wkrótce nawet tak się jakoś zrobiło, że gdy przywódzcy zapracowywali się nad dopełnianiem stronnic w programie przyrzeczonych, ja tymczasem kierunek administracyjny samodzierznie objąłem. Wszelkie rachunki, wszelkie łaskawie nadsyłane artykuły przez moje korektorskie najpierwej szły ręce. Pomimo ogromnej. niezaprzeczonej dla dawnego czasu stronności, wyznać jednak muszę, że w owych dosyłanych „podarunkach“ pełno było na nic niezdatnych szpargałów. Boże odpuść, ale kawałek życia zmarnowałem. przeglądając je koleją, czytając od deski do deski, a zawsze w tem lubem uro-

jeniu, że wśród plewy złote ziarnko geniuszu prędzej czy później odgrzebać mi się uda. Nie udało, niestety, i oczu sobie napsułem, i zamknęliśmy pismo nasze. a przez ciąg jego trwania. z całej pracy mojej. zaledwie kilka razy w braku czegoś lepszego. co sami redaktorowie umyślnie napisali. lub uproszeni znakomici piórowładzcy wypożyczyć nam chcieli. zaledwie kilka razy. jak mówię, korzystało się z dzieł tych po większej części ochotników. Zmówili się bo też chyba na to. aby nas obdarzać pierwiastkami swoich klasowych. lecz wcale nie klasycznych wypracowań Zbyt głęboko w sprawie redakcyi własne umoczyłem palce, by mi dziś wolno było świadczyć przed areopagiem potomnych o wyższości naszego celu. o skuteczności użytych do jego osiągnięcia środków — śmiało wszakże z tem przynajmniej odezwać się mogę, że był cel rzeczywiście. że była szczera intencya przyjęcia właściwej sobie a stanowczej barwy i że było sumienne zastanowienie w doborze jednokolorowych. współtonnych. równodążnych artykułów. Nadsyłane tymczasem pod żadnym względem nie dawały się bez widocznej sprzeczności w całość zamierzoną wsztukowywać; jeśli trupią nie przerażały bladością, to znów zupełnie niewłaściwym płonęły rumieńcem. zaczepiały naszych sprzymierzeńców. trącały zlekka dyszkantem naszych nieprzyjaciół, lub też poprostu złe i niedorzeczne, osobistej kłótni. paszkwilu. anonymu bezecne przedstawiały cechy. Redakcya dała mi nad niemi prawo łaski i miecza; mordowałem też bez litości i grzeszników i niewiniątka. aż mnie zczasem z tego ostatniego względu moi poczciwi towarzysze Herodem przezywali.

Raz tylko Herod-korektor wielkiej dostąpił pociechy. ale też wielkie. choć osobliwego rodzaju nadużycie popełnił: odkradł redakcyi jednę współpracowniczkę i w wyłączną swoję korespondentkę zamienił. Jeźli przeto czasopism nasz pozbawiłem kilku niezłych może ustępów, szanowni wydawcy przebaczyć mi powinni. gdyż sami ku temu pierwszą stali się po-

kusą. Dzisiaj nakoniec zwracam ogółowi, co dla ogółu przeznaczone było. Nazwisko piszącej jest aż do tej chwili zupełną dla mnie tajemnicą. Wszystko więc, co niegdyś bądź w kształcie listu, bądź w kształcie pod sąd mój oddawanych rozprawek i powieści pisała, dopóty jedynie za osobistą własność uważać mogłem, dopóki trwały nasze osobiste stosunki; gdy zaś ich wątek, jak się zdaje, stanowczo już zerwany, gdy nas kilkoletnie milczenie i stracona bliższego zapoznania się nadzieja dziś rozłącza, widzę, że nie mam prawa dla własnej, jednostkowej przyjemności zatrzymywać tego, co przez duchową, więcej jeszcze niż przez umysłową pracę nieznajoma jakaś kobieta uzbierała i w moje złożyła ręce. Podczas niezbyt dawno przebytej, a bardzo niebezpiecznej choroby, najlepiej zrozumiałem i uczułem ważność tego obowiązku. Moje notatki, dzienniki, wypisy i świstki mnogie bezpiecznie mogą w płomieniach zgorzeć, lub czterema wiatrami rozmieść się po świecie, bo ja w nich pomocnicze tylko do życia środki, nie zaś część życia mojego zamknęłem. Skreślone dla pamięci, nigdy mi prawdy uczucia chwili mojej wieczności, istoty duszy mojej w siebie nie wsiąknęły—to wszystko się ku innym zwróciło żywiołom, a choć przed ludzkiemi oczyma nie widne, kiedyś, kiedyś w rachunku Bożym się odnajdzie. Przeciwnie zaś, o ile tylko sądzić i domyślać się mogę w tym względzie, o tyle pewny jestem, że zebrane u mnie pisemka są niejako najogólniejszą sumą czyjegoś majątku, najdokładniejszem streszczeniem myśli, najwięcej zbiorowym czynem wszystkich, może skrępowanych na innej drodze bezwładnością uczynków. Krótko mówiąc, zbiór ich cały przedstawia mi, jak niegdyś bywało w drzewa lub kamienie, tak dzisiaj w te martwe papiery zaklętego żywcem ducha; jeźliby one zginęły, toby zginął duch człowieczy, i w dzień ostatecznego sądu nawet jużby się nie znalazł, a przynajmniej nie znalazł z tą chwilą, która mu między 184* a 1856 rokiem datowaną była.

Teraz opowiem, jakim sposobem przyszedłem do posiadania owych rękopisów, a zarazem usprawiedliwię się trochę z popełnionego w urzędowaniu redakcyjnem grzechu.

Był to dzień ogólnego posiedzenia; właśnie bryftreger przyniósł pod adresem redakcyi wielką frankowaną kopertę, ze znakiem „Suwałki“ na pocztowej pieczątce. Ten, któregośmy zwykle odpowiedzialnym, stosownie do piastowanej przezeń godności, zwali, przyjrzał się drobniutkiemu podpisowi ekspedycyi, skrzywił się trochę i rzucając ku mnie przez stół cały:

— Twoja strawa, Herodku — rzekł z poważno-szyderskim uśmiechem.

— Byle się za nią zgóry nie domagano honoraryum — zawołał mój sąsiad, główny ciężar nakładu dźwigający na swej kieszeni.

— Zdaje się, że kobiece pismo — rzekł starszy kolaborator, przez ramię moje zaglądając.

— A cóż? — spytał jeszcze po chwili, gdym wydobywszy z koperty ćwiartkę welinową i mały zeszycik, najpierw ćwiartkę przeczytał uważnie.— Cóż tam nowego Bóg dał? autora, czy autorkę?

— Autorkę, mój drogi! — odpowiedziałem wesoło.

— Wątpliwa na przyszłość pociecha — mruknął odpowiedzialny.

— I owszem — ująłem się dobitnym głosem — o ile można z jej bileciku sądzić, to bodaj czy się zdrowo nie uchowa i wysoko nie urośnie.

— No, proszę — odezwał się z przekąsem młody kolaborator, któremu list nadeszły przerwał właśnie odczyt jego głębokiej o czemś bardzo uczonem rozprawy — jaki świetny horoskop! Chciejże nam pokazać tę konstelacyą, według której go ułożyłeś.

— Nie wiem czemu, ale w niewieście gwiazdy, nad horyzontem Suwałk przyświecające, na żaden sposób wierzyć mi się nie chce—dodał znowu kolaborator starszy w dyogenesowym surducie, z sokratesową twarzą, wielki płci pięknej wzgardziciel.

— Kiedyście tacy nieufni. słuchajcie i sądźcie sami—rzekłem, pewny wygranej sprawy. i odczytałem kolegom następujące słowa:

„Mam rok dziewiętnasty. widzę że moje rówiennice lubią się bawić. stroić i w towarzystwach podobać. ja zaś namiętnie lubię czytać. myśleć i pisać wszystko. co tylko do głowy mi przyjdzie. Względem tak dziwnego usposobienia rozdzielone są w mej rodzinie zdania; jedni ciągle powiadają. że się to na nic nie przyda, że to mi zaszkodzi nawet; drudzy łaskawiej sądzą i w skłonnościach moich upatrują autorskie, wraz ze zdolnościami, powołanie. Chciałabym się nakoniec przekonać, którzy z nich słuszność mają. dlatego pod sąd Szanownej Redakcyi pierwsze moje próby odsyłam. Tajemnica jest mi zarówno względem najbliższych znajomych. jak względem zupełnie nieznajomych, potrzebną. Póki mi byle jakie powodzenie śmiałości nie doda, póty i zmyślonego nie odważę się przyjąć nazwiska. tylko w każdym razie czy zachęty. czy odrzucenia. podpiszę się prawdziwą pięknych dążności i szlachetnych zamiarów Redakcyi

Wspólniczką.

Tymczasem proszę odpowiedź, jeśli będzie jaka, przesłać do Suwałk na koszt Racheli Nute, poste-restante.“

— A dalej już nic niema? — zapytał odpowiedzialny.

— Jest kajecik, z kilku półarkuszków zeszyty.

— Ale czyż niema czego w liście, którym nas pointrygowałeś?

— W liście jest jeszcze kropka i misterny zakrętas; czegóżbyś chciał więcej?

— Tego. coś nam obiecywał. Herodzie: nowonarodzonej. a przez ciebie nieskazanej na śmierć autorki. Wywróżyłeś jej długoletność z tych kilku wierszy przecie, a doprawdy nic w nich nadzwyczajnego nie widzę.

— Mnie też właśnie prostotą swoją ujęły. Pierwszy autorski list młodej dziewczyny, bez żadnych retorycznych ozdóbek, to nie tak zwyczajna rzecz, jak ci się zdaje, mój drogi; zastanów się tylko, że tak spokojnemi wyrazami odszkicowała ci prócz tego dosyć dramatyczne położenie. Te od wieków trwające z kobietą o wyzwolenie jej rozumu sprzeczki, te niewygodne dla niej, a jednak niebezcelne zaiste umysłowe dary, te myśli które jej gwałtem po nad komin rodzinnego dachu ulatują—a przytem ta niewieścia prawdziwie lękliwość, ta względem przeczuwanego talentu nieufność, to wystąpienie bezimienne, ten wyrok czekany... mnie to wszystko odrazu się uprzytomniło po odczytaniu skromnego bileciku, który jakby na wzbudzenie tem większego szacunku jest pisany wyraźnie, poprawnie i z zachowaniem wszystkich znaków pisarskich.

— Och! korektorze! — zawołał nakładca — jeśli będziesz nam podsuwał wszystkie ćwiczenia znakami pisarskiemi opatrzone, a wszystkie artykuły bez znaków pisarskich usuniesz, możemy przed końcem roku zatonąć.

— Albo też powiedz raczej—odezwał się mój sąsiad — jeśli będziesz własnemi domysłami uzupełniał wszystkie listy młodych, dziewiętnasto-letnich panienek...

— Czyście na moim sądzie dotychczas zawiedli się kiedykolwiek?

— Wielkie już położyłeś zasługi, przyznajemy to jednomyślnie — rzekł odpowiedzialny — ale nigdy może nie byłeś wystawiony na taką rycerską pokusę. Bóg ci chęci do pisania odmówił, a najniepotrzebniej w świecie obdarzył cię prawdziwie „twórczą“ wyobraźnią; byle trafić szczęśliwie i z tej strony, gdzie jest drażliwsza, podłechtać ją leciuteńko, już sprawa wygrana — dopożyczysz z własnego kapitału, pospłacasz długi, uposażysz tak hojnie, że z żebraka Rotszylda zrobisz. No, no, nie trząś głową, mój przyjacielu; znamy się nie od dzisiaj i dlatego wraz z czcigodnymi

kolegami posądzam cię prawomocnie, że owym dziewiętnastym rokiem dałeś się trochę przekupić.

— Dałem, pewnie że dałem, ale dlaczego? to wy, atramentowe wymoczki, nigdybyście nie zgadły, gdybym wam tego z właściwą szczerością nie wytłumaczył. Bądźcież mi wdzięczni, że wytłumaczę właśnie. Rzecz się tak ma. Nasz odpowiedzialny i nasz zakopcony waksztafem kolaborator w apoteozie dowcipu swojego zdobyli się tylko na hypotezę jakiegoś rycerskiego uczucia i kawalerskiej uprzejmości z mojej strony, a dalsze spostrzeżenia zupełnie już przechodziły granicę ich pojęć. Ja, co nie piszę, dzięki Bogu, zachowałem zdolność spostrzeżeń: właśnie jak ów derwisz w leśnej pustelni, co to ze śladów poznał, że jego drogą przebiegła suczka ślepa na jedno oko, utykająca na prawą przednią nogę, i dał szukającemu właścicielowi najdokładniejszy jej opis—tak ja z różnych napozór okoliczności umiem właściwe wnioski wyprowadzać i daleko więcej odgaduję, bo też mam więcej danych pewników, niż wy tu wszyscy razem, uczeni panowie moi. Na przykład w tej chwili, kandydatka napisała: „mam rok dziewiętnasty.“—W dziewiętnastym roku, każda młoda osoba na jej miejscu mogła słusznie i sprawiedliwie napisać: „mam lat ośmnaście.“ Lat ośmnaście! to brzmi daleko wdzięczniej, powabniej, ułudniej! Lat ośmnaście mają wszystkie prawie bohaterki przyzwoitych romansów, lat ośmnaście miewają do dwudziestego trzeciego roku czasem dziecinne, z zadartemi noskami twarzyczki. Kandydatka wyrzeka się tego przywileju, równemi nogami skacze w swój dziewiętnasty numer i szczęśliwa jest, że przed naszem zgromadzeniem trochę poważniej wyglądać będzie. Otóż z tej kontrpretensyi wnoszę sobie, moi panowie, że istotnie musi ona więcej kochać książkę, niż zwierciadło, więcej gęsie, niż strusie pióra, może jest trochę brzydką nawet, och! jest nią bezwątpienia, gdyż zwykle namiętne literatki nie bywają zachwycająco piękne.

— A pani ***?—przerwał mój sąsiad, największy właśnie tej pani piśmienny nieprzyjaciel.

— Osobliwość i nieszczęście.

— Jakto nieszczęście? — przerwał mi z pośpiechem — nieszczęście że pisze, czy nieszczęście że ładna?

— Nieszczęście że jedno z drugiem się w niej łączy. Alboż to piękna kobieta nie ma co innego do roboty na świecie? Ona ze wszystkiemi skarbami rozumu i wyobraźni należy do tych, którzy ją kochają — może uszczęśliwiać, może, gdy zechce, wpływem nieuchylonym jak czarnoksiężniczka w żywym świecie urzeczywistniać marzenia swoje, oświecać spojrzeniem. przekonywać uśmiechem, cywilizować zachętą objawionego życzenia lub wstrętu. Jeśli ma wielką radość, lub małe zmartwienie, piękna kobieta współczującemu sercu tylko zwierzać się powinna; choćby jeden tomik in 8° minori z wrażeń swoich odkradła, to już krzywda przeciw komuś, co je własnym spokojem, szczęściem własnem zgóry wszystkie zapłacił, to już grzech względem jej najbliższych, jakieś zerwanie czy rodzinnych, czy towarzyskich stosunków: nie słyszałem jeszcze o bezkarnie pięknej autorce. Przezorna też natura rzadko bardzo wydaje takie nadzwykłości.

— Więc utrzymujesz, że piękne kobiety z porządku rzeczy i moralnego obowiązku mogłyby nawet pisać się nie uczyć? a najlepiej byłoby. żeby się już odrazu, bez ceremonii głupiemi urodziły.

— Gdybym tak utrzymywał, tobym sam był jeszcze głupszym, niż ty... o mnie sądzisz, mój przyjacielu. Owszem, owszem, niech sobie będą rozumne i uczone, niech czytają, co tylko z druku wyjdzie — a bogdajby nasz dziennik najwięcej—niech rozglądają między Heglem a Szleglem, między Herderem a Werterem. jak im się żywnie podoba, tylko niech nie piszą, przez litość niech nie piszą nic, prócz ślicznych listów, a znowu bodajby do mnie, lub do którego z was, moi panowie.

— Biedne autorki! Herod-korektor skazał was na brzydotę! — wykrzyknął wtedy odpowiedzialny.

— Otóż nowy wniosek bez sensu. Na brzydotę skazał Pan Bóg dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcznych z owej drugiej piękniejszej rodu ludzkiego połowy. W takiej masie dla jednych wielką pociechą jest głupstwo, bo im przez miłość własną zastępuje urodę, albo przez upór i gwałtowność podbija okoliczny ich światek.

Piękna da sobie radę ze złemi samą esencyą dobroci; ale brzydka, jeźli nie ma rozumu i nie jest gorsza od wszystkich, co ją otaczają, to będzie na proch zdeptana, na śmiecie wyrzucona. Dopiero z rozumem da sobie radę, w salonach bać się jej będą, w rodzinie uzyska władzę nieograniczoną; dni swego życia zapełni intrygą, spekulacyą, procesem, obmową, ani się spodzieje jak prędko cały sobie wyznaczony gościniec przebieży. Lecz jeśli w tych kierunkach serce służbę wypowiada? jeśli się urodzi kobieta brzydka, rozumna, a dobra? Co ona z sobą wśród tłumu uprzedzonych, niesympatycznych ludzi ma zrobić? Choćby jej wyższą zdolność przyznali, to jeszcze oględniej zaczną się zpod wspólności zdań i pomysłów usuwać, żeby ich kto o przyjęcie „kobiecego wpływu“ nie posądził. Ona zaś, rozumna i dobra, zbyt też szlachetną będzie, zbyt szczerą i dumną, by się zniżyła do zręcznych sposobików, do tradycyonalnej sztuki wodzenia za nos pana męża, brata, ojca, kochanka lub tym podobnego płci męzkiej przedstawiciela. Dzierży więc nieszczęśliwa skarb jakiś ogromny, a widzi, że go w żadnem zastosowaniu godziwie spotrzebować nie może. Opatrzność wtedy udręczonej wyższym duchem na pomoc przybywa i nieznacznie chęć autorstwa w głębi duszy sieje. Autorka nie ma już czasu tęsknić, boleć, wątpić, czuć się wiecznie samotną, wzbudzającą nieufność i pełną wzajemnej nieufności; chociaż te wszystkie dramata rozgrywają się w niej bardzo często, jest przecież druga, nad tę zawieruchę statecznie spokojna osoba, która się zawsze z pewnym rodzajem lubości uraganom

przysłuchuje, która sobie wszystkie zjawiska burzy szczegółowo opowiada i póty je urabia, ozdabia, maluje, studyuje, póki się z nich nakoniec nie zwierzy przed najlepszym swoim przyjacielem, przed takim, co go nie zna, co go widzieć nie będzie, lecz który może ją zrozumieć, który może z jej pracy skorzysta, który może ją lub z nią razem przynajmniej wspólnie tęż samę myśl ukochać, słowem, póki się nie zwierzy przed wymarzonym... czytelnikiem.

— Słyszycie, co on mówi? — zawołał kolaborator — biorę was na świadki. Jeśli kiedy w recenzyi kobiecego pisma pierwszą lepszą powieść nazwę: „sercową kwestyą o wymarzonych kochanków,“ nie siebie pod tym dowcipnem spostrzeżeniem, ale wielkiemi literami imię i nazwisko przewielebnego korektora podpiszę.

— Wara od parodyi, mój szanowny kolego.

— Jeszcze się gotowi pokłócić—rzekł wtedy poważnie odpowiedzialny — proszę do porządku! A to istna bieda z temi babami, zwłaszcza kiedy dziewiętnasty rok mają. Nawet sobie nie wyobrażam, coby się stało, gdyby która osobiście między nami się zjawiła. Fredro już napisał jednę komedyą „Damy i huzary,“ teraz chyba Bogusławski napisze „Autorki młode i redaktorowie.“

— Ot, najlepiejbyście zrobili — odezwał się nakładca—gdybyście poprostu przeczytali owę pierwszą próbę nieznanej muzy, a dopiero później będzie o co językami szermierzyć.

Na takie zapowiedzenie, dziwne jakieś uczucie litości i opieki zbudziło się w mem sercu; stanęła mi prawie przed oczami lękliwa dziewiętnastoletnia dziewczyna, drżącą ręką i ukradkiem kreśląca wyrazy pierwszej swojej autorskiej pracy, a tutaj nie zachętą lub dobrą radą, lecz pustemi żartami i szyderstwem rozweselonych koleżków witana, zdawało mi się, że chyba dosłyszeć tego będzie mogła. Oburzyłem się podobną niesprawiedliwością, boć przecie daleko nieraz względniej obeszli się z najwyraźniej udowodnionemi

i podpisanemi niedorzecznościami, a ten bezbronny, niepodpisany zeszycik już dowcip ich podrażnił i żyłkę śmiechu naciągał. Stanąłem w jego obronie, schowałem go do kieszeni, ciału zaś redakcyjnemu uroczyście oświadczyłem, że na mocy przyjętego zwyczaju sam najpierw zapoznam się z muzą i dopiero na przyszłem posiedzeniu wyrok swój ogłoszę. Szczęściem jakoś kolaboratorowi, któremu odczytanie artykułu przerwano, bardzo pilno było do końca z nami wszystkie jego piękności przebiegnąć, poparł więc mój wniosek i nadesłane pisemko bez żadnego już oporu pod moje wyłączne rozporządzenie przeszło.

Ledwie się na ulicę wydostałem i rozstających się ze mną kolegów z oczu straciłem, zaraz mnie wielka ciekawość ogarnęła, w jakim kostiumie młoda autorka na świat literacki występuje. Czytam tytuł: „Pierwsze moje zapytanie“— godło:

Nulla ignoranza mai con tanta guerra
Mi fe desideroso di sapere.

Dante—Il Porgatorio.
Canto XX.

Więc to tak, pomyślałem sobie, pani Dantego czytuje, nawet do czyśca z nim chodzi, a potem kogo też pyta? no, chciałbym rzeczywiście zgadnąć sam przez się—kogo i o co pyta?—Zwinąłem zeszyt i w dalszej drodze bawiłem się rozmaitemi przypuszczeniami. Właśnie trzeba mi było przez Saski ogród przechodzić: spotykam śliczną panią Teresę z przypadkowo obok niej idącym panem Juliuszem, kłaniam się i mówię bardzo pokornie:

— Oto nim wrócę do domu, zobowiązałem się sam przed sobą rozwiązać pewną psychologiczną wątpliwość; koniecznie mi to jest do utwierdzenia mię w charakterze sędziego nadsyłanych artykułów potrzebne; chciejże mi pani dopomódz i powiedz, jakie na przykład może być pierwsze zapytanie dziewiętnastoletniej dziewczyny?

Pani Teresa uśmiechnęła się wdzięcznie, jak sto pokus, zdaje mi się nawet, że oczy spuściła i rzekła słodkim głosikiem:

— Zapewne takie, jakie jej przez całe życie później do serca wracać będzie: Czy to prawda? czy to istotnie prawda, że jestem kochaną?

Pan Juliusz z zadziwiającą gorliwością sprzeciwił się temu zdaniu.

— Och! nie!—zawołał patetycznie—kobieta nie dziwi się spotkanej w drodze życia miłości, to jej prawo, to do niej należy, jak jej spojrzenie, jak jej włosy miękkie i...— może chciał kolor ciemno-bląd wymienić, ale się wstrzymał dla niewiadomej mi przyczyny.— Kobieta, póki sama kocha— mówił dalej — póty o niczem nie wątpi; dopiero z pierwszem znużeniem serca pierwsze przychodzi zapytanie, a wtenczas tak się układa:—Czy to prawda, że można przestać kochać!

Uchyliłem grzecznie kapelusza i nie czekając dłużej na rozstrzygnięcie sprzeczki, zakręciłem w przyległą aleę; zdaje mi się jednak, że ten pośpiech nie obraził ani pani Teresy, ani pana Juliusza.

W alei siedziała na ławce jakaś niebardzo już młoda i książkę czytająca kobieta: pusta myśl mi przyszła do głowy. Kiedyć mi się udało za pośrednictwem przedstawionej zagadki jednę już wyborną do zbioru moich rysuneczków dostać sylwetkę, czemużby o więcej się nie postarać? Siadam więc z drugiej strony na tejże ławce, wyjmuję z kieszeni papiery, dużo niemi robię szelestu dla zwrócenia uwagi mojej sąsiadki, nareszcie widzę, że mi się przyglądać zaczyna; wtedy grzecznie uchylam głowy i mówię:

— Niechaj się pani śmiałością moją nie obraża, lecz kiedy ją spotykam czytaniem zajętą, wolno mi ztąd wnosić, że mam prawo żądać od niej pomocy w rozwiązaniu pewnej psychologicznej zagadki.

Kobieta czytająca złożyła książkę, przypatrzyła mi się badawczo, a zapewne gdy jej twarz moja o wewnętrznem usposobieniu niezłe dała świadectwo, rzekła poważnym, lecz jednak nie surowym głosem:

— I czegóż to pan odgadnąć nie umie?

— Przedmiotu najciekawszego dla młodej dziewiętnastoletniej dziewczyny. O cóż to ona dopominać się może takim na przykład znakiem pisarskim?— i pokazałem u góry śmiałą jak widać ręką, grubo nakreślony znak zapytania — ?

— O co dziewiętnastoletnia dziewczyna pyta najciekawiej?—powtórzyła moja nieznajoma—za czem goni takiemi znakami? Nie trudnoby mi było zbyć pana konceptem. Może się pyta, czy za mąż pójdzie, może dlaczego pan się o nią nie oświadcza?

— Ależ pani... ja bez żartu... psychologicznie...

— Więc też o trochę cierpliwości proszę. Psychologicznie—przedrzeźniła mię z półuśmiechem i lekkim głosu naciskiem — psychologicznie mogę panu wskazać niektóre główniejsze prawdopodobieństwa. Jesli jest dziewczyna ta namiętną, to główną treścią jej zapytania, choćby go w najzręczniejszych ukryła formach, zawsze będzie: Czemu mi tego nie wolno? Jeśli jest nieszczęśliwa, to pyta: Czemu się urodziłam i dlaczego żyć muszę koniecznie?—Jeśli zdradzona, to pyta: Czy warto być dobrą wśród ludzi?—Jeśli obojętna a rozumna, to pyta: Czemu Bóg świat nasz takim, czemu nie innym stworzył?

— A jeśli rozkochana? — podsunąłem jej naumyślnie.

Sąsiadka głośno się na ten raz śmiać zaczęła.

— To pan jeszcze, jak widzę, w podpierwszej klasie życia jesteś zaledwie. — Rozkochana—och! panie, rozkochana kobieta o niczem nigdy nie wątpi, o nic nikogo nie zapytuje, chyba drażniąc się ze swoim kochankiem, czy on jej wiernym będzie? a sama w sobie pewniejszą jest tego, niż ów kochanek, biedny kochanek częstokroć. Wierz mi pan, młoda dziewczyna musi pragnąć, cierpieć, oburzać się lub nudzić, żeby w takie zakrętasy zdradzieckie na prawdę grać zaczęła. Każde jej zapytanie grzeszy przeciw ludziom, przeciw jej własnej duszy, albo przeciw Bogu. Jeśli więc pan ma jaki wpływ na młodą dziewiętnastoletnią

dziewczynę, to niech jej pan poradzi lepiej, by nie pytała wcale.

Zastanowiły mię te wyrazy, lecz gdy chciałem dalszego ich rozwinięcia zażądać, sąsiadka moja wstała, uprzejmie głową mi się skłoniła i odeszła. Zostałem sam pod wrażeniem jej wyroku, a przyznać się muszę, wrażenia moje są i teraz jeszcze, więc tem bardziej wtedy były, tem żywsze i głębsze, im mniej się do ich ugoszczenia w duszy przygotowałem. Zdarzało się na przykład, że bardzo świetny koncert, do którego przez kilka godzin pierwej zbierałem w sobie uwagę i wzruszeń nadzieję, pomimo doskonałego wykonania, dość chłodnym mię pozostawił, a często znowu nagle mych uszu z pola dolatująca piosenka, świeży głos jakiś przez otwarte okno płynący nad głową przechodzącego pośpiesznie trotuarem, dźwięk jakichś skrzypców zza muru, po kilku taktach rzewnej melodyi turkotem powozów zgłuszony, różne takie meteoryczne przewiewy tonów oderwanych, w trudną do opisania wprowadzały mię tęsknotę lub radość. Zdaje się, że, na mocy tego samego prawa mej natury, przed chwilą słyszane słowa głębiej mi do duszy wpadły, niż w innych razach dłuższe daleko i niby z większą uwagą prowadzone rozmowy. Mógłbym tu zrobić uwagę, czem to jest bezświadomie człowiek dla człowieka, co za łączność tajemna, co za władza udzielania sobie momentów pełnych pierwotnej przyczyny, która potem niedostrzeżenie w bardzo dalekich czasem rozwija się skutkach—mógłbym nawet porównać te wpływy ludzkie, działające na nas umyślnie i nieumyślnie, jak często wprost przeciwnie są od nas przyjmowane, jak pierwsze giną, a drugie trwają, jak toby w pedagogice zastosować — lecz dość już tych ustępów, pamiętać przecież muszę, że to nie własne moje, dla siebie samego notatki, że ja też nie autor jestem, tylko pism cudzych wydawca. Godziło się jednak uprzedzić czytelników, pod jakiem wrażeniem zapoznałem się z nadesłanemi pismami: było to wrażenie pewnej groźby i złej wróżby dla tej, co je kreśliła: nie mogłem się z niego otrzą-

snąć, nawet gdy oczy moje ostatniego wyrazu dobiegły; w danej więc odpowiedzi był ślad i było echo rozbudzonych przez zaczepioną kobietę myśli. O tem potem jednak, a teraz, dla tych coby chcieli wiedzieć, czy dalej snułem moje odgadywania, powiem tylko, że im dałem pokój: niecierpliwość przemogła; już mi się do domu wracać nie chciało, zostałem na tejże samej ławce. Alea była ustronna, cień drzew rozłożystych wonnego chłodu użyczał—ludzie nie przeszkadzali, natura sprzyjała—a jednak rozwinąłem elegancki zeszycik z pewnym niepokojem w sercu. Tak, pani, autorko niepoznana nigdy, choć blizko znajoma w najpiękniejszych latach mego życia. Jeśli czytujesz jeszcze pomimo tego, że pisać przestałaś, jeśli i te drukowane wyrazy rąk twoich dojdą, chciej im wierzyć zupełnie. Tak—z niepokojem w sercu, z troską braterską o myśl twoję i o ciebie samę następujące słowa i czytać zacząłem.

Nulla ignoranza mai con tanta guera
Mi fe desideroso mi sapere...

Dante.— Il purgatorio. Canto XX.

Cicho bądźcie, myśli moje! wy, spłoszone jaskółki, co mi się teraz po mózgu jak po ciasnej klatce bez potrzeby i nadmiarę wyrosłemi skrzydłami rozbijacie! Każdą z was niegdyś, posłankę ciepłego słońca i wiosennych kwiatów, radosnem błogosławieństwem witałam, każda w gniazdeczku swojem bez wrzawy przyległa i tylko mi o coraz nowszych, coraz piękniejszych cudach świegotała — a dzisiaj, zkąd niepokój taki? zkąd takie lotu waszego dziwactwa? To nieba dosięgacie, to jedna za drugą, znużona, końcem piór swoich błoto ziemskie muska, to niby w wodzie jeziora przepada, to niby tkwi przelękła, w powietrzu zwieszona i sama nie wie, gdzie wygiąć swych skrzydeł osady, czy tam wyżej... wyżej jeszcze—czy się zupełnie spuścić tutaj nizko, czy też na środku w obłocznej przestrzeni pozostać?... Cicho — wszystkoć rozpłynie się w Bogu i zawsze będzie On! Co mi po tych zaciekaniach się szalonych? Wróć lepiej, biedna dziewczyno, w twoję tak blizką, prawie przedgodzinną przeszłość. Och! jak mi było dobrze i zacisznie! z jakiem głębokiem szczęścia poczuciem przyjmowałam gotowe do mózgu wiadomości i wyobrażenia — jak one jedne drugim nic nie zawadzały, jedne o drugie żadną sprzecznością swoją nie potrąciły boleśnie! Nabytki po nabytkach do skarbnicy ducha zamykałam, a było

miejsce na wszystko, zdawało mi się, że był ład we wszystkiem. Nagle zamęt i szum tylko — rady sobie dać nie mogę. Szukam Boga, znajduję wszechświat nieskończony, niezmierzony, pełen mądrości i harmonii—takiej harmonii, takiej zgody, jak gdyby kochał. Biorę ten wszechświat, dotykam go pojęciem mojem i znajduję tylko myśl własną, myśl bez granic w czasie i przestrzeni, myśl-rodzicielkę praw i pierwowzorów, chwytam siebie w tej myśli, i wszystko razem nie istnieje, a nad wszystkiem wychyla się znowu to początkowe i ostateczne, to bezbrzeżne i bezdenne słowo: Bóg! — Bóg bez wszechświata, Bóg bez uznającej go myśli człowieczej, Bóg bez nędznego prochu jednostki mojej!... Zimno, pusto, jak przed siedmioma dniami stworzenia; a jednak musi być kędyś łączność między tem zupełnem niczem, a tym większym od wszystkości ogromem? Ludzie już pewnie na nią trafili, są którzy wiedzą i znają — ale od kogóż ja się dowiem? ale gdzież ja o tem przeczytam?...

Tak rozmyślałam właśnie, siedząc na ławce pod krzyżem przydrożnym. Obok mnie był mój brat najstarszy Hieronim, obok Hieronima stryj nasz Krzysztof. Pierwszy z nich od dzieciństwa, prawdziwie po bratersku, dzieli się ze mną losem, wiedzą i uczuciem. W zdarzeniach losu nie wybiera cukrowych łakotek, nie częstuje mię samemi pociechami, jak zwyczajnie bezsilną do zniesienia boleści kobietę; nie, co mu życie przyniesie, tem jak opłatkiem łamie się ze mną: czy troska, czy radość, czy nadzieja, czy niebezpieczeństwo, ja ze wszystkiego cząstkę moję biorę. W plonach wiedzy on nie przesiewa, nie gatunkuje uzbieranego ziarna, nie pyta, które mi zdrowszym będzie, lub które dozwolonym jest pokarmem — ile ma, tyle daje, a do wspólnej pracy wzywa, bo wie że tak jedynie pracować będę, jak mi natury i zdolności starczy; w uczuciu on nie zostawił mi jakiejś sobie obcej strefy, nie powiedział: ty kochaj to, a ja tamto kochać będę, i owszem, wniknął miłością swoją we wszystko, co dni moje powszednie wypełnia, przeciągnął nią ku

wszystkiemu, co jego drogi jest celem. My też sobie rodzeństwem z przedwieków na wieki. Stryj Krzysztof, jak gołąb staruszek, w młodości swojej miał ochotę księdzem zostać; ale jak napoleońskie bębny zabębniły, seminarzysta czarną swoję zrzucił sukienkę i w wojenne szeregi podążył, ale z sukienką nie zrzucił młodocianej pobożności swojej— bił się jak tęgi żołnierz, a modlił jak mnich żarliwy. Później osiadł przy swoim bracie, dopomagał mu w gospodarskich zatrudnieniach, pieścił wzrastające pod jego okiem dzieci—a chociaż teraz i połaje mnie dosyć często, nie równie jednak częściej modli się za mnie i nawet, jak sam powiada, trzy pacierze o szczęśliwą śmierć dla siebie, pięć pacierzy o szczęśliwe życie dla mnie mówi. Jak ja też kocham tego stryja Krzysztofa, a jak mu zazdroszczę czasem! Przecież on także uczył się, czytał, zastanawiał nad wszystkiem; przeszedł ciężkich doświadczeń próby, patrzył na rozwielmożnienie i upadek Nabuchodonozorowych wielkości, a władze jego umysłu dziś jeszcze młodzieńczą zachowały rzeźkość; nie zraził się niczem, nie zniechęcił do niczego, nie zaprzeczył niczemu. Z jakim zasobem dom rodzinny opuścił, z takim, tylko procentującym, wrócił znów do niego; ani pół talentu dziedzicznej monety nie braknie, choć pełno złota i srebra w zarobku. Zkądże wziął tę silną podporę, ten kosztur niezłamany, z którym lat siedmdziesiąt bez zmęczenia i skargi po naszej pełnej wybojów, błotnistej ziemi wędruje? Stryj ciągle powtarza: Wiara. — Toż ja chcę wierzyć koniecznie. — Chcę jakąś prawdą jak płaszczem się owinąć i w niej już zostać na wieki; czemuż nie umiem dobrać materyału? Co sobie sprawię i przykroję, albo co mnie kto sprawi i przykroi owo pożądane wiekuiste odzienie, to je lada wietrzyk z ramion moich zdmuchuje, lada kołek przy płocie zachaczywszy rozdziera. Widzę, że z wątka wszystkich pojęć myśli i wrażeń ja tylko trwały całun grobowy uprzędę, bo w grobie spokój, w grobie bezmyślność, lub wszechwiedza doskonała...

Ciężko mi było i duszno, a wokoło nas rozwijał się przecudny, prawdziwie polskiej wioski krajobraz. Przechylone ku wieczorowi słońce z poza rozigranych obłoków rzucało smugi to światła, to cienia, na całą, jak serce poczciwego człowieka, otwartą i widną okolicę. Z jednej strony gościńca woniała świeżo skoszona łąka: nad dużym stawem, czyli nad małem, jak tu mówią, jeziorem, roje komarów i drobnych muszek cieniutką piosnkę dzwoniły, a chrabąszcze warczącym basem jej wtórowały, lub raz po razu uderzając ciężkim swoim lotem o drzew nadbrzeżnych gałęzie, głuchy takt biły niby owej zmieszanej milionowych brzęków muzyce. Z drugiej strony, rozległą przestrzeń wielcy artyści nasi, chłopi rolnicy, pokratowali w różnowzore, jakby umyślnie dobierane, kobierce. Między ciemno-zieloną pszenicą, a jasno-zielonem żytem kilka morgów gryki bialutkim śniegiem przypruszać się zaczynało; wzdłuż złocistego rzepaku wstążka lnu błękitnego jak niebo kwitnęła; przy dużym płacie różowej koniczyny, płat jeszcze większy górującego nad młodym owsem habru się szafirował, a tu i owdzie, jak tło uwydatniające jaskrawość innych przedmiotów, łany całe świeżo zaoranego gruntu ciemniły się owym sobie tylko właściwym, prawdziwie pożywnym kolorem, co im daje podobieństwo do wielkiej skiby razowego chleba, na wyżywienie dziatek Bożych odkrajanej. Za łanami, za polami część widnokręgu łączyła się ze stropem dotykającego ją nieba, a część znowu jak półkole dworskiego płaszcza wystrojonej księżniczki, w wypustkę szmaragdową majowej brzeziny objęta, strzępiła się jeszcze sutą aksamitną sosnowego lasu falbaną. Od tej brzeziny, od tego lasu, echo w zmiękczonych tonach niosło ku nam nawoływania pastuchów i przeciągłe ligawki zadęcia. Wszystko to razem składało się w taką jakąś piękność swobodną choć uroczystą, że gdy nagle przerwałam milczenie i rzekłam:

— Smutną jest dusza moja aż do śmierci! —

brat zadziwiony długo patrzył mi w oczy pierwej, nim spytał:

— Dlaczego?

— Czy słyszysz? — ja go spytałam nawzajem — czy słyszysz, jak powietrze całe zda się płynąć piosnką tajemniczą? jak zpod stóp naszych, nad głowami naszemi, tu, tam, wszędzie brzmią głosy, drgają ruchy coraz mniej widzialnego świata, aż nakoniec dla zmysłów naszych wszystko się w niewidzialność i milczenie pogrąża, choć dla rozumu naukowym pewnikiem istnieje. Powiedz mi, gdzie granica temu rozdrobnieniu życia i kształtu? Znasz ty ów atom, którym się najmniejszość wyraża.

— W najmniejszości jest nieskończoność — moja Kazimiero.

— A teraz wgórę spojrzyj: ziemia prochem, słońce drobną perełką w nadbrzeżnym piasku słonecznym naszej drogi mlecznej, droga mleczna wysepką jakąś na kosmicznym eteru oceanie; czy znasz kres tego ogromu, największość tej niepojętej wielkości?

— Tam znowu nieskończoność; albo raczej tam i tu, poza wszystkiem i nad wszystkiem jest Ten, który jest—Bóg.

— Otóż ja także powtarzam sobie to święte słowo: Bóg! a przecież, Hieronimie, duch mój w ucisku i serce moje w trwodze: zewsząd mnie naciska ta Najwyższość, górująca niebiosom niebiosów i zstępująca poza wszelką przypuszczalną atomów podzielność; ginę w nieskończonościach; mam Imię Boże w rozumie, nie mam siebie w imieniu Bożem. Ku czterem stronom zwróciłam myśl moję i szukałam jakiegobądź punktu oparcia dla mej osobistości, jakiejbądź ułamkowej cyfry, któraby rzeczywistą moję wartość oznaczyła; nigdzie nic znaleść, nic oznaczyć nie mogłam. Przestrzeń na prawo i na lewo rozpływa się w niedostępną dla wyobraźni olbrzymiość lub drobnotę. Czas przedemną i za mną przepada w tajemnicę niedocieczonego początku, lub nieodgadnionego końca. Upiła się

jasnością myśl moja, a drętwieje jakoby nicestwem serce moje. Patrzę ku Bogu, lecz mnie tu niema już.

— Dziewczyno, dziewczyno! — rzekł wtedy od kilku chwił uważniej słuchający stryj Krzysztof—weź katechizm do ręki; jeźli się zagubiłaś w pojęciu wielkości Boga, to się tam zaraz odnajdziesz z twoją własną, jednostkową duszą nieśmiertelną.

— Prawda, mój stryju, tylko mi jeszcze zechciej dopowiedzieć, co ja mogę w tej własnej mojej duszy nieśmiertelnej unieść ze sobą na wieki?

— Cnotę uniesiesz w niebo, a w piekło występek; znowu powtarzam: katechizm odczytaj.

— Pamiętam go, stryjaszku, ale chciałabym właśnie głębiej uczuć, dokładniej zrozumieć jego prawdy. Cnota i występek mają znaczenie jakieś wobec ludzi tylko; a ludzie, a świat cały, a wszystko na co spojrzę, wszystko to mi wobec Boga wypowiada znikomość swoję. Spojrzałam ku Najwyższemu i niższych dzieł prawicy Jego dowidzieć już teraz nie mogę, jak ten co spojrzał na tarczę południowego słońca, gdy później oczy na dyament zwróci, pewnie połysku jego nie spostrzeże.

— Trudno mi pojąć, czego ty się napierasz, dziewczyno. Jeżeli prawda, że świat ziemski zmysłowy całą wartość swoję stracił już dla ciebie, a dusza się w uznaniu doskonałości Bożej rozpłynęła, jeżeli tak jest? to uklęknij, moje dziecko, złóż ręce i w szczerej modlitwie podziękuj Panu, że ci dał prędzej niż innym zrozumieć, jak tu według słów króla Salomona „próżność próżności i wszystko jest próżnością.“ Wielka mi szkoda jedynie, że pierwej jakoś fałszywym tonem brzęknęłaś; cożeś chciała powiedzieć przez to: że cnota i występek mają znaczenie wobec ludzi, a nie mają znaczenia wobec Boga?

— Chciałam powiedzieć rzecz bardzo prostą, mój stryju: dla ludzi mogę coś dobrego lub też złego czynić, mogę uzdrawiać i zabijać, cieszyć i smucić, zbogacać i obdzierać. Otóż te wszystkie czyny, do śmiertelnych istot zastosowane, same przez się znie-

śmiertelnić się nie mogą. Słyszałam od stryja, że stryj w którejś tam bitwie uratowałeś życie jedynakowi biednej wdowy — dotychczas z błogiem uczuciem jej wdzięczną radość przypominasz sobie; ale czy chciałbyś, czyby ci, stryju, podobnem było nawet przez wieki, przez nieskończoność trwać w tem uczuciu, kiedy strząsnąwszy łuskę z powiek, przejrzałbyś właśnie całą jego ułudność? Co znaczy ocalone życie przed Bogiem, u którego niema narodzin i śmierci, który Sam daje, Sam matkom dzieci odbiera, Sam wie o tem, że straty i zyski, szczęścia i nieszczęścia człowieka, życie długiem lub krótkiem zwane, to wszystko są kręcie, efemerydalne omamienia tylko, a sąd prawdziwy na nie—w Jego Wszechmocy tkwi? Dla tej-to Wszechmocy, stryju, nie w ludzkich siłach widzę złe lub dobre czyny, dla tej-to Wszechmocy ja nie wiem, czy tu mogę zebrać jakiekolwiek żniwo zasług i uczuć takich, któreby się za grobem, za doczesnością, przy blasku potęgi Jego ostały.

— Możesz, dziewczyno, bo właśnie zasługą twoją i cnotą już nie wobec ludzi, jak mówisz, ale wobec Boga samego, jest to wyzwolenie się z doczesności i zatopienie w Bogu, jest to uznanie głębokie, że zdarzenia i czyny wszelkie w Jego mądrości tylko rzeczywistą wartość jakąś mają; że my biedni i ślepi nic nie wiemy, nic nie znamy, chyba nikczemność naszę, a wszechogrom Jego; że my błotem i nicością, a On Pięknem, Dobrem i Życiem. Jeźlić więc, raz jeszcze powtarzam, w tem przekonaniu utwierdziła się dusza twoja, jeźli, jak gołębica Psalmisty, „uleciała i spoczęła,“ uleciała od znikomości, od złudzenia, od śmierci, a spoczęła w jedynej Prawdzie wiekuistej, toż błogosław Panu i wyznawaj Go z dziękczynieniem. Czemu się masz smucić i czego żałować?

— Och, mój stryju, gdyby to w kaście Brahminów się urodzić, albo z naddziadów pod cieniem buddyjskiej świątyni wychowywać, zaiste, ostateczna doskonałość byłaby już osiągnięta, zatracenie samej siebie spełnione i wiekuista cisza ducha pozyskana. Lecz

ja, nieodrodne dziecko Jafetyckich plemion, koniecznie potrzebuję ruchu i samoistności; takie bezczynne zbawienie, takie rozpłynięcie się w Bogu wystarczyć mi nie może. Tęsknię i cierpię, szukam sobie przyczyny i celu, chcę „być“—bo czemże jestem? czy tylko kształtem ciała od stopy do głowy? czy w przydatku i myślą wielką, zwierciadlaną, w której się niby w rosy kropelce myśl słoneczna Przedwiecznej Mądrości odbija? Nie żałowałabym przecież kształtu, o myślbym się nie troszczyła daremnie. Ale ja nadewszystko tem jestem, co kocham; jestem wspomnieniem ojca, grobem matki mojej, jestem rodzeństwem i gronem przyjaciół serdecznych, dla szczęścia bliźnich jestem nienasycenie pragnącem uczuciem, dla świętości wybranych jestem wdzięczną bez granic, dla piękna ziemi i sztuki jestem zachwyceniem radosnem. O ile zginę sama w sobie, o tyle mi zginą oni wszyscy, z tem wszystkiem co wspólnie miłujemy. Znikomość własną, wyjątkową, przyjęłabym spokojnie, może nawet... z uprzedzającą chęcią nieraz. Łatwoby mi przyszło cisnąć w bezdeń próżności Salomonowej wszystkie błędy, wady i cierpienia moje, a założywszy ręce, wzniósłszy oczy dogóry, oniemieć w rozpamiętywaniu chwały Niepojętego; lecz znikomości gatunkowej, łącznej dla pokrewnych mi naturą a ukochanych sercem czy to osób, czy przedmiotów, w żaden sposób przyjąć nie mogę. Nie, jak każda dusza przyjaciela, tak każde ziarnko nadwiślańskiego piasku, tak każdy dźwięk rodzinnej piosenki i każde dzieło wielkiego artysty potrzebne mi jest dalej niż na tutaj, dłużej niż na obecność. Rozstać się z tem wszystkiem nie mogę, a niczego nie znajduję w tej pochłaniającej światy i wieki Nieskończoności Pańskiej. Zbawienie obiecujesz, stryju, jeżli z przemiennej doczesności dusza moja gołębicą uleci i spocznie. Kiedyć ja tej duszy właśnie od tego co kocham wydzielić nie umiem; odbierz mi tylko miłość ludzi i ziemi, a już nie wiem, czy mam duszę. Władze umysłu, skłonności serca, cała jakaś wewnętrzna istota moja urobiła się z wrażeń i wyobrażeń, które jej

ludzie dali, które z ojczystego wyssała gruntu. Czem promień światła względem koloru, czem treść względem formy, tem jest to co kocham względem mnie. Nie pojmuję nawet, jakaby cząstka osobistości mojej zbawioną być mogła, gdybym tego wszystkiego wyrzec się musiała? Chyba na łono Boże wróciłaby owa myśl jedynie „zwierciadlana,“ jak to już powiedziałam, myśl w której Bóg przejrzałby się i widział, że jest Bogiem.

— A już też dziwaczysz, panno Kazimiro — z lekką niecierpliwością przerwał stryj Krzysztof. — Kto ci się każe bliźnich i ziemi wyrzekać? w jakiejżeto Ewangelii czytałaś, że masz się rozstać z miłością, ażeby trafić do nieba? Osobliwsza logika! Chrystus za największych grzeszników na krzyżu umiera; Bóg-Człowiek nad Jerozolimą płacze; Słowo przedwieczne wciela się i między nasze ubóstwo zstępuje, smutnych cieszy, chorych uzdrawia, umarłych wskrzesza, a tu blizko w półdziewiętnasta wieku po Jego śmierci, młoda dziewczyna nad tem sobie głowę łamie, co w jej duszy zbawionem będzie, gdy ku wszystkiemu ta dusza miłości się zrzecze. Mogę ci śmiało powiedzieć, że to jest właśnie najdalszy do zbawienia gościniec. „Nie miej Bogów cudzych przedemną,“ lecz „czcij ojca twego i matkę twoję“—„kochaj bliźniego twego.“

— Ależ, mój stryju — rzekłam po chwili namysłu—stryj mi odpowiada przykazaniami, a ja stryjowi mówię o stanie wewnętrznym duszy mojej, o usposobieniu, które mi przesłania jasność, rozrywa związek tych praw najświętszych. Pozwól mi tylko wytłumaczyć się trochę. Dwóch rzeczy sprzeczność razi mię i boli... to jest wiem zgóry, że prawdziwej niema sprzeczności, ale na uczucie w obecnej chwili istnieje ona dla mnie. Po jednej stronie znikomość świata, po drugiej konieczny warunek dobrych względem niego uczynków dla zbawienia mej duszy — tutaj nicość chwili każdej — tam wieczność z pracy chwil tych uzbierana. Przed oblicznością Boga jednoczy ją to zapewne w jakimś punkcie środkowym, ale przed nie-

dołęztwem mego pojęcia rozpada jeszcze na dwa przeciwieństwa zupełne. Olśniła mię cząsteczka dojrzanej prawdy, nie wiem jakby ją z drugą cząsteczką, w naturze mojej tkwiącą, pogodzić. Nie gniewaj się na mnie, stryjaszku; wyobraź sobie że chorą jestem i opowiadam ci symptomata mej choroby, lub raczej że na rozdrożu stoję i pytam, który gościniec do nieba prowadzi: czy wyrzeczenia, czy nabywania? Może to chwila stanowcza w mem życiu; powołanie jeszcze się na żadną nie przechyliło stronę, sama dotychczas odgadnąć nie umiem, kto tam w głębi ducha mego drzemie: kobieta chciwa szczęścia, wiedzy i czynu, lub też zakonnica samotna, zpod wpływu ciała wyzwolona, jedną ekstazą ducha żyjąca przez wszystkie dni swego życia? Istotnie, od niejakiego już czasu ogarnia mię, pochłania zwolna to przeświadczenie o wielkości Stwórcy, o nicestwie wszechrzeczy stworzonych; do czego rękę wyciągnę, to mi się w myśli mgłą pustą rozwiewa. Księgi nauk, owe niegdyś gorejące rozumem pochodnie, przygasają mi teraz w bezcelności swojej. Na co mi się dowiadywać, jakie zdarzenia zagrzebane w dziejach, jakie skarby w warstwach podziemnych, na co badać siły grające w obrotach ciał niebieskich, lub pierwiastki własnego na ziemi oddechu? Próżność próżności i wszystko jest próżnością! Kolumny świątyń greckich i ostrołuki gotyckich kościołów, Wenera Medycyjska i Mojżesz Buonarottego, epos Homera i dramat Szekspirowski, od kamienia aż do pieśni, wszystko zaklęciem geniuszu ludzkiego z martwoty swojej w utrwalony objaw myśli i czucia do bytu powołane, wszystko to prochem zniszczenia tylko, wszystko tem na kiedyś, czem teraz dla nas chwilka zapomnianej przeszłości. Próżność próżności i wszystko jest próżnością! Wszak prawda, mój stryju? Nic z tego, co tu wymieniłam, do zbawienia mi nie posłuży. Za to że nie wiem, kto wykuł w skałach sklepienia Ellory, Bóg mię przecież nie potępi; za to że wiem, ile księżyców koło Saturna się kręci, Bóg mi swojego nieba nie przychyli. Czytaliśmy wczoraj poe-

zye nasze, Manuelita koncert Szopena cudnie nam zagrała. Poco i naco? z rozmarzenia, z zachwycenia nic na tamten świat drugi nie wezmę ze sobą.

— Masz słuszność, a wszelako gardzić tem nie trzeba. Nauki i sztuki piękne z litości Bożej słabszym duchom wypożyczone zostały dla ulgi chwilowej, w chwilowem utrudzeniu doczesnej pielgrzymki. Im kto wątlejszy na zdrowiu, tem większych potrzebuje wygódek. Musi mieć i parasol od słońca i kalosze na błoto, bodajby koczyk z resorami do każdej przejażdżki. Ludziom niedostatecznej wiary i bezhartowej cnoty zdadzą się wszystkie owe niewinne umysłu zajęcia. Od skwaru namiętności osłonią się jakiem uczonem dociekaniem, po błotnistych do grzechu okazyach przejdą sucho w jakiem natchnieniu artystycznem, do obowiązkowego celu życia dostaną się mimo wiedzy prawie następstwem różnych wrażeń lekko uniesieni, a wkońcu miłosierdzie Boże weźmie ich za rączkę i przez próg ostatni przesadzi. Znasz przysłowie: „Kto śpi, nie grzeszy“— ja też sobie myślę nieraz, że cała mądrość światowa i wszystkie piękności świata sen-to jedynie, w którym dusza jak ciało odpoczywa i różnie sobie marzy, a Bogu nie grzeszy. Błogosławiony, kto czuwać może i bez tych pieszczot się obejdzie, bo jak sprawiedliwie powiedziałaś, moje dziecko, ze wszystkich owych sennych marzeń, żadnego z sobą na tamten świat nie weźmiemy.

— Zaczęłam, więc będę mówiła i wyznawała przed tobą, mój stryju. Oto potwierdziłeś własne moje słowa, a jednak słuchając ich z ust twoich, zupełnie mi się innemi wydały; taka żałość mnie ogarnęła, jak gdyby mnie, głodnej żebraczce, ostatni kawałek chleba z rąk wydzierano; uczucia mojego niepodobna w gramatykalnym ładzie do sensu opisać byłyby to niby dwa wykrzykniki tylko: „Nie oddam! Ratujcie!..“ Nie oddam sztuki, poezyi, dziejów, ludzi, ziemi i wody — nie oddam piękna, szczęścia i zapału. A jednak twoja pono prawda, mój stryju—żywot nasz cały „sennem ducha człowieczego marzeniem.“

— Ej, bo te wszystkie subtelności próżniactwem są tylko!—ofuknął się stryj dość żywo. — Przekręcasz myśl moję, jakby głuchy niedosłyszane wyrazy! Kto ci powiedział, że cały żywot sennem jest duszy marzeniem? O waszych tylko trylach, deklamacyach i marmurowych bałwankach to mówiłem — jawą życia jest uczciwa praca i przez Chrystusa zalecone dobre uczynki; co na tych zagonach posiejesz, to ci za grób przerośnie.

— Z posłuszeństwem przypominam sobie, że Chrystus wiele nam rzeczy wykonywać rozkazał, ale pojąć nie mogę, dlaczego rozkazał właśnie, i ztąd cała ta oschłość, która ich wykonywaniu towarzyszy. Ilekroć zamiar jakiś chcę przedsięwziąć, wnet mi się w myśli płonnością skutków swoich rozbija; ilekroć coś dobrego bliźnim zrobić próbuję, wsparciem, radą, nauczaniem, wnet mię bezwładność ogarnia, pędzel i książka, igła i nożyczki niedbale z rąk wypadają. Gospodarstwo, to od rannego do wieczornego pacierza chleb powszedni i śmiertelne ciało moje na myśli — jałmużna to dla takich co krociów nie mają, ofiara częstokroć człowieka-ducha dla człowieka-zwierzęcia — trzeba się krzątać jak Marta, trzeba się wyrzec lepszej cząstki żeby z kimś drugim gorszą cząstkę podzielić. Wolę odrazu zrzec się wszystkiego, wolę całe mienie rozdać, a potem żyć tylko i myśleć.

— Czemu też nie wpadłaś na to przypuszczenie, że możesz jeszcze i że powinnaś nawet drugich prawdy Bożej uczyć?

— Niby to prawda Boża gramatyką, algebrą lub filozofią niemiecką, nad któremi ślęczeć trzeba? Prawdę Bożą ogłasza Mojżesz i Chrystus— po Mojżeszu i po Chrystusie wyznawcy dają życiem swojem świadectwo mistrzowi. Objawienie i dobry przykład, to już cały kurs religijnej mądrości. Chyba mię, stryju, do teologii zapędzisz?

— Ot, słuchaj—rzekł trochę już surowszym głosem staruszek—doszedłem teraz, dlaczego nie możesz duchowych swoich pojęć z pracą dni powszednich

sprzęgnąć, a w wielkości Pańskiej dośledzić wagi i ceny każdego wróblika, co jest z kilkoma innemi po jednej oboli sprzedawany, dośledzić chwały każdej lilii polnej, co ma zwiędnąć przed wieczorem, a jutro być na strawę bydlętom skoszoną. Powiem ci — ty sama nie wiesz o tem, a ciebie szatan pychy już skrępował. Pycha to istna ćma nocna; ćma wiecznie ku światłości leci, a wiecznie wkoło siebie niczego nie widzi. Rozum pysznego wiecznie ku Panu Bogu sięga, bada jego istoty, wypytuje o tajemnice, a tego co jest Boskie nie patrzy na ziemi, tego po czem promienie Jego chwały widomie spływają, nie uważa i nie rozumie. Jak ćma rzuca się w ogień, a pierwiastku jego nie pozna, tylko w nim sama się spali, tak rozum pysznego nie dojmie się istoty Pańskiej, tylko sam w Niej znicestwieje—znicestwieje podobnem twojemu zniechęceniem, albo straszliwszą jeszcze niewiarą. Miej się na ostrożności, moje dziecko; pewny jestem, że bez złej chęci, w prostocie serca pierwsze kroki stawiłaś na tej drodze zapytań; lecz ja stary przestrzegam cię, kto temi ścieżkami chodzi i gdzie one wiodą. Mówiłaś sama, że się czujesz podobną takiemu człowiekowi, co spojrzał w tarczę słoneczną i potem nawet blasku dyamentów nie mógł dowidzieć—unikajże jego losu, spuść oczy lepiej. Któryś z Ojców Kościoła, św. Augustyn, o ile przypominam sobie, bardzo trafne, jakby uprzedzające na twą chorobę przepisał lekarstwo. On także w słońce patrzeć zakazuje, bo mówi, że tylko „spuszczony wzrok pokory w jasności dziennej wszelkie ogląda przedmioty.“

— Czekałem — rzekł wtedy brat mój, oddawna milczący—czekałem tego wyrazu: „Pokory“— zawsze pokora odpowiednią na wszystkie wątpliwości, których szafarze związujący i rozwiązujący związać ani rozwiązać nie umieją—straszydło pychy i groźba niewiary na tych, co się pytać ośmielają. Bardzo długo stosowałem się do takich przestróg, lękałem się takich pogróżek, im cięższą wszakże pracą, im większemi ofiarami dobijałem się mojej cząstki Królestwa Boże-

go, tem głębiej wrastała mi w duszę konieczna potrzeba wyświecenia sobie każdej niepewności. Pojmuję, że dziś Kazimiera tą samą idzie drogą, ufam, że zajdzie do celu.

— Jakto, ufasz, że sobie na wszystkie zagadnienia stosowną zdobędzie odpowiedź?... Och! to zuchwałość niemała. Po dzisiejszem jutro przyjdzie drugie, po drugiem trzecie i czwarte. Tytanów prace a mrówcze korzyści, i gdyby jeszcze korzyści najmniejsze, lecz ja doświadczony wiem, że kara niechybna. Co potrzebne do zbawienia duszy naszej, to Zbawiciel świata już ogłosił, to snać po wieki wieków pieczęcią tajemnicy zapieczętował i biada szaleńcowi, który chce tę pieczęć naruszyć!

— A ja czuję, mój stryju, że tam, w niebie, Baranek Boży siedm pieczęci jednę po drugiej odrywa i księga czeka na ludzi, by ku niej myślą swoją czytać wstępowali.

— Plagi także na nich czekają.

— Czekają, czekają, wiem o tem. Za każdą wygłoszoną tajemnicą, za każdem nowem z najstarszej prawdy wypowiedzianem słowem, tętnią ryże konie wojen domowych, rżą czarne rumaki głodu, płowy biegun śmierci hasa... Tak było, gdy Chrystus przemówił; tak będzie, gdy przemówią Chrystusem natchnieni. Czy ty im, stryju, milczećbyś rozkazał?

— Istny obłęd, mój synu; natchniony od zwątpienia nie zaczyna. Duch Święty w piersi jego wstępuje, siedmiokrotnemi dary go poświęca, wkłada do ust wymowę, światłość zmysłom roznieca, a serce ogniem swojej miłości przejmuje.

— Wiekowe tylko zwątpienia natchnionych do bytu powołują.

— Ja wiem z Biblii, że ciekawość rozumu, łakomstwo wiedzy, a przez wiedzę łakomstwo potęgi pierwszych naszych rodziców zgubiło. Wiem z Ewangelii, że Jezus, syn Maryi, ubogim w duchu dał błogosławieństwo swoje — to alfa i omega mojego systema-

tu, to mojej pokory zasada, to mej starości w czynionych wam upomnieniach obowiązek.

— Więc pokorą nazywacie dobrowolne przyjęcie nieświadomości? pokorą ograniczacie stosunek człowieka względem Boga? Trochę mi się to niepotrzebnem zdaje. Wyzywam najdumniejszych: niechaj który z nich Imię Boże wymówi, niechaj nad wymówionem zastanowi się chwilkę i niech natychmiast prochem nicości sam we własnem nie rozsypie się przekonaniu. Toć ateusz nawet, w ogromie natury, jeśli chce być logicznym, prysnąć musi jak bańka mydlana. Gdzież tu pokora możebnem uczuciem, kiedy znikomość prostą i nieuchyloną koniecznością? Pokora dobrowolnie z pierwszego miejsca schodzi, walkę cichem ustąpieniem zakończa, chęć rozgłosu na wodzy trzyma, zwaśnionych godzi, współbiegnącym z drogi się usuwa. Dla ludzi, siostro moja, pokorę zachowaj; w powikłaniu spraw doczesnych to ich ułatwienie jedyne, to najpewniejszy przyszłego porządku zakład; lecz względem Boga nie wysilaj się na tę zbyteczną cnotę. Nigdy o miejsce z Bogiem nie przyjdzie ci się rozprawiać. Nie masz czego, nędzarko, Bogu twojemu ustąpić, nie masz o co z Nim się poswarzyć; nie On z tobą o sławę lub zyski ubiegać się zacznie. Względem Boga zasługą twoją ta właśnie tak przez drugich niesłusznie zwana pycha twoja. Gdybyś się wyrzekła poznawania i rozumienia, wyrzekłabyś się najświetniejszej korony dziedzictwa twojego. Ty przecież dziecię Boże, „w rzeczach Ojca twojego i tobie być trzeba;“ idź śmiało, idź a nie spoczywaj, póki w Najwyższej prawdzie nie odpoczniesz.

— I któż kiedy odpoczął, jeśli się raz już tym manowcem puścił? — z niezwykłą sobie popędliwością stryj Krzysztof zagadnął.—Czy znasz takiego mędrca? czy słyszałeś o takim filozofie? Bądźże dla nas obojga hojniejszym, mój Hieronimie; powiedz nam, czego doszli? jaką—wszak tak mówicie — jaką „bezwzględną“ odkryli prawdę?

— Bezwzględnej. w stosunku do mądrości Bożej. nikt zapewne nie zdobył, ale wystarczającą na własne potrzeby, lub na potrzeby jakiejś epoki; bezwzględną w stosunku do siebie samego. lub do czasu w którym mu żyć wypadło, osiągnął każdy, kto się nie cofnął przez lenistwo, nie obłąkał przez uboczne nikczemniejsze podmioty egoizmu. Co do mnie, mam najmocniejsze przekonanie właśnie, że każda rozbudzona w duszy naszej wątpliwość jest wprost rozkazem Pańskim, który nas ku wyższej sferze doskonałości popycha. Może niejedna próba się zmarnuje, lecz z prób tysiąca wytryśnie nakoniec zbawienny jasności promień. To. nad czem ludzie przemyśliwają, jest mi właśnie wskazówką tego, co im się w blizkiej przyszłości należy. Gdyby dziś ogólne pragnienie na księżyc dostać się kusiło, uwierzyłbym, że ludzkiemu zbawieniu ta podróż się przyda i że ktoś z nas niezadługo dolecieć tam musi.

— A jabym uwierzył jeszcze prawdopodobniej, że tylko wielu waryatów głowy sobie porozbija.

— Bądźmy spokojni o to; prawdziwa niemożliwość nigdy człowiekowi na myśl nie przyjdzie. Zkądżebym ja wziął uczucie i wyraz na oznaczenie rzeczy której niema, a zkąd formę na pojęcie niesłyszanego wyrazu? Tak więc, jeżeli to, o czem pierwej ludzie nie wiedzieli, to, czego sam nie znałem, co mi od nich w żadnej nauce i w żadnej radzie podanem nie zostało, z całą siłą potrzeby i tęsknoty zaniepokoi moję duszę—dowód oczywisty, że nie ja szedłem ku temu, ale to właśnie z góry przyszło do mnie.

— Gdybyś miał prostszą i pokorniejszą wiarę, baczniejbyś się zastanawiał, czy z góry czy z piekła. Szatan się umie w anioła światłości przedzierzgnąć. Duch pychy po dziś dzień jeszcze „Niosącym światło“ lucyferem się zowie.

— I znowu ta pycha! Pomiędzy nami Pan niech sędzią będzie, Pan niech stanowi, co Go wyższym uznało, czy pycha moja, czy pokora waszej nauki? Ja się nie lękam przed Tron Boży zanieść wszystkich

wątpliwości moich. Wiem przy początku zaraz, że na każde pytanie jest w Mądrości nieskończonej odpowiedź, a gdy wszystkie wypytam, to Mądrości nieskończonej na uwielbienie, na niepojętość zostanie tyle, ile Bogu Stwórcy do utrzymania w niższości człowieka stworzonego potrzeba; a zatem ja wątpiący, nie wątpię; wy zaś lękający się zwątpienia—nie ufacie właśnie. Wam się zdaje chyba, że słowa prawdziwe mogły wyjść kiedykolwiek od tego, który jest „ojcem kłamstwa, i co mówi, to od siebie mówi." Wam się zdaje, że istotnie gdy zerwiecie jaki owoc na drzewie wiadomości, to Bóg przestanie być Bogiem, a wy się staniecie bogami. Słusznie za takie cele śmierć szaleńców karze: lecz ja się na głos śmieję z tych słów kusiciela, czy one złudną jego obietnicą, czy waszą groźbą mi się przedstawiają. Nie lękaj się ich i nie wierz im, Kazimiero. Dowiadujmy się, czego zechcemy tylko, dowiadujemy się wszystkiego, o czem wyobraźnia rozmarzonego fakira zaśnić może, o czem wielogłosa dyalektyka filozofów niemieckich rozprawiać jest zdolną, dowiadujmy się i wiedzmy. Bóg zawsze jeszcze więcej wiedzieć będzie i tajemnicy w Nim nie zabraknie przed rozumem naszym.

— Ale cnoty i siły nam zabraknąć może. Nie posądzaj mię przecież, żebym chciał przed napaścią rozumów waszych bezpieczeństwo Boże brać w obronę. Pan Bóg sam sobie stróżem i obroną. Ludziom to, ludziom tylko ich zuchwałość, ich nieuchronne pomyłki nieszczęściem i grzechem się stają.

— Co do tego, mój stryju, zupełną słuszność ci przyznaję, uchylam głowy przed słowami twojemi. Nieraz, gdy pytającemu długo na odpowiedź czekać przyjdzie, zniecierpliwi się jak dziecko i stanowczo zaprzeczy; z przeczeniem zaś żyć niepodobna; cała natura człowiecza się wzdryga, wszystkie pojęcia ludzkie zpod niego wyłamuje. Następuje więc okropne pasowanie się z tą moralną śmiercią, czasem rozpacz, częściej jednak grzech i zniszczenie — bo w Chrystusie, według słów Pawła, samo *Tak* trwa wiekuiście. Kto zaprze-

cza zupełnie, rozłącza się z Chrystusem, dawcą żywota wiecznego i chlebem nieśmiertelności. Z drugiej strony jednakże — odwołuję się, stryju, do twego doświadczenia — jako starzec pamiętasz wiele zdarzeń, pobudki wielu czynów, tysiące śmierci dokoła wyspowiadało ci rzeczywistą ubiegłego życia wartość; zbierz to wszystko razem i powiedz dopiero, czy najcięższe nieszczęścia z badań rozumu wypłynęły jedynie, a zbrodnie najczarniejsze czy przez badających popełnione zostały? Co do nieszczęścia, mnie się zdaje, że wszyscy cierpią, ale jest jedno pogańskie, drugie chrześciańskie cierpienie. Kto jak muł i osieł nad zbiorem dóbr doczesnych pracuje; kto płacze każdego pieniężnego ubytku i drży za każdym zyskiem pieniężnym; kto przyjaciół potrąca, byle się z tłumu wydostać i na wygodniejszem rozsiąść krześle; kto, przez tłum odepchnięty, bezprzestanną skargą nad lepszem powodzeniem innych utyskuje; kto zazdrości, skąpi, pożąda, a zawsze czegoś takiego, co arytmetyczną cyfrą lub figurami geometrycznemi przemierzyć można — och! ten zaiste bardzo jest nieszczęśliwy — tylko jego nieszczęście w zasługę mu nie pójdzie, jego nieszczęście — pogańskie. Ale kto boleje upragnieniem niedocieczonej prawdy; kto się trudzi mozolnem skupianiem jej promieni w ognisko własnego serca; kto ręce łamie, że jeszcze nie odgadł, a nocy bezsenne trawi na zaklinaniu ducha wyższej jasności; kto potem za już przyznane własnem życiem płaci, prześladowany, dręczony, szyderstwem i obelgą kamienowany kolejnie; kto na stosie goreje, lub smutniej i okropniej, bo w opuszczeniu umiera: ten bardzo nieszczęśliwy także — lecz nieszczęście jego chrześciańskiem jest. Wolę żeby mi dręcząca niespokojność o stosunek mej doczesności z wiecznością serce rozdzierała, niż żebym się truł i męczył ubiegnionem przez kogo innego miejscem, niezrobionym majątkiem, nieprzeprowadzoną skutecznie intrygą. A teraz co do grzechu—zaiste, wśród występnych i skalanych znaleść można wielu półmędrków, osłaniających się jakim łachmanem zkądkolwiek

wyszarpniętego zdania; lecz to jest właśnie prawie zawsze obce zdanie za wiarę przyjęte i spaczone, niema w tej podłej ciżbie człowieka, coby szczerze prawdy szukał i w głębie własnej duszy zstępował, by lepiej siebie i Boga zrozumieć. Od szachraja do złodzieja, od szulera do zbójcy — wzdłuż i wszerz przepatrz, stryju, wszystkie wyrodki społeczeństwa, któryż z nich wątpi i który rozmyśla? Ach! ta nierozmyślność właśnie, ta niezdolność pytania, ta zawierucha ciągłej ruchliwości, niekierowana żadną samotwórczą myślą, to ślepe i nieraz pośpieszne przyjęcie słów cudzych za fundament pod gorączkową dalszego życia pracę—ten prawowierny Filip II-gi, i ten niełamiący sobie głowy elegant warszawski, ten czynny książę Alba i ten szewc w poniedziałek pijany — to są grzechy i choroby ludzkości. Nim mnie i siostrę o zbytek badawczej myśli wyłajesz, postaraj się pierwej, stryjaszku, żeby tamci choć na godzinę zastanowić się chcieli, i od serca do rozumu, od rozumu do nieba Jakóbową o wszystkich szczeblach spróbowali postawić drabinę.

— Jednakże, Hieronimie — odezwałam się wtedy — o ile naprędce skombinować mogę, to mi się widzi, że z dociekania prawdy, według tego coś powiedział, zawsze taż sama suma mi wypadnie — niewinne zapełnienie czasu w braku czegoś lepszego, znów senne tylko duszy rozmarzenie; dla mnie, to nie dość wcale. Jeśli w zapasach moich z aniołem tajemnic tyle jedynie zyskam, że zbrodniarką, jak któryś tam minister, lub ogłupiałą jak elegant i pijak nie będę; jeśli mię trud mój nie udoskonali, nie zbawi—to wolę, rady stryja przyjąwszy, oczy spuścić w pokorze. Sam mówiłeś, że też czasem zniecierpliwić się można.

— I sam też powtórzę: bądź cierpliwą, Kazimiero — w cierpliwości pokora prawdziwa. Z którejbądź strony mglisty obłok wzrokowi twemu słońce prawdy przysłoni, zawsze pamiętaj, że to słońce, choć go nie widzisz, jasnem jest, ciepłem i czystem. Jakiebądź zwątpienie na duszy twej osiądzie, zawsze wię-

dzieć powinnaś, że nie Bogu dobroci, ale tobie zdolności i pracy do jej pojęcia brakuje. Prędzej czy później „Bóg się usprawiedliwi,“ według słów Psalmisty. Kiedy Hiob pytał: dlaczego cierpi niewinny? Bóg się usprawiedliwił objawieniem przyszłego życia w wieczności. Między zapytaniami Hioba a Chrystusa odpowiedzią kilka wieków upłynęło; między naszem zapytaniem, a odpowiedzią Syna Człowieczego na wysokościach, może ich więcej jeszcze upłynie. Ale cóż nam do miary i liczby, nam, współdziedzicom nieskończoności?

Wytrwaj tylko, Kazimiero; ufaj, że gdzie siła ludzka się kończy, tam, lecz tam dopiero łaska się zaczyna, a w łasce zbawienie już. Mniej o zbawieniu mówiłem, bo nam szło głównie o to: czy jest grzech w zapytaniu i czy skutkiem grzechu kara także będzie? — Ja mówię że nie, a mam za sobą pytającego Hioba powagę. Hiob moim wzorem, i że tak rzeknę, ideałem wątpiącego człowieka. Całe karty słów jego umiałem niegdyś na pamięć. Czy znasz je dobrze, Kazimiero? czy zrozumiałaś, jak on wszystkiemi skargami cześć Najwyższemu oddaje, a jednak każdej swojej nędzy rachunku dochodzi? „Jako się Panu upodobało, tak się stało“ — ale — „Czemu nędznemu dana jest światłość, a życie tym, którzy są w gorzkości duszy?“ —„Jeżeli zgrzeszyłem, o Stróżu ludzi, czemuś mię postawił przeciwnym sobie?“—„By mię też zabił, w Nim ufać będę, a wszakoż drogi moje przed obliczem Jego strofować będę, a Pan będzie Zbawicielem moim, bo nie przyjdzie przed oblicze Jego żaden obłudnik.“ Z tak silnej wiary, z tak błogiej nadziei bierze Hiob dalszych zapatrywań podnietę i do dalszych skarg prawo: „Człowiek urodzony z niewiasty, żyjąc przez krótki czas, napełnion bywa wielą nędz. I masz za godną rzecz na takowego otwarzać oczy swoje i przywodzić go z sobą do sądu?“ Mędrkom pocieszycielom zdaje się, że Hiob bluźni; zarzucają mu zbrodnie tajemne, by tylko od tradycyi Mojżeszowej nie odstąpić i każde nieszczęście po ludzku karą Bożą wytłumaczyć. Hiob wie, że go „Pan nierównym sądem utra-

pił, że śladem Pańskim szła noga jego“ — więc też: „nie odstąpi od niewinności swojej, usprawiedliwia którego się jął trzymać, nie puścić“— lecz choć „więdnie w nim dusza, choć go opanowały dni strapienia, choć błotu jest przyrównan, choć arfa jego obróciła się w żałobę, a organy w głos płaczących,“ nie przeto ufność on straci; „Wie, że Odkupiciel jego żyje.“ więc pyta, szuka ciężkiem, mozolnem szukaniem: „Pójdę-li na wschód słońca, nie widać go, jeżeli na zachód, nie zrozumiem go, jeśli w prawo, cóż uczynię? nie uchwycę go; jeśli się obrócę w prawo, nie ujrzę go;“ a wszakże niezrażony pamięta i wyznaje nieomylność Pańską: „Gdzie bywa Mądrość znaleziona i które jest miejsce rozumu? Nie wie człowiek jej, ani bywa znaleziona w ziemi rozkosznie żyjących. Otchłań mówi: nie masz Jej we mnie, a morze powiada: nie masz Jej ze mną. Skryta jest od oczu wszystkich żyjących; ptacy też niebiescy nie wiedzą o niej. Zatracenie i Śmierć rzekły: uszyma naszemi słyszeliśmy sławę jej. A Bóg rozumie drogi jej i On wie miejsce jej.“ Taką-to pieśnią uwielbienia jest zapytanie Hiobowe, takąśmy wszyscy dzisiaj odzywać się powinni, Hiobowie ciała lub duszy, cierpieniem lub żądzą doskonałości w niepokój umysłu pchnięci. Jeśli przed Hiobem do czasu jeszcze Pan tę tajemnicę wszechmocności swojej osłonił, bo: „Gdzieżeś był, mówi do niego, gdym podstawy ziemi zakładał,“ to przecież zaświadczył później, że się „prawie“ przed nim odzywał, i błogosławił mu i ukołysał szczęścia zapomnieniem rozbudzoną wątpliwości tęsknotę. Jakoż daleko więcej my, krwią Chrystusa z ciemnicy piekielnej wykupieni, powinniśmy ufać i spodziewać się, że jeżeli przed nami do czasu słowo ostatecznej prawdy Pan zatai, to nam poda choć sylabę, choć głoskę jednę, która osobiste pragnienie nasze zaspokoi i głód naszych wnętrzności nasyci.

— Więc pomóż, bracie, szukać głoski owej.

— Niczyja pomoc na nic ci się nie przyda, Kazimiero; gdybyś miała cichą do przyjęcia cudzych

praw gotowość. to byłabyś na wydzielonej ci z dzieciństwa porcyi poprzestała. Lecz kiedyś sama raz już szukać zaczęła, sama też i znaleść musisz; żaden dopowiedziany nie nakarmi cię wyraz. Rozważaj, myśl i wyrokuj, siostro moja.

— Lecz módl się także; z modlitwą zawsze bezpieczniej — dorzucił stryj Krzysztof i czoło moje znakiem Krzyża świętego przeżegnał.

Ponieważ autorem nie jestem. więc nie mam żadnego obowiązku czytelnikom moim opisywać. jakie wrażenie zrobił na mnie przeczytany artykuł, ale drugostronnie. ponieważ chcę być osobliwie sumiennym wydawcą, więc zamieszczam to. co na niego. jeśli się nie mylę, bardzo pośpiesznie. bo kto wie nawet czy nie tegoż samego dnia odpowiedziałem.

„Szanowna Pani!

W urzędowym charakterze członka redakcyi występując, winienem najpierw złożyć Pani przynależne podziękowanie za okazane pismu naszemu zaufanie i współczucie; pomimo najszczerszej wdzięczności jednak, wypada mi przeprosić Panią. że nadesłany artykuł. jakkolwiek znakomity obiecujący literaturze polskiej talent. ogłoszonym w teraźniejszej swojej formie być nie może. Pismo nasze. jak to szanowna Pani zauważyć musiałaś, dzieli się na dwie stanowczo między sobą rozróżnione części: jedna ściśle naukowym i filozoficznym poświęcona rozprawom; druga wyłącznie estetyczna. przez wiersze i powieści zajęta. Do pierwszej nie moglibyśmy artykułu Pani załączyć. bo krój jego trochę fantazyjnie wśród poważniejszych rzeczyby wyglądał, i niech mi to wolno będzie powiedzieć, brakiem właściwego koloru grzeszyłby poczęści;

niema w nim ani dogmatu z religijnem namaszczeniem rozwiniętego, ani zasady na prawach surowej logiki opartej; do obozu wierzących, czy do obozu rozumujących Pani należy, nikt z tego ustępu nie zgadnie, a tego właśnie wypowiedzenie jawne i szczere od każdego współpracownika zbiorowego pisma jest koniecznie wymagane. Autorowi dzieł pojedynczych wolno jakie chcieć piętno im nadawać; przeciwnie zaś, redakcya dziennika musi tylko samych jednowierców swoich z grona autorów wybierać. Zostaje wprawdzie pod mniej ostrą regułą cała dzielnica estetycznych i lekkich utworów, nie myślę przecież, abyś Pani sama kiedykolwiek artykuł swój do niej przeznaczyła, bo w takim razie dałabyś mu zapewne inną, powabniejszą, więcej urozmaiconą oprawę, a nadewszystko jeśli nie ozdobiłabyś go wyraźniejszym początkiem, to pewnie wyraźniejszym związałabyś końcem. W takiem zawieszeniu, w jakiem Pani nas zostawiła, my czytelników naszych zostawiać nie możemy; koniecznie nam trzeba wiedzieć, czy dojdzie nas odpowiedź na ów znak zapytania? bo póki nie odbierzemy dalszego ciągu, lub póki Pani pięknych myśli swoich w inną sukienkę nie przyoblecze, trudno będzie, bardzo trudno dobrać miejsca temu ustępowi, który w obecnej powierzchowności swojej raczej wyjątkiem z większego, a publiczności jeszcze niezwiastowanego dzieła być się zdaje, nie zaś umyślnie dla redakcyi przedsięwziętem i wykonanem dziełem. Nie obrażaj się Pani jednak i nie zrażaj temi pedantycznemi uwagami; imieniem całej redakcyi ośmielam się nawet prosić Panią jaknajusilniej, abyś, trwając w dobrych chęciach swoich, udarować nas raczyła pracą gruntowną, w której myśl dzisiaj pytaniem rzucona, od pierwszego założenia do ostatniego wniosku przeprowadzonąby została, lub też, co jeszcze więcej jest zpod pióra kobiety pożądaną rzeczą, abyś wsparła pismo nasze jaką powieścią na przykład, jaką poezyą może, choćby poezyą liryczną, tak właściwą zawsze niewieściemu duchowi, a tak bogatą, jak widzę, w duchu Pani szczególniej.

Raz jeszcze polecając prośbę naszę jej pamięci, a mimowolne uchybienie jej pobłażaniu,

mam zaszczyt być z najgłębszym szacunkiem
dla Szanownej Pani
Tomasz ***
Korektor i pełnomocnik przy
Redakcyi ***.

Tak się wyrażam w charakterze moim urzędowym; a teraz, gdyby mi wolno było w charakterze prawdziwie życzliwego przyjaciela się odezwać, tobym rzekł Pani: „Miej litość sama nad sobą! cofnij się z drogi póki czas! Nie stoję bynajmniej w rzędzie tych zakamieniałych moralistów, którzy wiecznie do igły i do kuchennych garnków zapędzają kobiety; owszem, wdzięcznem sercem błogosławię każdą z nich, co w zakres duchowego naszego życia przynosi nam w pojętności swojej zachętę niejako do dalszych postępów, a w inno-gatunkowych zdolnościach swoich pomoc i objawienie nowego świata uczuć, szczęścia i miłości. Daj Boże, niech kobieta wykształcona, mistrzyni sztuki, pieśni, zachwycenia,

We wszystkie chwile życia mężkiego się wplata,
Brzmi w szlachetnych pomysłach, w natchnieniach ulata.

Niech tylko skarbów swoich nie rozprasza na mniej godne jej przeznaczenia i jej natury dzieła. Ach! Pani, jest to moje osobiste zdanie: w hierarchii czynów ludzkich książka najniższe zajmuje miejsce; tomy całe płomiennych wyrażeń niewarte jednej iskierki, co się w żywem sercu roznieci: najmądrzejsze systema niewarte jednego szlachetnego postępku, jednej cichej ofiary, co się boleścią bez goryczy, poświęceniem bez nagrody ku Bogu unosi. Wstyd prawie nam mężczyznom w gęsie pióra się bawić, kiedy jest tyle innych do spełnienia obowiązków—a cóż dopiero, jako to niepowrotna szkoda być musi, wasze kobiece,

pokrewne aniołom dusze w atramencie walać i na papier z gałganów wyrobiony przelewać; jeszczeć my, mężczyźni, mamy tę ucieczkę, że w tysiącznych przedmiotach bez wydania samych siebie pisujemy; ten i ów rozgada się o prawnictwie, o kategoryach filozoficznych, o naukach przyrodzonych, a co mu tam gra na dnie duszy, to w pełności tonu sobie właściwego przechowuje na rzeczywistą pieśń swej biografii, wygłasza dopiero w zawodzie swoim obywatelskim, rodzinnym, albo w milczeniu zamyka, przerabia i udoskonala. Wy zaś kobiety odrazu musicie szarpnąć kawał własnej duszy, lub kawał krwią nabiegłego serca, i dać go przesyconym czytelnikom na strawę. Pani się także zpod tego wyjątku nie uchyliłaś. Co mi tam znaczy foremność lub nieforemność przysłanego artykułu—powiem Pani szczerą prawdę, jak z nim postąpiłem. Do mnie, według przyjętego zwyczaju, pierwsze rozgatunkowanie zebranych materyałów należy —ja odczytuję najpierw i sądzę, co ma być drukowane, a co usunięte; mógłbym więc śmiało kolumny naszego pisma przybywającej bezimiennej kolaboratorce otworzyć, lecz w słowach Pani tak żyjącą jej osobistość dostrzegłem, tak poczułem od punktu do punktu prawdziwie na dolę i niedolę przemyślane godziny, że mi się Pani żal wielki zrobiło: żal taki szczery i oględny, jaki powinien był może mieć nad panią brat jej Hieronim—jeśli tylko pani masz brata Hieronima, a nie nazywasz sobie tem imieniem pewnych zwrotów bojującego z larwami niepewności ducha. Artykuł więc Pani zatrzymałem u siebie, nie wydam go, chyba na wyraźnie powtórzony rozkaz. Życie Pani musi być ciasne i puste zdarzeń, jak życie każdej młodej dziewczyny, co go jeszcze wyłączną nie przepełniła miłością i w samodzielnie przedsięwziętą nie zaprzęgła pracę. Masz w ręku jakieś klejnoty kosztowne, otworzyłaś przed sobą skrzynię skarbów pełną, a sama nie wiesz, co z tego zrobić i gdzie tego użyć. Podróżny Beduin w pustyni worek drogocennych pereł znajduje: „na co mnie perły?—myśli sobie—mnie tutaj trzeba tylko ślad dro-

gi naznaczyć; ja dziecię samotności, potrzebom ludzkim niedostępne, bylem wiedział, w którym kierunku scieżka moja bezpieczna, dość mi na tem.“—I Beduin, ciągle idąc przed siebie, ciągle za się drogocenne rzuca perły — wtem niespodzianie do cudnej przybywa oazy. Przed okiem jego mnogie bieleją namioty; czarnobrewa Arabka wonną kawę mu podaje; chciałby płacić, kupować, rozdawać, a tu pereł już niema. Beduin żebrakiem — i czy sądzisz Pani, że mu podobnem będzie krok za krokiem się cofnąć i perły wyzbierać? Nie—nie—piasek pustyni zawiał je oddawna, dokoła spiekła posucha, w sercu niewczesny żal.— Tak się to z wami, młode autorki, dzieje. Każda sobie jak ów Beduin dumnie powiada, że potrafi być samotnem wśród ludzi dziecięciem, że byle nową prawdę zdobyła, byle w pełności rozwinęła orle skrzydła swej myśli, nie dba o szczęście, a przeciw tajemnicy, u której jasność i potęga w banku, stawia na kartę całą duszę swoję. Tymczasem fala życia w nieznane pierwej okolice ją unosi, rodzina, przyjaciele, ubodzy zbiegają się do niej po serdeczną wypłatę za datki swoje, po serdeczną jałmużnę w swoich niezaspokojonych potrzebach. – „Kobieto, kochaj! Kobieto, cierp ze mną! Kobieto, wesel się z nami! Kobieto, miej odwagę! Kobieto, zachęć, poradź, pracuj--idź tam—weź to--pilnuj tego — przydaj owego — a tu kobieta, jak Beduin pustyni, widzi, że wszystkie swoje perły już rozsiała. Przy początku autorskiej drogi czuła tylko czczość i matrwotę wewnątrz siebie czuje. Zapewne niejeden z bliższych doradców lub kierowników groził ci, Pani, że gdy autorką zostaniesz, nikt cię nigdy szczerze nie ukocha. Och! ja surowiej zagrożę — ja powiem Pani, że gdy prawdą wrażeń swoich, myśli i uczuć szafować, gdy zmyślone wyobraźni utwory zaczniesz Pigmalionowem rozgrzewać tchnieniem — a jakże byćby mogło inaczej? — gdy całe serce swoje literami przepiszesz, wtenczas — ja grożę i prorokuję — wtenczas ty, Pani, sama nikogo nigdy szczerze kochać nie będziesz.

A teraz, za te słowa i uwagi wcale się o grzeczne przebaczenie nie dopominam — albo żadne przeczucie moje w całem mojem życiu się nie sprawdzi, albo też Pani właściwie braterstwo tego kroku ocenisz i po głębszym rozmyśle względem „znaku zapytania“ stosowne przyszlesz rozporządzenie...“

Po kilku tygodniach przyszła znowu gruba z Suwałk koperta; ma się rozumieć że codzień jej oczekiwałem i pilnie baczyłem, żeby w ręce którego z kolegów pierwej niż w moje nie wpadła — szczęśliwie się powiodło i oderwawszy drżącą z niecierpliwości ręką pieczątkę, sam na poddaszu, przy oknie mojej kochanej facyatki, czytałem co następuje:

„Wszystkie pana przeczucia zawsze sprawdzać się będą, bo rzeczywiście umiałam braterskie jego postępowanie ocenić; wdzięczna jestem za życzliwe chęci; na dobre rady baczną być przyrzekam. Kto wie? może pan ma i słuszność, że autorstwo zawiele skarbów naszej kobiecej osobistości pochłania; co do mnie, jeszcze się o tem przekonać nie mogłam: zdawało mi się, że kto ma talent, ma jakiś lepszy czy gorszy, potrzebniejszy czy niepotrzebniejszy przydatek, ale zawsze przydatek do tego, co inni w duszy swojej mają; zdawało mi się jeszcze, że jeśli ja mam talent, to nie wezmę siebie samej w autorskie obrobienie, nie samą sobą Galatejskie typy ożywiać będę, ale talentem moim. Pan mi pierwszy zwrócił uwagę, że inaczej być może—i prawda, przekonałam się kiedy piszę, bo każde słowo do głębi serca czuję, na każdy obrazek jakbym żywemi patrzyła oczami, za wywnioskowane zdanie głowębym sobie ściąć dała, na uznanej prawdzie krwią z serdecznego palca podpiszę cyrograf, oddający jej w służbę ciało moje, duszę moję, teraz i po wszystkie wieki wieków — amen. Strach, jeśli takie autorstwo wyczerpie ze mnie siłę ukochania — cóż jabym wtedy zrobiła nieszczęśliwa? Chociaż pan zręcznie pokusę nasunął, nic panu jednak o mojem osobi-

stem położeniu nie powiem. Jest-li one tak nudne jednostajnością, tak ciasne kilkomilowym sąsiedztwa obrębem, że szerszych krosien życia rozstawić nie mogę i dlatego różno-barwne włóczki na powietrzu rozsnuwam, z wietrzykami i wichrami igrające puszczam, a wszystkie igły we własne serce wpinam, jak w poduszkę otrębami czy tam piaskiem nasypaną — jest-li ono, przeciwnie, tak ubłogosławione wielkiem szczęściem i wielką niedolą, że każda nawet władza ducha z kolei może w niem swe znaleźć zastosowanie, może się nieraz w niem czynnie kształcić i potęgować, a ja mimo tego, ja co kocham, cierpię, raduję się, pocieszam, doradzam, pracuję, idę tu, spełniam to, przydaję owego; ja mam jeszcze siłę i czas na autorstwo, bo autorstwo, według dawnego mego zdania, nie bywa jedną za drugą pomienianą zdolnością nadetatową, przepyszną jakąś gratyfikacyą, którą się panującemu obdarzyć nas spodobało. Jest-li to pierwsze, jest-li to drugie przypuszczenie prawdziwem? nie dowiesz się pan odemnie; tylko żeby pana przekonać, jak wysoko cenię jego przestrogi, jak sumiennie do rad jego chcę się zastosować, względem posłanych papierów takie daję rozporządzenie. Zostaw je pan u siebie i nie ogłaszaj drukiem, póki znów pana o to prosić nie będę; ma się rozumieć, że i z załączonemi dzisiaj tak samo postąpić trzeba. Dziwnem to panu zdawać się musi, dlaczego je załączam właśnie, kiedy ze szranek kandydatek do piśmiennictwa pokornie w ciszę niewieściego przeznaczenia się usuwam. Otóż to trzeba panu wiedzieć, że ja nie usuwam się zupełnie. Lubię pisać, pisanie stało się prawie potrzebą mego umysłu, pedagogicznym środkiem przeciw rozmarzeniu. Jest wokoło mnie świat jakiś chaotyczny, a rzeczywiście istniejący, z którym na inny sposób radybym sobie nie dała. Nie ja szukam pomysłów i wyobrażeń, lecz one mnie szukają. Czasem szkaradne to jakieś nietoperze i sowy, którym się opędzić nie mogę, które mię po twarzy skrzydłami biją, na oczach siadają, mózg dziobią i rosną w potworne kształty, póki ich piórem nie

ułowię, do papieru nie przyćwikuję i anatomicznie zbadawszy, wyroku śmierci lub doczasowego więzienia im nie ogłoszę. W innych razach znowu są-to jakieś promienne pierwiastki, które się gwałtem odemnie kształtu dopominają, często bardzo są już ukształtowane postacie, które jak dusze pokutujące nawiedzają mię, dręczą, proszą i prześladują, żebym je od znicestwienia uratowała, żebym w świat życia ludzkiego wprowadziła. Pan sam widzi, że muszę pisać, ale mi wolno wejść z panem w układy. Autorstwo składa się z dwóch czynności: z pisania i ogłaszania drukiem pism swoich; gdzie te czynności w rozłące, tam i autorstwa niema. Jeżeli więc pisać będę, a drukować nie dam, uniknę tytułu autorki i zagrożenie pańskie straci moc prawa nademną Wstyd mi powiedzieć, ale szczerość za szczerość, błahe ustąpienie jest już pewną ofiarą z mej strony. O sławie nic nie marzyłam; laury Korynny bardzo spokojnie drzemać mi dozwalały, a w bezimienność tak sztucznie się zasklepiłam, że mię żaden bibliograf i żaden recenzent nie byłby mógł nigdy wyśledzić, lecz widać człowiek jest bardzo towarzyskiem zwierzęciem: co ma dane, to koniecznie z drugimi chce dzielić, cnoty, błędy, pomysły; czasem tylko złota dzielić mu nie pilno, lecz i to są bardzo rzadkie, chorobliwe jedynie wyjątki; spytaj pan wszystkich paniczów warszawskich, różnych synów obywatelskich, jak oni lubią dzielić złoto z krawcami, francuskimi kucharzami, z szulerami i t. d., i t. d Nawiasowa uwaga: przez nią tylko chciałam dowieść, że chęć dzielenia się w ogólnej ludzkiej naturze tkwi. Niech mi wiec lekkim ten grzech będzie, że ja także do podziału z bliźnimi moje pisma przyniosłam: nie śmiem panu zaręczyć, że pożytek czytających miałam głównie na celu; przecież i pan nie myślisz o tem, abyś uczył każdego, z kim rozmawiać zaczniesz; jednakże gdy czytałam parabolę o Beduinie, natychmiast przyszło mi coś takiego do głowy, co panu nie przyszło wtedy, widać, że było na pogotowiu, chociaż bezwiedne i nieokreślone. Pan wspomniałeś

tylko, że Beduin nie ma wracać poco, gdyż wiatr pustyni suchym piaskiem wszystkie perły rzucone zasypał; a ja pomyślałam sobie: może inny wędrowiec szedł tą samą ścieżką i drogi był pewniejszy i kosztowności nazbierał; może, jeśli dziś tak się nie stało. to jutro. wiatr przywiał. wiatr rozwieje niesione tumany, a perełkę ktoś znajdzie kiedy tam. gdzie znaleść się nie spodziewał. Tak, tak pomyślałam sobie. łaskawy panie. ale mimowolną zarozumiałość. w pierwszym symptomacie jej objawu łatwo jest. dzięki Bogu, uleczyć. Miejże mię Pan za uleczoną pod tym względem; trudniejszą była kuracya nieszczęśliwej do gawędzenia. czyli jak ja utrzymuję. do dzielenia się swoją własnością choroby. Rozbudzone jednak przez pana sumienie bardzo skutecznie działało — istotnie przyznałam się do tego kobiecego niedołęztwa, że kiedy piszę. całem sercem piszę. Dobrze mi z tem było w cichości czterech ścian odosobnionego pokoiku. lub schylonej nad uchem bardzo zawsze pobłażającem i życzliwem — ale teraz nie jest mi danem odgadnąć, jakbym przyjęła nowy z publicznością stosunek. Publiczność! ile razy sobie wspomnę. że zacząwszy od prenumerujących pismo szanownej redakcyi. skończywszy na tych, którzy go nie czytają — publiczność nasza składa się z tylu głów słabych, mocnych. zagwożdżonych jak Sysara, bolejących jak głowa Jowisza. z której Minerwa nie może wyskoczyć — z tylu głów pijanych. obojętnych, uprzedzonych, znudzonych. rozbawionych. z tylu głów—z tylu głów!... Ile razy wspomnę to sobie, zawsze wstręt mnie ogarnia. Och! Panie łaskawy! nie chcę ich sercem własnem obdzielać, nie chcę im własnej duszy na nieprzewidziane ich dziwactwa wydawać. Czuję, że w takiem zbliżeniu można tracić i na miłości zbankrutować zupełnie. Jeśli, według rzuconej mi groźby, kobieta-autorka nigdy szczerze nikogo ukochać nie jest zdolną, to dlatego zapewne, że swoje pisma drukuje; publiczność. owa harpia nieodstępna, już po pierwszym na jej strawę ciśniętym arkuszu jadem swoim nieszczęsną zatruwa

ofiarę — chwali, to próżność podsyca, gani, niechęć rozbudza, obojętną zostaje, to smuci i upokarza, a cóż dopiero gdy zacznie słowa twoje przekręcać, opinie twoje wypaczać, prawdy twoje do kłamstwa, lub jak pan chcesz — do prawd swoich jak zacznie dociągać, doszmurowywać, obkrawać, upinać — ach! jaka to męka piekielna być musi! I powiedzieć sobie jeszcze, że te słowa, opinie, prawdy, wszystko to są, słusznie tak przez pana nazwane, kawałki ciepłą krwią naszą drgającego serca; pomyśleć, że co komu kością w gardle, solą w oku, kolką w boku stanie, to będzie zawsze owa serdeczna a krwawa istoty naszej cząsteczka. — Nie! — Przeciw takim próbom i torturom nie mam jeszcze potrzebnej odwagi; zostaw pan u siebie wszystkie papiery moje, któreś odebrał, lub które później odbierzesz. Zaczekajmy — jeśli się zdobędę na prawdziwe męzkie usposobienie, jeśli potrafię siąść przed ćwiartką białego papieru i pisać o takich rzeczach, co mnie nic a nic obchodzić nie będą, wtenczas dam panu znać i pan mi nie odmówisz zapewne swej pomocy w wydaniu choćby jednego tomiku, jednej maleńkiej, w najmniejszym formacie książeczki. Mania, panie łaskawy—istna mania, patologiczne usposobienie; ale bądź pan spokojny, nie poddam się chorobie, póki wiadomych warunków nie dopełnię; jest zaś wielkie podobieństwo, że nie dopełnię nigdy i wdzięczność za uprzedzające lekarstwo przez całe życie zachowam.

Takie uczucie wzięłam sobie do serca po odczytaniu rad i przestróg, jakichby mi udzielił szczery przyjaciel, gdybym szczerego przyjaciela znalazła. Jeszcze muszę powiedzieć, co też wzięłam sobie do rozumu po odczytaniu uwag korektora-pełnocnika. Otóż znowu słuszność im przyznałam. Ten znak zapytania okropnie jest niekształtny; sama widzę, że go trudno w dobrze rozgatunkowane wsztukować materyały, bo sam bez gatunku — ale niech mi wolno będzie zaprzeczyć szanownej Redakcyi, że nie jest bez początku i bez końca. Początkiem był on na nieszczęście w jednym okropnie rozszumiałym mózgu, ale gdy źródłem

na wierzch się wydostał, zaraz dalej popłynął. rozbijał się o skały różne i o różne brzegi, lecz wreszcie trafił na dobrą, gładką pochyłość i spokojny choć głęboki w swoim oceanie się pogrążył. Nie byłabym nigdy przesyłała takiej zagadki, którejby rozwiązanie w tece mojej, albo przynajmniej w przekonaniu mojem, już nie leżało. Najpierw muszę redakcyą uprzedzić, że nie roiłam o tworzeniu nowych systematów. nie miałam też i zrobienia nowych odkryć nadziei; dopatrzywszy w sobie tylko odrębnych czy potrzeb, czy też wyobrażeń, sumiennie nad tem pracować zaczęłam, by je z ogólnie uznanemi wyobrażeniami pogodzić, a co do potrzeb, by je o ile możności powszednim chlebem zaspokoić. Widziałam, że nie mnie samej tęskno i duszno pod naciskiem już bezdusznych, lub jeszcze niepojętych słów. Kiedy mi się udało przeto w słowie jakiem, albo też w sobie dla słowa jakiego ożywczą iskrę wskrzesić, kiedy długie tempa i głuche dosłyszałam, zrozumiałam co przez takie i owakie wyrażenia ludzie powiedzieć chcieli, radość mię przepełniła, czułam się pod pewnym względem zobowiązaną do wskazania współwątpliwym, na jakim punkcie drogi, w jakiem uczuciu, pod jakim promieniem słońca stanąć trzeba, żeby widzieć czysto i godzić się z ogółem nieobłudnie. Mam jeszcze więcej zapytań, lecz mam też i odpowiedzi niemało; szkoda jedynie, że prawie wszystkie w tej samej, nieprzydatnej dla Redakcyi sukience. Ponieważ jednak redakcya życzyła sobie wierszy lirycznych, albo powieści, przesyłam powieść maleńką, bo do rymów najmniejszego w sobie nie czuję powołania. Mam nadzieję, że pan korektor, chociaż się do rozporządzenia wydanego memu przyjacielowi zastosuje, nie poskąpi mi wszakże literackich swoich uwag —a ja na przyszłość, wrazie gdybym drukować zaczęła, jużbym się do czytania zaprawiła, do znoszenia wszelkich krytyk i recenzyj, a zaprawiła takim łagodnym i zdrowym sposobem—wyrokami człowieka, który w ich ogłaszaniu żadnej osobistej nie ma pobudki

i który ich ogłoszeniem właśnie zjednał sobie prawdziwy szacunek, z jakim zawsze pozostaje

Bezimienna."

Już to wyraźnie zgóry oświadczyłem, że sam za siebie i o sobie wcale pisywać nie lubię, dużo jednak dzieł w życiu mojem naczytałem się i znam mniejwięcej wszystkie czytelników narowy— jestem pewny, że choć kilku się znajdzie takich, którzy koniecznie będą chcieli wiedzieć, co też ja sobie na list mojej Bezimiennej pomyślałem? Muszę więc zbyć ten kłopot z głowy i przyznać się, że pomyślałem:

— Czy ta dziewczyna żartuje ze mnie, czy nie żartuje?

Dałoby się to może w długie okresy i wnioski rozprowadzić, bo jednakże z cały kwadrans ubijałem się między temi dwoma przypuszczeniami; ale sumą ogólną je oznaczywszy, nie widzę powodu, dla którego miałbym cały regestr liczb składowych wynotowywać. Po kwadransie przekonałem się, że nic innego już nie wymyślę nad listem i wziąłem do czytania powieść.

STARY DWÓR W ŚWIERSZCZOWEJ.

STARY DWÓR W ŚWIERSZCZOWEJ.

ZDARZENIE PRAWDZIWE,

PRZEZ

PEDAGOGA OPOWIADANE.

Kiedy starsi bracia moi przyszli do wieku, w którym dla nich o szkolnej nauce myśleć wypadało, ojciec nasz, sam dotychczas wychowaniem ich kierujący, zaczął się starać o światłego pomocnika w tej mozolnej pracy. Nie szczędził kosztów, ani pilnych zabiegów; wkrótce też znalazł owę najrzadszą w świecie dzisiejszym perłę: prywatnego nauczyciela z odpowiedniem stanowi swemu wykształceniem. Nie był to zaiste mistrz, któremuby rodzice z zamkniętemi oczyma dusze swych dzieci na całą drogę młodzieńczego wieku powierzyć mogli—nie był, właściwie mówiąc, pedagog, jeśli „pedagogami“ nazywamy ludzi wyższą, wpływową obdarzonych potęgą, ludzi, co nie narzucają ani pojęć, ani zdań, ani przywyknień swoich młodszemu pokoleniu, lecz tyle dobrego mają w duszy, iż się niem prawdziwie po bratersku z maluczkimi i wielkimi dzielić umieją—w takiem chrześciańskiem znaczeniu tego greckiego tytułu pan Franciszek nie był wcale pedagogiem; ale w znaczeniu pobieżnem towarzyskiego słownika był jednym z najznakomitszych nawet, bo

był wyborną do uczenia machinką. Lat jego nie umiałabym sprawiedliwie oznaczyć; kiedy przybył do naszego domu, zdawał się już być bardzo starym, a kiedy go teraz niezbyt dawno spotkałam, wydał mi się znów stosunkowo do moich wspomnień takim młodym jeszcze, że najlepiej zrobię, pustym blankietem cyfrę jego wieku oznaczając — wiek to jakiś niezmienny, wiek średni, od dzieciństwa do najpóźniejszej śmierci. Pod innemi względami pan Franciszek mniej wiernie swoję tożsamość zachował: zrobił się trochę zrzędnym i utyskliwym; lecz wówczas nie można mu było tych dwóch przywar zarzucić — lubił wprawdzie długie rozprawy, jak parlament angielski, ale też pełen był różnorodnych wiadomości, jak biblioteka, cierpliwy jak obojętność, jasny w wykładzie swoim jak dwa trójkąty, których wszystkie boki przystają do siebie; w przydatku jeszcze miał pewną dozę bardzo poczciwego serca i, sam o tem nie wiedząc, przywiązywał się zwolna do swoich uczniów, którzy po kilku miesiącach odpłacali mu to wielką uwagą podczas godzin lekcyj, a mnogiemi psotami podczas całej reszty praktycznego życia. Jak większa część naszych uczonych z przedświtowej epoki obecnego stulecia, pan Franciszek wybornie znał matematykę i algebrę, pamiętał masę historycznych szczegółów, z entuzyazmem zajmował się naukami przyrodzonemi, literatura była jego rekreacyą, a filozofią sam sobie tworzył dowolnie. Uśmiechał się znacząco, gdy przed nim o Wolterze mówiono, Lockego z uszanowaniem wspominał, nad Śniadeckim unosił się, jak gdyby mu skrzydła do butów przyprawiono. W swoich pojęciach religijnych był przez wzgląd na obrane powołanie dosyć tajemniczy, nie chciał powagi religii w oczach dzieci osłabiać; dlatego chodził do kościoła, wstawał na Ewangelią, schylał się za każdym razem kiedy dzwoniono, słowem najprzyzwoiciej się wczasie nabożeństwa zachowywał; nieraz nawet w oktawę Bożego Ciała księdza proboszcza pod rękę uroczyście prowadził; lecz gdy ksiądz proboszcz na obiad lub herbatę do dworu przyszedł,

nie mógł biedny pan Franciszek od mimowolnych żarcików się wstrzymać: — „Księżuniu, oj księżuniu! jakoś dzisiaj widziałem ampułki bardzo nierównie nalane: ta z winem była pełna. a tej z wodą większej połowy nie dostawało.“ — „A czemu to księżunio tak prędko odśpiewał „*ite missa est,*“ czy się chciało jeść?“ — i tym podobne koncepciki roiły się na ustach pana Franciszka przy każdem spotkaniu z dość tłustym a rumianym naszym proboszczem. który wszystko. czy w pokorze serca. czy w pokorze rozumu, bardzo wesoło przyjmował i rubasznym śmiechem zatwierdzał. Stryj tylko ujął się czasem za powagą prześladowanego. ze zwykłą sobie łagodnością napomykał niekiedy panu Franciszkowi, że trzeba stan duchowny szanować, aby właśnie przypominać mu ciągle, że i on też sam siebie szanować powinien. Pan Franciszek wtedy występował zazwyczaj z najszumniejszym panegirykiem Chrystyanizmu, a z najstraszliwszym obrazem wszelkich nieszczęść. grożących ludom i rodzinom, które Chrystyanizm z wyobrażeniem duchowieństwa, Ewangelią z księdzem pomieszały — przytaczał Włochy. Hiszpanią. św. inkwizycyą. rzezie św. Bartłomieja, aż stryjaszek przegadany milczenie swoje za wygraną mu dawał i tylko tyle miał mocy charakteru. że sam z raz przyjętej nie dał się sprowadzić drogi.

On jeden w całym domu pokornie zawsze w ramię całował kwitnącego plebana, on jeden wyciągał go na rozmowę o moralnych potrzebach parafian, o prawdach w Słowie Bożem zamkniętych. o przedmiotach mających zawsze z świętością kapłańskiego powołania związek. i z nim też jednym „księżunio“ nie śmiał nigdy ani swojej gosposi. ani swoich praw do propinacyi w narożnej karczmie, ani szczęśliwie wygranej puli ćwikowej wspominać. Pan Franciszek. przeciwnie. chwalił się, że posiada nieograniczone zaufanie swego pasterza i że częściej go słucha spowiedzi, niż od niego słuchanym bywa. Ma się rozumieć. że o tem wszystkiem nie do moich braci i nie do mnie też mówił; ale właśnie że nie do mnie, dlatego najpe-

wniej dziś jeszcze każde jego słowo pamiętam. Wartoby jednak zwrócić uwagę na tę trudną do wytłumaczenia, a wspólną wszystkim prawie dzieciom zdolność ujęcia i zatrzymania tego, co inni sobie z rąk do rąk podają. Zdawaćby się mogło nieraz, że owe istotki żywią się jedynie połykaną przez drugich strawą; żadna z nich nie ugryzie dla siebie nasmarowanej grzaneczki, żadna ust nie umoczy bez skrzywienia w tym napoju, co go umyślnie na jej intencyą według mądrych przepisów i oddzielnych zasad przygotowano — a tymczasem jakieś słówko do cudzego ucha poszepnięte, jakaś nauboczu rozmowa, jakiś mimochodem spotkany obrazek głębiej się w pamięci ryją, niż wszystkie stokrotnie powtarzane wokabuły i daty chronologiczne—żywotniej się w sercu zakorzeniają, niż najstaranniej szczepione płonki pewnych idealików.

Dzięki temu usposobieniu ja także, wśród wielu niepotrzebnych przypomnień, świeżo bardzo zachowałam w pamięci opowiadanie pewnego zdarzenia, które tu właśnie opisać zamyślam. Chciałam je najpierw w cztero-aktowy dramat ułożyć; później zdawało mi się, że treść jego da się przynajmniej na cztery tomy romansu zapomocą metafizycznych i filozoficznych ustępów rozprowadzić; ale wkońcu, gdy mi śpieszniej było trzeba jakąś powieść dla pana wykończyć, postanowiłam rzecz całą nieozdobną z archiwum przeszłości mojej wyciągnąć i taką posłać, jaka niegdyś mi się dostała.

Wieczór to był onego czasu, wieczór długi, adwentowy, deszcz bił jednostajnym pluskiem o zamknięte okiennice, wiatr gwizdał wszystkiemi rurami pieców i kominów. Zdaje mi się, że jeszcze widzę ów pokój, w którym siedzieliśmy razem zgromadzeni. Ściany były na żółto malowane, portretami dziadków i rodziców zawieszone; przy ścianach stały komody i szafki z książkami za szkłem, na środku stół czarny, owalny, z dużą, czerwono lakierowanym daszkiem pokrytą lampą. Po jednej stronie, najbliżej światła lampy, siedziała matka, szyjąc cienką bieliznę; obok

matki dwaj moi bracia przerysowywali sobie na kalkowym papierze różne zwierzęta, ptaki, gady, ryby i owady z wielkiego in-quarto, którego im pan Franciszek pożyczył. Naprzeciwko ojciec ze stryjem partyą szachów kończyli. Pan Franciszek wzdłuż i wszerz się przechadzał, albo piec podpierał, a ja z drugiej strony przy matce na nizkim stołeczku siedząc, trzymałam pończoszkę w ręku i starałam się jaknajmniej przez cały wieczór jej zrobić. Między panami tymczasem rozmowa powoli ożywiać się zaczęła; z czego to poszło i jaką szło koleją? nie mogę już dziś przypomnieć sobie—wiem tylko że stryj powtórzył kilkakrotnie:

— To jest prawdą—to jest rzeczywistością!

Pan Franciszek za każdym razem odpowiadał mu wolnym i dobitnym tonem:

— Nasza wyobraźnia jest tak silną, że dla nas może nawet rzeczywistość stworzyć, tylko dla drugich z takiej rzeczywistości prawdy nie utworzy, i w tem tkwi główna różnica między złudzeniem a poezyą, między zabobonem a talentem.

Ojciec mój, gdy się tamci dobrze już wysprzeczali, z uśmiechem w charakterze pośrednika wystąpił:

— Oba gadacie, jak o żelaznym wilku. Czy widziałeś sam kiedy co nadprzyrodzonego na własne oczy, Krzysztofie? — zapytał najpierw brata swego, który, jako drobiazgowo sumienny człowiek, musiał przyznać, że mu się nigdy nic dość wyraźnie w tym rodzaju nie objawiło.

— Czy mógłbyś przysiądz, panie Franciszku, że nic nigdy innym nie objawiło się także, od biblijnego Abrahama, do rzymskiego Brutusa?

Pan Franciszek, uporniejszy od stryja:

— Mógłbym przysiądz! — zawołał podniesionym głosem—mógłbym przysiądz! Sam osobiście przekonałem się, do jakiego stopnia złudzenie ludzkie dojść może—niech się jeszcze byle przypadkowa okoliczność do sensu złoży, to już słabsze głowy się zawracają. Ot, poco dalej szukać przykładów; ja przecież byłem

świadkiem tak nadzwyczajnego zdarzenia, że wszyscy razem ze mną obecni dziś jeszcze w cudowność jego wierzą, a wszakże tam cudowności nie było większej, nad rozbujaną fantazyą młodego chłopaka i przypadkową znalezioną szkatułkę. Nie wiem, czy państwo kiedy słyszeli o Świerszczowej w Podlaskiem? — I mówiąc te słowa, pan Franciszek przysiadł się do stołu, a mnie z wielką moją radością lampę zasłonił; miałam więc zupełne prawo ręce na kolana opuścić i w tej bezczynności daleko uważniej słowom jego się przysłuchiwać. Gdyby matka zawołała: — Czemu nic nie robisz, Kaziu?—wymówka była już gotową: — Bo mi jest ciemno, moja mamo.—Wtenczas mama kazałaby mi się przesiąść zapewne, ale cobym już odpoczęła, toby moje było; zresztą mogła się też matka nie spostrzedz bardzo długo jeszcze i wistocie tego wieczoru los mi wypadł pomyślny; musiała pewnie tokiem opowiadania nader żywo się zająć, bo nawet o zwykłej godzinie spać mnie nie wysłała i przy rozstaniu mojej biednej pończoszki nie opatrzyła, jak to zwykle bywało. Pan Franciszek zaś, rozsiadłszy się, wygodnie:

— Nasze Podlaskie—mówił — wcale nie dostarcza tła dosyć bogatego cudownym podaniom; ani zamków w ruinach, ani gór z jaskiniami, ani jezior bezdennych! najprozaiczniejsze piaski i błota, najciaśniejsze chłopskie głowy. Jednakże są pewne tak pospolite i tak zwyczajowe tradycye, że wszędzie o coś kolwiek zaczepić się muszą; do tych niewątpliwie należy tradycya o zakopanych skarbach. Zmieniają się pewne okoliczności według usposobień miejscowych. Tutaj skarby mają być w lesie, tam znów są w staw głęboki lub w studnię rzucone, a w Świerszczowej, gdzie szesnasty rok temu nauczycielski mój zawód rozpoczynałem właśnie, skarby te miały być zakopane kędyś w starym dworze, który już od niepamiętnych czasów stał pustkami. Nie było w nim ani jednego muru całego, ani jednej krokwi od dachu: komin tylko osmolony sterczał jeszcze ze środka, a wewnątrz porozbijane ściany o dawnym rozkładzie pomieszkania

świadczyły. Nadzieja znalezienia ukrytego skarbu przodkowała zapewne ostatecznemu zniszczeniu tej nędznej ruinki; szczególniej też drzwi od piwnicy musiały być najpierw wyrwane. Otwór jej, o ile miarkować się dawało, w jednym z pokojów umieszczony, rozdziawiał swoję ciemnię głęboko pod chrusty i krzewy dawnego ogrodu zachodzącą, a tylko wtedy prostemi tarcicami i słomą przykrytym bywał, kiedy do niego na późnej jesieni wykopane kartofle zsypano. Schody zastępowała wysoka drabina, lecz niekształtne, w wielu miejscach ślad umyślnego rozbicia noszące sklepienia, żadnej zresztą tajemnej nie zwiastowały skrytki. W braku czegoś lepszego, loch ten jednakże obrany został za przedmiot bajek miejscowych. Jedni mówili, że w nim któryś z dawniejszych panów zamknął i głodną śmiercią umorzył niewierną kochankę; drudzy, że doń własną matkę strącił, inni jeszcze, że sam się poszedł ze złym duchem naradzać i więcej go już ludzkie oko nie ujrzało; lecz wszyscy na to zgadzali się przynajmniej, iż zbrodnia jakaś w piwnicy popełnioną została i duch zbrodniarza, czy też ofiary jego, ciągle jeszcze pod szkaradną postacią kilkusetletniej ropuchy pokutuje. Gdyby kto skarby znalazł i część ich na ubogich, część na msze święte po kościołach rozdał, umilkłyby słyszane o północy jęki, przestałoby z trzaskiem rzucać gruzy i kamienie, a ropucha wróciłaby zapewne do swojego stanu herpetologicznego, boć to niewygodnie być musi tak spokojnemu gadowi dźwigać w sobie niespokojnego człowieczego ducha. Bądźcobądź, wszystkie owe szczegóły, w mnóstwo dodatków przybrane, wielkie, jak się przekonałem, wrażenie na umyśle mojego ucznia zrobiły.

Kiedy przybyłem do Świerszczowej, chłopak już piętnasty rok kończył; bystry, pojętny, ale przez matkę rozpieszczony, strasznie się w swojej szkolnej nauce zapóźnił. Pani Świerszczowska, z dwojgiem dzieci od lat kilku wdową zostawszy, głównie się oddała kłopotliwemu utrzymaniu dość znacznego majątku. Sama zwykle objeżdżała folwarki, wydawała rozkazy

ekonomom i wszystko żelazną prowadziła ręką; tylko kiedy szło o dzieci, ręka ta nagle miękła, jak wosk rozgrzany. Prawda, że śliczne były, a wziąwszy na uwagę cały systemat ich wychowania, to nawet zadziwiająco dobre i szlachetne stworzenia. Syn Kamil, wysmukły jak trzcina, smagły, cery jak góral tatrzański, nie miał sobie równego we wszystkich gimnastycznych ćwiczeniach: dziarsko się trzymał na najdzikszym koniu, po wszystkich drzewach w ogrodzie pełno go było zawsze; jak dał nurka w Liwcu, niedaleko domu płynącym, to nim się obejrzeć zdążyłem, on mi już czasem o jakie pół staja z wody się wynurzał. Gramatyka i geometrya zato szły bardzo opornie, w pierwszych miesiącach zwłaszcza; ale później wpadły do ręki tylko co ukazujące się na świecie „Ziewonie.“ przyjechał z sąsiedztwa jakiś obywatel nauką swoją znamienity, odwołało się wreszcie do jakiegoś wzniosłego celu w przyszłości, ach! dzielnych ostróg nie brakło mi wtedy! i młoda dusza prędko bardzo zakipiała żądzą wiedzy, współzawodnictwem obywatelstwa i sławy. Siostra Kamila, dziesięcioletnia dziewczynka, zdawała się być stworzoną na pokusę wszystkich matek, ochmistrzyń i nauczycieli. Żywa jak iskra, roztrzepana jak chrabąszcz, sprzeciwna jak mucha, a przytem kochająca, że aż w sercu przy niej cieplej się robiło, rzewna chwilami że aż się nad nią zapłakać chciało, ufna i pełna prostoty, że aż za nią Bogu dziękować i w anioły wierzyć. Monisia jej było na imię. Gdybym mógł sobie jakie widzenie obstalować, tobym w godzinę śmierci chciał widzieć moję Monisię tylko. Moję Monisię, taką samę, jak ją widziałem w Świerszczowej, ze spuszczonemi na ramiona warkoczami, które się z jasnego słońca promieni uplecione być zdawały, i z tą bladawą a świeżą jak wschodząca jutrzenka twarzyczką, i z tym uśmiechem na czysto-koralowych usteczkach i z temi długiemi rzęsami przy ciemniejszych od habru oczach; nawet chcę ją widzieć w tej samej bernardyńsko-orzechowej sukien-

ce, którą na codzień zwykle nosiła, z tą samą niebieską jedwabną chusteczką na szyi.

Pan Franciszek zatrzymał się ze dwie sekundy, nos utarł, zażył tabaki i znów dalej rzecz swoję ciągnął.

— Pani Świerszczowska, jak już nadmieniłem, więcej się oziminą i jarzyną, niż umysłowem wykształceniem swoich dzieci zajmowała, nie dlatego, by jego dobrodziejstwa lekceważyła sobie, ale dlatego, że właśnie zdawało jej się być pierwszym obowiązkiem gospodarnością swoją uprzystępnić dzieciom najpierw nabycie, potem użycie najwykwintniejszej edukacyi. Nim zjechałem do Świerszczowej, już mię ze trzy bony Francuzki wraz z jednym guwernerem Niemcem poprzedzili i teraz dla Monisi oczekiwano prosto z Paryża zamówionej pianistki-mistrzyni. Wszakże to ptactwo przelotne zaledwie w cudzoziemskiem świegotaniu pamięć po sobie zostawić mogło; prawdziwy ster moralnego i rozumowego wychowania utrzymywał się de facto przy starej niańce, bardzo poczciwej, bardzo do dzieci przywiązanej, bardzo z wielu względów rozsądnej, ale też z wielu innych bardzo ograniczonej kobiecie. Muszę jej oddać tę sprawiedliwość, że nigdy na nic złego nie pozwoliła swoim wychowańcom, surowiej niż rodzona matka strzegła prawdy w ich ustach, a mianowicie w sercu; lecz cóż ztąd, kiedy sama po jednej stronie utykała na rozumie. Przesadnie nabożna, łatwo bardzo z tak ślizkiego gościńca w zabobony się osunęła. Uroki, czary i duchy były dla niej tak nieomylną prawdą, jak katechizmowe dogmata. Kamil i Monsia wzrośli pod jej bokiem w atmosferze ciągłej cudowności; zwyczajne rzeczy więcej nieraz ich dziwiły, niż najfantastyczniej sklejona nadzwyczajność. Całe dzieciństwo prawie zeszło im na słuchaniu baśni, które im sama Wojciechowa do snu opowiadała, lub które przy każdej domowej robociźnie wiejskie kobiety plotły sobie nawzajem. Kiedy różne doświadczenia z machinką elektryczną robiłem, Kamil mój klaskał w ręce, Monisi ledwo jej szafirowe oczki na wierzch

nie wyszły; zdumiewali się nad moją uczonością i nad ludzkiego rozumu potęgą, a pewny jestem, żeby oboje najspokojniej patrzyli, gdybym, używszy jakiej kabalistycznej przemowy, oznajmił potem, że im będę z końca nosków iskry wydobywał, albo że im nieparzącym ogniem wszystkie palce u ręki rozświecę. Co było wynikiem prostych sił natury, co zdobyczą geniuszu ludzkiego, to ich zachwycało jako osobliwość i niespodzianka prawdziwa; przeciwnie zaś, nadnaturalnością, zjawiskami nieziemskiemi żyli niby chlebem powszednim. Sen każdonocny niósł dla nich jakąś przestrogę, lub przepowiednię; zwierzę każde miało w sobie pełne mistycyzmu znaczenie, najdrobniejszy wypadek tłumaczył się im w najdziwaczniejsze przystosowania, słowem świat cały wypełnili sobie drugim niewidzialnym światem, zdarzenia krótkiego swego życia powiązali w jakąś niewcieloną, nieistniejącą według czasu historyą.

Trzeba jeszcze państwu wiedzieć, że nie spotkałem też nigdy ani pary gołąbków, ani pary najtkliwszych kochanków, coby się tak serdecznie i zawsze razem trzymali, jak Kamil z Monisią. Gdzie jedno zobaczysz, to tylko popatrz dobrze, wnet i drugiego dojrzysz. Kamil na dachu, Monisia przed domem — Kamil powozi czterokonną furą zboża, Monisia pewno między snopkami siedzi; i nawzajem, Monisia zwołuje kurczątka, Kamil pewno pszenicę w swojej czapce niesie; Monisia kwiatki polewa, Kamil pewno w obu rękach z sadzawki konwie wody dźwiga. A prześlicznie im tak było jednemu przy drugiem, szczególniej kiedy w chwilach spokojniejszego usposobienia, przez pół się uściskiem objąwszy, zaczęli chodzić po ciemnej, z całego ogrodu najdłuższej i najchłodniejszej alei, lub siadłszy sobie gdzie w pokoju, książkę jaką głośno czytali, albo przeglądali obrazki, albo też sami sobie o tem co im na myśl przyszło, gwarzyli. Ot patrzcie, Hieronim kalkuje właśnie ulubionego ptaszka Monisi. Jak jej powiedziałem, że on się rajskim ptaszkiem nazywa i że jest o nim podanie, jakoby wcale nóg nie

mając, od pierwszego wylęgnięcia aż do śmierci w powietrzu ciągle bujać musiał — dziewczynka nacieszyć się z nim nie mogła; ile razy potem książki tej pożyczyłem, zawsze najpierw tego ptaszka szukała, „co to się nigdy ziemi nie dotyka.“

Przyznam się państwu, że jakkolwiek zgorszony byłem niestosownym kierunkiem wyobraźni moich pupilów, a mówię moich pupilów, bo choć głównie do Kamila się zobowiązałem, i Monisi miało się przecież okroić choć kilka godzin na tydzień to historyi, to języka polskiego, jakkolwiek przeto zgorszony byłem taką nierozsądną łatwowiernością, mniej wszelako dawałem na nią baczenia, niżby się godziło może. W pierwszych dniach mego pobytu, kiedy mi się Kamil naiwnie z czemsiś o duszach pokutujących w starym dworze odezwał, wyśmiałem go bez litości, wysmagałem najpocieszniejszemi żartami — była to zaiste broń bardzo silne czyniąca na nim wrażenie; bladł, czerwienił się, łzy mu w oczach stawały; ale potem wkrótce spostrzegłem, że zamiast go poprawić, zraziłem tylko chłopca do siebie. Nigdy już przy mnie o takich rzeczach nie mówił, ale szeptał je siostrze do ucha, lub się z nią pod opiekę Wojciechowej na swobodniejszą o nich gawędkę wynosił. Juścić, myślę sobie, pani Wojciechowa pewnie mię przed dziećmi jako niedowiarka potępi; dzieci nigdy zaufania do słów moich nie nabiorą i cała nauka plewami się rozwieje. Lepiej niech już przy mnie głośno gadają to, co im pocichu w główkach się roi, a poczciwa Wojciechowa lepiej niech mi sprzymierzeńcem, niż antagonistką będzie. W tym celu o pół kroku się cofnąłem i postanowiłem do pierwszej chwili wzajemnej wyrozumiałości się wrócić. Starej niańce podarowałem złoty medalik o sam obraz Matki Boskiej w Częstochowie pocierany, a że jej, gdy go na piersiach powiesiła, zaraz w nocy nieznośny kaszel katarowy ustąpił, nie wiedziała dobra dusza, jak mi już za tę relikwią dziękować. Co do dzieci, to z niemi drogę wytrwałej cierpliwości obrałem. Nie uderzając nigdy prostem zaprzeczeniem w ich

przesądy, słówko po słówku, szczegół po szczególe chciałem pierwej naukowem objaśnieniem podsadzić, a dopiero później w stosownej porze dmuchnąć i całą masę ich czarodziejskich złudzeń na fajerwerk spalić. Tymczasem nie gromiłem ich za najśmieszniejsze dziwactwa, różne tylko nad niemi zbierałem spostrzeżenia, a jeśli okoliczność się nawinęła, to matce jakąś uwagę do ucha wsunąłem.

— Czy też na przykład pani dobrodziejka nie widzi, że Kamil ma wielką skłonność do wierzenia w strachy? Na jego dalsze męzkie wykształcenie może to kiedyś wpływ bardzo niekorzystny wywrzeć.

— A bo co? czy tchórz z chłopca?

— Nie, tego mu wcale zarzucić nie można.

— Cóż więc szkodzi, że wierzy w strachy, które go nie straszą? Ocho! gdyby mi panicz zajęcze miał serduszko, a Monisia gdyby mi jakiemi nerwowemi spazmami groziła, pewnie surowiejbym się wzięła do tej sprawy; lecz powiedz sam, panie Franciszku, czy widziałeś kiedy rozsądniejsze, poczciwsze, odważniejsze i zdrowsze dzieci? Nacóż im się sprzeciwiać!

Ponieważ przeto „strachy“ ani nerwom, ani zdrowiu nie szkodziły, ta zaślepiona kobieta przez szpary na wszystko patrzyła. Prawdę mówiąc, ja sam, daleko mniej wówczas doświadczenia mający, obałamuciłem się trochę uwagami pani Świerszczowskiej. Wistocie, zabobony dlatego mi się nagannemi zdawały, że wśród nich słabła siła woli, miękła odwaga, nikczemniał zwolna umysł człowieka; lecz kiedy tutaj nie okazywały się skutki podobne, czemuż zwalczać nieistniejące niebezpieczeństwo; lepiej o tem myśleć, jakąby korzyść z tego naddatku wyobraźni pedagogicznie wyciągnąć się dało. I myślałem od pewnego czasu, gdy rozwiązanie tego zagadnienia samo prawie nasunęło mi się, w złej czy dobrej chwili, trudno rozsądzić. Nauczyciel górą stanął, ale człowiek gorzkiemi łzami zwycięzką próbę opłacić musiał.

Po skończonych lekcyach Kamil prosił mnie raz koniecznie, żeby z nim iść na polowanie. Słońce ku

zachodowi się przechylało, czas był prześliczny, prawdziwie sierpniowy, co to z upału w miły chłodek przechodzi; nie wiele się przeto namyślając, zarzuciłem fuzyą na plecy i dalej z moim uczniem w drogę. Jeszcześmy u bramy gościńca nie stanęli, już Monisia nas dogoniła.

— A to gdzie panowie uciekają? Bardzo proszę bezemnie nie chodzić!

— Idziemy na polowanie, moja Monisiu, więc sama widzisz, że nam towarzyszyć nie możesz.

— Dlaczego nie mogę? Czy to ja raz już z Kamilem na polowanie chodziłam?

Kamil się rozśmiał serdecznie i widząc lekkie zdziwienie w mojem spojrzeniu:

— Tak, tak, prawdę mówi Monisia—rzekł, zwracając się do mnie — chodziliśmy już na polowanie ze starym Józefem gajowym, a nawet dnia jednego ubiliśmy dwa trznadle.

— Czy Monisia strzelała także?

— Och! nie, to mnie się tylko z fuzyjką gajowego pobawić chciało; ile razy go dojrzałem, że koło naszego ogrodu przechodził, zawsze do niego biegłem, by mi swoją dwururką dał wystrzelić; Monisia wtedy płot przeskakiwała i towarzyszyła mi o parę kroków, chcąc mojej zręczności być świadkiem. To się dziś zowie u niej, żeśmy na polowanie chodzili.

— Na takie polowanie, Monisiu, zawsze będziesz z nami chodziła, przyrzekam ci to uroczyście; lecz dzisiaj wybieramy się daleko, idziemy brodzić po błotach, gdzie pełno żab, wężów, jaszczurek; sama widzisz, że w domu zostać musisz.

— Co nie muszę, to nie muszę — tupnąwszy nóżką, zawołała maleńka despotka. — Kiedy przeszłego roku mogłam ze starym Józefem pójść na pole i patrzeć, jak trznadle mordują, to dzisiaj ja jestem starsza, a pan Franciszek, jeśli nie starszy od Józefa, pewnie daleko rozumniejszy od niego, będzie nas oboje pilnował, nic nam się złego nie stanie. Wszak prawda, ojcze Franciszku?

Wiedziała moja dziesięcioletnia syrena, że mię zawsze tem „ojcze Franciszku“ przekupi. bo to jakiś dziwny akcent kładła na tych wyrazach, niby serdecznego powitania szczerej wiejskiej dziewuchy, niby dziecięcej pieszczoty, niby kobieco-zaczepnego wdzięku.

— A jak się zabłocisz?— spytałem się wpół rozbrojony.

— Och! to zaczekajcie. pójdę się przebrać po myśliwsku, po myśliwsku!... — I ciągle sobie na wszystkie tony wyśpiewując te ostatnie słowa, odbiegła co prędzej do domu, a w kilka minut wróciła już ze skróconą jak na bluzę małego chłopca sukienką. w czarnych pończoszkach, grubych, wysoko zachodzących skórzanych bucikach i w ogromnym kolistym. z prostej słomy uplecionym kapeluszu. Gdyby nie owe długie a promienne warkocze, toby ją zdala wziąć można było za góralskie dziecko, a przynajmniej za wskrzeszonego z rycerskich czasów najpiękniejszej księżniczki pazia.

Wyszliśmy tedy przez wieś nad Liwiec, niebardzo daleko, bo chciałem sił naszej towarzyszki oszczędzać, ale dość daleko przynajmniej, by stracić z oczu wszystkich chałup dachy, a z uszu wszystkich hałasów echa. Białe tylko rozpadliny starego dworu i kilka drzew ocalałych ze starego ogrodu, panując na małem wzniesieniu całej płaszczyźnie okolicznej, strzępiło się trochę po jednej stronie horyzontu, a po drugiej za rzeką, w odległości ledwo dojrzanej, pół pierścieniem zamglonym jakiś las widzieć się, lub raczej odgadywać dawał; zresztą równina otwarta— rzucić wzrokiem, to nieskończoność aż niebem się rozpływa, odetchnąć piersią, to aż coś z nieskończoności i z nieba się czerpie. Ot, wtedy pierwszy raz przyszło mi na myśl, że piękność natury wcale od pewnej umówionej piękności krajobrazów nie zawisła. Kto wie, czy ta właśnie, co się nigdy pędzlem pochwycić nie da, czy ta z powietrza i przestrzeni złożona jedynie, najgłębszych wrażeń duszy nie zostawia? Cóż było nad Liwcem do widzenia? Świeżo pożęte rżyska, skoszone

łąki, wązka i dość błotnista rzeka; a jednak ogarnęła mię dziwna, bezprzyczynna, od ludzi i zdarzeń losu niezależna błogość, uciecha jakaś młoda i czerstwa wprost do serca płynęła. Im mniej przedmiotów nas otacza, tem wierniej wszystkie ich szczegóły na mózgu się odbijają i w przecudownych pryzmach tęczują. Gdyby mi choć na godzinę przedtem powiedziano, że się zachwycę liśćmi wodnego grubieńca, że mię białe kwiateczki ocalonego zpod sierpa rumianku rozrzewnią, a ciche pluskotanie rzeczułki jak podsłuchana tajemnica zaciekawi, byłbym się pewno za boki brał od śmiechu; tymczasem przyszła i moja kolej romansów z naturą. Po stokroć niegdyś widywane przedmioty nagle „zobaczyłem,“ zrozumiałem, uczułem pięknemi. Och! bo piękność jest we wszystkiem, co wyszło z ręki Bożej, tylko nam do jej ujęcia talentu lub też pewnego przysposobienia brakuje. Gdzie góry, skały, wąwozy, potoki, tam wszyscy już wiedzą, że myśl głębiej spromienić trzeba i ducha odpowiednim wrażeniom nastrajają; lecz gdy owych uprzywilejowanych składowych części nie dostaje, tam baczność mniej pilna, zastanowienie się mniej samemu sobie przytomne i tam częstokroć bezświadomie przejętych wpływów źródła nawet nie znamy. Serce drży nam miłością ku ziemi pod naszemi stopami rozesłanej, lecz wyobraźnia jakby nie wiedziała wcale że kochamy każdy jej zagon falujący po niwie, każdą jej morgę odmiennem zbożem zasianą, odmiennym smugiem światła lub cienia pokrytą. Jest nam spokojnie wśród boleści, pogodnie wśród wichrów, ogarniamy czasem wiekuistość jakąś bezbrzeżną wśród najciaśniejszej teraźniejszości chwilek, a nie pamiętamy, ile się na te jasne duchowe błyskawice złożyło i takich uroczystych sierpniowych wieczorów, i takiej gwarnej ciszy na ziemi i takiego pogodnego błękitu na niebie.

Zdaje się, że dzieci także zwolna ulegać zaczęły potęgom niewidzialnym widzialnej natury, bo zaniechawszy skoków i śmiechów, poważnie szły sobie razem ponad brzegami tatarakiem obrosłego Liwca.

Zpoczątku wprawdzie oglądaliśmy się na prawo, na lewo, przystawaliśmy podstępnie, czyhając tylko, żeby nam się jaka zbłąkana ptaszyna ukazała; lecz gdy po długim czasie ani jedna cyranka nie załopotała w trzcinach, ani jeden wróbelek nie przeleciał nam nad głowami, według wszelkiego podobieństwa Kamil tak się tem znudził, jak ja sam, a dość już uszczęśliwiony dźwiganą na haftowanym pasie strzelbą, szedł dalej przed siebie, o polowaniu nie myśląc, szedł dlatego by chodzić, by świeżem powietrzem oddychać, by cieszyć się, że mu dobrze na świecie. Monisia w pierwszych chwilach to przed niego wybiegła, to za nim opóźniła się trochę, ale wkrótce siłą przywyknienia wiedzeni oboje, zrównali kroku i Kamil siostrę objął za szyję, siostra zaś po swojemu jego wpół objęła. Gdy spojrzałem na tę prawdziwie do obrazka wymyśloną grupę, nic a nic się nie rozmarzyłem jej cudną prostotą, tylko mrowie aż po mnie przeszło, bom spostrzegł paluszki nieuważnej dziewczyny tuż przy zamku od fuzyi bielejące; właśnie nawet jakiś kamyczek musiał na drodze Kamilowi zawadzić, bo go nogą mocno potrącił i do wody zepchnął; w tym ruchu fuzya się osunęła, a kurek widocznie rękę Monisi nacisnął. O cóż łatwiej, jak o nieszczęście.

— Kamilu — rzekłem, powstrzymując wszelako mimowolne głosu mego wzruszenie — puść Monisię, niechaj sama idzie.

Chłopiec usłuchał natychmiast, lecz z ciekawością zapytał:

— Dlaczego?

— Oto dlatego — surowiej już odpowiedziałem mu wtedy—bo jesteś nieoględny, jak gdybyś pierwszy raz miał ze strzelbą do czynienia; dźwigasz ją na sobie, a pozwalasz by się Monisia tak trzymała, że za najmniejszem potknięciem okropny mógłby nastąpić wypadek, i sam jeszcze sposobność do tego ułatwiasz, podrzucając kamyki na drodze leżące. Patrz tylko— dodałem, praktycznie objawiając swoję przestrogę — gdybyś tak się przegiął dajmy na to, fuzya takby się

pochyliła, przy nagłym zwrocie kurek opada. Monisia w rękę uderzona chce odskoczyć. a cały nabój głowę lub pierś jej przeszywa. Jedna chwila nieuwagi, jedno oka mgnienie, zabiłbyś siostrę, Kamilu.

Kamil słuchał mię najpierw z jakiemś trwożnem zdziwieniem, potem na ostatnie wyrazy tak zbladł okropnie, że aż mu jego karminowe usta posiniały; nic nie mówiąc, zdjął fuzyą z siebie, odszedł bardzo daleko, wystrzelił ją w powietrze i dopiero wróciwszy do nas, rzucił mi się na szyję.

— Ach! panie Franciszku! — zawołał—jaki pan dobry! jaki pan dobry! jaki pan uważny! toć to prawda że mogłem zabić moję siostrę! — I głos tak mu drżał dziwnie w tym wykrzykniku, jak najchorobliwiej spazmatycznej kobiecie. Jeszcze dziś mię jego wzruszenie mocno zastanawia, ale bo też prawda, że te biedne dzieci tak nadzwyczajnie się kochały!

Po owej małej przerwie zawróciliśmy nakoniec ku domowi; dla odmiany wybraliśmy inną, trochę dłuższą drogę, która nas miała przez zniszczony ogród starego dworu na domowy dziedziniec wyprowadzić. Gawędka się ożywiła, rozpowiadałem dzieciom o światłach fosforycznych, o różnych takich cudach guślarskich, które w rzeczywistości są jedynie cudami najwyższego arcymistrza, natury. Nie robiłem z niczego wyraźnych przystosowań, ale już Monisia sama wpadła na tę uwagę, że jeśli kiedy wśród cmentarza światło latające zobaczy, zaraz się pójdzie przekonać, czy to jest błędny ognik fosforowy, czy jaka pokutująca dusza.

— Och! bo gdyby to dusza była—objaśniała mi w najlepszej wierze podsuniętą wątpliwość—gdyby to dusza była, a jabym przeszła, nie zważając na nią, i wzięła ją tylko za fosfor, toby się biednej strasznie smutno zrobiło i na całą godzinę dłużej w czyścuby została. Godzina! dla nas to prędko przechodzi, ale po wiekach wieków jeszcze jedna dodana, mój Boże, jakże się długą, nieskończoną wydawać musi!

— Bardzo chwalę twój zamiar, Monisiu, że sama chcesz się naocznie o zjawiskach wszelkich przekonywać; chciałbym jednakże wiedzieć — dodałem jeszcze z uśmiechem — jakim sposobem fosfor od duszy czyścowej rozróżnisz?

— Przecież pan powiedziałeś, że fosfor tu i owdzie lata, a właśnie jeśli to będzie nieszczęśliwa duszyczka, to się pewnie przy mnie zatrzyma, jeśli tylko na jej grobie klęknę i pacierz zacznę pobożnie odmawiać.

— No, dobrze — pomyślałem sobie — niech robi doświadczenia; jestem pewny wygranej — ale wtem Kamil wszystko zepsuł nanowo.

— Mnie się zdaje—rzekł on, rozsądniejsze niby czyniąc przełożenie — mnie się zdaje, że jeśli kiedy przejeżdżając lub przechodząc koło cmentarza, światło błąkające się zobaczysz, nie zawsze będziesz miała dosyć czasu na sprawdzenie jego gatunku; lepiej podobno za każdym razem przeżegnać się i na intencyą umarłych westchnąć z głębi serca.

— Masz słuszność, Kamilku, lecz choć raz w życiu chciałabym się sama przekonać. Gdybyśmy poszli kiedy do Mąkacza...

Mąkacz była to wieś parafialna, o pół mili odległa, z kościołem i cmentarzem rozległym.

— Czemu nie?—odezwałem się na to—i owszem, ale wam zapowiadam, że w nocy wyjść musimy.

— W nocy! w nocy! tem lepiej! — przyklasnęły dzieci.

— Ale koniecznie tak się trzeba wyrachować, żeby o samej północy być już na cmentarzu—dowodziła Monisia.

— Byle przed pierwszą się stawić, to dosyć będzie — z rozwagą Kamil jej niecierpliwość miarkował.

— Kiedy ja właśnie najciekawsza jestém, żeby się przy mnie grób jaki roztworzył.

— Oj, ty Ewo maleńka!

I tak ważne tocząc rozprawy, dostaliśmy się dobrze już szarym zmierzchem do starego ogrodu; su-

chy rowek oznaczał jeszcze dawną jego granicę. Kiedy Monisia lekko na drugą przeskakiwała stronę, coś koło jej stopy się ruszyło i w trawie zaszeleściło.

— O, gadzina! gadzina!— krzyknęła z obrzydzeniem.

— Jaka? gdzie? — pytałem jej wesoło.

— Tam — wskazała mi rączką — jeszcze widzę jak się rusza.

— Pewnie żaba—uspokajałem ją poważnie.

— Żaba? nie żaba! — z rozdąsaniem zaprzeczyła mi co żywo. — To gadzina prawdziwa, to wąż, albo żmija.

— Czy być może? wąż! — podchwycił Kamil, i jednym susem już był na miejscu przez siostrę wskazanem, schylił się ostrożnie, popatrzył, trawę dokoła poruszył, aż nagle trafiwszy na pożądany przedmiot, pędem się za nim ku murom dworca puścił.

— A więc — mówiłem tymczasem do pozostałej ze mną dziewczynki—bardziej się lękasz gadziny, niż ducha?

— Czegoż jabym się miała ducha lękać? — odparła, nie patrząc na mnie, lecz z wyraźną niespokojnością Kamila goniąc oczyma.— Piękne pan zrobił porównanie! Gadzina zła, a duch nieszczęśliwy; gadzina mnie może ugryźć, a duchowi ja właśnie pomoc jakąś dać mogę.

Mimowolnie zrobiłem sobie uwagę, że dobre serce tego dziecka ozłacało każde jego choćby najniedorzeczniejsze pojęcie. W chwilkę niedługą znów Kamil przybiegł do nas.

— Jaka ty jeszcze nierozsądna, Monisiu!—rzekł do niej z całą swoją piętnastoletnią surową roztropnością — gdybyś się była dobrze przyjrzała pierwej i zastanowiła trochę, pewniebyś tak nie krzyknęła okropnie i nie spłoszyłabyś najniewinniejszego w świecie stworzenia.

— Co to, to prawda — przyświadczyłem, nie mogąc śmiechu głośnego powstrzymać. — Gdyby każdy pierwej się przypatrzył i zastanowił, toby już potem

nie krzyknął bezwątpienia. Ale wistocie cóż to było, Kamilu?

— Wistocie to nie była gadzina, to był tylko wąż pospolity.

— Smutną dla mnie jest rzeczą, że go do gadów nie liczysz—i westchnąłem niby głęboko.

— Juścić do gadów to pewnie że go liczę — bronił się chłopiec w swej studenckiej próżności zadrażniony — ale gadziną dlatego nie jest: wszak sam pan Franciszek mówiłeś, że u nas tylko żmije są jadowite, właśnie to chciałem Monisi przypomnieć.

Rzeczywiście wyraz „gadzina“ dla młodego rodzeństwa przedstawiał jakieś tylko okropne, bajeczne potwory, żądłami, zębami i pazurami zbrojne. O ile się dało, sprostowałem wyobrażenie zgodniej ze źródłosłowem, ale Kamilowi jeszcze pilniej było sprostować na przyszłość wstrętne uprzedzenie swojej siostrzyczki.

— Węża wcale się bać nie trzeba —tłumaczył jej, dalszą idąc drogą — i pan Franciszek nas uczył tego i od sołtysa słyszałem, że wąż jest przyjacielem człowieka; zwłaszcza też jeśli mu kto umie zaśpiewać, to się jak małe dziecko przywiązuje, a jeśli mu kto mleka świeżego blizko jego kryjówki postawi, to się zawsze odwdzięczy kiedyś, nigdy już krowy nie wyssie w oborze, często na łąkach przeciw szkodliwym żmijom i padalcom obroni. A trzeba ci wiedzieć jeszcze Monisiu, że węże są nadzwyczaj mądre, znają wszystkie własności roślin, wiedzą nawet gdzie ziele wskrzeszające wschodzi, lecz najczęściej tem się człowiekowi przysługują, że go doprowadzają do ukrytych skarbów. Gdybyś nie była krzyknęła, tylko zaśpiewała, kto wie? może ten wąż upodobałby sobie w twoim głosie i przez wdzięczność wskazał ci, gdzie są zakopane owe kosztowności, o których wszyscy wiedzą, a których nikt znaleść nie może.

— To i pokutująca dusza byłaby zbawioną! Och! mój drogi Kamilku, czemużeś ty mi tego pierwej nie

powiedział; ale czy wszystko stracone? czy nie wiesz, gdzie się wąż zaczołgał?

— Zdaje mi się, że widziałem jak mknął między gruzami koło komina leżącemi, dlatego jeszcze bardziej żałuję, żeś go przestraszyła; możeby ztamtąd był wrócił, trzymając w pyszczku jaki sygnet dyamentowy.

— Wiesz co, braciszku, pójdźmy tam oboje; zacznę śpiewać, może dosłyszy, a jeśli nie, to mu jutro mleka przy gruzach postawię. Och! gdyby mi przyniósł ze trzy sznurki pereł prawdziwych! albo lepiej bransoletkę ze szmaragdami, zarazbym ją mamie darowała. Mamaby się tak zdziwiła, a ja, nic nie mówiąc, poszłabym znowu śpiewać, może dostałabym złoty krzyżyk dla Wojciechowej, a jeśli sygnet będzie, to go panu Franciszkowi darujemy, wszak prawda?

I łatwowierna dziewczynina wbiegła między rumowiska odważnie, a dawszy znak ręką, byśmy z Kamilem na dworze zostali, przyklękła koło stosu cegieł kominowych i srebrnym głosikiem wszystkie swoje piosneczki wywodzić zaczęła. Przez futrynę rozbitego okna patrzyłem na nią z lubością. Księżyc, jak gdyby w zmowie z małą czarnoksiężnicą, najjaśniejszemi promieniami sypał się w jej stronę i skrzydła słomianego kapelusza nakształt aureoli koło jej ściągłej twarzyczki posrebrzał. Anim się spostrzegł, jak mi na myśl przyszły wszystkie przez całe życie czytane balady. Spojrzałem na Kamila; stał obok mnie zadumany głęboko, więcej do marzącego artysty, niż do dziecka współczującego dziecinną ciekawość podobny. Wyborny pomysł błyskawicą mi w tej chwili cały szereg pedagogicznych pojęć rozświecił.

Na co tym ślicznym dzieciom wydzierać ich złudzenia? na co kamieniem rozsądku przyciskać żywe źródło bijącej w górę fantazyi? Lepiej niech jej wody kryształowe swobodnie na wierzch się wydobywają, niech uschłą glebę życia orzeźwią i rozzielenią. Wyobraźnia, najpotężniejsza władza ludzkiego umysłu, nie jest przecież tym wilkiem, co go przycinać

trzeba, żeby żywotnych soków drzewa nie odpijał; ona jest współśrodkowym pnia samego konarem, im wyżej rośnie, tem szlachetniejsze owoce wydaje: na nizkościach poziomu zielsko z niej zatrute kłamstwem i nieszczęściami, ale wzgórze, od ziemi daleko, to balsamy poezyi, sztuk pięknych i wynalazków. Wszystko prawie, co w rzeczywistości nędznem i śmiesznem się zdaje, tchnieniem mistrza podniesione, na arcydzieło się zmienia. Taka na przykład klechdami zbałamucona dziewczynka, przy starych cegłach śpiewająca, żeby jej się wąż z klejnotem w pyszczku ukazał, warta jest może surowej swego nauczyciela przygany; lecz niech ją w sztucznym opisie lub malowidle jakiem przedstawią, równie promiennie księżycem odzianą, niech spuszczą do jej kolan te dwa snopy włosów złocistych, niech wydadzą przegięcie jej drobnej postaci, uroczyste i natężone spojrzenie jej oczu szafirowych, niech nawet umieszczą przy niej wtedy zaklętego śpiewem węża, jak tajemniczo na ogonie się wznosi i przed zwyciężającą niewinnego głosu potęgą dań swej uległości składa... toć to prześliczny będzie symbol! A gdyby jeszcze zwaliska murów kwiatami podań stosownych uwieńczyć! No, dalej, nie trzeba marzeń młodocianych rozbijać, ale też nie trzeba dać im ginąć bez śladu.

— Kamilu — rzekłem nagle do mego ucznia — opisz mi dzieje tego starego dworu i tych zaginionych skarbów, o których dzisiaj tylko milczące węże wiedzieć mają prawo.

Chłopiec niespokojnie spojrzał mi w oczy, bo strasznie stylowych wypracowań nie lubił, nim jednak podług zwyczaju swego targować się ze mną zaczął, Monisia niedośpiewaną piosnkę przerwała i wyszła do nas, grożąc mi swoim paluszkiem w powietrzu. Nie poczuwałem się do winy, zdziwiła mię też jej groźba.

— Oj! panie Franciszku, panie Franciszku! — rzekła nareszcie—jaki z pana gawęda! W stanowczej chwili przeszkodziłeś wszystkiemu; już się coś rusza-

ło pośród wapna, gruzołek maleńki osunął się nawet, a wtem pan głośno mówić zacząłeś i znów cicho. Węże nie lubią pana głosu — dodała z pewnym przyciskiem stanowczej przestrogi.

— Nie gniewaj się, Monisiu, będę o tem na drugi raz pamiętał—odpowiedziałem żartobliwie, do zgody rękę jej podając.

— Na drugi raz my pana z sobą nie weźmiemy— po królewsku zawyrokowała dziewczynka.

— A jak bardzo poproszę?

— Żebyś pan nie prosił, to my pierwej prosić zaczniemy i będziesz nas pan musiał samych we dwoje puścić.

Któż mógł przewidzieć wtedy, że te ze śmiechem rzucone słowa miały w najokropniejszem kiedyś urzeczywistnić się nieszczęściu?

Stary dwór, tuż przy dziedzińcu nowego stojący, nie był nigdy żadnych ostrożności ani zakazów przedmiotem. W różnych dnia godzinach, od lat najmłodszych dzieci biegały sobie wśród pustek i bawiły się rozrzuconemi tu i owdzie cegłami. Kamil się na nich budownictwa uczył, a Monisia zawsze dopomagała mu w tej ważnej pracy i wiernie się dziwiła jego architektonicznym pomysłom. Gdyby więc rodzona matka przytomną była owemu zapowiedzeniu samowtórnych odwiedzin, pewny jestem że toby jej uwagi nie zwróciło na siebie, i mnie też nie obeszło wcale. Więcej daleko zaniepokoiłem się, gdy mię w nocy krzyk Kamila obudził:

— Nie zabiłem mojej siostry!—wołał raz po raz gwałtownym, a ciężkim jak zpod wieka trumny głosem. W pierwszem wrażeniu dreszcz mię przeszedł na te słowa; zaraz jednak bardzo przytomnie stanęło mi przed oczyma wieczorne z fuzyą zdarzenie, widziałem prócz tego księżyc śpiącemu prosto w oczy świecący, zrozumiałem co się dzieje — obudziłem Kamila, zamknąłem okiennice i aż do rana spaliśmy już potem wybornie.

Nazajutrz Kamil był jednak trochę mizerny, małomówiący, a kiedy Monisia chciała go na przechadzkę do żeńców wyciągnąć, odmówił jej. bo. jak się tłumaczył, dużo miał pisać na jutrzejsze wypracowanie. Posądziłem go zrazu o brak uczynnej chęci, lecz dowiódł, że tak nie było, gdyż wkrótce siadł do stolika i bardzo pilnie po całym arkuszu pióro jego suwać się zaczęło. Wołano go do podwieczorku, do kolacyi—chłopiec ani się ruszył. Ja sobie przed dom wyszedłem, gawędziłem z jego matką, swarzyłem się z Monisią; Kamil raz tylko wyjrzał na nas okienkiem i znów wrócił do swego zajęcia. Aż mi serce rosło, widząc tak dobry skutek pierwszej próby. Kiedym spać przyszedł około może jedenastej godziny, Kamil pisał jeszcze. Nie mogłem się napatrzeć i nabłogosławić tego zapału, który w całej jego twarzy promienił. Każda myśl stawała się rzeczywistą chwilą jego życia—czasem pióro zatrzymał, patrzył przed siebie, jakby na wcielone istoty, na rozwijające się w prawdzie swojej zdarzenia i czyny. Białe jego czoło chmurą smutku się powlekało, brwi mocno odznaczone to boleśnie, to gniewnie razporaz się ściągały, żyły na skroniach wydatniej krwią nabiegły, przez chwilę nawet zdawało mi się, że oczy łzami połyskują; przy końcu jeszcze śpieszniej kilka wierszy nakreślił, oderwał rękę od papieru, wzniósł ją do góry—niby z rozpaczą, niby z oburzeniem pióro na ziemię cisnął, a gdym się tego najmniej spodziewał, mój młody autor powstał, wyprostował się i nagle jednym rzutem padł na oba kolana. Świeczka, jakby dla lepszego efektu, syknęła w tejże chwili przeraźliwem syknięciem, bo knot jej resztką roztopionej tłustości się zalał. Patrzyłem na to wszystko dosyć spokojnie, cały czas nawet śpiącego udając, lecz gdy już zmiarkowałem, że Kamil powinien był swoje wieczorne pacierze odmówić, a nic mi jeszcze żadnym szelestem poruszenia jego nie zwiastowało, uniosłem się z poduszki, spojrzałem uważniej. Widzę, że chłopiec klęczy ciągle jak posąg; majaczące przez szpary okiennicy światło

daje mi tylko rozpoznać jego głowę na krawędzi stołu opartą i ręce bezwładnie ku ziemi obwisłe. Zrywam się coprędzej, podnoszę go, próbuje na nogach postawić... całe ciało automatycznie w objęciu mi się przewiesza, głowa kamiennym ciężarem na piersi moje opada. Co się wtedy ze mną działo, to chyba ja sam wiedzieć mogę. Przykładam rękę do piersi—ręka drży mi tak mocno, że niepodobna rozeznać, czy pod nią moje pulsa uderzają, czy jego serce bije?—nareszcie czuję ruch wolny, jednostajny... więc to serce! Nachylam ucha ku twarzy—oddech spokojny także, czysty, równiuteńki... Duch we mnie wstąpił—ożyłem. Kamil, poprostu zmęczony pierwszą swoją własnotwórczą pracą, usnął tak twardo i prędko, a ja myślałem, że w najlepszym razie zemdlał przynajmniej, bo co w najgorszym, to się przyznam państwu, że mi się o katalepsyi roić zaczynało. Gdym się przekonał, jak płonną była moja trwoga, rozebrałem go ostrożnie, położyłem w łóżko, niby niańka trzyletnie dziecko, i niebawem, pomimo ostatków przykrego jeszcze wzruszenia, sam za jego przykładem w głębokim śnie się pogrążyłem.

Nazajutrz przy ubieraniu żartowałem z Kamila i ze strachu, jakiego mi w nocy napędził. Chłopiec niczego już nie pamiętał, owszem, zdawało mu się, że wkrótce potem, jak przysłanej sobie kolacyi odmówił, senność go zjęła nieprzezwyciężona, miał silną wolę obudzić się znowu i dalej pisać, ale czy tak zrobił, czy nie, o tem już wyraźnego nie zachował wspomnienia. Domyślacie się państwo, że mi pilno było przeczytać owę historyą z takim zapałem w moich oczach tworzoną, a tworzoną przez sen prawie. Przeczytałem i zdziwiła mnie więcej nawet, niż gdyby podług wszelkich zasad sztuki ułożoną została. Proszę sobie wyobrazić kawał mozajki przed zeszlifowaniem. Powierzchnia cała ciemna, chropawa, zamierzonego rysunku nikt tam na pierwszy rzut oka nie rozpozna; lecz gdy się bliżej przypatrzy, odgadnie plan jakiś śmiały i ciągły, dowidzi nawet bardzo kosztownych

kamyczków gatunki. Tak też w wypracowaniu Kamila były miejsca napozór żadnego z sobą niemające związku, były nasadzone jak w masę mozajkową klejnoty wyrazów, bez jubilerskiej stylu łączności; ale wszystko to razem tworzyło pięknie pomyślaną całość i wprawniejszemu autorowi mogło wątku na zajmujące dziełko dostarczyć. W niektórych zwłaszcza ustępach, szorstkość zewnętrzna, jak gdyby przypadkowem strąceniem wygładzona, przebijała tu i owdzie całem bogactwem rzetelnej swojej wartości. Gdybym chciał państwu własnemi słowami rzecz tę opowiedzieć, możebyście mnie posądzili, że trochę ozdób sam z siebie przydaję; na szczęście mam to wypracowanie między innemi pamiątkami z tej epoki. Zaczekajcie chwileczkę, wnet je wam przyniosę.

Chwileczka trwała dość długo. Ojciec ze stryjem przeprowadzili zapewne ważną bardzo o wychowaniu dzieci rozprawę, lecz z tej rozprawy nic mi do pamięci nie przybyło, bo cała dusza moja za panem Franciszkiem uciekła. Nakoniec wrócił oczekiwany, trzymał w ręku kilka arkuszy zapisanego papieru, prócz tego zwitek jakiś trochę pożółkłego welinu, trochę wypłowiałą błękitną wstążeczką obwiązany. Słyszeliśmy jak za drzwiami jeszcze pan Franciszek głośniej niżeli zwykle nos ucierał, teraz przy stole siadłszy, znów włożył okulary, lecz musiało coś szkiełka zaćmić, bo zdjął włożone, rękawem od surduta starannie wyczyścił, parę razy chrząknął i dopiero po jakiejś chwili zaczął arkusze przeglądać.

— Już to wszystkiego nie warto państwu czytać — rzekł nakoniec trochę jeszcze drżącym głosem, może od śpiesznego po schodach przejścia, może od zbudzonych w głębi duszy wspomnień.—Mój Kamil, na wzór wszystkich początkujących autorów, pisał w samych oderwanych obrazach, a najczęściej teraźniejszego czasu używał.

Pierwszy obrazek przedstawiał sypialną komnatę starosty liwskiego w dzisiejszym starym, a ówczesnym jeszcze nowym, bo przez samegoż starostę przed

kilkoma laty wzniesionym dworcu. Niema ładu w opisie, uderzyły mię jednak niektóre wcale trafnie pochwycone szczegóły. „Wielkie łoże za czerwoną kotarą, nad łóżem zboku Matki Boskiej obrazek, przy obrazku różaniec z czarnemi i złotemi ziarnami, pod różańcem karabela kosztowna. W głowach łóżka na ścianie, między kotarą i ogromnym kominem, wisiał czarny hebanowy krzyż z wizerunkiem konającego Chrystusa. Cały Chrystus przez pół naturalnej wielkości wyrobiony był z kości słoniowej, miał z czystego srebra cierniową koronę, a krople krwi spadającej prawdziwemi rubinami wysadzone.“ Zkąd chłopcu wyobrażenie takiego krzyża do głowy przyszło, sam nie wiem, ale wiem, że zupełnie podobny widziałem później trochę w zbiorze pamiątek jednej ze znakomitych historycznych rodzin naszego kraju. Było jeszcze w sypialni okno zakratowane, był ogień na kominie, były krzesła z poręczami, a w głębi galeryjką misterną otoczone było wejście do owej piwnicy, w której starosta najlepsze swoje wina przechowywał i od której też zawsze klucz przy sobie nosił. Samego starostę Kamil nadzwyczaj szczegółowo opisał; zrobiłem mu uwagę, że taki opis mniej potrzebny, a w stosunku rozmiarów powieściowych o wiele zadługim był nawet—lecz odpowiedział mi wtedy, iż chciał się zastosować do mojej rady i umieścić w swojem wypracowaniu wszystko, co mu na myśl przyszło; ten starosta przyszedł właśnie i żywcem prawie przed oczyma mu stanął.

Przebiegłszy okiem pierwszy arkusz, pan Franciszek czytać nam zaczął, a potem własne skrócenia tak mieszał z wyjątkami, że trudno było rozpoznać, gdzie się jedne, a gdzie drugie kończyły:

„W krześle naprzeciw komina siedzi starzec, już przeszło siedmdziesiąt lat mający. Głowę jego wysoko podgoloną okrywa czerwona aksamitna czapka, z sobolowem obłożeniem, zpod czapki za uszami wysuwają się kosmyki siwych, lub raczej szpakowatych włosów. Czoło o ile można dowidzieć szerokie,

otwarte, wyraźniej w poprzecz niż w podłużne zmarszczkami urysowane; pod czołem brwi gęste i spuściste tegoż co włosy koloru; pod brwiami oczy duże, znać kiedyś jak niebo niebieskie, ale teraz pożółkłe wypłowiałe, tylko w samych źrenicach zatrzymały promień dawnego blasku: gdy czasem spojrzą serdecznie, albo przenikliwie, to się dusza raduje, lub drżą wszystkie żyły; nos także stracił dawną prostą swoję formę, wyciągnął się nadmiarę, ale nozdrza szeroko są rozwarte; ust nie widać, bo je zacienia wąs jak mleko biały, na obie strony aż za policzki spadający; skóra jednak całej twarzy tak się ułożyła, jak gdyby ciągle łagodny uśmiech z nią razem się zestarzał. Starosta jest bardzo wysokiego wzrostu, chudy, kościsty, musiał być kiedyś zadziwiającej siły; dziś jeszcze, choć go zmartwienie od lat wielu nęka, choć kilkomiesięczna słabość w tej komnacie go zatrzymuje, nie chce się poddać niedołęztwu choroby—siedzi przed ogniem na wygodnem krześle, ubiór swój codzienny nosi; szyja, na której wszystkie ściągacze rozpoznać można, wysuwa się zeschła i opalona, nic jej nie okrywa, bo nawet kołnierz koszuli, zbyt już szeroki, opuścił się znacznie i poniżej obojczyka świeci krwawnikiem w złoto oprawnej zapinki. Żupan długi, ciemno-zielony, astrachańskiemi barankami podbity, niewszędzie także przystaje do członków starosty; pas z żółtego jedwabiu srebrnemi nitkami przetykany ledwo się trzyma na biodrach, a gdy się poły żupana rozsuną, zgarnia je troskliwie wychudła ręka, na której wskazującym palcu wielki herbowy pierścień się kręci. Ciepło w komnacie i sutym ogniem smolne szczapy goreją, ale starcowi coraz zimniej, bo życie zastyga — i starzec czuje, że się zbliża chwila jego ostatnia, goręcej niż kiedykolwiek odmawia swoje wieczorne modlitwy; już koronkę i wszystkie pacierze odmówił, a jeszcze trzyma ręce złożone, jeszcze w ukrzyżowanego Chrystusa spogląda. Nakoniec przeżegnał się zwolna, zastukał w boczną ścianę stojącą przy krześle laską, a gdy wszedł sługa:

— Niech tu dzieci—rzekł—przyjdą do mnie.

I wszedł najpierw syn Floryan, już w sile wieku mężczyzna — mówił dalej z pamięci znowu pan Franciszek.— Floryan zupełnie podobny do ojca wzrostem, siłą żelazną, kamiennym spokojem oblicza, ale niepodobny ową pogodą dobrotliwego uśmiechu, ową miękkością poczciwego serca. Żelazo ojcowskiej organizacyi w stal się zahartowało pod zimną wodą dalekich wobce kraje podróży i długiego na Litwie u możnych krewnych pobytu. Floryan znakomite już w obywatelstwie piastuje urzędy, ale ma dziesięć razy wyżej sięgającą ambicyą. — Za tym dumnym człowiekiem ukazuje się dopiero siostra jego Beata, śliczna ośmnastoletnia dziewczyna, w której Kamil słowo w słowo Monisię, tylko trochę wyższą, odmalował. — Kiedy dzieci ojca w rękę całują, starosta krzyżem znaczy czoło Floryana, a głowę córki trochę do piersi swoich przyciska. Syn mimowoli brwi marszczy na ten dowód tkliwszego przywiązania, lecz ojciec, napominając, tłumaczy się zarazem:

— Z ośmiorga dzieci tylko ciebie najstarszego, a ją najmłodszą Bóg mi zostawić raczył. Ty w świat między ludzi pójść musiałeś, ona przy mnie została; twemu dzieciństwu ani pieszczot, ani wygódek, ani uciech nie brakło; ona, biedaczka, w kolebce jeszcze matki pozbawiona, mnie tylko strapionego opiekunem miała i wśród mojej żałoby, jak kwiatek na cmentarzu samotnie wyrosła. Alboż jej się nie należy odpłacić i tego co straciła, i tego co później dała starości mojej w ciągłem doglądaniu, w pociechach dnia każdego? Nie gorsz się słabością swego ojca, Floryanie, ale sam raczej bądź ojcem dla tej naszej sierotki najmilszej — bo oto czas nadchodzi i blizkim już dzień, w którym nie będzie miała innego wsparcia na świecie, innej w tych zawichrzeniach krajowych obrony.

Floryan przyrzeka wtedy, że sumiennie dopełni włożonego nań obowiązku. Nikt mu przecież zarzucić nie może, aby kiedykolwiek w czemkolwiek powinnościom swoim uchybił. Ojciec względem losu Beaty

zupełnie spokojnym być może. A tymczasem Beata nic nie mówi, tylko przy ojcu klęczy. na kolanach jego złotowłosą główkę tuli i płacze rzewnemi łzami. Po długiej chwili milczenia, starosta zbiera siły, powiada dzieciom dlaczego ich przywołać kazał, ostatnie swoje majątkowe rozporządzenia im daje, a nakoniec wyjawia, że kosztowności po ich matce pozostałe i wszelkie pieniądze, które sam własną pracą zebrał na wiano dla Beaty, znajdują się ukryte w tajemnym lochu, obok głównego sklepienia wydrążonym. Sam już nie może im na miejsce towarzyszyć, ale objaśnia, pod którym schodem umieszczona zasuwka, powiada co robić trzeba, żeby się drzwi niewidzialne w murze rozstąpiły, i zaraz przy sobie obojgu dzieciom do skarbca zejść rozkazuje. Skarbiec ten, było to mniejsze trochę od celi klasztornej ukrycie; stały w nim rzędem puhary złociste, koło puharów talerze, półmiski i innych srebrnych naczyń stosy, a w głębi duża, pełna złota i kosztowności różnych szkatuła. Beata zatrzymuje się na progu ciemnej komory. Brat jej szybkim krokiem zbliża się natychmiast do szkatuły, uchyla wieka, zanurza rękę w pieniądzach i przez chwilę bawić się zdaje ich metalicznym dźwiękiem. Później starosta wymawia trochę Beacie, że nawet okiem rzucić nie chciała na swoje dziedzictwo.

— Mój kochany ojczuniu — odpowiada mu na to młoda dziewczyna — chyba straszna śmierćby mi groziła, tobym weszła do tej pieczary; ale z dobrej woli, to nigdy, żebyście tam dla mnie i dwa razy tyle bogactw nasypali.

— A cóż cię tak straszy, moja dzieweczko? Zkądże ci bojaźni tyle, jak gdybyś nie w karmazynach, nie przy starej szablicy się wychowała?

— Ja sama nie wiem, ojczuniu — ot, w życiu całem nie pamiętam takiego zimna, jak owo co na mnie ztamtąd uderzyło, i ciemnicy takiej nie wyobrażałam sobie—gorsza od grobu, miły ojcze.

— Grób przecież nie zimny i nie ciemny, patrzę

w niego tuż, i jasno moim oczom, bo miłosierdzie Boże po drugiej stronie siedzi.

— Więc ta jama zdawała mi się podobną do grobu bez miłosierdzia Bożego, zdawała mi się szkaradną, okropną, jak gdyby z niej wyzierała ino ta ciężka żałoba, którą mi grozisz codziennie, ojczuniu!

— Toć żałoba nawet nie jest wiecznem rozstaniem—mówił starosta, przygarniając do piersi wdzięczną swoję Beatę, a Beata płakała ciągle; a Floryan stał przy kominie milczący, zadumany, a kiedy ojciec z córką długo jeszcze to o śmierci, to o Panu Bogu w niebie, to o zmarłej matce mówili, on raz się odezwał tylko:

— Powiedzieliście, ojcze, że wszystko co jest w skarbcu, ma być wianem Beaty; wszakże tak powiedzieliście? wszystko?

— Tak powiedziałem, Floryanie: tobie ziemia, jej pieniądze. — Floryan znów zamilkł aż do chwili odejścia.

Nazajutrz był to właśnie dzień pierwszy wielkiego tygodnia. Floryan, Beata, domownicy wszyscy, sakramentem pokuty oczyszczeni, przystępowali do stołu Pańskiego i starosta pomocy religijnej na długą, daleką drogę przyszłego żywota zażądał. W uroczystym smutku zgromadzono się do komnaty, w której przybyły pleban ostatniego namaszczenia coraz więcej słabnącemu staroście udzielał. Chory miał jeszcze siłę w pokorze paść na kolana przed ciałem Zbawcy swojego, ale choć twarz mu się ożywiła radością nieziemskiej nadziei, widać było, że tylko duch się uweselił i wzmocnił, a ziemia ciągle o swoje dopominała się prawa. Nawpół omdlałego syn ledwo przy pomocy Beaty i kilku sług podnieść zdołał; starosta wszakże nie pozwolił, by go napowrót do łóżka zawiedli. Kazał się w krześle przed ogniem posadzić, kazał synowi i córce klęknąć u nóg swoich, ręce wsparł na ich głowach pochylonych, cichemi słowy modlił się przez chwilę, potem coraz głośniejsza modlitwa w coraz wyraźniejsze przechodziła błogosławieństwo, aż wreszcie

głos nabrał zwykłej pełności swojej—za błogosławieństwem szły przestrogi, rady i napomnienia, głos coraz potężniał, jędrniał i wznosił się, nakoniec doszedł jakiejś niepojętej wybitności i mocy. Słowa z ust konających padały niby wyroki, niby groźby zarazem.

— A kiedy wszystkich obywatelskich dopełnisz powinności, pamiętaj coś winien rodzinie swojej, Floryanie—mówił ojciec — pamiętaj, że masz być siostry twojej opiekunem i obrońcą. Tak niech ci Bóg w Trójcy Przenajświętszej jedyny dopomaga! Ty, Beato, szanuj brata twego i bądź mu, jak mnie byłaś, zawsze serdeczną a posłuszną. Gdyby jedno drugiemu krzywdy pragnąć miało, o, to wyrodne takie dziecko zapozywam przed tron najwyższych i wszechmocnych sądów Pańskich. — Nagle donośniejszym jeszcze głosem krzyknął:—Floryanie! o Floryanie!—rękę na głowie syna trzymaną oderwał, widać było, że jakaś myśl straszna trapić go zaczyna, chciał dalej mówić, język zdrętwiał, wargi gwałtownie się jeszcze kilka razy poruszyły, ale to miało być już ostatnie ich słowo; oczy kołem stanęły, dłoń podniesiona zadrżała w powietrzu, lecz i ta dłoń na głowę Beaty się osunęła; wkrótce ciało głębiej w poręcze krzesła zapadło. Starosta żyć przestał.“

Wszak prawda, moi państwo, że jakkolwiek cały ten zarys mało rozwinięty i w wielu miejscach chropawy, na wypracowanie piętnastoletniego chłopca bardzo już wiele obiecuje? W drugim obrazku znalazłem prawdziwą dla siebie niespodziankę.

Zaraz po ojcowskim pogrzebie, Floryan zmusza opierającą się Beatę, żeby z nim razem do tajemnego skarbca poszła. W jej obecności liczy pieniądze, klejnoty i srebra według sprawiedliwej wartości ocenia. Młoda dziewczyna nie zwraca uwagi na cyfry przez brata podawane, tylko ciągle myśli o tem, że jej dziedzictwo, jej bogactwa wszystkie są żałoby i sieroctwa pamiątką. Dyamenty sygnetów na ojca palcach widywała, w perłach z kosztowną spinką jest na portrecie jej nieboszczka matka przedstawioną, i tak każdy

nabytek zaraz jej poniesione straty przypomina, coraz też głębiej, coraz tęskniej zadumana, chwilę własnego zgonu jako pociechę wyobraża sobie.

— Floryanie — odzywa się nakoniec w dalszym ciągu snujących się jej myśli — i mnie odejść będzie trzeba tych wszystkich cudności, i mnie sierotę Bóg do rodziców weźmie.

Floryan aż zadrżał i pobladł; długo patrzy w twarz siostry, chciałby jej najskrytsze wrażenia w przelocie pochwycić, lecz twarz Beaty spokojna, bo Beata żadnych wrażeń do ukrycia nie ma i żadnych także w jego sercu się nie lęka. Staroście nachmurzył się okropnie.

— Beato, nie mów o śmierci—surowym, prawie pogardliwym odpowiada jej głosem.

— Mój bracie, ja o niej ciągle myślę—znów swoje powtarza Beata, wznosząc na niego czyste jak niebo, ufne jak gołąbka spojrzenie.—Smutno mi za ojcem i za matką, której nie znałam; z radościąbym oddała całe wiano moje, żeby się tylko z nimi jak najprędzej połączyć.

— Beato, nie mów o śmierci!—jeszcze gniewniej woła na nią dumny starościc, bo on tylko wie, jaka siła pokuszenia w tych słowach brzmi dla jego uszu, ale siostra, zkądżeby ona wiedzieć mogła? Nie zważając też na przestrogę:

— Jak umrę—ciągnie dalej—tobie, miły Floryanie, część moja przypadnie, ty jej na chwałę Bożą snadniej jeszcze użyjesz, niż ja, tak młoda a niedoświadczona dzieweczka. Pamiętaj ino...

— Nie mów o śmierci, Beato! — przerywa jej z wyraźniejszą niż pierwej gwałtownością, a potem, spostrzegając zadziwiony jej przestrach, miarkuje się i wolniejszemi kończy słowy: — Pójdziesz za mąż, będziesz miała dzieci, to dzieciom swoim zostawisz, coś z woli ojcowskiej wzięła.

Lekki uśmiech przesuwa się po licach Beaty.

— Ej! co ty mówisz, Floryanie; jeszcze moje

zamęźcie bardzo niepewne i dalekie, a śmierć na każdą chwilę blizka człowiekowi.

Floryan brzęknął niecierpliwie odrachowanym właśnie przez siebie worem pieniędzy, chciał może zagłuszyć słowa siostry, lecz ten brzęk rozdrażnił go jeszcze. Znów zaczął liczyć głośno; próbował, czy machinalne liczb wymawianie nie zapanuje nad jakąś szatańską myślą, co go w serce gryzła, lecz i to nie pomogło. Przerwał rachunek, obtarł czoło i słowo po słowie zaczął z głębi piersi wyrzucać, jak gdyby chciał się przeświadczyć, ażali w brzmieniu swojem tożsamo będą miały, co i w ciszy ducha jego znaczenie.

— Może niejeden brat na mojem miejscu pożądałby uiszczenia twoich przepowiedni; znalazłby się i taki, coby siostrę zabił dla ogarnięcia jej majątku... Nie, nie—silnie wstrząsając głową, dodał po króciutkiej przerwie;—ja tego nie zrobię, bo mnie powinność i wola ojca świętemi. Mógłbym z łatwością może dowieść i tobie i prawnikom, że suma ogólna tutaj zamknięta przewyższa nawet to, co się mnie w dobrach nieruchomych dostało, lecz rodzic powiedział: „wszystko będzie dla Beaty“ i wszystko będzie Beacie oddane. Niemcy, Francuzi — mówił zwolna, trochę jednakże spokojniejszym głosem — wszystkie prawie najoświeceńsze europejskie ludy inne mają co do dziedzictwa ustawy. Tam zawsze w szlachetnych rodach syn po ojcu obejmuje całą nierozdzielną naddziadów puściznę. Dlatego też są tam nazwiska zabezpieczone przeciw losu igraszkom. Męzkie ramię użyteczniejsze zaiste bywa przy mieczu, niż kobieca ręka przy kądzieli. Syn, dziedzic jedyny, coraz wyżej posuwa się w świecie, i senatorskie krzesło i hetmańska buława dla niego być może. Wkrótce wielkie imię, rozległe stosunki córkom za wiano starczą. Och! bezwątpienia mądrze to u sąsiadów obmyślane prawo. Są i w Polsce naszej między panami przykłady; ale ojciec chciał inaczej; oddam do złamanego szeląga część siostrze przypadającą; nie chcę być krzywdziciel-

lem własnego rodu. Tak niech mi Bóg w Przenajświętszej Trójcy jedyny dopomoże. — I od tego czasu Floryan za każdą sposobnością, przed każdym znajomym powtarza: „Oddam do złamanego szeląga część siostrze przypadającą, tak niech mi Bóg w Przenajświętszej Trójcy jedyny dopomoże.“

Otóż, widzicie państwo, mnie się zdawało, że zwyczajnym spadkiem tego rodzaju legend chciwy brat zamorduje swoję siostrę, żeby sobie jej wiano przywłaszczyć; Kamil daleko lepiej tę rzecz przeprowadził. Jego Floryan jest rzetelnym jak astronomiczny rachunek człowiekiem; z doskonałej strony jest pochwycona walka zatrutego serca z pamięciową niejako obowiązkowością. Rozporządzenie ojcowskie uszanowane w czynie, zaprzeczone w duchu. Snuje się dalej kilka jeszcze drobniejszych wypadków. Beata w mocną zapada słabość. Brat przywołuje doktorów, śledzi z niespokojnością wszystkie przejścia niebezpiecznej gorączki, a gdy mu zwiastują wybawcze przesilenie, zakrywa twarz rękoma, żeby nikt z obecnych nie domyślił się z jej wyrazu, jakie na nim wrażenie wieść odebrana zrobiła; śród kilku słów jego niezrozumiale wyjąkanych słychać tylko, że tak mu Bóg w Przenajświętszej Trójcy dopomoże.

Zjawiają się nakoniec i swaty z sąsiedztwa. Młodemu zalotnikowi Floryan coprędzej opowiada, jaka jest suma ogólna posagu, ile jej będzie w brzęczącej monecie, ile w innych kosztownościach; choć bez testamentu wszystko na jego dobrej wierze polega, choć mógłby sarknąć trochę na mniej sprawiedliwy podział, on wszakże siostry nigdy ukrzywdzić nie pragnął, on jej odda wszystko do złamanego szeląga: „tak niech mi Bóg w Przenajświętszej Trójcy jedyny dopomoże.“

Zdaje się, że o ile danem jest człowiekowi przeciw złemu uczynkowi na zewnątrz wszystkie swoje ubezpieczyć ścieżki, o tyle już przed ludźmi zabezpieczył je staroście. Niepodobna mu później będzie cofnąć się w wypełnieniu tak jawnie głoszonych zamiarów, zmienić choć jednę cyfrę w podawanym przez

siebie samego rachunku. Jest zatem pewny, że dotrzymuje danego ojcu słowa, jest spokojny nawet w sumieniu swojem, bo ma niezłomne przekonanie, że wypełnił ściśle swój obowiązek — ale dno serca? ale prawda uczucia? Cha! tam z dniem każdym wzrasta śmiertelna dla Beaty nienawiść. O czem zamarzy na własną przyszłość, to mu się zawsze niepodobnem do osiągnięcia zdaje bez tej drugiej majątku połowy, którą siostrze oddać musi; czego zapragnie, na to wiecznie owych pieniędzy z zamurowanej szkatuły potrzeba. Gdyby mu Beata na przeszkodzie nie stała, zgłosiłby się po córkę jakiego wojewody, kupiłby klucz cały liwskiemu starostwu przyległy, na sejmiku otrzymałby głosy całego powiatu. Wsparłby silnie Lubomirskiego, przyprowadziłby cały swym kosztem zbrojny hufiec Czarnieckiemu, świeciłyby się jego czyny i zasługi w Rzeczypospolitej; ale uszczuplona spuścizna nie wystarczy mu na nie. Beaty ciche i nieużyteczne życie jego życia wypaczyło koleje — od szczęścia, sławy i obywatelskich poświęceń ona go dzieli na zawsze.

Nad tą burzą ducha tajemną zbiera się tymczasem druga burza wypadków i nieszczęść krajowych. Od północy król szwedzki zajazdy swoje szerzy, od południa Kozacy coraz niesforniej huczą, w środku praktyki możnych panów coraz bardziej szarpią ziemię naszę, lecz już Częstochowa wskazała, jak to się bronić trzeba.

Znowu muszę państwu zwrócić uwagę na prawdziwie artystyczne przeczucia mojego autora. Nie wystawia on bynajmniej Floryana jednolitym jak egipski obelisk zbrodniarzem, i owszem, trafniej przedstawił wrodzoną, iż tak powiem, „niekonsekwentność“ ówczesnej szlachty; prawda, że jej dość mocnym nie odznaczył akcentem; ja sam w pierwszej chwili osądziłem, że ten brat zawistny wcale nie odpowiada pojęciu dzielnego konfederata, co się pod okiem Szwedów do połączenia z Czarnieckim gotuje; ale gdym się zastanowił, czołem uderzyłem przed takiem histo-

rycznej prawdy objawieniem — toć to własne znamię najwybitniejsze tamtej epoki i kto wie, czy tamtej tylko. Jak w onych czasach przedpotopowych, gdy się synowie Boży z synami ludzkimi pomieszali i rozrodziło się nowe olbrzymów grzesznych pokolenie, tak i wtedy cnoty ojczyste pomieszały się z obcemi występkami i wzrosło pokolenie dziwotworów dziejowych, którym jeszcze nie każdy miejsce właściwe naznaczyć umie. Jedni patrzą na błędy, na bezpośrednio idące za niemi skutki i głowę ze wstrętem odwracając, potępieniem ciskają na marnotrawnych ojców; inni, olśnieni blaskiem wielu dziś prawie nieznanych przymiotów, odurzeni echem rozgłośnej, dziś niczem niezaćmionej sławy, bez litości znikczemniałym synom urągają—a przecież nie był-to czas wzorów, ani zgnilizny—był tylko czas chaosu, mieszanina światła i cieniów, piekła i zbawienia, a wynik ostateczny?... — Co do mnie, bardzo lubię czytać historyą powszechną; zdrowa rzecz dla umysłu — człowiek się przyzwyczaja na tysiące lata okresów rachować i ginie mu zprzed oczu minuta obecna. Z wielkiem uszanowaniem przerzucam karty tamtowiecznych kronik, na każdej z nich jednak spotykam zawsze ciekawy, a niczem dotąd niewytłumaczony hieroglif — członek rodziny i sąsiad, urzędnik i obywatel zdają się rządzić zupełnie innem sumieniem, zdają się mieć raczej nie jedno, ale dwa, trzy sumienia, zupełnie od siebie niezależne. Ten co drży przed gniewnem spojrzeniem rodzica, na sejmiku uszy i ręce adwersarzom obcina—ten co szczerze i bez obłudy w świątyni Pańskiej krzyżem leżąc, pod nogi bliźnim się ściele, pył z ich obuwia otrząśnięty ukorzonem czołem zmiata, na progu kościelnym dumnie już wąsa pokręca, a z dziedzicznego dworca chłostę i ciężką pracę poddanym szafuje. Tu uciekają ludzie, co jutro niepodobne zwycięztwo krwią własną okupić potrafią, tam przedajny pieniądz złożony jest na ręce, która w lepszej godzinie da się odrąbać za świętość narodowego prawa. Wydzierca cudzej własności, poświęca wszystko w chwili zapału i uniesienia, a na-

wzajem częstokroć przykładny ojciec rodziny, lub wspomożyciel ubogich z zimną krwią zdradę publiczną knuje i przyszłych nieszczęść bez zgryzoty rzuca zgubne ziarna. Juścić wszędzie, po wszystkich ziemi krańcach, złe obok dobrego na jaw występuje; ale mojem zdaniem, nigdzie tak jak u nas złe prosto w dobre, dobre prosto w złe się nie przeszczepia. Pamiętam, że już raz o tem rozmawiałem z pewnym bardzo serdecznym przyjacielem, a wcale nienajgorszym poetą. Przyznał mi słuszność i zaraz poswojemu dość szczęśliwie wspólną myśl naszę wyraził. — Ale bo widzisz, mój drogi—rzekł do mnie—na zegarze wieczności była taż sama godzina, w której-to niegdyś czart przestał być aniołem, a anioł człowiekiem być zaczął.

Mój Kamil nie rozważył tej prawdy na pamiętnikowych dowodach, nie zważał żadnych spostrzeżeń, nie układał metafor, ale instynktownie wypowiedział, że tak było, jak było. W jego powieści Floryan na pierwsze drgnięcie narodowego odporu zbiera ludzi, szykuje broń i konie, siostrę ma wysłać do klasztoru benedyktynek w Łomży, a dom pod opieką starego sługi, a starego sługę i w lochu złożone bogactwa pod opieką Bożą zostawić. Już wszystko było gotowe; nagle rajtary szwedzkie wpadają, zgiełk, zamieszanie, garstka zebranych ochotników przez kilka godzin broni się odważnie i na szczęśliwą wróżbę odpędza nieprzyjaciela.

Starościc sutą wieczerzą chciałby uczcić dobre powodzenie „okazyi.“ Szuka Beaty. Beata zniknęła; widziano ją, że wczasie najgęstszych od strony dziedzińca i ogrodu wystrzałów przed krzyżem Zbawiciela w pokoju ojca psalmy nabożne śpiewała; lecz nagle strzały się zbliżyły, od gradu kul wypadły wszystkie szyby z okna; co się już później stało? żadna z przelękłych i rozbiegłych po kątach służebnic dokładnie opowiedzieć nie mogła; zdawało im się, że jakiś rajtar żelazną kratę wysadzać zaczął, ale krata zaledwie trochę uszkodzona, niktby tamtędy wyjść ni wejść nie zdołał.

Floryan uważnie słuchał tego sprawozdania, gryzł wargi, myślał długo, a nakoniec rzucił się, jak gdyby strudzony wysileniem, na najbliżej stojące krzesło i rzekł tylko do otaczających go ludzi:

— Szukajcie... raz jeszcze szukajcie w nieboszczyka pokoju, a może... — zatrzymał się, ciężko mu było mówić, wskazał jednak ręką, by mu szklankę wody podano—może też—dodał spełniwszy ją duszkiem—drzwi piwnicy otwarte.

Jedni za drugimi rzucili się po nowo wskazanej drodze nowych szukać śladów. Floryan sam jeden został. Było to stanowcze w życiu jego przesilenie. Co się z Beatą stało? Wszakże nie wiedział, wszakże mu wolno było się nie domyślać. Może ją Szwed jaki uniósł? czy wróciłaby kiedy? Jego dobra zniszczone teraz będą; wczasie wojennym wszystko mu pewnie zrabują, tylko dziedzictwo Beaty bezpieczne. A jeśli zamordowana?... Cha! więc Bóg sam chciał. Ja nie chciałem—nie—nie chciałem, ani jej krzywdy, ani jej śmierci, tak mi... — wyrazami sobie w myśli próbował wznowić tylekroć powtarzaną przysięgę, ale sercem czuł inne słowa. — Jeśli Beata zginęła, to wszystko moje będzie. Rozumu i odwagi nie zabraknie, posunę się wysoko. Tak niech mi... — i plątały mu się wyobrażenia z wyrażeniami, to co w nim było z tem, co upornie chciał swej pamięci nasunąć. Czasem oddech w piersiach mu się zapierał, wytężał ucho, by każdy hałas szukającej drużyny wymiarkować. Kiedy mu się zdawało, że wraca, to drżał, dlaczego tak prędko. Kiedy go nic nie dochodziło, to pojąć nie mógł znowu, co ją przez takie długie wieki zatrzymuje. Stracił zupełnie miarę czasu i odległości — odkąd poszli? gdzie poszli? zapomniał — nad mętem skłóconej woli i chęci, skłóconego zamiaru i życzenia wybiła się nakoniec samotnie ta myśl potworna: „Szczęście dla mnie, że zginęła“ i później tak się w nim coś zrobiło, jak gdyby nawet myśleć już przestał. Wszystkie władze jego ducha kupiły się w jednej władzy tylko, we władzy — czekania, a chwile upływały jedna po dru-

giej; noc zachodziła coraz czarniejsza, dobry anioł duszy Floryana odlatywał coraz dalej...

Pierwszy, który wrócił do Floryana, zniechęcony daremnem poszukiwaniem, był to właśnie młody narzeczony Beaty.

— Jakby się pod nią ziemia rozstąpiła! — wołał zaraz od progu, ręce załamując.—Szukaliśmy w piwnicach, beczki wszystkie z miejsca poruszono, sam krzyk i lament mógł ją z końca wsi przywołać — lecz daremnie, musiała gdzieindziej się schować, w lochu niema żywej duszy...—Mówiący, przybliżywszy się do starościca, spojrzał na twarz jego w tej chwili i przeląkł się jak widma. Istotnie okropnym bo też był Floryan, blady jak kreda, z posiniałemi ustami, z gorejącem nakształt żuzli kuźnicznych spojrzeniem, razporaz zimne krople potu z czoła swojego ocierał, a krople razporaz na czoło mu występowały.

— Człowieku, bój się Boga! — krzyknął przyjaciel—któż widział tak brać do serca niepewną jeszcze stratę? I mnie napoły dusza się rozdziera, lecz nie omdlewam, jak niewiasta bezsilna. A dyć i ty otrząśnij się z frasunku, obmyśl nowe sposoby szukania, roześlij swoich ludzi na wszystkie strony świata. Znasz najlepiej różne tutaj zakąty i przykomórki — wstańże przecie, sam szukaj, a nie siedź z żałością martwy i drżący, jak listek na drzewie w jesieni, albo zbrodniarz pod szubienicą.—Poczciwy młodzian w prostocie serca stan Floryana niespokojności braterskiej przypisywał tylko. Floryan był rzeczywiście bardzo niespokojnym, lecz stokroć gorszą niespokojnością; kiedy się dowiedział, że w piwnicach szukano Beaty, a żadnego po niej śladu nie znaleziono, odetchnął trochę wolniej.—„Więc tam jej niema — pomyślał najcichszą swoją myślą — byłaby przecież usłyszała i wyszła.“ Sumienie wszakże nie chciało go w tem na wpół pocieszającem przypuszczeniu zostawić.—„A gdyby też nie umiała zatrzasków wewnętrznych poruszyć, gdyby głosy szukających wydały jej się rabusiów głosami?— i wątpliwość za wątpliwością biła mu w serce,

a serce milczało. Ostatnie wyrazy, przypadkowo zupełnie przez stroskanego narzeczonego wymówione, gromem dopiero spadły na głowę winowajcy — zerwał się pośpiesznie.

— Szukać, szukać wszędzie! — powtórzył kilka razy i biegł ku drzwiom, ale zdawać się mogło, że co kilka kroków nogi jego przyrastały do desek podłogi. —Jeszcze raz pójdę do lochu.

Loch był zamknięty, stary sługa przy sobie klucz zatrzymał, a nie było go w domu, wybiegł gdzieś szukać swojej ukochanej panienki.

W tej chwili głośnym tętentem zahuczał podwórzec. — Rajtary, znowu rajtary! — rozległ się okrzyk przeraźliwy. I rzeczywiście nowy, a silniejszy oddział nieprzyjaciół, naprowadzony przez kilku z uciekających niedobitków przybywał mścić się i zwyciężać. Ledwo zdążono wejścia przed napastnikami zatarasować, ci, którzy zostali w domu, rozstawili się przy oknach z rusznicami w ręku, z mieczami gołemi u pasów. Oblężenie trwało dość długo; część tylko napadających wdzierała się do domu, reszta zajęła się wypróżnianiem spichrza i stodół, uprowadzeniem zamkniętego w oborach bydła. Wkrótce puste gumna zaświeciły pożarem, z ciemnej nocy Bożej zrobił się dzień jasny, czerwony, prawdziwie szatański. Widniej było walczącym, wścieklej się jeszcze mordować zaczęli. Musiano jednak Szwedom coś o bogactwie starościńskich dziedziców powiedzieć, bo wyraźnie sami przed szerzącym się ogniem chcieli dwór zasłaniać, ale czy wiatr był od ich dobrej woli silniejszy, czy zajadłość nad chciwością górę wzięła, to pewnem, że od rzuconej głowni cały dach jednym zajął się płomieniem.

Obrona szła coraz trudniej, obrońcy jednak nie ustawali w rozpaczliwej walce. Starościc obrał sobie na posterunek to właśnie z uszkodzoną kratą okno w dawnej nieboszczyka ojca sypialni; kule jego wszystkie padały celnie i skutecznie; były chwile, w któ-

rych mógł mniemać, że nieprzyjaciel postanowił zaniedbać tej strony; jedna z chwil podobnych przedłużyła się nad wszelkie spodziewanie Floryana; stał nieruchomy i bezczynny, lecz zboku słyszał zgiełk coraz wzrastający, łoskot jak gdyby już drzwi wchodowe pod razami toporów padały, cofnął się i nadsłuchiwał, gdzie pomoc jego użyteczniejszą być może, lecz nim o kilka kroków w głąb komnaty postąpił, krata znienacka wysadzona na ziemię runęła. Strzał świsnął przez powietrze i utkwił w ramieniu starościca; zachwiał się krwią oblany, próbował jeszcze wzajemnym strzałem odpowiedzieć wdzierającemu się przez okno Szwedowi, lecz siły go zawiodły — nabój zrysował tylko obicie na murze, a rosły rajtar pochwycił go w swój żelazny uścisk i gniotąc kolanem do ziemi, zwoływał innych, by mu do łupiezkiego zwycięztwa pomogli. Jednocześnie też z dwóch stron wsypała się rozjuszona hałastra; opór był niepodobnym, lecz też i morderstwa i gwałty dłużej trwać nie mogły. Już się łamały przepalone belki, już płomienne języki lizać ze wszech stron zaczęły wysokich sufitów i ścian malowania. Dym gęsty izby napełniał, trzeba się było coprędzej zdobywcom ze zdobytych rumowisk wynosić. Bezbronnym jeńcom darowano życie, bo każdy mógł się na okup lub wymianę wrazie potrzeby przydać. Starościc wraz z innymi do szwedzkiego obozu popędzony został. „Nie mogę przecież mojej siostry ratować“— powtarzał jeszcze sam w sobie, gdy z nim bramę podwórca mijano.

Właściwie zatem Floryan nic sobie nie ma do wyrzucenia—uważcie państwo ten zbieg okoliczności, który zbrodnię jego ogranicza na jednem przemilczanem słowie i na jednej świadomie do serca przypuszczonej chęci. Gdybym miał czasu, a zwłaszcza talentu pisarskiego poddostatkiem, tobym zaraz ten pomysł w jaką dramę rozwinął; kilka razy nawet chciało mi się już rękopism Kamila powierzyć któremu z naszych wykształconych literatów... ale dziś wszyscy twardym snem zasnęli — dostarczona kanwa

pewnieby w marność między ludźmi poszła. Żal mi jej, boć to pamiątka.

— Więc już dalej nic niema? — zapytał stryj Krzysztof.

— Och! jakżeby się bez sensu moralnego przy zakończeniu obyło? Są jeszcze trzy obrazy; pierwszy przedstawia Floryana. gdy po wielu przygodach wraca znów panem i dumnym starościcem do spalonego dworu; od czasu wojny inne dobra zamieszkał. ale ma się właśnie żenić z córką kasztelana. z panną piękną i dość posażną — klejnotów mu na ślubne upominki trzeba.

Ze światłem w ręku. sam jeden. przechodzi zniszczone komnaty: kiedy się zbliża do miejsca. w którem niegdyś była ojca sypialnia, lampa tak mocno drży mu w ręku. jak gdyby już miała upaść na ziemię — ale starościc głośnym śmiechem dodaje sobie odwagi.

— Toć nie zabiłem mojej siostry — mówi nakoniec, zuchwale głową potrząsając i pewniejszą już nogą przekracza rzucone na poprzecz deski. Wszedł, stanął nad piwnicą. zamyśla się znowu. Drzwi były odwalone. schody nawpół spalone. kilku pierwszych brakowało zupełnie: jednak przeliczył odłamki. schód najważniejszy nienaruszony; zsunął się ku niemu ostrożnie. nacisnął mocno, zawiaska po długim oporze ukazała się wreszcie. Z trudnością mu przyszło zardzewiałe żelaztwo poruszyć. lecz dokazał swego, targnął z całej siły i nabok ustąpiła — ustąpiła, a nic się nie zmieniło w lochowem sklepieniu. żadna cegiełka na osadzie swej nie zadrgnęła. Czekał przez chwilę — czoło w okropne zmarszczki mu się poskładało. wąs nad ustami zakrzywił. Oczy patrzyły w górę z taką zawziętością, jak gdyby ich spojrzenie głazy rozsadzić mogło. i znowu myśl Floryana zdwoiła się niespodzianie.

— Tu będzie trzeba samemu ciężką robotę odbyć — mówił półgłosem spokojnym — pewnie wszystko jak ta zawiaska zardzewiało w głębi; może się uda kordelasem na skryty otwór trafić, ścianę podważyć,

a byle znaków nie zostało żadnych...—I uderzał w różne miejsca hartowną stalą swego myśliwskiego noża — lecz jednocześnie w mózgu coś przekornego szeptało mu ciągle:

— Może to Bóg sam nie chce, bym pożądaną cudzą własnością się bogacił. Odstąp. Księdzu jakiemu na spowiedzi dla pożytku ubogich przekaż tajemnicę, ale odstąp sam jaknajdalej od tych lochów przeklętych, odstąp!

Floryan nie odstąpił — z godzinę jeszcze szukał gwałtownem stukaniem otworu i nakoniec znalazł go. Całym ciężarem swoim część muru odchyliła się niespodzianie, w jego ku górze wzniesione ramiona spadła jakaś czarna masa nawpół przegniłych łachmanów i kości i na twarz jego spłynęły zimną wilgotną zasłoną jakieś włosy złociste, przy skórze ludzkiej czaszki trzymające się jeszcze...

Floryan coprędzej wybrał ze szkatuły pieniądze i kosztowności, srebra powynosił, ostatnie szczątki trupa złożył w wypróżnionej szkatule, zatarł wszelkie ślady jakiegobądź ukrycia, oderwał nawet zawiaskę, która wrazie ostatecznego zniszczenia schodów myśl jakichbądź poszukiwań nasunąć mogła komu— i w parę dni opuścił ze skarbami swemi Świerszczowę, a siadając do pysznej kolebki, raz jeszcze poszepnął zcicha:

— Bóg widzi, nie ja zabiłem siostrę moję...

Później trzeci króciutki obrazek przedstawia starościca już starostą, ale i wdowcem po młodej żonie i ojcem nieszczęśliwym nad małą trumienką córki jedynaczki! Choć tyle zgryzot o kamienne jego serce się obiło, dumny pan pierwszy raz w rozpaczy targa zbyt wcześnie posiwiałe włosy, i pierwszy raz załamuje wychudłych rąk palce i pierwszy raz płacze gorzkiemi—och!—gorzkiemi łzami:

— Boże! Boże! za cóż mnie karzesz tak okrutnie!

Bez myśli pewnie rzucił ten zwykły każdej niepowściągnionej boleści wykrzyk, ale gdy mu się echo ścian kościelnych odbiło, zgiął się aż do ziemi pod spadającym nagle kamieniem sumienia, rozkrzyżował się

przy stopniach ołatrza, tłukł hardem czołem o spyloną posadzkę, lecz usta jego powtarzały ciągle:

— Nie, nie—ja nie zabiłem mojej siostry!

Ostatnia wreszcie przychodzi próba. Starosta Floryan na śmiertelnem łożu przed zakonnikiem wyznaje wszystkie grzechy swojego żywota. Słudzy i przyjaciele w bocznej izbie zgromadzeni milczą i modlą się za umierającego; czasem głos jaki odezwie się z użaleniem, lub pochwałą.

— Jeszcze nie stary człowiek!

— W samej sile wieku, lat czterdzieści zaledwie.

— Dobry sąsiad, wzorowy obywatel, dzielny żołnierz, prawy urzędnik.

— Opiekun wdów i sierot.

— Bogobojny chrześcianin.

I znów po tych świadectwach cichość głęboka zapada. Wtem z komnaty chorego wyraźniejsze głosy słyszeć się dają. Głos kapłana miarkuje się, jak widać, w podniesieniu swojem, ale jest surowy i niezachwiany — głos chorego przechodzi w coraz wyższe i dobitniejsze brzmienia.

— Nie, ja nie zabiłem mojej siostry! — woła nakoniec przeraźliwie i milknie. Zdumieni słuchacze spoglądają po sobie lękliwie; nic już więcej nie słychać. Po chwili drzwi się otwierają: zakonnik w swojej białej komży z krzyżem w ręku wychodzi, blady i zamyślony, a wodząc bystrem okiem po twarzach zgromadzonej drużyny:

— Bracia moi!—mówi poważnie—módlmy się za duszę wielkiego grzesznika.

— I cóż państwo na to? — zapytał pan Franciszek z lekkim odcieniem próżności, jak gdyby o jego własną autorską sławę chodziło.

— Niema co mówić—odrzekł mój ojciec—zastosowanie pedagogiczne niebezpiecznej skłonności do

użytecznego celu wybornie się panu powiodło; jest-to prawdziwie fakt godny uwagi pedagogów.

— A ja go sobie w ten sposób jeszcze wytłumaczyć nie mogę — odezwał się stryj Krzysztof. — Sam pan mówiłeś, że Kamil nie miał żadnego w piśmiennych ćwiczeniach zamiłowania; zkądże mu przy pierwszej podsuniętej myśli taka obfitość szczegółów i wypadków, takie zrozumienie wewnętrznej walki pokus i sumienia? Mów pan co chcesz, ale mnie jeszcze ciemno wśród tego wszystkiego; ja powtarzam godło naszego poety: „Więcej jest rzeczy na niebie i na ziemi, niżeli o nich się waszej filozofii śniło.“

Pan Franciszek uśmiechnął się monarchicznie, zażył tabaki, pewnie jakąś bardzo rozumną przygotował odpowiedź, lecz miłość własna mówcy, chęć zaciekawienia słuchacza mimowolnie górę nad dowcipem wzięła.

— No, wyobrażam sobie, w ilu to wnioskach dopiero pan Krzysztof się nagmatwa, jak końca mojej historyi się dowie...— ale wspomnienie tego końca zaraz uśmiech na twarzy pana Franciszka zchmurzyło. Westchnął głęboko i tak dalej mówił:

— Jeszcześmy tego dnia z Kamilem naszych lekcyj nie skończyli, kiedy już do nas ze śmiechem i głośnem w ręce klaskaniem, zadyszana od biegu, zarumieniona od słońca i radości śliczna Monisia wpadła.

— Pan mi wczoraj przeszkodził, ja dziś panu przeszkodzę — zawołała, odsuwając wszystkie kajety i książki; — niema czasu do stracenia, puść pan Kamila. Jak mamę kocham, miseczka, którą dziś zrana przy gruzach postawiłam, do połowy już wypita, a teraz kiedy tam poszłam i śpiewać zaczęłam, wyraźnie coś się między cegłami ruszyło. Chciałam zobaczyć, ale nie mogłam, dojrzałam tylko spłaszczonej główki i dwóch wielkich oczu; potem jeszcze z godzinę śpiewałam; oczy te widzę zawsze, ale nic dalej się nie pokazuje. Kamilu, czy można cegłę odwalić? nie będzież się to wężowi sprzeciwiało?

— Och! muszę pierwej pójść i zobaczyć — odpowiedział trochę puszysto, jak w najważniejszej sprawie wyrokujący sędzia—zaczekaj, niezadługo skończę moje tłumaczenie.

— Ja czekać nie mogę, ojcze Franciszku! — do mnie zwróciła się nalegająco Monisia.

— Kiedy chcesz, to niechże idzie — odrzekłem po chwili udawanego namysłu, bo rzeczywiście sam widziałem, że Kamil nocną pracą zmęczony, a tem samem mniej uważny, potrzebował rozrywki i wcześniejszego wytchnienia.

Monisia z wielkiej radości aż na szyję mi się rzuciła i w tym uścisku serdecznym jej złoty warkocz o guzik mojej czamarki się zaczepił; musiałem całą główkę do piersi przytulić, żeby z lżejszym trochę bolem rozplątać pokręcone włoski; lecz i tak niecierpliwa skończyć mi nie dała; wyszarpnęła się nagle z rąk moich, a cały promień, jakby słońcu podkradziony, został przy nieszczęśliwym guziku

— Ach! Monisiu — zawołałem, pokazując jej go z żalem—patrz coś zrobiła!

— Przecież ja czuję, to już mi patrzeć nie trzeba — zachichotała wesoło, a później, ciągle żartując z mego politowania, ona, hartowna i wytrwała dzieweczka, zaczęła wielki ból udawać, rzuciła się na krzesło, rączkami wzięła się za głowę: — „umieram! umieram!“ jęczała wśród śmiechu. Gdy zaś Kamil wszystkie swoje naukowe przybory pochował, jednym rzutem jak młode kocię na próg odskoczyła, a kłaniając mi się wdzięcznym od ust pokłonem:

— Ojcze Franciszku—słabym niby ciągnęła głosikiem — żałujcie mnie tymczasem, żałujcie a szczerze — i za chwilę z oczu mi zniknęła, jak prawdziwe zjawisko. Och! prawdziwe zjawisko! często bardzo żywcem wraca przedemnie — widzę ją we drzwiach otwartych, kolumna słońca ciśnie się przez nie do naszego pokoiku; na tem tle z jasności sylwetkowym konturem odcina się postać trochę naprzód wychylona, w orzechową sukienkę i w błękitną chusteczkę na szyi

ubrana—jej warkocze, mocno już stargane, odpromieniać się zdają tylko słonecznym promieniom, oczy niebieskie wszystkiemi dyamentami niewinnej wesołości świecą. Przy usteczkach rubinowych te paluszki drobne, to białe ramię zpod krótkiego rękawka niby u greckiej statuetki zaokrąglające się wdzięcznie, i ten głos dziwnym trafem udający cierpienie, i te wyrazy ostatniego pożegnania: „żałujcie mię, a szczerze..."

Pan Franciszek nie dokończył peryodu—uciął na chwilę, odkrząknął, czekał prawie, by mu kto jakiem zapytaniem dopomógł iść dalej; że jednak wszyscy milczeliśmy dokoła, więc sam z miejsca ruszył.

— Ciekawy byłem, czy też dzieci istotnie znajdą co pod owemi cegłami w starym dworze. Już szedłem ku nim, gdy na środku dziedzińca ich matkę spotkałem. Wracała właśnie z jakiegoś objazdu; nie widziałem jej wcale od dnia poprzedzającego, a pilno mi było z wypracowaniem mego Kamila się pochwalić. Kiedy mię zapytała:

— Jakże tu wszyscy się macie?

— My się tu mamy daleko lepiej, niż wczoraj — odpowiedziałem wesoło — nie wiem tylko czy pani się na to zgodzi, żeby być matką znakomitego autora, poety.

— Niechże mię pan nie straszy? a to zkąd się wzięło?

— To się wzięło z głowy Kamila, ja nic a nic temu nie jestem winien—i dopiero zacząłem jej opowiadać, z jakiem natchnieniem pisał, „a co napisał!... co napisał..."

Poczciwe matczysko uśmiechało się, ale jeszcze trochę tylko radosnym, więcej daleko zwątpiałym uśmiechem.

— Niechże mi pan to arcydzieło da przeczytać dziś wieczór.

— Zaraz je pani przyniosę — odrzekłem pewny swego.

Wtem zdala młody mistrz się ukazał prędko w stronę nowego ogrodu biegnący. Spostrzegłszy matkę, zawrócił ku nam i przeszedł jej pierwsze swoje dnia tego pozdrowienie złożyć.

— Cuda mi o tobie prawią, mój Kamilu—rzekła do niego, odgarniając mu włosy na czoło osunięte i patrząc z mimowolną dumą w jego wielkie czarne oczy.

Chłopiec głośno się rozśmiał i rękę matki pocałował.

— O moich cudach dopiero dziś wieczorem państwo mówić będziecie—rzekł z pewnym znaczenia naciskiem.

— Czy nam co nowego jeszcze napiszesz? — zapytała matka.

— Nie, pisać już nie chcę—odpowiedział i wstrząsnął głową, jak gdyby od niesmacznego lekarstwa się bronił—ale ja coś ważniejszego zrobić zamyślam.

— Cóż takiego naprzykład?

— Nie powiem, bo się pan Franciszek śmiać ze mnie będzie.

— Jednak ja trochę zgaduję—rzekłem, już śmiejąc się zawczasu.

— Bardzo wątpię.

— Ej! bo powiem.

— Niech pan mówi.

— A więc—mówiłem, odwróciwszy się do matki — trzeba pani wiedzieć że Kamil, przyszły luminarz naszego piśmiennictwa, autor nieogłoszonej drukiem powieści, Kamil, mój uczeń najszanowniejszy, w tej chwili z panną Moniką...

— I cóż? cóż robią w tej chwili?

— Węże czarują.

— A ja byłem pewny, że pan nie zgadnie — o wężach mowy już niema. To, co Monisia widziała, było tylko obrzydliwą ropuchą...

— Przebóg! duszą zaklętą! — krzyknąłem komicznie.

— Gdyby i duszą, to tem lepiej—odparł pełnym tajemniczości głosem i pobiegł coprędzej w swą stronę.

Jeszcześmy z panią Świerszczowską żartowali sobie z zapowiedzianych przez Kamila cudów, gdy się tenże jak młody jelonek zdala od nas w powrocie przesunął. Niósł jakieś widły i od drew rąbania siekierę.

— A na co te przybory? — zawołałem razem z matką prawie.

— Na moje cuda — odkrzyknął nam pośpiesznie i wkrótce zasłoniły go drzewa, krzaki i chwasty, koło starych zwalisk rosnące.

— Trzeba nam pójść zobaczyć, co się tam za czarnoksięskie sztuki odbywają — rzekła wtedy pani Świerszczowska.

— Jeśli nie z wężem sprawa, już wiem niechybnie jakie — odpowiedziałem, przypominając sobie różne wypracowania ustępy.

— A może pan znowu się myli?—wesoło synowskiej sprawy broniła niby matka.

Jakieś nieszczęście mię natchnęło i zacząłem jej moje domysły objaśniać.

— Kamil opisywał dzieje starego dworu, głowa jego przepełniona lochami, zamurowanemi szkatułami, niezawodnie więc w tej chwili do ich odszukiwania się przybiera — dzieci bardzo często najpierwsze temu wierzą, co same zmyślą dla drugich podziwu, i przytaczałem Goethego, który małych swoich towarzyszy bawił przez długi czas opisem fantastycznej jakiejś po cudownym ogrodzie z maleńką wróżką przechadzki, a później sam ogrodu szukać i do wróżki tęsknić zaczął. Tak rozmawiając, szliśmy dość wolno, zatrzymywali się nawet po drodze—zwyczajnie jak to bywa wśród swobodnej gawędki, na świeżem powietrzu, z lekkiem w piersiach sercem.

Już nas tylko kilkanaście kroków od starego dworu dzieliło.

— Widzi pani, nie myliłem się wcale. Kamil mury rozwala — rzekłem z uśmiechem do matki, bo istotnie stłumione echo mocnych uderzeń słyszeć się dało.

— O mój Boże! a Monisia! — zawołała pani Świerszczowska, tknięta owem dziwnem przeczuciem, o którem ludzie tak często prawią, lecz którego jabym tylko matkom nie zaprzeczył, bo wszakże mogła powiedzieć—„a Kamil“ lub zresztą — „a moje dzieci“— nie, ona tylko Monisię wspomniała i biegła do niej coprędzej. Właśnie pierwszy już wyłom muru mijała, gdy niespodzianie huk się rozległ okropny, potem przez parę może sekund grad piorunny łaskotów szybkich, twardych, odciętych między sobą, jak wystrzałów kartaczowych uderzenia — potem już nie wiem — cicho zapewne zrobić się musiało, bo sobie tylko przypominam, że rozległ się przerażającym głosem, głosem nie z tego świata w jakąś próżnię rzucony krzyk Kamila:

— Matko! — Matka już była przy nim.

Ja także na pomoc biegłem, ale się pewnie zawadziłem o gruzy, może nawet padłem gdzie na ziemię, bo później dość długo nogę miałem w kostce spuchniętą, tego wszystkiego jednak nic a nic nie pamiętam.

Och! są takie wrażenia czasem wyrwane z życia, jak ząb bolący ze szczęki; co to było? kiedy było? dlaczego było? nie odnajdziesz w przeszłości. Między dwoma chwilami rozstęp pusty zupełnie — ale czujemy na wieki, że się pod jakiemś nieszczęściem zrysował. Już wielokrotnie zastanawiałem się nad przyczyną...

— Panie Franciszku—przerwała moja matka — jeszcze pan będziesz mógł się i jutro zastanawiać, a teraz powiedz nam prędko, co się stało z Kamilem?

— Kiedy-bo dla mnie ciągle niepojętą jest rzeczą, jakim sposobem, nie tracąc przytomności, mogłem tak zupełnie wątek wspomnień moich w tem miejscu zatracić. Pochwytuję go w tej chwili dopiero, gdym już nad zrębem nieszczęśliwej piwnicy stanął. Kamil tuż przy jej otworze klęczał i trzymał Monisię na ręku. Był blady, aż zielony prawie, czarne jego włosy wapnem i pyłem zasypane do góry stały, jak gdyby każdy z nich osobnym prądem elektrycznym się wy-

prężył. Matka przy nim—istny obraz trwogi skamieniałej—jedną ręką podtrzymywała głowę Monisi, drugą do jej serca przycisnęła; snać w pierwszym rzucie chciała porwać dziecinę w swoje objęcia, ale ten ruch jej zdrętwiał, zastygł, czy pod oporem Kamila, czy przed bojaźnią, żeby lada silniejszem dotknięciem nie zwiększyć niebezpieczeństwa. Monisia leżała martwa, bieluteczka jak opłatek, z taką spokojną jak we śnie twarzyczką.

— Wody! wody! — krzyknęła nagle matka, bo zapewne poczuła pierwsze serca uderzenia.

Kamil chciał także powtórzyć: „wody,“ błagająco spojrzał na mnie, ale usta jego poruszyły się tylko, zęby febrycznem drżeniem zaszczękały, dźwięk żaden z gardła nie mógł się wydobyć.

Przyniosłem konewkę wody, prędzej niżbym dziś może przyniósł pióro z tamtego pokoju, lecz jakkolwiek się śpieszyłem, już mię do starego dworu cała prawie służba uprzedziła; już kiedy wszedłem, pani Świerszczowska trzymała Monisię na kolanach, Wojciechowa octem nacierała jej skronie, wszyscy inni kręcili się potrzebnie i niepotrzebnie; jedni schodzili do piwnicy przypatrywać się, co było fatalnego przypadku powodem, drudzy dawali rady, załamywali ręce, stręczyli doktora. Gwar i hałas napełniał puste przed godziną rozwaliny — tylko Monisia cicho i bez ruchu na łonie matki spoczywała, tylko zrozpaczony Kamil niemo klęczał w tej samej postawie, w której go, odbiegając, zostawiłem.

Po użyciu octu i wody Monisia nakoniec rozwarła oczy.

— Żyje! — zawołała pani Świerszczowska z trudną do opisania radością i bojaźnią razem.

— Żyje! żyje! — powtarzały różne głosy obecnych, aż wreszcie Kamil zrozumiał to słowo — zerwał się na równe nogi, przyskoczył do matki, popatrzył w twarz Monisi i łkając, jęcząc, rzucił się znowu na ziemię przed niemi, i stopy ich kolejno całował, i ręce Wojciechowej do ust przyciskał i u moich kolan jak

szalony się włóczył, z płaczem, ze śmiechem, z jakiemiś bez związku wykrzyknikami. Ale co mnie się działo, co mnie się działo na widok tej nadziei macierzyńskiej, tego braterskiego uniesienia? sami pojmiecie, ja nadziei nie miałem. W Warszawie, dla zaokrąglenia moich nauk, przez jakiś czas poświęcałem się zbadaniu ogólnych zasad medycyny; w towarzystwie dobrego mego przyjaciela doktora chodziłem do kliniki, odwiedzałem szpitale i nieraz mi się zdarzyło być świadkiem skutków gwałtownego upadku, lub mocnego rozbicia głowy. Ledwiem okiem rzucił, spojrzenie Monisi zaraz mi się nie podobało — widziałem w jego szklanym obłędzie symptomat straszliwego nadwerężenia mózgu — podobieństwo nawet bardzo prędkiego skonu. Dałem znak Wojciechowej—przyszła do mnie zestraszona, niespokojna.

— Tu niema czasu do stracenia — rzekłem — dziecko może pierwej umrze, nim je do domu przeniosą; odbierzcie ją matce przez litość, niechaj aby na jej ręku nie kończy.

Wojciechowa chciała spełnić mój rozkaz, ale Monisia drgnęła właśnie pierwszemi konwulsyjnemi rzutami; żadną siłą na świecie pani Świerszczowska nie byłaby jej dała wydrzeć sobie wtedy.

— Zdaje się, że przychodzi do siebie! wszak prawda, że przychodzi do siebie? — pytała mię z gorączkową niecierpliwością, a jednak serce odgadywało, że złe coraz więcej się wzmaga.

— Trzeba ratować—dodała wkońcu z zadziwiającą stałością i podniosła się, ciągle Monisię na ręku trzymając, a krok jej w powrocie do domu tak był pewny, tak lekki, jak gdyby ani dziecka nie dźwigała, ani boleści swojej.

— Czegóż mam państwa drażnić dalszemi szczegółami? one mi dzisiaj jeszcze serce zakrwawiają.

Monisia w nocy umarła.

Znów pan Franciszek umilknął na chwilę; tą razą jednak nie zażywał tabaki, nie krząkał, dwie łzy mu po twarzy płynęły, a on się tych łez nie wstydził—

jak gdyby zapomniał. że jest mężczyzną. filozofem i pedagogiem.

— To mi zostało jedyną po moim aniołku pamiątką—rzekł wreszcie. odwiązując błękitną wstążeczką i wydobywając z welinowego papierka długi na dwa łokcie przynajmniej, istnie jak on się wyrażał słoneczny promień włosów.

— Ja to z Wojciechową układałem w trumience białą moję dzieweczkę: nawsadzaliśmy jej pełno kwiatków dokoła, dali czarny krzyżyk w złożone niby do pacierza rączki. a mirtowy wianeczek sam jej włożyć chciałem. Kiedy włożyłem, taka mi się wydała uśmiechnięta i wdzięczna, że na ostatnie wiekowe rozstanie z ojcowskiem prawdziwie uczuciem pocałowałem jej białe — och! i zimne! zimniejsze od marmuru czoło; przy tem pocałowaniu osobliwszy, bez żadnego znaczenia, aleć zawsze osobliwszy przypadek zdarzył. że włosy rozpuszczone, tak samo jak przed dwoma dniami pierwej. jak wśród jej ostatniej pieszczoty, zączepiły się o mój ubiór. Przyjąłem pedarunek umarłej, odciąłem ten promyk, i widzisz, panie Krysztofie. nie mogę zupełnie wątpić, chociaż mi to dosyć często zarzucasz — nie mogę wątpić, bo ten promyczek z przyszłem życiem i lepszym światem mię łączy.

— Ale nie mówisz, co z biednym Kamilem się stało?—zapytał stryj Krzysztof

— Kamil był w takiej rozpaczy, że to może ocaliło jego matkę, na dwa wrażenia dzieląc jej własne cierpienie Najpierw zdawało się, że pomieszania zmysłów dostanie: od chwili zgonu Monisi ani zapłakał. ani ust nie otworzył, ani słyszał nawet, co się wkoło niego dzieje. Matka chciała mu zrazu widoku przykrych obrzędów pogrzebowych oszczędzić: ale ja widziałem, że właśnie działać było trzeba wszelkiemi sposobami na rozbudzenie sił żywotnych w nerwowym systemacie. Łzy tylko wskrzesić go mogły z tego odrętwienia. Przedstawiłem to pani Świerszczowskiej i pozwoliła mi wreszcie biednego chłopca na wszystkie próby narazić. Wziąłem go z sobą do pokoju, w któ-

rym stała Monisia, pośród mnóstwa świec jarzących, i bukietów i doniczek.

— Patrz, Kamilu — mówiłem — jaki błogi wyraz pokoju rozlany jest na tej od lilijek czystszej i bielszej twarzyczce; w nagłem przejściu z życia do śmierci, rysy jej nie miały nawet czasu zmienić swej piękności. — Kamil patrzył, ale osłupiałym i niewidzącym wzrokiem.

— Popraw-no głowy, żeby nie tak bardzo ku piersiom opadała—znów się do niego odezwałem.

Kamil poprawił białą atłasową poduszkę, trochę głębiej w trumnę wcisnął, ale jego oblicze żadnym muskułem nie zadrgnęło; był to najlepszy obraz lunatyka bezświadomie żyjącego na ziemi. Dopiero gdy kościelni przyszli wieko zabijać, oczy Kamila nadmiarę się otworzyły i znać w nich było jakieś uczucie przestrachu. Gdy trumnę z katafalku zestawiali, widocznie do przestrachu cierpienie łączyć się zaczęło, gdy ją za próg wynieśli, Kamil obiema rękoma pochwycił się za głowę, nieszczęśliwemu pamięć wracała i pojęcie nieszczęścia, ale kiedy księża zaśpiewali, przesilenie doszło najwyższego stopnia.

— Ja zabiłem moję siostrę! — krzyknął przeraźliwie, a dzięki Bogu, z temi słowami łzy natychmiast potokiem całą twarz mu zalały i to go uratowało.

Prawda, że jeszcze bardzo długo po śmierci Monisi chorował; trapiła go ciężka gorączka, w której bezprzestannie powtarzał tylko: — „Ja zabiłem moję siostrę! — O Boże, ja zabiłem moję siostrę!“ — Zwolna jednak przyszedł do siebie, ale już nigdy dawnej czerstwości zdrowia i dawnej wesołości nie mógł odzyskać. Umysłowe zato władze rozwinęły się z zadziwiającą bujnością; w dwóch latach pracy przeszedł czterech klas nauki. W szkołach przez drugie dwa lata był zawsze celującym uczniem. W akademii liczono go do najzdolniejszej naszej młodzieży. Zdawało się, że ten smutek, który na sercu nosił, jak pierścień ślubnej przysięgi, jeszcze szlachetniejszą godnością wrodzone jego przymioty uwydatni, przeciw złe-

mu tarczą bezpieczną, ku najwyższemu dobru ciągłą podnietą mu będzie; ale nie tak w księdze wyroków zapisane stało — i znów pan Franciszek westchnął głęboko.

— Ej! niema co żałować!—pomruknął, jakby samemu sobie na odpowiedź. — Daj tak Panie najlepszym! — kula prosto w piersi — a grób pod olchowem drzewem.

— Mamy prawo zgłosić się do pana po ostatnie w przydatku objaśnienie — rzekł mój ojciec po długiej pauzie ogólnego milczenia. — Czy Kamil rzeczywiście znalazł co w rozbijanej piwnicy?

— Ach! ta nieszczęśliwa piwnica! zupełnie mi wyszła z pamięci. Istotnie, znalazł jakiś otwór przeklęty, w bok lochu zapadający. Uderzenie siekiery obluzowało masę cegieł, a chociaż Kamil jeszcze pierwej wołał na siostrę, żeby odstąpiła, dziewczynka przez ciekawość zatrzymała się zbyt długo na niższych szczeblach drabiny i jedna cegła w samo ciemię ją trafiła. Co zaś do jamy odkrytej—nie wiemy jaki pan Krzysztof wniosek ztąd wyprowadzi, ale co prawda, to prawda, znaleziono w niej okutą szkatułę, a w szkatule trupią głowę z jasnemi włosami. Szkatuła została się przy pani Świerszczowskiej i musi z nią razem być u benedyktynek w Łomży, gdzie ta pani na dewocyi osiadła—głowę zakopano przy trumience Monisi, i od tego czasu najzabobonniejsza baba żadnego rumotu w starym dworcu nie słyszała, bo jak utrzymują, chrześciańskie kości z wielką pociechą w poświęconej ziemi odpoczęły sobie nakoniec, dusza zaś pokutująca do nieba trafiła.

— A pan, panie Franciszku — czy nie dziwisz się temu? czy sobie nigdy nie chciałeś wytłumaczyć zbiegu tak nadzwyczajnych okoliczności?

— I owszem, i owszem, ja zawsze sobie wszystko wytłumaczyć lubię. Na ten raz wolnoby mi było wnioskować, że Kamil pod wrażeniem uniknionego z fuzyą nieszczęścia, gdy mu powieść o starym dworcu pisać kazałem, najłatwiej zaraz wyszukał odpowie-

dnich temu zdarzeniu obrazów, a stara szkatuła, trupia głowa, loch zamurowany—to i dziś może w niejednych starych gruzach być odkryte i w niejednych zostanie, po zburzeniu pałaców obecnie największym przepychem jaśniejących; byle gdzie posądzeniem zbrodni trącić, to się z dziesięć razy na dwunastu żywej prawdy dotknie; lecz taki sposób zapatrywania się na rzeczy zbyt jest poziomy — wszak prawda? Przypuszczam więc, iż podrażniona wyobraźnia Kamila wzniosła się do pewnego stopnia jasnowidzenia— rzucam się w magnetyzm... czy panu nie dosyć na tem!?

— Och! jeszcze nie dosyć —, odpowiedział stryj Krzysztof.

— Jakież zatem jest pana zdanie? — zagadnął ironicznie nasz pedagog.

— Moje zdanie... — stryj się zatrzymał, uśmiechnął bardzo łagodnie, a wreszcie z trochę złośliwą pokorą dorzucił: – Pan się na moje zdanie zapewne nigdy nie zgodzi, bo moje zdanie... moje zdanie i w tym względzie i w innych względach jest zawsze to samo: nic nie wiem.

Po przeczytaniu tej powiastki, zdobyłem się na wielką odwagą cywilną i mojej nieznajomej korespondentce przesłałem długą, a niemiłosierną recenzyą. Mógłbym ją dzisiaj z pamięci powtórzyć, lecz to byłoby trochę niesumiennym postępkiem; gorzką prawdę mówi się albo ludziom dla ich poprawy, albo przed ludźmi dla grozy i nauki. Co w zaufaniu osobistem jako przestroga podanem zostało, tego się już nie godzi przed trybunał opinii publicznej, jako naganę lub oskarżenie, wnosić. Nasze uwagi, rady, upomnienia przyjazne wkładają na nas takiż sam prawie obowiązek, jaki ma kapłan przy spowiedzi, słuchający wyznania błędów, grzechów i występków. Zdaje się to

z pozoru nieco przesadną względnością, ale proszę się zastanowić, czy w przekonaniu poczciwych równie ohydnem nie jest zatrzymanie powierzonej sobie własności, jak przywłaszczenie znalezionej na drodze, wtenczas zwłaszcza, gdy wiemy nieomylnie, do kogo należy. Juścić własnością najbliższą człowiekowi, własnością niezaprzeczoną, własnością jedyną może, są jego usterki, słabostki, wady, niedostatki i żądze moralne; czy nam się z nich dobrowolnie pokorna dusza wyspowiada, to jest je straży honoru naszego i dobrej wiary naszej odda, czy my sami podstrzeżemy je, podpatrzymy, odgadniemy, wbrew jej życzeniom częstokroć, zawsze obowiązkiem jest naszym równą rzetelność zachować i na swój użytek nie obracać ani wyznania, ani spostrzeżenia. Oha! inaczej się rzeczy mają ze złem, o które się człowiek, jak o kamienie pod nogi jego rzucone, roztrąca, które jak bedłki zatrute z ogólnej gruntu wilgoci się rodzi, które jak szalej lub pokrzywa niezasiane, a wszędy rośnie; przeciw takiemu bliźnich współwędrownych ostrzegać to i owszem —choć czasem trudno, niebezpiecznie, choć niewygodnie nawet (niewygoda, moi państwo, straszliwszą jest w tej drugiej połowie XIX-go wieku od niebezpieczeństw wszelkich); choć więc niewygodnie nam z taką walką, bo można obrazić sąsiada, co wyborne obiady wydaje, urzędnika, co nam przeprowadzenie tysiącznych interesów ułatwia, znajomego literata, co jest naszych saloników rozrywką ulubioną, krewnego, co może jakiś majątek zapisać — więc tedy choć niewygodnie — niewygodnie — niewygodnie!... trzeba jednak prawdę głośno mówić, abyśmy milczeniem naszem kłamstwu nie świadczyli. Uznać zasługę i cisnąć kamieniem na szkodliwość, są to dwie strony, tylko jednejże, a tej samej towarzyskiej powinności, lecz ta maluczka powiasteczka nie urosła do rozmiarów ani zasługi, ani szkodliwości, mogę więc o niej zdanie moje przemilczeć bezpiecznie. Dla objaśnienia tylko dalszego ciągu naszej z bezimienną korespondencyi powiem, jak mniejwięcej list mój krytyczny zakończyłem:

„Co do moralnego znaczenia i związku tych dwóch śmierci, Beaty i Monisi, to przyznam się pani, że najzupełniej podzielam zdanie jej stryja Krzysztofa, i to wiem jedynie, „że nic nie wiem.“ Lecz przepraszam — wiem jeden bardzo dla mnie ważny szczegół — śliczne masz pani imię i chciałbym serdecznie matce pani podziękować, że tem imieniem głośno na panią wczasie wieczornego zebrania zawołała. Śliczne imię Kazimiera, aż mi jakoś napisać przyjemniej, że panny Kazimiery chcę być zawsze szczerym doradzcą i przyjacielem.

T.

Ten żarcik sprowadził mi bardzo zabawną odpowiedź, lecz gdym sądził, że dołączone a zeszyte ćwiartki objaśnią mię w ostatecznem znaczeniu powiastki, lub z usprawiedliwieniem przeciw czynionym zarzutom wystąpią—zdziwiony, na tytule wyczytałem tylko:

To jest moje drugie zapytanie:

?

II.

(List do członka Redakcyi, który chciał się domyślać imienia autorki).

Co za radość niespodziewana!... jakże niezasłużony smutek!... Radość, bo jednak w tych próbach autorskich musi być cząstka przynajmniej artystycznej wartości, kiedy szanowny mój korespondent, członek redakcyi pisma czasowego, poważny dostojnik literatury warszawskiej, jeden z czynnych organów nad oświatą narodową pracujących, pan Tomasz ***, krótko mówiąc, dał mi się jak student na maskaradzie zaintrygować. Pan Tomasz jest ciekawy; pan Tomasz chce podsłuchiwać, jakiem na mnie imieniem wołają!... No, szczęście wielkie, że mu odpowiedniego do jego gustu wyszukałam przecie; zgodził się na Kazimierę — lecz za imieniem chrzestnem, czy też kalendarzowem tylko, pójdą inne szczegóły. Członek redakcyi zechce jeszcze podpatrzeć, jakiego jestem wzrostu, jakiego koloru są warkocze moje, a nos, oczy, usta?... Strach mię ogarnia. Gdyby mi się też zdarzyło niestosownie do jego upodobań kształt lub barwę oznaczyć? Wysoka — a to on właśnie drobniutkiemi tylko, wątłemi jak trawki wiosenne zachwyca się istotami. Nizka — a jemu trzeba marzyć o królewskiej kibici, myślą i czołem górującej nad współtowarzyszkami; średniej miary, lecz komuż średnia, pospolita miara się podoba? Niedość na tem. Członek redakcyi w wyobraźni

swojej klęka przed jakąś blado-różową postacią. strumieniami jasnych włosów niby słońcem przyodzianą, a szafirem tęsknych oczu niby niebem spoglądającą; tymczasem w nieoględności mojej zdarza mi się gdziekolwiek o piwnych wspomnieć źrenicach. Kazimiera z piwnemi oczami!... fe! to mąci wszelkie pana Tomasza ideały; nie może przyjąć. nie może sobie przyswoić podobnej korespondentki. Za każdym odebranym pakiecikiem z pieczątki zaraz wygląda na niego owo wstrętne piwne oko; niechętnie bierze się do czytania, od okresu do okresu przychodzi mu na myśl tysiąc krytycznych spostrzeżeń. błędy i usterki stylowe w karykaturyczne rozrastają się zarysy: do odpowiedzi żadnej nie ma ochoty: prawdy nie warto mówić, bo gorzka i szczypiąca; kłamstwa pisać się nie godzi. bo to dla poczciwych ludzi trudne i nudne, a dla członków redakcyi zupełnie nawet „niepodobne.“ Więc zerwać cały stosunek pajęczy. Och, mój Boże! ależ ja właśnie lękam się zerwania. lękam się umysłowej samotności. braku dobrej rady, sumiennej przestrogi, sprawiedliwego bez żadnych uprzedzeń sądu; jeśli mi przyjdzie znowu pracować, a nie mieć kogo o zdanie zapytać, rozwijać myśli swoje. a nie widzieć jak się one w myślach bliźniego ducha odbijają—gotowam cisnąć pióro i wszystkiego zaniechać. lub co gorzej. gotowam w recydywę popaść. pisać jeszcze więcej. jeszcze niedorzeczniej. a drukować... gdzie mi szpalty otworzą. Straszliwa przyszłość! Jest sposób wszelako — będę pisała o samych niebieskich oczach — tak — lecz korespondent szanowny może właśnie czarne woli. czarne a płomienne, z łukiem brwi hebanowych. z cerą andaluzyjską. z tajemnicami jak w studnię zapadających wrażeń. jak z głębi wulkanu wybuchających nagle uniesień. Korespondent szanowny z nieznajomej Kazimiery utworzył sobie jakąś Sybillę Kumejską. jakąś kapłankę z przywartych Izydy świątyń. jakąś Normę z jaskiń Fingalowych — toż niech mi zpod pióra wyśliźnie się lekka wzmianka o siwych, burych, lub zielonych oczach. niech tę lub ową bohaterkę ustro-

ję w kasztanowe, rude lub siwiejące włosy. a strój i wzmianka niech do idealnego portretu niżej podpisanej przyrosną — i cóż?... piśmienna rozmowa znów mi się zerwie, jak nitka prządce niezręcznej... Wie pan co? aby wszelkim nieporozumieniom, na mój zaś rachunek żeby wszelkim nieszczęściom zapobiedz, umówmy się lepiej, jaką ma być przed wzrokiem pańskiej wyobraźni ta. której pan nigdy przed wzrokiem oblicza swego nie ujrzy. Zastosuję się do rozporządzeń pana z wszelką uległością pokornej względem recenzenta autorki. Tak się już cieszę nadzieją przyszłego kostiumu, poczuwam go ślicznym, pełnym wdzięku, uroku, czarodziejstwa, i co najwięcej znaczy, wiem że się nigdy nie zużyje, nigdy nie zestarzeje — lata za latami spłyną, a Kazimiera. w złote ramy oprawiona, jaśnieć będzie urodą i młodością, klejnotami wszystkich pana Tomasza marzeń, aksamitem i jedwabiem wszystkich swoich własnych powieści. Czyż to nie radość wielka, radość niespodziewana? Lecz i smutek jest wielki, a smutek niezasłużony — ta Ewa. matka żyjących. musiała jednak stokroć ciężej od Adama zgrzeszyć, kiedy dziś nawet, po wiekach tylu, po przejściu Maryi Dziewicy z Dzieciątkiem Jezus na ręku, jeszcze żadnej kobiecie nie wolno sięgnąć bezkarnie ku rajskim z drzewa żywota owocom. Zdawało mi się, że dalekiej przestrzenią, znicestwionej bezimiennością, uda się nakoniec w braterstwie myśli, w stosunku rzetelnej wymiany pojęć i przekonań, w uczuciu wspólnie obranej, a jednostronnie kierowanej dążności, uda się nakoniec stanąć duszą przy duszy, człowiekiem przy człowieku. Obwiniają nas, i bardzo słusznie częstokroć, o lekceważenie najczcigodniejszych przedmiotów, o brak powagi w rzeczach najpoważniejszych właśnie, o drobiazgowość w wielkościach, o zolbrzymianie w drobiazgowości. Widziałam na własne oczy słuszność tych zarzutów, może nieraz i powód dałam do nich; lecz gdy mi tęskno być zaczęło w mojej moralnej pustelni, gdy zapragnęłam towarzysza na szukanie prawdy Bożej, na podzielenie

i wsparcie czysto-duchowego życia, uznałam. że mi najpierw z tych wszystkich niedokładności, czy wrodzonych czy nabytych. starannie otrząsnąć się wypada; pracowałam nad sobą pilnie i szczerze, strzegłam wrażeń i fantazyjnych podszeptów. czuwałam nad próżnością i dowcipem, nad sercem i wyobraźnią, byle je tylko godnie do związku przyjaznego dwóch umysłów, dwóch dusz ludzkich przysposobić. Przecież powinna być jakaś w wypadkach i zdarzeniach tego świata równowaga; łączy się codziennie prawie ciało z ciałem. ziemia z ziemią, bez połączenia ducha z duchem i cząstki prawdy z odpowiednią tej prawdy cząsteczką; dlaczegóż choć raz nakoniec myśl z myślą, przekonanie z przekonaniemby się nie połączyło bez zewnętrznych znajomości, spotykania się i widywania dodatków? Sądziłam, że to powinno być nader łatwem, skoro się tylko niezbędnych warunków dopełni, skoro się w sobie samej zatrze najlżejszą ku przestąpieniu podobnej drogi skłonność — więc ją zatarłam bez śladu. Chociaż bliższe szczegóły o pana osobistości tuż prawie pod ręką, na pierwszy lepszy list do Warszawy pisany, w odpowiedzi miećbym mogła, nigdy mię to nie skusiło, listu nie pisałam. pytać nie chciałam nikogo — a mnie co do tego, kto pan jesteś? ubogi czy majętny, piękny czy brzydki? Nawet przyznam się panu, że pobieżnie tylko zatrzymałam się chwilkę nad tą wątpliwością, czy Pan chwalebnie lub naganie postępuje? — stan jego, powierzchowność zewnętrzna i przemienne dni powszednich uczynki, wszystko to dla mnie zobojętniło sie zupełnie. Co on pomyśli? co odpowie? jak zrozumie, jak wytłumaczy sobie mój sposób zapatrywania się na rzeczy i zdarzenia? to dla mnie było najgłówniejszem, jedynem przy odebraniu listu pana zaciekawieniem. Czemuż mi pan odpłaca tak nierzetelną chytrością i koniecznie o mojem imieniu chce wiedzieć, jak gdyby te kilka sylab miało większe znaczenie, niż całe arkusze z esencyi mózgu mego wyciśnięte? Prawda, że pan się imieniem i nazwiskiem podpisał przy końcu pierwszej swojej odpo-

wiedzi; lecz ja przecież nie wymagałam tego bynajmniej; gdyby, naśladując mój przykład. i pan także był się chciał w anonymie zagrzebać, gdyby wyraźnie mi powiedział, że nie chce być znanym, ani poznawanym, ręczę panu na moje własne sumienie i jego własną przenikliwość, nawetbym się nie zatroszczyła, ażali szanowny członek redakcyi Tomasz jest Bartłomiejem lub Tadeuszem, Alfonsem lub Koleandrem. I teraz, choć tak łatwo przyjmujemy cudzych wad odbicie, ja mój stoicyzm w niczem nienaruszony pod tym względem zachowuję. Nic a nic mię nie obchodzi, czy pan jest młody, stary, żywy, powolny, kawaler czy żonaty. Obchodzi mię tylko to, co pan napisze do mnie po przeczytaniu załączonych tu kartek, z drugiem pytaniem jego najżyczliwszej, uradowanej i zasmuconej

Korespondentki.

Drugie moje zapytanie.

> Panie! za cóż ja cierpię i jak jeszcze cierpię!
>
> *Szymon.*

Ty wiesz najlepiej, Hieronimie mój drogi, jakie ciernie wplotły się do mego życia, co straciłam, co mi wzięto, czego z przynależnej mi części nie oddano; wiesz wszystko, na powtarzanie szkoda czasu, przed sobą samą nie powtarzam nawet. Rodzona twoja i prawdziwa siostra nie lubi się dziecinnie skarżyć, ani roztkliwiać; zamiast coby się miała za każdą chwilą i z każdem zdarzeniem osobno ubijać, jak na wpół przebudzony, na wpół rozespany człowiek z rojami komarów, co mu w nocy koło oczu brzęczą i bezprzestannie tną po czole, po twarzy, po rękach—ona się zrywa odważnie, zapala świecę i chwyta oburącz owad przebrzydły, żeby mu się przyjrzeć uważnie, żeby go zbadać, osądzić, na nicość zdeptać, lub, jeśli inaczej być nie powinno, przyjąć w cierpliwości i pokorze do komnaty swojej. Czy słyszysz stryja Krzysztofa, jak tym zawsze smutno-łagodnym głosem pyta mię:—A na co to się zda, dziewczyno?—i radzi po swojemu: — Od końca zacznij, przyjmij nie badając, niechybnie lepiej wyjdziesz na tem. — Mój stryjaszku kochany, już gorzej wyjść nie mogę, jak dotąd wychodziłam; patrz stryjaszek, to boli, i to boli także i to boli jeszcze

w przydatku — widzę że masz najpoczciwsze i najlitościwsze dla mnie serce, gojącej maści dobywasz i chcesz mnie plasterkami poobkładać — wdzięczną do zgonu uznaję się synowicą, ale plasterków nie chcę: na mojem ciele żaden się nie utrzyma. koniecznie radykalnego potrzebuję lekarstwa— zostaw mię własnej naturze i własnym moim instynktom. Sam przecież nie raz mówiłeś, że chorzy mają cudowne czasem objawienia, że lepiej od doktorów rozpoznawają to, co im do zdrowia pomaga; czemuż jabym właśnie objawieniem takiem uzdrowić się nie mogła? Żegnaj, żegnaj, stryju Krzysztofie, niech ci Bóg za chęć twoję miłosierną płaci; wobec cierpienia ja sama z myślą moją zostanę — z myślą moją — i z bratem moim.— Cha! teraz pójdź tu, niewidzialny komarze, upiorze — potworem, czy cudem piękności jesteś? chcę widzieć, muszę widzieć koniecznie.

Kiedyśmy z tobą, mój Hieronimie, i ze stryjem Krzysztofem czytywali historyczne dzieła, pamiętam, jak przy opisie najsmutniejszych dla ludzkości epok załamywałam ręce i z przerażeniem pytałam się was obu: Nacóż się zdały ludziom te wszystkie cierpienia? czemu im spadły na głowę? Wy, moi ukochani, tłumaczyliście mi wtedy cierpliwie, że z grzechów człowieczych wzbierają zawsze wielkie klęski człowieczeństwa, a z klęsk rozświta poprawa, udoskonalenie i postęp; wierzyłam słowom waszym. Zamknięta między czterema ścianami mego pokoiku, trzymając książkę w ręku, co do sylaby też same o kolejach wiekowych wyprowadzałam wnioski — cierpienie przedstawiało mi się, jako dotknięcie karzącej lecz prawdziwie ojcowskiej ręki; widziałam w niem skutek złego, a jednocześnie przeciw złemu środek zaradczy — byłam spokojna, wdzięczna Panu mojemu, pewna sama w sobie, że gdy na mnie przyjdzie chwila doświadczeń, z tak pocieszającego przekonania wsparcie mieć będę i męztwo. Dzisiaj wszystko się zmieniło; ledwo jeden i drugi wicher nad moją głową przeleciał, wnet poznałam, że on nie taki, jak mię o nim uczono. Wasze

kojące i łagodzące teorye. za progiem mojej izdebki, w praktycznem zastosowaniu chaotycznie mi się pomieszały; trzymałam się ich, póki sił starczyło: to tak wygodnie mieć grunt pewny pod stopą i na nim dopiero siać, zbierać, przesadzać, szczepić — to nawet tak jest konieczne dla wszelkiej duszy człowieczej; ale widać, że od spokoju prawda jeszcze konieczniejsza, a nad chęcią wygody potrzeby ducha górują. Nie mam tej cichej. z wielu względów stokrotnie błogosławionej natury, co na pewnych danych poprzestając, bez troski i bez pytania rysunek swych wyobrażeń i postępków ich liniami, ich miarą zakreśla—przy każdym zarysie w oko mi wpada niespodziewana jakaś perspektywa, z serca się wydostaje nieznane pierwej, wiadomemi przepisami nieobjęte uczucie. Zbyt szczera znów jestem względem siebie samej i względem was, najdrożsi moi, żebym wtedy przemilczała moje odkrycie, lub abym dla świętej zgody żyła z podobnem rozszczepieniem duszy na zewnętrzną uległość i wewnętrzne zaprzeczenie. Pamiętasz, Hieronimie, tego wiarusa-eleganta, co miał odwagę na polu bitwy, a rzetelność w pieniężnych tylko interesach, i od wszystkich zato był zwany: „naszym poczciwym majorem?“ Przypomnij sobie jego szacunek głęboki, jego zachwycenie naiwne dla tych Niemek, co je wczasie swojej kampanii po różnych kwaterach garnizonowych spotykał: — „Bo to, proszę państwa, każda rozkochana we mnie... rozkochana do ostateczności, a jednak w niczem jej to nie przeszkadza. Dom cały porządnie zamieciony, kuchnia jeszcze smaczniejsza, dzieci obszyte, dla męża pończochy zrobione. wszystko idzie swoim trybem — cicho — sza — aż miło! Gdzieindziej zaraz fochy, romanse, nieszczęścia, piekło w domu — ja tego nie lubię. — Niech żyją Niemki!“

Lecz dzięki Bogu, taką wzorową Niemką się nie urodziłam i takich nie znam nawet; znam tylko trochę do nich podobne umysły. Z falą życia napłynie im do głębi pełno chwastów, minerałów, alkalij — nic im to nie przeszkadza, wątpią o wszystkiem, wszystko prze-

ciež wyznają i nic ich to nie boli; nie mają ani jednej stałej granitowej w przekonaniu swojem zasady, niczemu nie wierzą, lecz niczemu też nie przeczą otwarcie i bardzo się cieszą owym talentem niehałaśliwej obojętności. Co do mnie, bracie, taką obłudę martwoty niżej stawiam od czynnej faryzejskiej obłudy, bo faryzejska przynajmniej zaczepić musi, potrącić, skrzywdzić prędzej czy później uśpionych swoją piosenką—jak namiętność występna, lecz rzeczywista, musi własnym szałem się ukarać, a grozą innych odrazić. Lecz to szkaradne, na chleb powszedni, z innemi czynnościami gospodarskiemi przyjęte cudzołóztwo, ta obłuda strupieszała, niedająca znać o sobie, wypłukująca zpod spodu brzeg piąszczysty, na którym stoją ludu miliony, to mi jest wstrętne zupełnie, to dla mnie obrzydliwością spustoszenia najszkaradniejszą ze wszystkich.

Stryj Krzysztof pojąć nie może tej władzy dziwnej, a nieuchylonej, która mię z gniazda pod jego bokiem usłanego wyrwała i teraz ciągle dalej, dalej mię popycha; jemu się zdaje, że bylem chciała szczerze, to mogę tak być jak on sam spokojną; bylem nie goniła, to do mnie pewnie nowego nic nie zleci; a przecież patrzy na mnie od dzieciństwa i widzi, że wszystko na nas odmiennym działa sposobem. Ja mam uznanie jego dobrej wiary w tem co zatrzymał, niechże on uzna moję dobrą wiarę w tem, czego mi szukać potrzeba. Stryjowi wystarcza ogólny dogmat o Najwyższej Boga mądrości; przechodził różne losu koleje, tracił, żałował, wyrzekał się i zawodził, a nigdy mu nie przyszło na myśl dowiedzieć się, dlaczego? Jeśli niekiedy podpatrywał przyczyny, to nie dalej sięgnął, jak do najbliższego skutkowi skutku; kłos się pochyla?—acha! pochyla się, to tamten kłos go trącił—a tamten znów tamtym dotknięty — i tak od jednego ku drugiemu szedłby choć przez całe pole. Mnie zaś natychmiast czuć się daje nie kłosa sąsiedniego uderzenie, ale wiatru powiew, i muszę się dowiadywać, z której wieje strony? czemu? i poco? muszę badać—zrozumieć.

Gdyby mi podobnem było odosobnić los mój od pojęć moich, a te gorzkie dni żałoby odosobnić od losu mojego — gdybym się pocieszyć mogła, że jestem osobliwością nieszczęścia w Europie. albo też zaspokoić się, że tylko jakąś wyjątkową chorobę. na pewien czas oznaczony, przybywam moralnie, łatwiejbym jeszcze trafiła do ładu. Zapozwałabym przed trybunał, nagromadziła wkoło siebie radców i doktorów, a może zresztą przyjęłabym dla samej nadzwykłości, przez próżność, rolę moję bolesną—lecz ja nie osobliwość żadna, cierpienia moje nie wyjątkowym ustępem, tylko ciągiem życia samego. Choćby mnie anioł z nieba dziś zapytał: — Jakiby fakcik, jaką okoliczność dla ulgi nabok odsunąć?— nie umiałabym mu z pewnością tego powiedzieć; usuń człowieka, cóż mi człowiek znaczy?— usuń ten artykuł z praw ludzkich cały. toć nie usuniesz tego co się stało, nie usuniesz przeszłości zatrutej i w przyszłość nie dasz sił czerstwych, sił zdrowych. Póki nie powiem: —usuń mi nieszczęście! póty wszystko na nic się na przyda. Aniołby nie mógł trudom szczegółów podołać — zdarzenie za zdarzeniem, boleść za boleścią się czepia. Jeśli mię chwila obecna razi, to widzę w duchu moim, że się na nią tysiąc lat temu zbierało — jeśli mu ta lub owa ręka cios zadaje, to na drugim krańcu świata poruszyła się może pierwsza myśl jej maczugą kierująca. Ja nie dlatego jestem nieszczęśliwa. że mię spotkał zawód jaki, lub jaka strata dotknęła, lecz dlatego poprostu, że jest nieszczęście na świecie. A więc czemże jest ono?

Wy, moi drodzy, mówiliście mi najpierw, że nieszczęście jest grzechu owocem, ale i to słyszałam z ust waszych. iż wszelka prawda ogólna wtedy dopiero jest nieodwołalnie prawdziwą, gdy się w zastosowaniach swoich urzeczywistnia, gdy ją szczegóły zatwierdzają. Otóż właśnie przeciw definicyi waszej każdy szczegół ze sprzecznem występuje świadectwem. Rachunki losu w historyi kłamią najprostszym arytmetyki zasadom, dwa a dwa przestaje na cztery się składać; pojedyncze kolumny dodawanych jednostek inne mają cy-

fry, a suma u dołu wypadająca, jakoby z innych zupełnie powstała, różni się gatunkiem i ilością od cyfr dodawanych. W sumie tej jasno widać, że grzechy człowieczeństwa wielkiemi zawsze klęskami się karcą; w jednostkach pojedynczych, im kto uczciwszy, tem cięższe dźwiga brzemię, a grzesznicy opływają spokojem, wygodą, pomyślnością; śmierć ich nawet, według słów psalmisty, niczem się od śmierci sprawiedliwego nie różni. Dawniej w moralnych nagrodach, lub w głosie sumienia przypuszczałam jakieś zrównoważenie tych ślepych igrzysk fortuny—biedna! i z tem złudzeniem rozstać musiałam się na zawsze. Chociaż Dawid powiedział: „Byłem młody i zestarzałem się, a nigdy oczy moje nie widziały, by sprawiedliwy był opuszczonym i dzieci jego by chleba żebrały“ — tymczasem ja jestem młodą i nie zestarzałam się jeszcze, a już widziałam sprawiedliwych w opuszczeniu, ich dzieci w tułactwie. Wiem zaiste, że ów wyraz „sprawiedliwy“ można podnieść do tak wysokiej potęgi, jak doskonałość Chrystusa bez grzechu, jak niepodobieństwo prawie—lecz mnie się zdaje, że nie takiego miał Dawid na myśli i wśród nas także zwyczaj językowy, instynktowne serca natchnienie, nie takich Chrystusów sprawiedliwymi tylko zowie. Ten co przykazań Bożych nie przekracza, co w duszy krzywdy bliźniego nie pragnie, a w uczynkach pilnie jej się wystrzega, co chętny ku dobremu, serdeczny dla bliźnich, wytrwale przywiązany do prawd wiary swojej i zasad swego przekonania, poświęca im bez namysłu dobry byt, osobiste przyjemnostki, wszystkie warunki egoistycznego interesu—taki nasz stryj Krzysztof na przykład, taki twój przyjaciel Szymon, tacy inni, którycheśmy znali, których z rodzinnej pamiętamy tradycyi, w uznaniu ogółu i we własnych dążnościach nieobłudnych sprawiedliwymi ludźmi byli przecież—a gdzie ich moralna odpłata? Czy wymuszony nieomal obojętnych szacunek pocieszył ich długą pamięcią, żywem współczuciem, tkliwą braterstwa oznaką? Czy ich krwawa praca plon jakiś bliźnim przyniosła? Czy z ich ofiar

na chwałę Bożą korzystano? Czy przyjęto, oceniono kiedy? Nie.—Prędzejby jeszcze współcześni podziwieniem, potomni sławą dla nich szafowali, prędzejby im dane były różne skarby, o które nie stoją, niż ten jedyny, pożądany skarb wspólnej miłości — wieniec zużytkowanej, nie bezcelnej zasługi. Gdy więc ludzie nie nagradzają, może niebo nagradza? Może dla sprawiedliwych są pełne radości zachwycenia, ukryte przed wzrokiem drugich wniebowzięcia? może łaski? może cuda?— Nie wiem, nie wiem, nie widziałam, mój bracie; chyba to wszystko piękne, to szczęśliwe grubą tajemnicą powleczone być musi, a ja dojrzałam tylko niewysłowionych tęsknot, gorzkich rozżaleń, głębokiego smutku — czasem nawet, czasem w niektórych dojrzałam zniechęcenia, a we wszystkich mniejwięcej czujnego niepokoju i gotowych przeciw własnej sprawie oskarżeń. Zdaje się to dziwnem napozór spostrzeżeniem, jednak zrobiłam je, a ty sam nie będziesz mógł zaprzeczyć, że poczciwi ludzie najwięcej właśnie zaniepokojone mają sumienia. Nazwij to, jeśli ci się podoba, dewocyą, skrupułami, przesadą; nie odejmiesz od ich duszy tej naddatkowej tortury. Może dlatego się tak dzieje, że poczciwi cierpią dotkliwiej niż inni na świecie, a pani Staël jeszcze pierwej odemnie zauważała: „que les grands chagrins portent leur trouble jusque dans la conscience.“ Występnym zato sumienie wcale nie dokucza, chyba że który z nich dopiero zaczyna, lub już przestaje być łotrem. W pełni swego rozwoju zbrodnia jest spokojniejszą od niewinności. Zgryzoty sumienia, to autorski pomysł jedynie, nadzwyczaj efektownych monologów dostarczający dramatom, lecz w rzeczywistości weź całą zgraję nikczemników, szachrai, pijanic, kłótliwych przekupek, plotkujących bigotek, zniewieściałych kapitalistów, rozzuchwalonych wydzierców — spytaj kogobądź z tej ciżby, czy go sumienie dręczy? Jeśli przypuszczasz, że miłość własna może odpowiedź sfałszować, więc sam podsłuchaj sumienia, śledź go w przemiennym twarzy wyrazie, śledź na jawie i we śnie, przekonasz

się, jak mało jest Makbetów, co przy swoim stole cienie Banka widują, albo Orestów furyami ściganych. Makbety nasze piją wyborne cypryjskie wina, Oresty mają piękne żony, zdrowe dzieci, bale wydają i po zagranicznych stolicach szumią; nawet choć pójdą do spowiedzi, to im na myśl ani na język nie wpadnie to, o co właśnie rozgrzeszenia błagać powinni. Cóż dopiero mówić o tych przestępcach, którzy na siebie jeszcze wyraźnego artykułu w prawie kryminalnem i wyraźnego potępienia w opinii publicznej nie mają? Cóż mówić o tej masie biernej, obojętnej, spruchniałej, o tej masie, którą sam Dante na przedpieklu po wieki wieków zostawia? Czyż te miliony zatroskały się kiedy, że pominęły urzeczywistnienie jakiegoś ideału, spełnienie jakiegoś obowiązku, wyższego nad funkcye i warunki bytowania? Nie—dla szkodliwych, dla bezużytecznych niema wyrzutów sumienia i po większej części niema też cierpień, niema sprawiedliwości dziejowej; są różne dolegliwości może, przypadki, choroby, ale to zwykle bez braku, bez odróżnienia, jak grad na puste i pełne kłosy, na złych i dobrych bije. Artrytyzm cierpi zarówno niedostatkiem zgnębiony i zbytkami hulanek przepity. Zapalenia kiszek dostać może zbrodniarz i najcnotliwszy człowiek w świecie; piorun czasem w bezwstydne głowy zuchwalców uderza, lecz powiedziałabym, że daleko częściej pali kościoły i nizkie biednych wieśniaków chałupy, a kiedy cegła z dachu leci, to jeszcze można dziewięć przeciw jednemu stawić, że prędzej spotka się z czaszką pracowitego ojca rodziny, niż z pustą mózgownicą próżniaka i darmozjada. Wszakże tego zakładu popierać nie myślę, tego przypuszczenia, jeśli cię razi, chętnie odstępuję; tylko co do sprawiedliwości dziejowej, choćbym tak szczerze pragnęła, ustąpić nie mogę. Niema jej, Hieronimie—patrzę, ale nie dowiduję w przeszłości, czekam, ale nie otrzymuję w teraźniejszym wieku — więcej się nawet powiedzieć odważę: jest dla mnie wszędzie oburzająca dziejowa pod względem szczęścia jednostek niesprawiedliwość. Wy-

stępki grzeszników, zdrady, odstępstwa, przedajności, egoizmy gromadzą się w straszliwą nad ludzkością chmurę, lecz powódź tej chmury późniejsze dopiero pokolenia unosi. Przy uznaniu zupełnej solidarności rodowej społeczeństwa, jest w tem słuszność pozorna, ale według mego przekonania istotnej słuszności niema. Jak ci się zdaje, mój bracie? Któż odcierpi historycznie i osobiście za osobiste i historyczne grzesznych ojców zbrodnie? czy syny także, czy samoluby, rozpustniki, symoniacy, złodzieje?... Och! dla podobnych istot zawsze ta sama gry szulerskiej szansa; jeśli któremu się powiedzie, to wskutek mniej zręcznego rzutu, jeśli który poszwankuje, to dlatego że przegrał, a nie dlatego że grał. Wkoło niego zawsze będzie liczniejsze grono szczęśliwszych towarzyszy, co im potrójnie stawki się opłacą, co sobie wesoło ucztować będą, choć tam widmo pomoru wzdłuż i wszerz całą przebieży ziemię, choć głodne rzesze od narodu do narodu jałmużny korca żyta żebrać będą z rozpaczą, lub tysiące armat zagrzmi gdzie odrazu i trupami tysiąców pola nieuprawne zasieje. Dla fortunnych graczy występek jest zupełnie obojętną rzeczą. Cały ciężar plagi Bożej spadnie na tak biednych, tak biednych, że za niewinnych i za uniewinnionych pod względem historycznego stosunku uznać ich trzeba, albo też spadnie na tak cnotliwych, tak poświęconych, że aż „okupującymi złe czasy,“ według słów Pawła Apostoła, nazwaćby się ich godziło.

A zatem, Hieronimie, w żaden sposób na to się pisać nie mogę, że cierpienie jest „grzechu owocem“— jeśli do tego wyrażenia myśl kary przywiązujesz; jeśli tylko myśl skutku, to masz słuszność—każdy prawie, kto cierpi, zawsze dlatego cierpi, że ktoś inny albo jemu, albo koło niego, albo przed nim coś złego zrobił, tylko nie warto sobie głowy łamać nad wyśledzeniem tajemnej sprawiedliwości, któraby między skrzywdzonym a krzywdzącym rozsądzała. Wiecznie tu jeszcze osiecki kodeks rządzi: kowal zawinił, ślusarza wieszają. Niechże tak będzie zresztą—i owszem; dzię-

ki Bogu, że tak jest. Gdyby ludzie mogli sobie jakąkolwiek ziemską formułką dziwaczną grę swoich ziemskich losów wytłumaczyć, toby ich umysł, poprzestając na tem odkryciu, nigdy już może ku wznioślejszym nie sięgnął pojęciom; lecz tutaj niewiadomość, jak powietrzna łupina, dokoła gorzkie ziarnko naszej planety objęła. Nigdy żadna chwila życia sama sobą się nie ogranicza, żadna wątpliwość moralna według pewnych danych liczebnie rozwiązaną być nie może; zdarzenie żadne wiadomem nie usprawiedliwia się zdarzeniem: musimy więc przypuszczać, uznawać, wierzyć, musimy poczuć nakoniec, że duch nasz z nieskończoności w nieskończoność kroczy, a przedgrobowe przyczyny w zagrobowych dojrzewają skutkach. Kiedy się wszystko wikła na ziemi, w niebie wszystko się rozplątuje, tłumaczy, objaśnia. Droga pracy i zasługi pełną ciemności być może, ale cel zbawienia widny i nieomylny.

O Hieronimie! jeśli cierpienie karą nie jest, niechże przynajmniej zawsze środkiem zbawienia będzie. Niech daje ciszę, pokorę i miłość wybranym swoim, niech do ludzi budującym przykładem, do Boga pełną błogosławieństw modlitwą się odzywa — poddam mu się z zachwyceniem, przyjmę je wtedy dla najdroższych moich. Wiem to i czuję, że szczęścia lub nieszczęścia względem nieśmiertelnej duszy człowieka są kłamliwemi tylko doczesności złudzeniami; prawdą w nich jedyną to jest, co dusza z nich na pomoc ku zbawieniu weźmie, bo zbawienie jedynem także życia ludzkiego zadaniem; szalony kto się o co innego kłopotać, nad czem innem mozolić poważa! Ale czyż i zbawienie jest tylko sprawiedliwości wymiarem? czyż samą nagrodą przecierpianych bez grzechu nieszczęść? Inaczej mię o tem uczyłeś, inaczej też wszystkiemi władzami swemi dusza moja przeczuwa. Ślady grzechu pierworodnego, zatarte w odporności rzeczy zmysłowych i w skłonnościach wewnętrznej istoty naszej — ziemia przez pracę pogodzona z człowiekiem, a człowiek przez cnotę, piękność i rozum pogodzony

z Bogiem, krótko mówiąc, udoskonalenie najwyższe jest ostatecznem zbawieniem dopiero. Cierpienie też udoskonala—tak na mnie pobożne usta wołają, tak ja koniecznie wierzyć potrzebuję. Dlaczegóż co przejdę między ludźmi, co dotknę własną ręką ostrych cierni przy drodze, to zawsze cząstkę jakąś mej wiary utracam? W świecie zdarzeń, nie w świecie medytacyi, każda prawie dłużej trwająca boleść, niby rzeka po spadzistości lądowej płynąca, w bezbrzeżne morze grzechu i zepsucia się zlewa. Uważaj tylko, Hieronimie, że o dłużej trwającej mówię boleści. Przechodnia burza, choćby też i piorunna, dość korzystnie w pierwszych chwilach na organizm człowieka działa. Jeśli grom nas nie rozkruszy, to się zrywamy na równe nogi, zbroimy się w męztwo i wytrwałość, pilniej szukamy Boga, ufniej się Jego świętej poruczamy opiece, dla smutnych i pognębionych serdeczniejsze czujemy braterstwo. Lecz gdy piorun zostawi ślady niezatarte, gdy chwila po chwili, rok po roku żyć nam przyjdzie z ciągłą naszą fizyczną czy moralną nędzą, dopiero-to gorzkną łzy nasze i sami się nie spostrzegamy, jak nam wysycha, jak zastyga najczystsza i najgorętsza krew serca naszego. Tych straszliwych tajemnic cierpienia doświadczeniem jedynie nauczyć się można. Pamiętam przecież, kiedy się życie moje złamało w najpiękniejszych młodości chwilach, kiedy i tobą los rzucił daleko, byłam silną, byłam spokojną. Kochająca, więcej tylko niż pierwej garnęłam się do zewnętrznej pracy, a samotnych unikałam rozmyślań. Czy to chęć poniżenia duchową godnością tych, co na mnie pierwsi kamieniem krzywdy cisnęli, czy potrzeba zrzeczywistnienia w sobie swoich pojęć o ideale kobiety—ciężka uraza, czy miłość bez granic? trudno sądzić; wiem tylko, że przez czas jakiś byłam zdolna do wielkich czynów, do bardzo szlachetnych uczuć, do najzupełniejszego poświęcenia. Teraz nie mogę sobie dać podobnego świadectwa. Bez ciebie najpierw znalazło się wiele chwil pustych, i czczych i bezcelnych w dniu każdym; potem zwolna chwile takie zaczęły

się mimowolnie krytycznem rozpamiętywaniem przeszłości napełniać; za krytyką wcisnął się sarkazm, za sarkazmem zniechęcenie, za zniechęceniem... jeszcze nie wiem co przyjdzie—może obojętność na złe i dobre, może skłonność ku złemu nawet. Ale nie, ty mię samej nie zostawisz, Hieronimie, ty nie odjedziesz na zawsze, bo ty widzisz, że gorszą się staje, że kiedy ciebie nie mam, dalsze zbawienie moje...

A jednak są stokroć niebezpieczniejsze dla duszy ludzkiej straty i doświadczenia. Jeśli nie ze strony wyjątkowej, lecz wprost ze statystycznej patrzę na społeczeństwo, same rozczarowujące przedstawiają mi się widoki i obrazy. Wielkie nieszczęście wywołuje po większej części odpowiedni sobie grzech i upadek. To, co mi się zdawało świętością, kapłaństwem na tej ziemi, ogniem probierczym dla złota, okazuje mi się raz porazu szkaradną kałużą tylko, przez którą wszyscy przechodzić muszą; jakkolwiek niektórych zadziwiająca ostrożność od plam uchroni skutecznie, liczba ogółowa niemniej przeto nogi sobie powala i suknie zaszarga. Zdaje się, że choroba jest najłatwiejszą do przebycia próbą—przypatrz się chorym i powiedz mi potem, ilu z nich drażliwej niecierpliwości lub zdziwaczenia ustrzedz się zdołało? A teraz weź ubóstwo: wszakże to stan ewangeliczny, bardzo cichy i niezaczepny, bardzo zalecony szacunkowi pobożnych ludzi; przejdź się między ubogimi z profesyi lub z rodu, między żebrakami, a nędzarzami, boć jeszcze trzeba te dwa gatunki rozróżnić—przejdź się, mój bracie — znajdziesz wszędzie zezwierzęcenie, ciemnotę, znajdziesz naturę ludzką o pomstę wołającą do Boga, głosem własnych przekleństw, atestem własnego zni kczemnienia, i tak zawsze przy każdej klęsce: głód prowadzi za sobą rozboje i złodziejstwa, zaraza zobojętnienie cudzej śmierci i bezwstydniejszy egoizm, wojna rozpustę i grabieże, kalectwo chytrość i zazdrość względem drugich, sieroctwo nawet, sieroctwo, takie bezpośrednie, jak się zdaje ręki Bożej dotknięcie, widziałam że ciągiem życia w pewną martwotę serca

w pewną skamieniałość wewnętrzną przechodzi. Cóż dziwnego? Kwiat nie kwitnie w piwnicy, uczucie ludzkie nie rozwija się bez dobroczynnego wpływu miłości i starań rodzicielskich, bez tego słońca kolebki naszej. Lecz to wszystko są ledwie, jakby rzec można, urzędowe nieszczęścia—pierwszy lepszy wójt gminy potrafi ci je w obrazek porównawczy z ich następstwami ułożyć; ale przydaj do ich liczby te drugie, nie urzędowe, te jeszcze konieczniejsze w losie każdego, te nieuniknione wśród ludzi szyderstwa, podejrzliwość, zawiść, oszukaństwo, i kłamstwo i potwarze, niechęci różne i różne prześladowania, co przy pierwszym kroku wstępującego na scenę świata jak szakale zgłodniałe obskakując, aż do grobowej towarzyszą mu deski. No, Hieronimie, czyż łatwo zpomiędzy nich w całości unieść godową szatę swoję? A bez godowej szaty gospodarz za drzwi wyrzuci. Jednak prawda, mój bracie, sute być musi przyjęcie, obfita nagroda dla tego, który wytrwa, i pomimo zawieruch, udręczeń, pomimo bagnisk błotnistych nieskalane, kochające jeszcze serce do ostatniej chwili dodźwiga. Słusznie przed takim klękać po błogosławieństwo i świętej jego pamięci w kościołach ołtarze wznosić—tylko ja myślę, że mi wolno westchnąć żałośnie nad palmą męczennika i wolno mi przypuścić, że wśród innych okoliczności, przy lżejszem brzemieniu, ten męczennik, sam dzisiaj dla siebie zbawiony, byłby mógł stać się dla drugich zbawienia prorokiem, mistrzem, wodzem; zaiste, wolno mi to przypuścić, gdyż kiedy śladów podobnych jemu nieszczęściem upatruję, wszędzie spotykam jakieś dobro, jakieś poczciwe uczucie, jakąś skłonność szlachetną wraz ze łzami uronioną przy drodze. On miał tylko większy zapas i bogatsze przybory, to też nie stracił wszystkiego; gdyby wszystko był zachował, kto wie na ile cudów, na ileby mu starczyło arcydzieł?! Im więcej rozważam te sprzeczności prawdy niebieskiej, a ziemskiej historyi — przeznaczenia duszy ludzkiej, a losu życia człowieczego, tem większy smutek na duszy mi osiada i tem czarniejsza chmura

przed oczy mi się zwiesza. Gdyby nie pamięć słów twoich, Hieronimie, pewnobym gorzkim śmiechem zbluźniła w tej chwili. Lecz ty mówiłeś: pytaj i ufaj. Kazimiero, pytaj i wierz stale, że w każdym wątpliwym świata pozorze nie Bogu sprawiedliwości, lecz tobie jeszcze światła na jej pojęcie brakuje. Otóż więc dzisiaj także mocno wierzę, ufam niezachwianie, że cała owa gmatwanina jest najwyższej dobroci i mądrości tkanką, tylko ja moim wzrokiem objąć całości i kierunku jej nitek nie mogę, a ludzie źle mi tłumaczą.

Ludzie cynizmu i przeczucia spełniają szumne na cześć rozkoszy toasty, a w tej rozkoszy właśnie tak nizko, tak zwierzęco upadają, tak głupieją, tak się psują, tak nienawistnieją, jak najbiedniejsze społeczeństwa pariasy; zbytek użycia spotyka się w moralnym upadku z najstraszliwszą nędzą. Nie, ja nie stanę nigdy w zbytkujących kole; jużbym chyba przed sądem Bożym w tłumie nędzarzy stanąć wolała. Lecz drugostronnie wznoszą się głosy ascetów i kaznodziei: „Cierp! cierp! — wołają na mnie—przebijaj sobie ręce i nogi gwoździmi, kładź na twe skronie cierniową koronę; wyrzekaj się wszystkiego co ukochałaś, chwytaj za wszystko co jest wstrętne twojej zepsutej ludzkiej naturze; bierz krzyż jak możesz najcięższy i idź śladami Chrystusa.“

Nauczyciele tajemnic Pańskich, toż powiedźcie mi raz nakoniec, czy Bóg Chrystus był wzorem tylko, czy Zbawicielem zupełnym? Jeśli był wzorem, czemuście mi powiadali, że dla tego wypełnił prawo Mojżeszowe, aby mię zpod niego uwolnić? A jeślić wierzycie, że On Zbawiciel nasz, jeśli tak macie w sercu, jak w ustach te słowa, że On dla nas na krzyżu cierpiał i umierał, czemuż zakrywacie przedemną tę nadzieję, że cierpiał dlatego, byśmy teraz i na wieki wieków żyli? Jehowie Starego Testamentu dość było tłustych kozłów i cielców ofiarnych. Pogańskim Indyj bałwanom kilka trupów pod kołami wozu Jaggernauty wystarczało. Fetyszom dzikich murzynów tylko krew

ludzką na ołtarzach przelewano. — A Bogu Chrześcian—Ojcu, który jest w niebiesiech, miałyżby tylko wdzięczną danią być łzy, od krwi stokroć droższe, i smutki, i boleści od wszelkich trzód i ziemskich dobytków cenniejsze? Więc zpod łagodniejszej ustawy Zbawiciel pod surowsząby nas przeprowadził? Odpuść nam, Jezusie Nazareński! ja temu wierzyć nie mogę. Kiedy postępuję za Tobą przez wszystkie karty Ewangelii, kiedy uczynków Twych patrzę, widzę zawsze i wszędzie cuda Twoje, znoszące każdą nawet doczesną nędzę ludzkości; leczysz, karmisz, wskrzeszasz syna jedynaka wdowie, brata Łazarza siostrom jego spłakanym. Nie odpychasz żadnej troski, żadnej biedy, co się po wsparcie do Ciebie garnie, i ocaliłbyś mury Jerozolimy, gdyby to miasto zaślepione rozpoznało godzinę swego nawiedzenia. Lecz miasto pod Ponckim Piłatem sądzi i krzyżuje Zbawcę! Ot, wiesz co, Hieronimie, zdaje mi się, że przejrzałam wyraźniej. Co to jest nieszczęście? już rozpoznaję, już się domyślam, chwila jeszcze, a będzie to przekonaniem mojem, słowo twoje przyświadczające, a będzie to wiarą moją. Nieszczęście, mój bracie, wcale nie jest grzechu owocem, jak niegdyś mówiłeś do mnie: nieszczęście jest samymże grzechem; przeciw nieszczęściu trzeba walczyć, trzeba koniecznie bojować, jak przeciw grzechowi i przeciw złemu. W jakiejbądź ukaże się postaci, jakkolwiek zwodniczym przyodzieje się kształtem, tępić je na wsze strony, niszczyć, z korzeniem wyrywać powinniśmy; czy ubóstwo żebracze w łachmanach, czy zaczepność zuchwałą klejnotów swoich blaskiem, my właśnie, chrześcianie, mamy prawo zpomiędzy siebie usuwać to wszystko. To ma być wola Boża na ziemi, jak w niebie, a w niebie niema ubóstwa, niema pychy, niema wydzierstwa, niema tęsknoty i rozłączenia, kłamstwa i obłudy, grubej nieświadomości i zabobonnego idyotyzmu. Przecież gdybyśmy połowę chociaż tej siły, którą zużywamy częstokroć na przecierpienie boleści, obrócić chcieli na usunięcie ich przyczyn, jużby pojutrze lepiej było na świecie. Jakim sposobem?—

nie wiem — z własnego serca, z przebytej do dnia dzisiejszego historyi wiem tylko, że ogromna potęga leży w tem jednem pojęciu, zaprzeczającem lub uznającem konieczność nieszczęścia. Walka jędrniej niż rezygnacya władze ducha rozwija, a chwała Boża czyż nie głośniej, czyż nie święciej rozbrzmi po ziemi całej, gdy się każdy starać będzie w ofierze nieść Panu swojemu miłość ożywczą, dzielną i szczęście poczciwe?

Cóż myślisz Hieronimie?...

Na list żartobliwy mojej szanownej korespondentki odpowiedziałem równie żartobliwym tonem; o ile sobie przypomnieć mogę, prosiłem ją tylko, żeby się w zamówionym dla mnie portrecie ubrała w większą wyrozumiałość, w łagodność, skromność, prostotę i trochę przynajmniej życzliwości. Co do zapytania, w najdelikatniejsze wyrazy obwinąłem tę radę gorzką i niemiłą, aby się na zbyt trudne nie porywała rzeczy; schowałem się za Jana Kochanowskiego z całem mojem kazaniem i rozwinąłem obszernie wiersz jego wszystkim znajomy:

> Na tym tu biednym świecie,
> Radość z troską się plecie,
> A ktoby swym rozumem chciał tego dochodzić,
> I umrze, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Pytałem, czy jej przypadkiem Hieronim tego samego nie odpowiedział; wkońcu jeszcze raz usilnie dopominałem się powieści i bardzo prosiłem nawet, żeby to mogła być powieść uczuciowa, bo tylko na tej drodze rozwija się prawdziwy, najwyższy artyzm kobiety. Moja bezimienna krótki odpisała bilecik:

„Hieronim zupełnie mi co innego niż pan Tomasz odpowiedział; zdaje mi się, że odpowiedział lepiej, sumienniej, korzystniej dla kierunku mojej przy-

szłości, chociaż wielu moim wnioskom zaprzeczył, a wszystkie inne sprostował mniejwięcej. Długo czekać na list jego musiałam i pan teraz zaczeka, nim się z panem jego treścią podzielę. Zażądałeś pan uczuciowej powieści; prawdę mówiąc, już od trzech lat pracuję nad powieścią, bardzo długą, bardzo zawikłaną, ale ponieważ sama nie wiem, kiedy mi ją skończyć się uda, przesyłam mu tymczasem obrazek maleńki, trochę z natury przerysowany. Ten zaś portret nieszczęśliwy strasznego nabawił mnie kłopotu; przyrzekam wszelkich dołożyć starań, aby się w nim upodobnić—lecz jak mi się powiedzie? wątpliwość. Jeczcze prostota znajdzie się może; gdzie niema śmiesznych wymagań, skromność łatwą będzie, przy dobrze zrozumianym interesie mojej miłości własnej — ale zkąd się zdobyć na wyrozumiałość, której ja sama potrzebuję od drugich, którą nikogo częstować nie odważyłam się jeszcze? A już co łagodność!?... Pan Tomasz uwziął się chyba, żeby mi najtrudniejszą co do przejścia wyznaczyć gimnastykę; musiał go pewnie ktoś ze znajomych moich podmówić, i to jeszcze taki, co się kiedy przy mnie z jaką oburzającą potwarzą lub z jakiem kłamstwem bezbożnem odezwał. Dzięki Bogu, że choć jednemu wymaganiu pana Tomasza bez żadnych zastrzeżeń w pełności prawdy i serca zadosyć uczynić mogę. Życzliwość szczerą znajdziesz pan zawsze w portrecie i w oryginale swojej najposłuszniejszej

Korespondentki.

Obrazek dołączony, a raczej żądana przezemnie powieść, miała tytuł: „Biała Róża.“

BIAŁA RÓŻA.

BIAŁA RÓŻA.

Czuć czy marzyć? ach! tak, marzyć,
Do zawrotu głowy,
Do senności letargowej,
Marzyć wiecznie! marzyć! marzyć!

Przepisane z notatek kochanej Eci.

Parę lat temu, ja biedna, cicha korespondentka szanownego redaktora, ja, wieśniaczka zza Suwałk, od kur i książek moich oderwana, ujrzałam się nagle w licznem, świetnem, a dla mych stosunków i wyobrażeń zupełnie obcem zgromadzeniu balowem. Proszę sobie wyobrazić, jakie olśnienie, jaki podziw, jaki strach! Bo to nie bal sąsiedzki, prowincyonalny, choćby w samem gubernialnem mieście; to prawdziwy bal warszawski, na salonach, które się liczą do najpierwszych i najobszerniejszych w stolicy. Krocie intraty, litanie całe tytułów, śmietanka z trzech przynajmniej gatunków towarzystwa zebrana, wystawa różnych znakomitości i pięknych twarzyczek, zbliżenie przeszłych i teraźniejszych, niedokonanych i przyszłych czasów, mieszanina chronologii z arytmetyką, literatury z modą, praw z pretensyami, próżności z próżnością — i wśród tego wszystkiego mnie się zawieruszyć!... Ale nie moja w tem była wina: zaraz się panu

usprawiedliwię; to Felunia mię skusiła, Felunia, dobra jak szczęście, uparta jak złe wspomnienie. Czy pan jej nie zna, czy nie spotkał jej kiedy? W wielkim świecie ma podobno rozgłośną sławę przerażająco dowcipnej kobiety, a to poprostu naiwne, swobodne usposobienie; co jej na myśl przyjdzie wypowie, co jej pod oczy wpadnie właściwym nazwie wyrazem, a ludzie potem mówią, że złośliwa. My w naszem kółku wcale złośliwej pani Felicyi nie znamy; między nami, pod dachem najbliższych sąsiadów i najżyczliwszych przyjaciół, Felunia jest tylko sobie harde, rozpieszczone dziecko, które ma różne nieszkodliwe, bo zawsze prawie jakąś odpłatą zrównoważone przywileje. Wolno jej nie pracować, gdyż najczęściej bawiąc się, zrobi więcej, niż kto inny mozoląc upornie; wolno jej nie uczyć się, bo zgaduje to, co inni umieją; wolno jej nie zastanawiać się nad niczem, bo dla niej instynkt nieomylny rozwagę zastępuje, a jej upodobania wrodzone od rozumnych przekonań pewniejsze. Z położenia swego męża i z sumy posagowej pani Felicya należy do pierwszych w kraju i stolicy „salonowych koteryj.“ Z położenia dóbr swoich i ze skłonności swego serca należy także do naszej cichej, zaświatowej rodziny. W salonowych koteryach szeptano sobie, że to „ostre ząbki, ciernista różyczka,“ aż raz podobno księżna S. porównała jej niebieskie oczy do turkusowych szpileczek i odtąd „turkusowe szpileczki“ nad innemi przydomkami górę wzięły. U nas w rodzinie, bracia moi, zwykle panią Felicyą „Brendą,“ stryj Krzysztof „Pogodą,“ matka wołała na nią „moje dziecię, a ja „Kwiatku“ lub „Wilo,“ stosownie do okoliczności. Przez lato Felunia codziennym prawie gościem naszym bywała; zimą ja nawzajem musiałam jej czasem do Warszawy towarzyszyć i chociaż mię to wcale względem jej osobistych stosunków nie zobowiązywało, w owym 18** roku karnawale, wpłynęło jednak potrochu na przełamanie mej trwożliwości i odbycie nadpowietrznej, jakeśmy sobie mówiły, po wyższym świecie żeglugi

— Cóż ci to szkodzi? — powtórzyła ze sto razy Felunia.—Przypatrzysz się, skosztujesz, poznasz.

Zupełnie takiemi pobudkami i Ewa w raju uwieść się dała; nie byłam mężniejszą od Ewy i gdy jeszcze parę innych doradczych zebrało się głosów, sprawiłam sobie prześliczną suknię balową... Jakiego koloru? Nie powiem. Pan Tomasz zanadto jest biegły w wysnuwaniu najdalszych wniosków z najdrobniejszego szczegółu. Gdybym wyznała, że niebieską, toby się gotów we mnie blondynki domyślać; gdybym żółtą wzięła na moję odpowiedzialność, nie wątpiłby, że z brunetką koresponduje; różowa przedstawiałaby mu ciągle jakąś osobę białą i świeżą, nielękającą się porównania z tym niebezpiecznym kolorem; a biała — cha, biała należy do wszelkich odcieni cery i wieku nawet, lecz kłamstwo grzechem—ja nie w białej sukni byłam; ot, niechaj pan mię przyodzieje w najulubieńszą swoję barwę we własnej wyobraźni, to bezpieczniej i prędzej rozstrzygnie się tak zawikłana sprawa. A teraz może pan myśli, że pod skrzydłami Feluni mniej szczęśliwie wybrałam się na pierwszą moję wycieczkę pośród ludzi, którzy niekorzystnie względem niej byli uprzedzeni, którzy jej się lękali i prawdopodobnie mieli do niej niejednę na sercu urazę? Ja sama pewna byłam, że nas tłum samotnością złowrogą otoczy, tymczasem inaczej się stało. Ledwośmy weszły na salę, pełno osób z uprzedzającą grzecznością otoczyło panią Felicyą, aż nam się do stojących opodal krzesełek dostać trudno było.

— Jak ty królujesz, moja Wilo — szepnęłam jej półgłosem, gdyśmy wreszcie wygodne schronienie między dwoma kandelabrami pod cieniem sufitu sięgających drzew pomarańczowych znalazły.

— My obie królujemy! — odrzekła mi ze złośliwym uśmiechem.

— Czy dlatego, że ty piastujesz władzę, a ja nie dbam o nią?

— Kto wie, może jest inna przyczyna; uważaj tylko, jak ci się nasze sąsiadki przypatrują.

— Muszę być śmiesznie ubrana.

— Niewdzięcznico! własnym gustem i własną przystroiłam cię ręką, a ty śmiesz jeszcze wątpić! Nie, w twoim stroju żadnej niema osobliwości, prócz ciebie samej; moja droga, patrz dokoła, ileż spojrzeń ciekawych!...

— Feluniu — szepnęłam jeszcze ciszej — przez litość zobacz, czy mi się girlanda na głowie nie przekrzywiła? czy sukni nie rozdarłam? czy mi przez otwarte okna w karecie błoto całej twarzy nie ucentkowało?

— Bądź spokojna, wszystko w porządku — śmiejąc się szczerym śmiechem, odpowiedziała pusta swawolnica.

— Więc czemu na mnie patrzą?

— A czemu nie przypuszczasz, żeś się im tak bardzo podobała?

— Twoja kuzynka Leokadya zastępuje mię w podobnych przypuszczeniach.

Kuzynka Leokadya była to niemłoda już, trochę ułomna, a zawsze pewna swoich świetnych tryumfów panienka. (Przebóg! Panie Tomaszu, z mimowolnego porównania nie wnioskuj, że ułomną jestem: w moralnem znaczeniu bardzo, ale w fizycznem Felunia nigdyby ci podobnej obelgi nie przebaczyła.)

W tej chwili znów kilka dam nowo przybyłych dalej siedzących zbliżyło się do nas. Moja balowa opiekunka bardzo przyjemnie zapoznawała mię z niemi; przyszło i mężczyzn kilku, każdy się towarzyszce pani Felicyi etykietalnie przedstawić kazał, do tańca jednak żaden nie zamówił.

Przez ten czas, w głębi salonu, między egzotycznemi krzewami ukryta muzyka już próbowała pierwszych akordów przyszłego kontredansa; skrzypce tylko nie mogły się jeszcze do stroju naciągnąć.

— Co to ze mną będzie?—myślałam sobie filozoficznie i tragicznie zarazem.

Felunia lekko mię łokciem trąciła.

— Patrz, patrz, chyba na twoję intencyą pani generałowa ku nam steruje; trzeba ci wiedzieć, że to jedna z najsławniejszych amatorek nadzwyczajności...

— Więc cóż mnie do niej, albo jej do nas? Wolałabym jakiego tancerza w tej chwili.

— Jakto, nie masz dotychczas tancerza żadnego? A to wybornie, doskonale mi się udało!

Nie mogłam wcale zrozumieć, co się mojej Feluni udało, lecz wiedziałam, że mi się balowanie w wielkim świecie nic a nic nie udaje.

— Zaczekaj — mówiła dalej z ciągłą tą swoją niewczesną według mego zdania wesołością — pójdę i najpierw mego męża ci sprowadzę.

Nieszczęście mieć chciało, że pan Zenon, mąż Feluni, stał bardzo daleko we drzwiach drugiego salonu, a idącą na środku drogi powyżej wzmiankowana generałowa zatrzymała.

— Ot! zginął mój kontredans!—westchnęłam sobie żałośnie i na pociechę zaczęłam się po różnych stronach salonu rozglądać. Nikt mi się już nie przypatrywał wtedy, tylko gdy za Felicyą właśnie oczyma śledziłam, jakiś pan dobrze już szronem wieku upudrowany, z niebieskiemi okularami na ogromnym nosie, jej puste miejsce przy moim boku zajął. Wiedziałam, że przed chwilą Felunia wymieniła mi jego nazwisko — ale jakie? pod grozą śmierci nie przypomnę sobie.

— Zapewne pani towarzyszka poszła tańczyć? — odezwał się bardzo miłym i poważnym głosem; ten głos dziecięcą prawie natchnął mię ufnością.

— Nie, panie, moja towarzyszka poszła dla mnie o tancerza się starać — wyznałam szczerze i pokornie.

— A no, więc pani tańcem nie gardzi, to bardzo słusznie, bardzo rozsądnie — powtórzył i uśmiechnął się, jak profesor na dobrą swego ucznia odpowiedź. Mimowolnie ja także odśmiechnęłam się do niego.

— Zdaje mi się, że ten salon pełen jest takich bardzo rozsądnych osób.

— To inna kategorya; tym osobom nikt się nie dziwi, ale względem osób naukowych różne czasem ludzie miewają przesądy. Ja sam, kiedy się żeniłem, to mi nawet moja przyszła żona wierzyć długi czas nie chciała, tak jej się niepodobną zdawało rzeczą, aby ten sam człowiek, co wydawał dzieła matematyczne, mógł ją potem szczerze w rękę pocałować i wyraźnie przy ołtarzu powiedzieć: „biorę sobie ciebie“ i t. d. Właśnie mi się ta jej wątpliwość przypomniała, gdym usłyszał przed chwilą dwóch młodych ludzi, upewniających się nawzajem, że pani wcale tańczyć nie lubi.

Zdumiałam, panie Tomaszu; a toć ja wówczas nawet anonime pańskiej redakcyi moich grzesznych literackich zamiarów nie wyspowiadałam, zkądże mógł się ktokolwiek domyśleć? Przetrząsnęłam pilnie sumienie, czy choć mimowolnem słówkiem nie zdradziłam tajemnicy? — sumienie zaświadczyło, że nawet w jego obecności nie rozstrzygnęłam ostatecznie tej sprawy; zaspokojona więc, trochę śmielej się do matematycznego autora odezwałam:

— Ależ, proszę pana, ja nigdy w życiu nie przeczytałam nawet książki tak poważnej, jak pan napisał niejednę; dlaczegóż ci panowie tak wątpią o moim tańcu, jak żona pana o jego oświadczeniach wątpiła?

Jegomość w okularach wydobył tabakierkę z kieszeni, kilka razy palcem o nią uderzył i już zdawało mi się, że mnie po koleżeńsku częstować nią będzie, ale wstrzymał się jeszcze do czasu.

— Wiemy, wiemy o wszystkiem, choć się pani zapiera niby — rzekł z ojcowską prawdziwie łagodnością. — I ma pani słuszność; aż nadto jest takich kobiet, co z byle wiadomostki chwalby przed ludźmi szukają; cieszę się prawdziwie, żem taką napotkał, która głęboki rozum i poważną naukę pod skromną wesołością młodej dziewczyny kryje.

„Czego ten pan chce odemnie?“ — pytałam samej siebie, słuchając jego osobliwych komplementów. — Istotnie... rzeczywiście...—przerwałam mu nakoniec—

nie wiem z której-to strony i w jakim względzie wszystkie te piękne pochwały do siebie zastosować.

— Tak, tak, skromność jest najwyższym rozsądkiem uczonej kobiety.

Poznałam, że błękitne okulary zawzięły się na mnie srodze, pomimo całej słodyczy wyrażeń i głosu. Dzięki Bogu, Felunia przyszła mię z kłopotu niezasłużonych, więc pewnie szyderczych tylko grzeczności wybawić. Mąż jej stał w odwodzie, skrzypce dociągnęły do właściwego tonu, moja kontredansowa nadzieja odżyła — już wyciągałam rękę do sprowadzonego partnera, gdy znów losy chwiać się zaczęły.

— Nie mamy vis à vis — smutnie pan Zenon się odezwał.

— Znajdziemy — uspokoiła mię jego nigdy o niczem nierozpaczająca małżonka — cochwila oczekują przybycia Kajetanowej. Jej córka, gwiazda pierwszej wielkości na horyzoncie dzisiejszego wieczoru, pewnie już przy drzwiach z zamówieniem się spotka, lub gotowe przywiezie na listkach swego karnetu zapisane; pilnuj się tylko, byś mógł naprzeciw niej stanąć — będziecie tańczyli w drugiej kolei. Do widzenia, zostawiam was własnemu przemysłowi... — i wezwana przez swego tancerza, odbiegła nas wesoło. Własny przemysł nie wiele jakoś nam pomógł. Czy ta oczekiwana pani Kajetanowa nie zjawiła się, czy pan Zenon dojrzeć jej nie mógł, trudno mi było rozsądzić, ale czułam to dobrze, że mi przepadł mój pierwszy kontredans. Felunia okropnie się potem na swego męża rozdąsała za moję krzywdę.

— Ale bo ty się nie domyślasz nawet, jakim grzechem ciężysz na mojem sumieniu – rzekła do mnie, gdy chciałam jego postępowanie uniewinniać.

Byłam pewna, że mówi o grzechu złej rady; bez jej ustawicznych podszeptów nie byłabym się wprawdzie na smutną rolę zapomnianej lub uniknionej wśród tańczących narażała, lecz przeczuwając, jak to wielkiem być musi dla mojej Wili zmartwieniem, w inną stronę chciałam zwrócić jej myśli.

— Czy ty, Feluniu, zawsze męża za swoje grzechy łajesz? — spytałam jej żartobliwie.

— Zawsze, zawsze — odpowiedziała już trochę uśmiechnięta; — ja swoich grzechów na wyłączną własność mieć nie mogę: pobraliśmy się pod prawem zupełnej majątkowej wspólności.

— No, to wam na wspólność także absolucyą udzielam.

— Obejdę się bez niej; musisz tańczyć i dużo nawet — a mówiąc to, chciała pójść znowu jakiego ochotnika ukwestować, lecz właśnie zbliżył się do nas jeden z poprzednio przedstawionych panów.

— Słyszałem że pani tańczy? — wpół niby zapytującym tonem rzekł do mnie głosem.

— I bardzo lubi taniec — uprzedziła mię skwapliwie Felunia.

Grzeczny młodzieniec uprzejmie rękę wyciągnął; puściliśmy się w kręgi szalonego walca po wybornej Lannera muzyce. Jakoś od tej chwili nigdy zbyt długo na jednem miejscu nie posiedziałam. Felunia ze swojej strony czasu nie traciła i ledwie na parę sekund spotkałyśmy się z dwa lub trzy razy. Wtem szmer się zrobił na sali — gromada czarnych fraków szczególniej poruszyła się gwałtownie, jak las jesiennym wichrem kołysany; myślałam, że tak wcześnie do kolacyi proszą, lecz wkrótce inny powód się wyjaśnił. Ustawiona przez mego tancerza pod oknem, wśród mnóstwa kwiatów i balowych sukien, nie mogłam zrazu odgadnąć, czemu większa połowa gości ku drzwiom wchodowym się zwróciła. Po chwili, między tłumem dojrzałam zwolna się przesuwającą krótko ostrzyżoną głowę bardzo wysokiego młodego człowieka, a po obu stronach tej głowy na prawo oryentalny zawój z rajskiem piórem, na lewo białą różę przy ciemnych włosach upiętą.

Szukam Feluni, by jej o nowo przybyłych zapytać, lecz Felunia daleko stała, nowoprzybyli zaś już wpół drogi między gromadzącą się koło nich ciżbą zprzed oczu moich zginęli. Nader spokojnie zniosłam

ten wypadek, jednak blizko stojąca sąsiadka musiała lepiej odemnie całą jego okropność pojmować, bo pełnym litości głosikiem odezwała się łaskawie:

— To pani Kajetanowa z córką i synem przyszła.

Już drugi raz słyszałam nazwisko pani Kajetanowej *** wymienione tego wieczoru, nazwisko bardzo znakomite, jak widać, a ja nic o niem nie wiedziałam! Zdobyłam się na odwagę cywilną i ufna w przychylne sąsiadki usposobienia:

— Co to za pani Kajetanowa ***?—spytałam.

— Ta z Opatowskiego.

— Ta z Opatowskiego! — powtórzyłam, udając obłudnie, że mię zdobyty szczegół we wszystkiem objaśnia.

— Czy pani zna ją osobiście? — nawzajem mię zagadnęła oszukana pewnością mego tonu.

— Nie, pani, bardzo daleko od siebie mieszkamy; ja aż zza Suwałk jestem i dlatego najpewniej pierwszy raz słyszę o pani Kajetanowej ***.

Sąsiadka lekko się zaczerwieniła, może z gniewu, może wzgardy uczuciem. Na mój ratunek Niebiosa w samę porę Felunię spuściły,

— Stoisz tu i nic nie widzisz—zaczęła mię łajać surowo, ciągnąc za rękę ku sobie.

— Nic nie widzę, jednak wiem już troszeczkę,— usprawiedliwiałam się zuchwale.

— Co ty wiesz kiedy, moja droga? Wylecz się z tak brzydkiej zarozumiałości.

— A przecież teraz co wiem, to wiem, szanowna pani Felicyo.

— Wiesz, dajmy na to, że Temistokles zwyciężył Greków pod Salaminą.

— Jak cię kocham, Feluniu, tak nigdy w życiu tego co mówisz nie wiedziałam, lecz z historyi nowożytnej wiem, że przyszła pani Kajetanowa z córką i synem.

— No, to wiesz wszystko.

— Gdybyś raczyła kilka jeszcze nic nieznaczących przydać drobnostek, byłabym ci bardzo wdzięczna. O pani Kajetanowej już słyszałam że jest z Opatowskiego, ale powiedz mi choć ze dwa słowa więcej, na czem polega jej znakomitość: czy taka rozumna?

— Och! znać pedantkę!

— Czy miała sławne awantury?

— Mizantropko!

— Więc musi chyba mieć ogromny majątek?

— A juści, trzech milionowy, Kazimiero!

— Trzech milionowy!!! Zlituj się, Wilo moja, podprowadź mię tak, żebym się mogła zblizka trzem milionom przypatrzeć, ja biedna, com dotychczas ani jednego milionika na własne oczy nie widziała.

— Dziś cię z trzema zapoznam.

— Zapoznawać się nie chcę; zero przed milionami niema żadnej wartości.

— I owszem, ma wartość głęboko filozoficzną.

— Być może, słyszałam że głęboka filozofia ma często wartość zera; ale ja nie chcę, ja się boję trzech milionów—i stanęłam jak wryta na miejscu, gdym spostrzegła, że mię Felunia zdradliwie dalej niż chciałam posuwać zamyśla.

— Więc pójdę sama — rzekła nakoniec przekonana o niezłomności mej woli — pójdę, przywitam się, rozmówię i zobaczysz, że mię nie zabiją, nie rozdepcą, nie zjedzą.

Jak mówiła, tak zrobiła; znowu zostałam samą, ale przynajmniej na ten raz mogłam lepiej widzieć wszystko. Rajskie pióro kilka razy bardzo się wdzięcznie na ukłon Feluni zachwiało. Właścicielka jego była-to przystojna jeszcze czterdziestokilkoletnia kobieta; miała ciemno-purpurową aksamitną suknię, brylantową spinkę w zawoju, brylantowe kolczyki przy uszach, brylantowy fermuar z perłami na szyi, brylanty w wielkiej broszy na staniku, brylanty w kokardach czarnych koronek, które przód spódnicy zdobiły, brylanty... brylanty... wszędzie brylanty! Niech

te kamienie chlebem się staną. a można będzie niemi kilka parafij na przednówku wyżywić. Właśnie zaczynałam sobie arytmetycznie to przypuszczenie obliczać, gdy nagle zpod boku ubrylantowanej matki, Biała Róża, Feluni miejsca ustępując, w całej swojej okazałości się wzniosła. Wszystkie postronne myśli z głowy uleciały, jak gdyby słońce zeszło nad ciemnościami; ale bo też ja nawet wyobrażenia nie miałam o możliwości tak doskonale pięknej istoty. Zdawało mi się, że arcydzieła podobne znajdują się tylko na płótnach wielkich mistrzów, lub gdzie w pałacach florenckich; wszystkie dotychczas widziane kobiety zawsze mi się lepiej podobały, gdy im się dłużej i uważniej przypatrzyłam, gdy zrozumiałam grę ich fizyognomij, wymowę ich spojrzeń, wdzięk ich uśmiechów. Tutaj odrazu jasność mię olśniła — pierwszy rzut oka dał mi natychmiast wrażenie cudnego snycerskiej sztuki utworu. Wzrost wysoki. kształty pełne i śmiało odznaczone; profil nienagannej czystości, białość marmurowa, a dla zupełniejszego złudzenia marmurowa nieruchomość także. bo jak przed chwilą prosto, automatycznie podniosła się owa przepyszna statua, tak po chwili stała jeszcze prosto, spokojnie, z lekko wzniesioną głową, z opuszczonemi rękoma, istne bóstwo starożytne—ale czy siły? czy dumy? czy obojętności? nie mogłam jeszcze rozeznać. domyślałam się tylko artystycznej w wyborze stroju intencyi. Chociaż wszelkim wymaganiom ówczesnej mody odpowiedni, zdradzał on przecież pewne muzeowe przypomnienia. Ciemne włosy, po grecku w tył głowy zebrane, troistem kołem warkocza spadek cudnie zarysowanej czaszki pokrywały; utkwiona między plecionkami jedna tylko biała róża z klasyczną prawdziwie prostotą ku twarzy się przechylała. Na drugiej, obłoczkowatej, gaze iris sukni, takaż tunika poniżej kolan sięgająca, złotym greckim deseniem była obwiedziona; podobnyż deseń wcięcie przepaski okalał, śnieżną białość spadzistych ramion z białością stanikowych fałdów rozgraniczał i dwiema obrączkami zakończenie krótkich

rękawków uwydatniał. Zresztą, jak na posąg przystało, żadnych ozdóbek ani świecidełek, ani sznureczka perełek na wygładzonej dłutem Praksytela szyi, ani jednej bransoletki na obu wypożyczonych od Junony rękach—później ledwo dojrzałam, że między gazami stanika, niby iskierka z piersi ulatująca, migotał drobnej szpileczki brylancik. Wdzięczna byłam Białej Róży za odrzucenie w poważnem przybraniu swojem wszelkich innych dodatkowych kosztowności; już mię brała ochota iść za Felunią, żeby do niej się zbliżyć, lecz dźwięki muzyki inny głosiły wyrok.

Przez czas jakiś kręciłam się wirowałam, suwałam wraz z innymi po ślizkiej posadzce, aż nakoniec los tańca usadził mię w tej samej spokojnej przystani, w której przed pierwszym kontredansem jegomość z niebieskiemi okularami tak uporczywie mój rozsądek i skromność moję wychwalał. Spojrzę obok siebie — na drugiem krześle Biała Róża siedzi; aż mi się oczy rozweselić musiały, lecz sąsiadka nie uważała tego zapewne, bo w tej chwili właśnie bardzo pilnie się przyglądała inkrustacyom swego wachlarza; czekałam, żeby przynajmniej wzniosła długie rzęsy spuszczonych powiek—już miałam jakieś pytanie na języku, ale doczekać się nie mogłam. Przyszedł któryś z lwów stolicy i energicznem grzywy potrząśnieniem zawezwał ją do walca. Biała Róża wstała jak automat, podała rękę, zdaje mi się że nawet nie spojrzawszy na swego tancerza. Po chwili walcująca para znów się zatrzymała przed opróżnionem krzesłem i znów miałam sposobność Białej Róży dobrze się przypatrzeć. Była tak biała, tak wypoczęta po tańcu, jak przed tańcem, nawat śpieszniejszy oddech żadnego nie zdradzał utrudzenia.

— Czy ona żyje tylko? — pierwszy raz wtedy przez głowę mi przeleciało i ogarnęła mię ciekawa jakaś niespokojność; postanowiłam sobie, że koniecznie Białą Różę chociaż na kilka słów rozmowy wyciągnę.

— Czy pani... — rzekłam głośno. Przed Białą Różą znów stanął jakiś blondyn z pokłonem. Miałam

krótką chwilę złudzenia, iż piękna milionerka waha się i chce końca moich wyrazów dosłuchać, lecz nim przerwane z następnemi zesztukować zdążyłam, już podniosła się jako pierwej i w taniec ją zakręcono; mówię: ją zakręcono, bo rzeczywiście nie ona sama zakręciła się chyba własnym ruchem i wolną a nieprzymuszoną wolą. Taniec jej był poważny, co więcej nawet, był lekki, wdzięczny, ale do sennego tańca jakiejś nieożywionej jeszcze lub już umarłej istoty podobny; ani jeden muskuł nie zadrgnął na jej twarzy, ani jedno pełniejsze odetchnienie kamiennej piersi nie wzniosło; zdaje się, że pomimo szybkich walca obrotów, włosek żaden przy gładko uplecionym warkoczu nie powionął. Kiedy znów obok mnie siadła, tej jedynie dostrzegłam różnicy, że się trochę obróciła w moję stronę i że patrzyła na mnie.

Ach! jakiemi ślicznemi patrzyła na mnie oczami! to mi wszystkie słoneczne promienie, i wszystkie zorzy północnej blaski, i srebrne światłości księżyca, i lampy w rzymskich grobach i co tylko błyszczy, przenika, połyskuje, migoce, jaśnieje, wszystko odrazu na myśli mi stanęło. Przed temi oczami zawstydziłam się powszedniego „frazesu,“ którym chciałam pierwej nieco zawiązać naszę rozmowę. Takich oczu chciałam pytać, czy niebo albo piekło widziały? Niestety! po trzech sekundach już dostrzegłam, że oczy takie są jakąś w pięknej tylko chwili zatrzymaną skamieniałością. Ciekawość moja fizyologiczny wzięła kierunek.

— Czy pani się w tańcu nie męczy? — rzekłam dość grzecznie zpozoru, lecz pełna wewnątrz dziwnych niecierpliwości, prawie rzecbym mogła gniewów.

— Bardzo się męczę — odpowiedziała tak spokojnym, tak czysto-piersiowym głosem, jak gdyby na zaprzeczenie własnym słowom lub moim na urągowisko.

— Jednak pani nadzwyczaj wiele tańczy — ciągnęłam dalej ołowiany dyalog.

— Ja zwyczajnie nadzwyczaj wiele tańczę — powtórzyła mi z niezachwianą powagą.

Bystrzej trochę spojrzałam w jej zagadkowe źrenice, bo ta naiwność: „ja zwyczajnie nadzwyczaj wiele tańczę,“ trochę mi się podejrzaną zdawała. Czy Biała Róża bez myśli dwa sprzeczne zestawiła wyrazy, czy milionowa „herytierka“ chciała mi dać do zrozumienia, że co dla innych jest nadzwyczajnością, to dla niej pospolitem właśnie? Zastanawiałam się nad tem, gdy muzyka przycichła i międzyakt kontredansowy nastąpił. Pan Zenon przyszedł się bardzo uprzejmie o swoje prawa dopomnieć. Biała Róża tymczasem zasmucała najmodniejsze fraki odmową swoją, ciągle jednostajnym głosem, jednostajnemi sylabami powtarzaną.

— Przepraszam, już jestem zamówiona — przepraszam, już jestem zamówiona.

Ciekawość mię zjęła, co też powie do tego, który ją zamówił? Jeśli mam szczerą prawdę wyznać, to spodziewałam się trochę, iż go od innych nie rozróżni i machinalnie wypowie swoje: „Przepraszam, już jestem zamówiona.“ Biała Róża jednak z godną podziwu roztropnością uniknęła tak smutnej pomyłki. Gdy stanęła przed nią jedna z owych figurek, tuzinami rozsiewanych na trotuarach i na każdym salonie balowym, ni jasna, ni ciemna, ni brzydka, ni piękna, ni zbyt nizka, słowem bez żadnej właściwej sobie cechy figurka, moja Galatea spojrzała tylko na kamizelkę, na guziki przy batystowej koszuli świecące i słowa nie wyrzekłszy, głową najpierw, a potem wachlarzem znak przyzwolenia dała. Według wszelkiego podobieństwa, oszczędzoną w tem spotkaniu porcyą swego głosu klasyczna piękność mnie uszczęśliwić postanowiła. Gdy „zamówiciel“ trochę nabok odszedł, jej czarowne, a przy ogólnej bladości tem żywszym koralem odbijące usta rozsunęły się powoli i wypadło z nich w kształcie przymówki, czy zapytania kilka słów... ach! słów nieznośnych dla mnie, słów, które na różne sposoby przyprawiane, już ze dwadzieścia razy wciągu tego wieczoru do uszu moich wrzucono:

— Więc pani tańczy?

Przyprawą osobistą Białej Róży było to „więc“ jedyne, z naciskiem trudnym do zrozumienia powiedziane. Zkąd się wzięło na początku zdania? do jakiej ukrytej myśli spójnikiem być mogło? Sfinksowa zagadka! Wolno mi było wprawdzie poprostu jej objaśnienia zażądać, lecz mię pusta chęć odwetu ogarnęła i pamiętna lakonizmu dwóch pierwej uzyskanych odpowiedzi, krótko przycięłam także:

— Och! tańczę—wykrzyknik „och“ miał nawzajem Białej Róży trudną do rozwiązania przedstawić wątpliwość — czy znalazł chwalbę drobnej próżnostki? czy radość młodocianą? czy ironią wyższości? — Biała Róża nie odgadła i znowu się spytała:

— Więc pani lubi tańczyć?

„No — pomyślałem sobie — „więc“ jest tylko jej przysłowiem, zastępującem nasze pospolite „czy.“ Niepotrzebnie łamałam sobie głowę, do jakiejby je zatajonej części zdania przystosować — nacisk wprawdzie jeszcze wyraźniejszy tą razą, lecz i nacisk może z przyzwyczajenia także.“ Biała Róża sielanką kwitnie — sielankowo zaspokoiłam jej ciekawość.

— Bardzo lubię tańczyć.

— Szkoda!...

A to proszę, Biała Róża ma kolce—ej ostrożnie, ostrożnie!

— Są jeszcze niezgrabniej odemnie tańczące — rzekłam jej z wybornie udaną prostotą.

— I owszem, widziałam panią w walcu. Pani bardzo pięknie walcuje—tylko jabym wolała, żeby pani nie tańczyła wcale.—I ostatnie wyrazy o całą oktawę niżej, z mocnem pianissimo wzięła.

A to co znaczy, panno Biała Różo moja? czy ci zawadzam tak bardzo? czy którego z twoich ulubionych tancerzy ci odebrałam? Przecież pan Zenon żonaty; nie mam sobie nic do wyrzucenia pod tym względem. Muszę pilniej uważać. I pilnie uważałam przez cały kontredans, który niezwłocznie się zaczął — uważałam — lecz żaden objaśniający szczegół nie

wsparł mojej wyobraźni. Biała Róża suwała się uroczyście według przepisów chereograficznych. Naprzeciwko niej występował Apollo Belwederski, tylko tem się od swego pierwowzoru różniący, że miał krucze włosy, czarny wąsik, cerę portugalską i wykwintniejsze jeszcze od ostatniej tablicy z dziennika ubranie. Zdawało się, że Biała Róża nie widzi go nawet; przechodziła, podawała ręce, balansowała na tę i na owę stronę, zawsze tak blada, niewzruszona w każdym ruchu swoim, jak gdyby przyszła z tego cmentarza, na który nieboszczyka Kommandora w operze Mozartowskiej pochowano. Raz zaciekawiona jednak, nie zraziłam się chłodem tych pozorów; oczy moje wszędzie towarzyszyły Białej Róży, jak oczy kochanka, lub wierzyciela; milionerka ostatniemi słowami dług u mnie zaciągnęła: winną mi była wytłumaczenie tak dziwnie objawionego życzenia. Skończył się kontredans, przetańczono mazura, ja ciągle szukałam sposobności do zawiązania dalszego ciągu rozmowy; gdzie moja dłużniczka poszła, tam dążyłam, gdzie siadła, tam zaraz upatrywałam wolnego dla siebie miejsca; lecz kto sądzi, że do milionów łatwo się dostanie, ten chyba nigdy z niemi nic osobiście nie miał do czynienia. Albo całe półkola obcych twarzy broniły mi przystępu, albo też częściej jeszcze Biała Róża, z wzorową młodej panienki skromnością, odtańczywszy swoję powinność, wracała pod opiekuńcze skrzydła Rajskiego pióra, mnie zaś Rajskie pióro takiem przejmowało uszanowaniem, że nie mogłam się zdobyć na ochotę bliższego z niem sąsiedztwa.

— Czy mnie szukasz? — zapytała Felunia, którą mój wzrok wysłany na zwiady magnetycznie przyciągnął zdaleka.

— Nie, moja droga, w tej chwili szukam tylko wyrazu bardzo zawikłanej szarady.

— Powiedz, z ilu sylab się składa? co pierwsze z drugiem wprost lub na wspak znaczy, może też wesprę twoję niedomyślność.

— Pierwsze na wspak: milion — drugie wprost: Biała Róża, wszystko razem nie chce, żebym ja tańczyć lubiła.

— Co ty mówisz, Kazimiero? Ułożyłaś jakąś mistyfikacyą na mój rachunek.

— Jak mię żywą widzisz, Feluniu, tak prawda— i opowiedziałam całą naszę sławną, choć króciuteńką rozmowę. Musiało być w niej więcej jeszcze osobliwości, niż ja parafianka zza Suwałk pojąć nawet mogłam, bo sama Felunia na chwilę zastanowiła się głęboko, ale wnet zwachlowała nazbyt ciężkie myśli.

— Że się dziwi twemu upodobaniu, to ja się temu nie dziwię — rzekła, do zwykłej wracając wesołości.

— Jakto nie dziwisz? — przerwałam z oburzeniem. — Czy jestem stara, garbata, kulawa, żebym się tańca wyrzekać już miała?

— Cierpliwości, cierpliwości! mogą być inne przyczyny. Otóż ci powiadam: nie dziwię się jej zadziwieniu, ale wzbraniającego życzenia pod żadnym względem nie rozumiem.

— A ja się dziwię i nie rozumiem, to dwa okropnie iskrą ciekawości rozdmuchujące wichry. Gdybym była mężczyzną...

— Wyzwałabyś ją na pojedynek...

— Wcale nie, tylko zdawałoby mi się, żem w niej zakochana szalenie.

— A ja ci ręczę, że choć tak jest piękną, prędko bardzo poznałabyś się na swojej omyłce, i wrazie, gdyby ci koniecznie jej posagu było trzeba, musiałabyś przed własnem sumieniem przyznać, że zawierasz z interesu, nie z miłości małżeństwo.

— Dlaczego?

— Bo panna Augusta ***...

— Więc jej Augusta na imię? Mnie się zdawało, że nie może mieć innego imienia, tylko Biała Róża; Biała Róża tak przyrosła do jej całej powierzchowności, do jej twarzy bez rumieńców, do jej słów trochę ciernistych, że nie wiem jak od tego nazwania odwy-

knąć. Gdyby połączyć, Feluniu? Biała Róża Augusta—patrz, ślicznie się składa!

— Niemniej jednak twoja Biała Róża Augusta długiemu zaciekawieniu przedmiotu nie może dostarczyć. Jak się widzi że jest piękna i jak się wie, że ma milion posagu, nic już więcej ani na jej obliczu dowidzieć, ani z jej ust dowiedzieć się niepodobna. Znałam ją bardzo młodą, ledwie dorastającą dziewczynką, zawsze taka biała i sucha, jak kreda. Wierz mi, najniepotrzebniej ukrytego znaczenia jej słów dochodzimy: jestem pewna, że je po swojemu przez sen wymówiła tylko. Gdyby jej guwernantki nie ręczyły, że ma wielkie do nauk zdolności, gdyby się zawsze gustownie a skromnie nie ubierała, gdyby właśnie milion koło niej nie leżał, toby ją dawno może za chorobliwie niedołężną ogłosili. W dzisiejszym stanie rzeczy mówią tylko, że jest „trochę apatyczna.“

Pozwól mi jeszcze do końca mieć nadzieję. Zobaczysz, Feluniu, jak starania dołożę, kto wie czy pod tą warstwą kredy ciekawych geologicznych nie odkryję osobliwości.

— Mogę ci pracę ułatwić, jeżeli zechcesz: przejdźmy się po salonie, a mimochodem z całą rodziną pani Kajetanowej zabierzesz znajomość.

— Za panią Kajetanową najpokorniej dziękuję; strasznie przyciskające do ziemi robi na mnie wrażenie.

— A syn, pan Dyonizy?

— Dotychczas widziałam tylko jego krótko ostrzyżoną głowę.

— Widziałaś? no proszę! co to złośliwej niesprawiedliwości w tym świecie. Są ludzie, którzy ręczą, że pan Dyonizy jest zupełnie do swego francuskiego patrona podobny.

— Co ma znaczyć niby, że mu głowy brakuje?

— Tak powiadają; lecz przyjrzyj-że mu się prędko, właśnie koło nas idzie, ot ten wysoki.

Przyjrzałam się prędko; „ten wysoki“ miał twarz szarawo-bladą, jak zakurzona bibuła angielska, czoło

płaskie i czworokątnie podłużne jak bilet wizytowy, oczki jak dwa pikowe asy, nos jak impertynencya, usta jak grubiaństwo, brodę jak zaczepka.

— Ludzie mają słuszność—rzekłam po schwyceniu dokładniejszego rysopisu; — pan Dyonizy nie musi „mieć“ swojej głowy, tylko ją na karku „niesie,“ tak jak według legendy jego patron niósł pod pachą—mała różnica umieszczenia... a potem świętości; zresztą podobieństwo niezaprzeczone.

— Daruj mi na własność to spostrzeżenie, Kazieczko, zaraz pójdę się z niego przed moim mężem pochwalić.

— Bierz, bierz, Feluniu, twojać to własność, bo z natchnienia twego wzięta; złoto niech się łączy ze złotem, śmieszność niech się łączy z wyśmianiem; dla Kazimiery Białej Róży dosyć.

— Zostawiam ci ją tedy w całej świeżości marzeń porankowych, ani jednej kropli rosy nie otrząsnę. Szczęśliwych spostrzeżeń życzę—do widzenia!— I odbiegła moja Wila, a mnie nakoniec przypadek lepiej posłużył, niż wszystkie poprzednie zabiegi. Gdy znów się walce zaczęły, jeden z tancerzy złożył mię na wpół odurzoną jeszcze na ustronnej koło ściany ławeczce. Patrzę, aż tu po chwili w tem samem miejscu Biała Róża się zatrzymuje. Nie tracąc czasu, witam ją półuśmiechem, przesuwam się troszeczkę i ręką znać daję, że ławeczka nas obie pomieścić może. Biała Róża po królewsku mi skinęła za tę grzeczność, siadła, lecz wzajemnym uśmiechem uśmiechu mego nie spłaciła. Ta drobniutka okoliczność wnet jakby lodem ścięła wszystkie przychylne jej nadzieje; gotowe do rozmowy usta mimowolnie milczeniem się zwarły — postanowiłam czekać pierwszego jej słowa, a tymczasem pięknej twarzy, jak pięknemu sztychowi, zaczęłam się uważnie i bystro przypatrywać. Pod moim wzrokiem twarz się znowu ku wachlarzowi i kwiatom bukietu schyliła, lecz w pół minuty może wzniosła się, niby naciągnięciem ukrytej sprężynki poruszona; zda-

wało mi się, że tylko nieco bielsza i dumniejsza, niż pierwej.

— Słyszałam—odezwała się nagle prędkim, jak przy wydaniu pamięciowej lekcyi głosem — słyszałam, że się pani bardzo wielu poważnym naukom oddaje.

— Co pani przez poważne nauki rozumie? — wesoło ją zagadnęłam, a przecież niewinne moje zapytanie kilka sekund namysłu ją kosztowało.

— Medycynę, prawo, matematykę, chemią, języki starożytne—odrzekła już swoim zwyczajnym tonem wolnym, wyraźnym, ale martwym, jakoby w sen najtwardszy zamagnetyzowanej jasnowidzącej.

Mnie na taką nomenklaturę poważnych nauk, którym podobno bardzo wiele oddawać się miałam, szalona chętka śmiechu ogarnęła; pokryłam ją wszakże, aby moja Biała Róża, według przestrogi Feluni, suchą kredą mi nie skamieniała.

— Jakież to są nauki nie poważne?—ośmieliłam się dalej badać.

— Zapewne te, których kobietom mniej skąpią: historya, literatura, język francuski, niemiecki, angielski, włoski. — Wszystko to wyliczone zostało z nieposzlakowaną prostotą, tylko początek okresu dał mi trochę do myślenia. Kreda się kruszyć, Biała Róża rozwijać zaczyna, rzekłam sobie w duchu: — botanika nad geologią górę bierze, dobra nadzieja! Więc też z nieobłudną na ten raz odpowiedziałam szczerością:

— Jeśli historya i literatura do niepoważnych nauk się liczą, to wyznam pani pokornie, że się właśnie najwięcej niepoważnemi zajmuję naukami.

— Mnie jednak wiele osób mówiło, że pani bardzo uczona.

— Bo wiele osób lubi bajki powtarzać; ja także nie o jednej słyszałam, że dobra jak anioł, a zła była jak nieszczęście, lub znów utrzymywano, że ograniczona jak gąska, a właśnie dowcipną była jak czeczotka.

Biała Roża wzrok swój wlepiła w moje oczy, ale wzrok dziwny, bez stanowczego spojrzenia, ani gniewny, ani pytający; bogaty światłem odbitych z kande-

labrów promieni—i nic więcej. Można sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy po tym wzroku spokojnym rzucono mi krótkiemi słowami, które w mej uzasadnionej podejrzliwości jako zaczepną strzałę wziąć mogłam:

— Jednak pani ma dużo odwagi!

Dużo odwagi? pomyślałam, lekko owym pociskiem draśnięta. Mam dużo odwagi, że z milionową dziedziczką rozmawiam; tak, prawda, dużo odwagi, a nie pozwalam żartować z siebie... to istotne bohaterstwo.

W tej chwili już nie wątpiłam o szyderczym kierunku ciągnionego ze mnie śledztwa, wezwałam ducha Feluni na ratunek i stanęłam odpornie do walki.

— Z czegóż pani o mojej odwadze wnioskuje? Czy z tego, że się „uczę?“ czy z tego, że mię ludzie obmawiają.

— Z tego, że chociaż obmawiają, pani się uczy.

— Alboż jedno drugiemu co przeszkadza? Gdyby przyszli obmawiać do mego pokoiku, jest podobieństwo, że nie mogłabym zebrać potrzebnej uwagi; lecz kiedy ich nie słyszę, to mi nie zawadzają bynajmniej.

— I pani się nie lęka śmieszności?

— Śmieszności się lękać? dopierożbym ja sobie niepotrzebną pracę zadała! Wszystko jest, lub raczej wszystko nadzwyczaj śmiesznem być może — jak co i dla kogo; jedni się śmieją z ubóstwa, z pracy, z nauki, z religii nawet; drudzy się śmieją z próżności, z pychy, z lenistwa, z braku serca i wyższych dążności. To od gustu zależy; ja właśnie urodziłam się z gustem drugich, nie pierwszych.

— Pani bardzo szczęśliwa!...

Nim zdążyłam cośkolwiek odpowiedzieć, już jeden z dygnitarzy salonowego pokolenia stał przed Białą Różą i utyskując na jej głębokie schronienie, do tańca ją zapraszał.

— Pani tu chyba przed natrętnymi ukryć się chciała—mówił.

Biała Róża poruszyła wargami, jakoby na odpowiedź, lecz ta na tem poruszeniu się skończyła. Grzeczny elegant wyciągnął rękę; piękna dziedziczka wstała natychmiast i tylko odchodząc. powlokła za mną jakiemś długiem spojrzeniem. pełnem znowu trudnych do ogdadnienia tajemnic. Szkoda! już we mnie chęć odgadywania przystygła. Nie podzielałam zdania Feluni. że to jest chorobliwie niedołężne usposobienie, lecz zdawało mi się, że hardość miliona. sarkazm zepsutej pochlebstwami dziewczyny najwyraźniej w niem rozpoznaję. Taki gatunek gruntu i plonu nie nęcił mię wcale. wyrzekłam się więc dalszych poszukiwań. Uwagę moję zwróciła wtedy jedna z najmłodszych na balu panienek, prześliczna. swobodna, wesoła, używająca zabawy całą duszą i wszystkiemi, rzecby można, porami; tak się oddała chwili obecnej, tak spromieniła w niej myśli. uczucia, władze, siły, zdolności, wrażenia, jak gdyby z blaskiem żyrandolów jej życie się zaczęło i razem z ich świeczką ostatnią zgasnąć miało niepowrotnie. Dziwna to rzecz wszelako! niech tylko o cokolwiek dbać przestaniemy, wnet samo przez się drogę nam zabiega. Czy pan tego nie doświadczał, panie Tomaszu? bo ja, to zawsze prawie najpiękniejszą lalkę dostałam. kiedy mi się już o wieczorkach tańcujących marzyło. Wzięto mię na wieczór tańcujący, kiedy już wolałam z książką sama w kącie siedzieć; otworzono przedemną całą bibliotekę domową, kiedy już więcej do pióra i do żywych zdarzeń się garnęłam; pewna jestem, że przyjdzie chwila, w której jeszcze do Egiptu pojadę. w której spotkam.... Ale na co z takich szaleństw się spowiadać; w sumie ogólnej mają znaczyć, że ile razy pragnę czego, to pragnę długo nadaremnie; że gdy się znudzę, gdy w obojętność wpadnę. rzecz pragniona tuż obok mnie się znajdzie; ma się rozumieć nie w porę, więc i nie „taka“ niby. choć „ta.“ jakiej pragnęłam. Z Białą Różą zupełnie podobne przebyłam koleje: póki za nią goniłam upornie, ciągle stawała daleko; jak tylko przestałam się nią zajmować, chwil kilka nie ubiegło,

a siedziała w pobliżu przy marmurowej kolumnie i nawet zdało mi się, że na mnie spoglądała. Było koło niej miejsce wolne do zajęcia. Nie poszłam jednak. Wtedy Biała Róża skinęła wachlarzem, jakoby kogoś wezwać do siebie chciała — dopiero owo poruszenie Białej Róży rozciekawiło mię znowu. Kto był wezwanym? czy ja? — nie — wezwanym był tylko pan Dyonizy. Trudno z pana Dyonizego wnioski jakie wysnuwać, ale słuchajmy, może siostra się z nim podzieli żarcikiem, zwierzeniem, ostrem słówkiem w bawełnę nieobwiniętem; zawszeć warto portrecik piękności dokładniejszemi zarysami odznaczyć sobie w pamięci. Biała Róża nader zwyczajną prośbą swego brata obdarzyła:

— Proszę cię, Dyoni, wystaraj mi się porcyi lodów, bo okropnie gorąco.

Tak obojętne wyrazy nie mogły zaiste ani cieniem, ani światłem mocniejszem podobieństwa miniatury uzupełnić; dla mnie przecież miały one swoję wartość: dowiedziałam się, że Białej Róży gorąco! A siedziała tak marmurowo zimna i blada, jak kiedy wchodziła do salonu. Pan Dyonizy tymczasem leniwie się dokoła obejrzał, czy gdzie lodów nie roznoszą, lecz że nie roznosili, poszedł wprost do jednego z młodych ludzi, co się między tancerkami niby motyle wśród ogrodu uwijali, i półgłosem, który jednak zdaleka dosłyszeć mogłam:

— Mój kochany Morysiu—rzekł niedbale — wystaraj-no się lodów dla Augusty, bo mnie prosiła, a właśnie czasu nie mam.

Moryś poleciał jak ptaszek, pan Dyonizy zaś przesunął się, jak cień zachodniem słońcem rzucony, do drugich salonów, gdzie podobno w karty grano. Za królciótką chwilę posłaniec wrócił z lodami.

— Ach! dziękuję ci, Morysiu! — przemawia do niego Biała Róża i zaczyna jeść wolno, uważnie jak na dobrze wychowaną przystało.

— Kto jest ów Moryś?—myślę sobie tymczasem; pan Dyonizy posługuje się nim bez ceremonii. Biała

Róża mówi mu poufale „Morysiu,“ a przecież nie lokaj, tańczy razem z innymi gośćmi — pewnie kuzynek blizki... Otworzyły się więc nowych zupełnie domysłów przestrzenie.

Moryś był bardzo ładny chłopczyna, zdawał się nawet dużo młodszym od Białej Róży, tak jego twarzyczka okrągła, jego rumieńce świeże, jego nosek zadarty i czarne oczki, swobodnie patrzące, obok jej rysów poważnych dziecinny prawie nadawały mu wyraz. Gdyby go można było ubrać w niebieskie atłasy, dać mu kapelusz okrągły z piórami na głowę i płaszczyk przez ramię mu zwiesić, ślicznieby rolę pazia odegrał, stojąc właśnie jako stał w milczeniu przed swoją dumną księżniczką. Nakoniec lody zniknęły, Biała Róża-Augusta wspaniale kryształową miseczkę złożyła w ręce swego dworzanina, a ten ją, niewiele myśląc, na najbliższej kolumnie marmurowej postawił.

— Postaw na oknie — odezwała się szlachetna pani — tutaj bardzo łatwo ktokolwiek stłuc może.

O, co za promień światła w ciemnicy moich domysłów! Śnieżysta kwiatów królowa zajmuje się losem jednej biednej miseczki, przewiduje mogące nastąpić wypadki, chroni ją przed zniszczeniem, a to z taką przytomnością umysłu, z taką wprawą machinalną, że już nie wątpię, już wiem o niej! Biała Róża jest niezawodnie dobrą, porządną, staranną i oszczędną gospodynią — alboż to milionerki takiemi nie bywają? Zdarza się przecież niemilionerkom, nie krociówkom nawet, że są rozrzutne i niedbałe; dla zrównoważenia zapewne rodzi się trochę bogaczów skąpych lub gospodarnych, zabieżnych, przemyślnych.

— A teraz, Morysiu—rzekła znowu, gdy Moryś rozkazu dopełnił — przetańczmy walca, bo mi się trochę zimno zrobiło.

Roztropność wzorowa! Zawsze słyszałam, że najlepiej iść w taniec po nagłem oziębieniu żołądka. Biała Róża trzyma się tego hygienicznego przepisu; zachowawcza troskliwość stanowi tło jej moralnego usposobienia; od cudzej miseczki, do własnego zdro-

wia, ona wszystkiem się opiekuje, wszystko w pożądanej całości utrzymać pragnie. Z tych dwóch uderzeń jej spokojnego pulsu logiczne wyprowadziłam następstwa — wnioski moje ogarnęły każdy możliwy zwrot podobnego charakteru. Stopień religijnego ogrzania, lub niedogrzania raczej; uszanowanie dla formy, nieufność względem uczucia, szyderstwo salonowe dla wszelkiej niezwykłości; bojaźń wyższego, nałóg miernoty, zalet mnóstwo—cnoty ani jednej. Cały ten portret od stóp do głowy jaknajdobitniej odrysował się w mojej wyobraźni i byłam pewna, że już niczego więcej o Białej Róży się nie dowiem.

— A cóż, Kaziu, czy ci się powiodły twoje studya geologiczne? — mówiła do mnie Felunia, gdyśmy w jej powozie do domu nakoniec wracały.

— Powiodły, zadziwiająco powiodły! — odrzekłam jej na to.—Uzbierałam pełno ciekawych szczegółów o Białej Róży-Auguście.

— Ej, żartujesz!

— Nie żartuję; dowiedziałam się najpierw, że to będzie przykładna pani domu. Szczęśliwy kto ją z tytułem małżonki pod dach swój wprowadzi i kto jej klucze od wszystkich szafek gospodarskich powierzy.

— Zkąd-że ci przyszedł ten panegiryk do głowy?

Opowiedziałam Feluni historyą uratowanej od stłuczenia miseczki—aż w ręce klasnęła z radości.

Tutaj wszakże muszę zrobić maleńką, li panu Tomaszowi poświęconą, uwagę. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że się pan zgorszy temi żartami i weźmie je za jakieś lekceważenie gospodarskich w kobiecie przymiotów. Literatkę, a do tego pół-autorkę, najłatwiej o grzech równie śmieszny posądzić. Lecz niech się pan nie lęka, pana korespondentka nigdy takiej niedorzeczności nie popełniła. Czyste mam sumienie pod tym względem; nie przypominam sobie nawet, aby żartów moich pustota sięgnęła kiedykolwiek poza granicę zdrożnych drobnostek, lub żeby śmiała dotknąć tego, co jest rzeczywiście użyteczne, piękne,

dobre. Nie, panie Tomaszu — ja bardzo, bardzo szanuję ciche domowe zajęcia każdej gospodyni; wiem nawet, że od nich całe ułatwienie moralnego życia zawisło; wiem, że w nich najlepszą próbę złotniczą moralnej osobistej wartości złożyć można; ale wiem nawzajem, co to jest za różnica między rodzinami kobiet gospodarujących dla spełnienia wyższych, chrześciańskich obowiązków, a rodzinami kobiet spełniających wszystkie swe obowiązki... dla gospodarstwa. Co powiedziawszy wyraźnie a krótko—wracam do ciągu powieści.

Felunia z wielką niecierpliwością mię pytała:

— I cóż dalej, Kaziu?

— Dalej odkryłam, że to jest osoba rozsądna, umiarkowana, która pewnie długo w czerstwem zdrowiu żyć będzie.

— A ta wróżba wywnioskowana?...

Opowiedziałam historyą odtańczonej porcyi lodów; Felunia chichotała się, jak pensyonarka w godzinach rekreacyi sobotniej.

-- Dowiedziałam się jeszcze — ciągnęłam dalej poważnie — dowiedziałam się, że ma wyobraźnię spokojną, serce wolne, a wybór niezdecydowany dotychczas — i na poparcie mego zdania opowiedziałam historyą wszystkich przemienianych z równą obojętnością tancerzy, nawet bezbarwne, ładnemu kuzynkowi rzucone słowa.

— Moryś nie jest jej kuzynkiem — objaśniła mię Felunia — to jakiś wychowaniec pana Kajetana; od dzieciństwa w tym domu go trzymają, niby na równi z Dyonizym i Augustą, lecz rzeczywiście dlatego, że pani Kajetanowej na świadectwo szlachetnych uczuć staje. Pan Dyonizy się nim bawi, panna Augusta się nim posługuje, a mówi mu „ty,“ gdyż jest od niej parę lat młodszy, i weszło w zwyczaj domowy, by się z nim, jak z chłopcem niedorostkiem obchodzić.

— Rozumiem już całą sprawę tak jasno, jak gdybym przez dwadzieścia lat żyła wśród tej potrójnie milionowej rodziny. Lecz niedość wszystkich wyli-

czonych ci spostrzeżeń — dowiedziałam się jeszcze pierwej najważniejszej, najosobliwszej ciekawości.

— Mów-że prędko, bo i mnie zaciekawiasz! — wołała Felunia.

— Miej się na ostrożności z Białą Różą, Feluniu; ja ci powiadam, że ten niewinny kwiatek, to ziółko.

— Ziółko? co tobie, Kazimiero? chyba pektoralne.

— Oj nie pektoralne; znam to ziółko, że pokrzywa — i opowiedziałam historyą moją własną, jak mię na egzamen wzięła, któremi się naukami zajmuję; jak chytrze wydziwiała mojej odwadze, że się nie lękam śmieszności z tego powodu; jak wreszcie opuściła mię na tem ironicznem wykrzyknieniu: „Pani jest bardzo szczęśliwą!“

Po przesłuchaniu tylu dowodów, Felunia sama nie wiedziała, czy śmiać się, czy zdumiewać.

— Ale bo ty musiałaś coś dodać, a coś ująć, tu podnieść, tam zniżyć. Nigdy nie wierzę, by panna Augusta, owa mistrzyni oklepanych frazesów, owa sadzawka przepełniona wiadomemi całemu światu prawdeczkami, zdobyła się na tak wielką ekscentryczność i tak złośliwy dowcip.

— Przypomnij sobie tylko, co jeszcze pierwej do mnie o tańcu mówiła; jedno z drugiem się trzyma.

— O tańcu nic tak osobliwego nie powiedziała przecież.

— Jakto? a jej dubeltowe: „więc pani tańczy“— „więc pani lubi tańczyć?“— i na domiar oświadczenie, że przyjemniejby jej było, gdybym nie tańczyła wcale?

— Ja ci powiadam, Kazimiero, to wszystko nic nie znaczy jeszcze. Przyznaj sama, wszak nietylko Biała Róża „tak mocno się dziwowała, żeś ty chętnie tańcowała.“

— At, prawda — rzekłam po chwili namysłu — i ten pan, co w niebieskich okularach, i prawie każdy mój tancerz przy początku rozmowy. Może to zwyczaj taki, może tegoroczna moda?

Felunia odpowiedzieć mi nie mogła, bo się aż zanosiła od śmiechu.

— Biedna dziewczyno!—zawołała nakoniec, gdy ją paroksyzm ominął — więc nie domyślasz się nawet, dlaczego wszyscy jedno i to samo powtarzali pytanie? Nie domyślasz się, dlaczego pierwszy kontredans cię chybił? nie domyślasz, zkąd podziwienie twojej Białej Róży wypłynęło? A ty sama, proszę cię, jakiego wrażeniabyś doświadczyła, gdyby nasz pergaminowy pan R*** do mazurka stanął w parze i zaczął dziarsko hołubce wywijać?

Pan R*** był najuczeńszym i najpoważniejszym z całej za-suwałkowskiej okolicy człowiekiem. Szczególniej słynął, jako helenista zagorzały. Ojciec nasz mówił o nim, że nietylko wie, co Homer śpiewał, ale to nawet, co Homer myślał sobie, śpiewając Iliadę, Odysseę i t. d. Przypuszczenie Feluni bardzo mi się zabawnem wydało, mimowolnie się rozśmiałam także, ale broniąc praw ogółu:

— Gdybym nawet pana R. w mazurku zobaczyła—rzekłam po chwili—tobym sobie przypomniała, że i król Dawid przed arką raz tańczył. Jednakże nie mąć mi w głowie, co za stosunek między mną a szanownym filologiem z jednej, między mną a balowymi gośćmi z drugiej strony być może?

— No, to chyba muszę ci wytłumaczyć, lecz daj mi słowo, że się nie rozgniewasz. — Felunia prośbę swoję tak szczerym i przyjacielskim tonem wyraziła, iż się zaczęłam jakiegoś napomnienia, jakiejś uwagi względem towarzyskich „konwenansów“ spodziewać. Nieświadomie mogłam przekroczyć wiele bardzo zakazowych lub nakazowych linijek; żeby więc ośmielić młodą i niezwyczajną tego rzemiosła nauczycielkę, wesoło ją do udzielenia mi przestrogi zachęciłam.

— Daję ci słowo, Feluniu, gniewać się na ciebie nie będę, choćbyś mi najostrzejszą i najkwaśniejszą prawdę powiedziała.

— Pamiętaj, pamiętaj, Kaziu; powiem ci zupełną prawdę o wszystkiem, jak było. Oto na kilka

dni przed balem zwierzyłam się pani Michalinie — ma się rozumieć, wyszło to na jedno jak gdybym ogłosiła w pismach publicznych. Pani Michalina żyje ze wszystkiemi koteryami, które się na dzisiejszym balu potrącały. Widuje księżnę ***, kocha się serdecznie z radczynią *, a ten pan w niebieskich okularach, to jej przyjaciel od serca.

— Mniejsza o przyjaciół pani Michaliny; powiedz mi prędko, z czego jej się zwierzyłaś?

— Z tego, że ty, Kazimiero, po grecku doskonale umiesz.

— Och! niegodziwa!

— Dałaś słowo, że się gniewać nie będziesz; ja przecież powiedziałam, żeś ty i w łacinie biegła, lecz że masz jakąś słabość do greczyzny, że to twoje upodobanie najmilsze, twoja namiętność.

— Feluniu! i nie zastanowiłaś się nawet, jak taka plotka w opinii świata na wieki zgubić mnie mogła?

— Ba! uprzedziłam panią Michalinę, że jesteś skromna jak fijołek i że tego co umiesz wcale po tobie nie znać.

— Teraz już wszystko rozumiem; już się nawet zarzutom i kolcom Białej Róży nie dziwię; owszem, zdumiewam się nad pobłażliwością tych panów, że mię do tańca brać chcieli.

— Każdego pierwej mój mąż zapewnił, iż go na egzamen z języków starożytnych nie weźmiesz, bo nowożytnych nie wyłączając polszczyzny, z równą wprawą używasz. Co zaś do Białej Róży, to inna rzecz znowu; nie dziwiłabym się, gdyby panna Augusta poprzestała na szczerem, naiwnem zadziwieniu, lecz te dowcipy, o które ją skarżysz...

— Pokazuje się, że daleko słuszniej zrobisz, pusta Wilo, jak przed panią Michaliną Białą Różę za dowcipną i złośliwą, a mnie za „sawantkę“ ogłosisz.

— Przedziwny pomysł! Niechże cię, Kaziu, uściskam! Wszakże to pono drugi dar twój wciągu tej jednej nocy karnawałowej.

— Bo salony jak trebhauzy przyśpieszają bujność wzrostu zagranicznym roślinom, a moje dary egzotyczne rośliny nie ze mnie wzięte, nie zza Suwałk przywiezione.

W tej chwili powóz przed bramą stanął, gawędka się przerwała. Nazajutrz pani Felicya, każdemu co ją przyszedł odwiedzić, nie skąpiła szczegółów mojego starcia ze złośliwą panną Augustą ***. Niby to we wszystkiem trzymała się dość sumiennie historycznej prawdy, a jednakże koło wieczora niektóre pojedyncze wyrażenia rozrosły się, jak ciasto na dobrych, świeżych drożdżach. — „Więc pani tańczy.“ — „Pani ma dużo odwagi“—nieznacznie się podniosło do: „Pani jest bardzo zuchwała“ — i tak szło dalej *crescendo*, aż w kilka dni potem przynoszono zupełnie pierwej nieznane dodatki: piękną mowę panny Augusty o przeznaczeniu kobiety, rozsądne jej napomnienia o śmieszności obranego przezemnie zawodu, moralne porównanie pięknie haftowanego kołnierzyka z Iliadą Homerową; nakoniec i to groźne proroctwo, że męża nie dostanę, bo każdy z tych panów woli w domowem pożyciu smaczny garnuszek śmietanki, niż najdowcipniejszą, najwięcej uczoną o Sofoklesie rozprawę. My z Felunią za każdym nowym odrostkiem posianego ziarneczka tysiące zbierałyśmy pociech; wprawdzie ostatni szczypiorek zatrwożył trochę moję Wilę swobodną.

— A gdybyś rzeczywiście za mąż nie poszła, Kaziu? — rzekła raz do mnie z uroczystem rozżaleniem -gdyby ci tak przyszło na koszu osiąść, jak wczasie pierwszego kontredansa? i to z mojej winy... nie, jabym umrzeć nie mogła spokojnie! Natychmiast każę zaprządz, pojadę do pani Michaliny, choćby do samej pani Kajetanowej, i w sekrecie im powiem, że nawet czytać nie umiesz.

— Bądź spokojna —miarkowałam ją w pokutnych zapędach—bądź spokojna, Feluniu, przecież tak złego o rodzie męzkim nie miej wyobrażenia; znajdzie się chociaż jeden nie łakomy, nie gastronom, nie smakosz,

jeden, co aby na równi będzie cenił śmietankę z Sofoklesem—ten jeden mnie się dostanie.

Felunia z niedowierzaniem główką trochę pokręciła; nakoniec wzięła arkusz białego papieru, alfabetycznym porządkiem jak w dykcyonarzu spisała nazwiska wszystkich swoich i moich znajomych, roztrząsając pilnie, czy o którym nadzieję mieć będzie można.

— Pan A.—zawołałam z tryumfem, przy pierwszym odczycie listy — w pewnym już wieku kawaler, trochę rumianej cery; lecz właśnie wiem o nim, że wcale mleka nie lubi.

— Czy jesteś pewną, że lubi Sofoklesa chociaż w tłumaczeniu? Ja myślę, że nadewszystko talerz dobrego rosołu i lampeczkę starego węgrzyna przekłada.

— Pan B., moja Feluniu, cóż on woli od Sofoklesa?

— Woli podobno dzieło z francuzkich kart malowanych.

— A pan C.?

— Woli to co usłyszy, niż to, co przeczyta.

— Pan D.?

— Woli samego siebie.

I tak przebiegłyśmy regestr od A. aż do Z. wszystkich młodzieńców na wydaniu; prawda, że między nimi żaden się dość pewny entuzyasta Sofoklesa nie znalazł; lecz zato przy nazwisku każdego tyle się wesołych znalazło szczegółów, że zachmurzona Felunia znów „pogodą“ zabłysnęła. Dopiero w tydzień może prawdziwe dotknęło ją zmartwienie. Jakaś krewna, niedaleko od Warszawy mieszkająca, listownie przez pocztę zgłosiła się do niej, zapytując: „Czy istotnie ona to wprowadziła na bal do X** pewną pannę Kazimierę, z obciętemi włosami po grecku, trochę nawet anakreontycznie obraną?“

Felunia loki sobie potargała z rozpaczy; toć własnym gustem przewodniczyła wyborowi mej sukni, własną ręką zaplatała mój warkocz i przypięła girlandkę... oczywiście jad cały prowincyonalnej potwarzy w jej serce wsiąkał, nie w moje.

Szczerze między nami mówiąc, panie Tomaszu, należała jej się ta kara za przedbalową lekkomyślność. Zkąd jej przyszedł taki koncept, żeby mnie, jako umiejącą po grecku, przed panią Michaliną chwalić!...

Dzięki Bogu jednak, w otchłaniach niepamięci toną ludzkie troski, grzechy, zmartwienia, i potwarze nawet; ja zapomniałam o balu, balownicy o mnie zapomnieli; krewna zpod Warszawy drugiego listu nie napisała; Felunia uspokoiła się zupełnie — a więc koniec powieści. Nie, to ledwie początek bardzo zajmującego w życiu mojem ustępu. Kiedy się tego najmniej spodziewałam, przyniesiono mi z poczty dużą kopertę, w kopercie kilkanaście drobno zapisanych półarkusików; na ostatnim podpis... niech-że pan zgadnie — może Augusta?... jeśli panu to imię na myśl przyszło, więc i literaci mylą się czasem i członkowie redakcyi nie zawsze, nie wszystko zgadują — na ostatnim był podpis—Biała Róża.

Wierną kopią oryginału załączam:

„Już dawno wiem, jak pani sobie niekorzystnie wytłumaczyłaś każde słowo, które do niej na owym balu u państwa X** powiedziałam. Usłużna gadatliwość nie oszczędziła mi ani jednego żarciku pani Felicyi, ani jednego spostrzeżenia dowcipnie przez pannę Kazimierę pochwyconego; wszystko mi przyniesiono tak świeże, ciepłe, ba, tak gorące, jak gdyby prosto zpod pary ich ust, zpod fajerwerku ich myśli wzięte. Może cośkolwiek dołożono, lub przypieczono w drodze — za to nie ręczę — ale choćby przez połowę rozdzielić, i tak już dosyć na ukaranie winnej, na zasmucenie niewinnej zostało, a jest winna i niewinna. Wkrótce to pani objaśnię; lecz się muszę pierwej z balowego rachunku uiścić.

„Na parę tygodni przedtem, w domu wspólnie znajomej nam osoby, zastałam raz panią Felicyą, sławną turkusową szpileczkę, sławną kolekcyonistkę towarzyskich śmiesznostek, różczkę nieubłaganą na wszystkie ludzkie przywary. Znałam ją od bardzo dawne-

go czasu, lękałam się jej gorzej niż zwierciadła, coby mi podobieństwo moich rysów albo w zbyt podłużnej, albo w zbyt szerokiej karykaturze odbijało. Widziałam ją zawsze wesołą, uśmiechniętą, swawolną jak dziecię i złośliwą jak dziecię także, jak dziecię, co rzutu kamyczków wymiarkować nie umie, a złych skutków uderzenia nie przypuszcza nawet. Tego dnia pani Felicya była wzruszona, odpowiadała z zapałem, chwalila z uniesieniem — zdawać się mogło, że to inna kobieta, że głos inny, pojęcie inne, serce nadewszystko inne. Zdumiona sama w sobie, tem baczniej przysłuchiwałam się każdemu jej słowu. Pani Felicya o pannie Kazimierze mówiła. Pierwszy raz wtedy dowiedziałam się „autentycznie,“ że na ziemi naszej są prześliczne, jak na Wschodnim Oceanie wysepki, są małe edeny rodzinne, niedostępne powodziom przesądów, zbytków, próżnostek światowych, jasne myślą i uczuciem, bogate pracą i cnotą. Zapoznałam się z ojcem pani, tym uczonym badaczem dziejów ludzkości i natury zjawisk; zapoznałam się z matką pani, ową poważną, niby daleka przeszłość, matroną, a kochającą, łagodną, niby na pociechę teraźniejszości duszą. I ze stryjem Krzysztofem, cichym, pobożnym, wyrozumiałym dla wszystkich, surowym dla siebie tylko, poprzyjaźniłam się serdecznie — i z braćmi pani, szczególniej z panem Hieronimem, co tak dla swojej siostry poświęcony, to już na wieki dobre przymierze zawarłam — a z panią?... z młodą osobą, co jest taka swobodna jak powietrze, czysta jak kryształ; co jest taka swobodna jak powietrze, czyste jak kryształ; co jest odważna Kolumbową odwagą, bezpieczna religijnego serca bezpieczeństwem, co przeczytała wszystkie polskie, francuskie i angielskie książki; zna Wirgiliusza w oryginale, do Herodota i Tucydydesa tłumaczeń żadnych nie potrzebuje—co przytem swoim ukochanym dogadzać umie, dzieci pieści, chorym służy. Bogu się modli, a panią Felicyą w krytyce rozbraja. Ach! z panią przecież osobiście zobaczyć się miałam!

„Od tej chwili, jak ziemia na swojej osi, tak wszystkie moje myśli na tej jednej nadziei obracać się zaczęły. Kiedy wreszcie spełnioną została... Pani sama najlepiej osądzić może, czy jej spełnienie zupełnie do szkaradnego zawodu podobnem nie było — „zawodem“ jednak nigdy tego nie nazwę. Pani mię nie zawiodłaś—o ile tylko zgiełk balowy dozwolił, o tyle dotrzymałaś wszystkich pani Felicyi obietnic, ja natomiast samę siebie szkaradnie zawiodłam. Uzbierało mi się mnóstwo rzeczy do powiedzenia, a czułam to, że czasu zbyt mało; gdy otwierałam usta, każda sylaba moja miała wartość kilku przynajmniej niemieckiej miary okresów — teraz więc każdej osobny komentarz należy. Nim go udzielę, muszę jednak o najwierniejszą pamięć ze strony pani się dopomnieć. Ludzie tak mi już rozmaicie powtarzali moje własne słowa, że nie wiedziałabym sama czego się trzymać, gdybym na pociechę i upokorzenie zarazem wszystkich a wszystkich zbyt głęboko przechowanych w sumieniu mojem nie dźwigała.

„Kiedy najpierw obok pani mię posadzono, rozmyślałam tak długo od czego zacząć rozmowę, że aż mię pani uprzedziła w tym względzie. Już miałam usłyszeć jej zapytanie, gdy nagle stanął przedemną los zawistny w kształcie modnego panicza i tańczyć mi ze sobą kazał. Ani on się nie domyślał, ani zapewne pani odgadnąć tego nie mogła, jakie zbrodnicze pokusy w tej chwili mózg i serce mi przepełniły. Od kwasu pruskiego do Borgiów Aqua Tofana, od ziemi angielskiej do muchomorów, od proszku perskiego do miotły jednym rzutem wyobraźni uprzytomniłam sobie wszystkie sposoby, któremi kiedykolwiek ludzie uwalniali się od swoich nieprzyjaciół, od owadów szkodliwych, od pajęczyn i śmieci. Nic nie pomogło—trzeba było tańczyć, raz, drugi, trzeci, bo gdyby się kto spostrzegł, że wolę z panią rozmawiać, okrzyczałby mię za sawantkę, powiedział że mam pretensyą do rozumu, że udaję wzgardliwość dla wesołych i przyzwoitych rozrywek, że się czepiam uczonych kobiet, jak

gdybym sama uczonością popisywać się chciała. Powiedziałby wszystko. co najokropniejszem dla mnie być może. Więc tańczyłam, tańczyłam, a ciągle rozważałam sobie w duszy, o czem to pani do mnie mówić chciała przed chwilą? Kiedym nakoniec wytańczyła sobie pożądane miejsce moje, pani zapytała mię tylko, czy ja się i w tańcu nie męczę? Byłam trochę upokorzona; czułam jednak, że mi się ta przymówka należy za moje milczenie poprzednie, a jeszcze bardziej za obejście mniej grzeczne, bo juścić mogłam się była przez chwilkę zatrzymać, wysłuchać, co pani powie. Mój łaskawy tancerz postałby sobie ze dwie minuty i nie miałby prawa się skarżyć. Lecz jak to zwykle bywa, strach ma wielkie oczy, a mnie strach właśnie zdejmował, aby nikt tego nie podsłuchał, co pani do mnie mówić będzie; głowa mi się nabiła, że jej pierwsze wyrazy staną w jakimś związku ze wszystkiem, co ja właśnie powiedzieć pragnęłam. Wiele osób na takie samo złudzenie choruje. Jak zaczną o kim myśleć, jak zaczną długo w duszy z nim rozmawiać, tak nakoniec są pewni, że on musiał choć cząstkę tego dosłyszeć — ja więc uroiłam sobie, że i pani czem innem się nie zajmuje, tylko tem, czem ja się zajęłam, że inne względy nie przyjdą pod jej uwagę, tylko te, które ja sobie przez czas jakiś pierwej rozważałam. Gdy mi rzuciłaś najpospolitszem z karnawałowego świata zapytaniem, zmieszałam się okropnie, wstyd i żal mię ogarnął.

„Tak jest, śpieszyłam z usprawiedlieniem: bardzo się męczę— przecież pani musisz to widzieć — jestem w rozpaczy za każdym kręgiem walca, za każdym chaissez-croisé kontredansa. Nic nie mam do powiedzenia tym panom, oni także nic mi do posłuchania nie mówią. Nudzą mię, niecierpliwią, nerwy mi drażnią, życie mi kradną, z jedynych chwil przyjemnych tego wieczora mię obdzierają—bardzo się męczę!

„Pani na to, jak doktór w klinice przy amputacyi ręki lub nogi, spokojnie sobie zanotowałaś: że choć się męczę, to jednak „nadzwyczaj wiele tańczę.“ odpowie-

dnio niby tej uwadze doktorskiej, że chociaż pacyent wiele krwi utraca, to mu jeszcze wiele siły do przetrzymania operacyi zostaje.

— Ja zwyczajnie nadzwyczaj wiele tańczę — rzekłam wtedy z użaleniem—hartownie boleść znoszę, bo do niej przywykłam; co się pani nadzwyczajną nowością wydaje, to jest moją torturą codzienną; z czembyś pani godziny jednej wytrzymać nie mogła, z tem ja się wlokę przez wszystkie bale, spacery, wizyty, przez wszystkie moje prace i próżniactwa — wlokę z przymusem nieuchylonym, z niesmakiem, z oburzeniem, z ironią lub głupotą. Wszak prawda, że panibyś z podobnym ciężarem nawet od drzwi do drzwi pokoju przejść nie chciała, a ja muszę dźwigać wszędzie moje brzemię i pierwszy raz dopiero na głośniejszą zbiera mi się skargę.

„Lecz pani tego wszystkiego nie dosłyszała, pani zrozumieć nie mogła, a tancerze nas rozłączyli. Wczasie tego rozłączenia wymogłam na sobie stałe, stalsze niż kiedykolwiek w życiu przedsięwzięcie. Niech mury salonu popękają, niech kandelabry zgasną, niech się co chce zrobi, już pewnie drugiej sposobności nie opuszczę i kiedy przy pannie Kazimierze siędę, pierwsza z nią zacznę rozmowę. Wszakże dotrzymałam danego sobie słowa, zebrałam się na wypowiedzenie tego, co mi serce niby żelaznemi kleszczami ściskało.

— „Więc pani tańczy!“ — rzekłam—a to znaczyło: Ja biedna jestem, muszę mamy słuchać, i kiedy na bal zaproszą, jechać koniecznie, jeśli mię głowa do ostateczności nie rozboli; na balu muszę tańczyć, gdyż jeślibym komu odmówiła bez uzasadnionej balowo przyczyny, wprost dlatego, że on mi się nie podoba, lub że mnie już taniec znudził, zarazby powiedziano: a jaka dumna! a jaka niegrzeczna! a jak uchybiła panu Pawłowi, a cóż to lepszego pan Piotr, że z nim tańczyła mazura? Pewnie się kocha w panu Gawle, kiedy aż dwa razy do walca jego rękę przyjęła. Powiedzianoby co gorszego może i zatrułoby to spokój nasz

rodzinny. Matkaby się rozchorowała, Dyonizy musiałby kogo na pojedynek wyzywać, jabym dobre imię i wszelką szczęścia nadzieję straciła. Takby to ze mną się działo. Ale pani wśród innych stawiona warunków; pani, co niczego nie żądasz od świata, bo już wszystko najlepsze od Pana Boga dostałaś; pani, co i owszem światu przynosisz łaski, za które on się tobie wysługiwać i przymilać powinien—pani masz prawo zupełne być lub nie być na balu; a gdy na balu jesteś, gdy się chcesz przyjrzeć temu wirowi próżni i hałasu, masz prawo nie tańczyć, jeśli tancerzy lub tańca nie lubisz.

Ztąd ma się rozumieć drugie powstało pytanie. Kiedy mi pani rzekła: „och! tańczę!“ ja znowu zagadnęłam: „więc pani lubi tańczyć,“ a według moich intencyj to miało się wykładać:

— Więc pani lubi gwar, szum, ruch, światła, muzykę — lubi pani to artystyczne odurzenie zmysłów, rozkołysanie fantazyi, zagłuszenie myśli dręczących?... Ja także w ten sposób lubię bardzo tańce i bale... A może który z tancerzy większe zrobił wrażenie? może się pani spotkała z jakiem ślicznem portretowem obliczem, z jaką muzeową postacią, z dźwiękiem głosu, który jej się podobał, z układem ruchów, który ją zachwycił? Więc pani lubi dziś tańczyć, bo się nie lęka, żeby ją zaraz pomówiono o kokieteryą, o jakieś małżeńskie zamiary, i zresztą nie lęka się tych zamiarów w swoim pięknym partnerze wzbudzić; względy pani przyjęte zostały pod tą samą wagą, pod jaką pani z serca lub wyobraźni je wyda; na żadnej szalce, pod żadnem okiem nie zaciężą miliony!...

Ten cały monolog wewnętrzny pani krótkiem tylko odtrąciła zatwierdzeniem: „Bardzo lubię tańczyć!“ Cha! prawda— pomyślałam sobie — taka młoda, powabna, szczęśliwa, czemużby nie lubiła tańczyć, z całą swobodą właściwą jej wiekowi, z całą radością spokojnej duszy i wolnego serca; tańczyć dla użycia i zabawy, nie dla artystycznych wrażeń i odurzenia. Szkoda jednak, że tak błogie usposobienie mojemu na

ten raz usposobieniu zupełnie nie odpowiada. Kto wie, czy gdy jej wspomnę o moich nędzach jobowych, o nurach? wstrętach, zachceniach, kto wie czy mię zrozumie? A oprócz tego jak we dwie będziemy tańczyły, każda na swoję stronę, to możemy już nigdy przy sobie nie usiąść—i zawołałam—„Szkoda,“ a pani złośliwie wypaczyła to słówko i usprawiedliwiała się niby, że są inne, które niezgrabniej od niej tańczą. Dzięki Bogu! ów jeden fałszywy wniosek przynajmniej na miejscu zaraz ubić podążyłam; zdawało mi się, że długi odsyłacz nawet do poprzedniego wykrzyknika przydaję, bo powiedziałam jednem tchnieniem—jabym wolała, żeby pani nie tańczyła wcale—to jest: wolałabym spotkać panią w chwili poważniejszej jej życia, rozmówić się z nią długo i szczerze, dowiedzieć od niej, jaki ma talizman na siłę bez walki, na uznanie bez potwarzy, na łaskę Bożą bez prawa światowego? Wolałabym jeszcze, żeby pani ciągle w jednem miejscu siedziała, żeby jej się chciało zaczekać na mnie, bo ja muszę wstać, gdy smyczki znać dadzą, muszę odejść, gdy mię pierwszy lepszy z tych panów zawoła; lecz pani takby łatwo było przecież jeden kontredans lub walc poświęcić, darować mi choćby na jałmużnę to zaspokojenie, że kiedy wrócę, znów panią w dawnem miejscu zastanę.

Jeśli słowa moje nie miały akcentu najserdeczniejszej prośby, to chyba nie moja wina. Zdawało mi się wtedy, że je wymówiłam zupełnie żebraczym tonem i że pani na ich znaczeniu oszukać się nie powinnaś. Taki wyskok odwagi uzuchwalił mię prawie: zwykle tego doświadczam, gdy już pierwszy krok śmiało postawię; drugi i trzeci jeszcze prędzej, łatwiej mi idzie, aż wreszcie, jak gdybym ze spadzistej góry norwezkiej na łyżwach się spuszczała, jeśli o drąg w poprzek ciśnięty nie zahaczę, to pewnie sama się nie wstrzymam. Szczęściem czy nieszczęściem, w poprzek ścieżek mego życia tyle grubych belek leży!... W ów pamiętny wieczór jednak kilka z nich bardzo zręcznie przeskoczyłam; to też zachciało się i więcej. Niedość

mi było gdziekolwiek znowu ujrzeć panią przy sobie; już myślałam. jakby to na dłuższą gawędkę wygodne znaleść miejsce. jak dla nas obydwóch pośród ciżby samotność wyszachrować. Gdybym pani opowiedziała. ile kocich i lisich użyłam podstępów, ile strategicznych zwrotów i odwrotów wykonałam. żeby się dostać aż na tę ławeczkę daleką. na której pani usiadła; gdybym się przyznała do wszystkich intryg, kombinacyj, przebiegów moich... ale nie chcę zbyt pochlebnego dać o sobie wyobrażenia i zbyt też nizko w opinii pani stanąć nie chcę; gotowabyś mię pani o geniusz Napoleoński. lub o dyplomatyczność Meternichowską posądzić; wyrzekam się zaszczytu i upokorzenia; wystarcza mi to wspomnienie, że zdobyłam sobie upatrzone miejsce. zdobyłam chwilę do pogadanki stosowniejszą. Trzeba się było śpieszyć z jej użyciem; ja też bez ogródki, bez parafrazy. bez przedmowy żadnej w główny temat uderzyłam. Przedewszystkiem o to mi chodziło. żeby smutne różnice naszego wzajemnego położenia stanowczym konturem oznaczyć. Biedna nietrafna! zamiast siebie najpierw dać poznać. zaczęłam od tego, co mi już w pani było znanem; niespodziewanie przez nią rzucone pytanie wysadziło mię trochę z kolei. drugostronnie jednak pomogło do szybszego biegu; tak się zapędziłam, iż pomijając przygotowawcze objaśnienia, postronne szczegóły, oparłam się jednym rzutem o końcowy, najważniejszy dla mnie szczegół, o kwestyą odwagi przeciw towarzyskiemu szyderstwu:

— Ludzie żartują z kobiet uczonych, a jednak pani się uczy i wcale jakoś ludziom nie zawadza. Mnie, przy każdej chęci gruntowniejszego zgłębienia rozpierzchłych i bezładnych wiadomostek. któremi nie wiedzieć poco karmiono mię w dzieciństwie. przy każdem dziele trochę poważniejszej treści. przy każdym nieomal kajecie z wypisami straszono zaraz parą granatowych pończoch. komedyą Moliera i rutką, co ją będę do późnego wieku siała; pani, przeciwnie, stanęłaś przy nauce, jak przy dziedzicznem prawie swojem—„nie lękasz się śmieszności!“ Ach! powiedz mi,

jakim to cudem wyrobić w sobie można; wskaż mi zaklęcie, powierz tajemnicę, która cię tak silną i swobodną wobec całego świata czyni! Chcesz wstać, to wstajesz. chcesz się przejść, to bierzesz panią Felicyą pod rękę i przechadzasz dowoli, chcesz tańczyć. tańczysz; nie chcesz tańczyć, odmawiasz; podoba ci się czyja rozmowa, to ją przedłużasz na godziny, a nikt się nie dziwi; podoba się jaki mężczyzna, to go raz i drugi w mazurze wybierasz, a nikt ztąd żadnych wniosków nie ciągnie; przypatrujesz się pięknemu obrazowi, lub rzeźbie znakomitej, nigdy sobie zegarkiem czasu nie mierzysz, wolno ci patrzeć „zadługo,“ wolno o całem gronie współpatrzących zapomnieć; słuchasz muzyki, nie potrzebujesz czuwać nad sobą, żeby cię mimowolne wrażenie z granic otaczającego świata nie uniosło; jestem pewna, że płaczesz, śmiejesz się, w ręce klaszczesz według pobieżnej chwili natchnienia. Powiedz, ach! powiedz mi, pani, jakim sposobem nie dbasz o to, że na ciebie cudze oczy są zwrócone, że mogą cię nie zrozumieć, oczernić, wyśmiać—powiedz mi pani!

I pani mi powiedziała — odrazu wszystko sobie wytłumaczyłam.—Cudem, odwagą, zaklęciem, tajemnicą, sposobem jest to poprostu, że się pani „taką urodziła.“ Może inną myśl prócz tego owinęłaś w swoje wyrazy, lecz ja tej jednej dosłyszałam: „Pani się taką urodziła“— bez łańcuchów na nogach, bez taczki miljonami wyładowanej!

— Pani bardzo szczęśliwa!—zawołałam wtedy— i zdawało mi się, że mię zrozumiesz, a zrozumiesz tem łatwiej, gdy jako dopełnienie słów moich ukazał się nowy tancerz, bez litości nas rozłączający. Och! bo ja, to wcale szczęśliwą nie jestem! Grzeczność obłudna, lub czujna zawiść ścigają mię wszędzie, wyszukują, choćbym się przed niemi pod ziemię schowała. Gdzie stąpię, zawsze ktoś patrzy, co przemówię, zawsze ktoś powtórzyć i przekręcić gotowy; ani pochwały, ani nagany nie przebaczają mi nigdy; muszę pilnować moich wrażeń, muszę całe życie moje rozdzielać na to „co

wypada i na to co nie wypada“ Taką się urodziłam, taką matka być mi kazała, taką Pan Bóg mię stworzył.

Według mego przekonania, smutna sprzeczność naszych losów zbyt wyraźnie na jaw biła, żebyś jej pani, zwłaszcza w tem zdarzeniu, jednym rzutem oka nie objęła. Poszłam więc tańczyć, nie udało mi się powtórnej zabezpieczyć sobie rozmowy, ale pewność już miałam zupełną, że byle trochę dobrej chęci ze strony pani, z mojej zaś byle dużo usiłowań i zabiegów, to przy pomocy Opatrzności spotkamy się znowu i może... może... bardzo kochać zaczniemy.

Na jak długo w tej przenajświetniejszej nadziei spoczęłam, pani wie. Już trzeciego dnia zaraz wróciły do mnie jej opaczne sądy, z właciwemi i niewłaściwemi przydatkami pomieszane. Cóż pani myśli, czy się bardzo obraziłam? czy rozgniewałam? czy mię takie zniechęcenie do pani, jak do innych ludzi ogarnęło? Bynajmniej—uznałam, że pani ma słuszność; rozgniewałam się, ale na siebie tylko. Znalazło się wiele osób, co z tej ploteczki chciały sprawę kompromisową ukuć, stawały w mojej obronie, unosiły się nad moim rozsądkiem, tarczą wszystkich oklepanych mądrostek zasłaniały przed pociskami głowę moję; a ja czułam jedynie, że to są nieznośne stworzenia, że musi starożytne jakieś fatum ciążyć na mojem przeznaczeniu, kiedyć mogłam stać się powodem, że i panią z jej cichego raju przed trybunał koteryjnej opinii wywleczono. Chciałam natychmiast pisać, uniewinniać się, tłumaczyć. Jak sobie wyobraziłam panią przy czytaniu mego listu, z szeroko rozwartemi oczyma, z zadziwieniem w każdym nerwie twarzy, z ustami pełnemi odciętych wykrzykników: „a to co znaczy? zkąd jej się wzięło? czego chce odemnie ta milionerka?“ Jak wywnioskowałam same wszystkie możliwe dla pani wówczas wnioski, jak podsłuchałam wszystkich jej z panią Felicyą dzielonych przypuszczeń—tak mi ręce opadły i nie śmiałam nawet pióra w kałamarzu umoczyć. Czułam to, że im więcej czasu na podobnych

wahaniach tracę, tem śmieszniejszem wydać się może zbyt opóźnione usprawiedliwienie. Prawiłam sobie zachęcające morały, łajałam się surowiej, niż mnie ktokolwiek, kiedykolwiek w dzieciństwie mojem wyłajał, szydziłam z siebie niemiłosierniej, niż panie obie szydzićby potrafiły; wszystko to na nic się nie zdało. Jako pociechy ostatniej i ratunku ostatniego uczepiłam się wreszcie tej myśli, że przed wyjazdem z Warszawy niezawodnie raz jeszcze panią zobaczę. Była to myśl idealnie piękna—żyłam nią cały miesiąc.

Jedno z drugiem policzywszy. nie mam się o co skarżyć — trochę cierpiałam, trochę się niepokoiłam, ale nigdy mi jeszcze tak długi przeciąg czasu tylu „zewnętrznemi" wrażeniami się nie upamiętnił. Drobniutkie sprawy potocznego życia ozłociły się, wyszlachetniały blaskiem moich nadziei. Kiedy się gdzie z matką wybierałam, a mogłam przypuścić tylko, że nasza znajoma jest także pani Felicyi znajomą, zaraz, co pierwej nie zdarzało się wcale, przyśpieszałam chwilę wyjazdu, niecierpliwiłam się przy ubieraniu; zajechawszy, oczekiwałam w trwogach i radościach. czy przyjętemi będziemy? z drżącem sercem na schody wstępowałam — a gdy pierwszy rzut oka po zgromadzonem towarzystwie przekonywał mię o płonności tych wszystkich życzeń i strachów, tak głęboko czułam gorycz mego zawodu, jak gdybym nie własne urojenie, lecz pewność należnego mi szczęścia posiadała. Jednak, w czasie naszej bytności pani mogła przyjść jeszcze. Otóż nieprzebrane źródło nowych oczekiwań, nowych arabesków na jednostajnie popielatem tle grzecznej wizyty. Po raz pierwszy zrozumiałam tajemną symbolikę drzwi pokojowych; ja co dawniej byłabym przysięgła, że są tylko do otwierania i zamykania w ścianach osadzone, gdy wypatrzyłam na nie tyle uczuć najsprzeczniejszych, pojęłam dopiero, co to za wyborny hieroglif owej wiecznie przed wzrokiem śmiertelników utajonej przyszłości. Jakież to zmiany, jakie katastrofy, jakie niespodzianki i uciechy od jednego rozwarcia podwojów zawisły! Bukiety, sre-

brne tace z cukrami, trumny aksamitem obijane, wrogi. przyjaciele. nudziarze, sławni ludzie, testamenta, główne losy na loteryi wygrane—wszystko to nam się może zza owych desek biało pomalowanych ukazać... A poruszenie klamki! ludzie tak wiele rozprawiają o muzyce, o majorowych i minorowych tonach: niech-że mi najbieglejszy artysta dobierze z taką siłą na nerwy działającego akordu, z jaką na mnie działało wtedy ciche skrzypnięcie lekko poruszonej klamki. Przyznam się też pod sekretem, że od owego czasu generał-bas i kontrapunkt straciły dla mnie powagę swej nieomylności; urok harmonii nie leży w wibracyi warstw powietrznych, tylko w zadrgnieniu naszej duszy. Komuż danem jest przewidzieć. od czego dusza mu zadrgnie? Przestałam już nawet dzwoneczkom chińskim i hałaśliwemu tam-tam urągać — nie mam prawa się dziwić tym. których śpiew panny Aurelii zachwyca. Lecz zkąd-że mi na myśl panna Aurelia wpadła? Pani jej nie zna, może i nie słyszałaś, że to młoda osoba, co ma w swoich wielkich czarnych oczach najpiękniejsze i najwyższe sopranowe tony. Zkąd-że się ona wzięła tutaj pod dziobkiem mego pióra? ach! przypominam sobie — jej matka podobne bardzo z panią Felicyą nazwisko nosi. Raz. u pani Michaliny, kiedy służący oświadczył jej godność, przesłyszałam się i byłam najpewniejszą, że mi się pani obok swej przyjaciółki ukaże—wtem panna Aurelia się ukazała— od tej chwili cierpieć jej nie mogę, tem bardziej. że chyba na złość całą wizytę swoję prześpiewała w najgłośniejszych ruladach, a mnie właśnie tak było tęskno!... tak smutno!... Gdybym panią była zobaczyła, może pani się zdaje, że byłabym pobiegła do niej z wyciągniętemi na szczery uścisk rękoma, że co prędzej opowiedziałabym prawdziwą historyą wzajemnych mistyfikacyj, że obiedwie uśmiałybyśmy się z niej serdecznie i na wiek wieków pogodziły z sobą?... Mnie samej przecież ciągle się zdawało, iż być inaczej nie może: tego pragnęłam, tego chciałam koniecznie... A jednak... ręczyć nie śmiem, coby się stało ze mną,

gdybym panią była kiedy naprawdę spotkała. Niechby pani stanęła przy mnie ze swojem trochę dziwiącem się, trochę badawczem spojrzeniem, jużby mi wszystko pomieszało się w głowie. Najpewniej ukłoniłabym się bardzo grzecznie—och! ja dla każdego i zawsze, prawdziwie przez sen, jak mówi pani Felicya, grzeczną być potrafię — ukłoniłabym się więc bardzo grzecznie, zagadałabym o pogodzie, lub o tym balu nieszczęsnym, że na nim było dużo osób i strasznie gorąco; możebym coś wspomniała o nowej operze — lecz zresztą wszystkie przygotowawcze zwierzenia, jak pigułki zbyt wielkie, w gardleby mi uwięzły...

Taką to ja się urodziłam, widzi pani: chorobliwie nieśmiałą, febrycznie drżącą pod cieniem śmieszności, kamiennie sztywną na byle pozór jakiegoś dziwactwa z mej strony, lub jakiejś niechęci ze strony bliższych mi osób. Może pani temu nie wierzy? trudno zrozumieć podobno usposobienie młodej osoby, w którejby właśnie wszystkie zewnętrzne życia warunki raczej zbyt wielką odwagę, niż lękliwość towarzyską rozwinąć powinny. Piękna (tak ludzie głoszą), bogata, starannie wychowana, jeżeli w sercu złych nie ma skłonności, czegóż się sąsiadów światowych obawia? Jak tam sobie drugie w mojem położeniu radzą, czy próżnością, czy pokorą się wspierają? — nie pytam!— Co do mnie, to jest pewnem i niezawodnem, że wszystkie wyliczone, niby ośmielające pomoce, są mi właśnie największą do szczęścia przeszkodą.

Piękna — to pierwsze utrapienie moje. Juścić nie zadeklamuję patetycznie, że piękną byćbym nie chciała—i owszem, lubię się w lustrze przeglądać; nie gniewa mię to wcale, że zamiast jakich kałmuckich rysów, zamiast czerwonej piwonii, lub zżółkłego pergaminu, widzę pociągły owal twarzy, duże oczy z długiemi rzęsami i płeć do listka białej kamelii podobną. A nie gorszy się pani mojem samochwalstwem? Dlaczegóżbyś gorszyć się miała? piszę tak szczerze, jak szczerze grzechy moje przy konfesyonale spowiadam; w żadne welony duszy mej obwijać nie myślę; wiem

prócz tego, że i pani się podobałam... na nieszczęście, z piękności tylko! Przezwałaś mię Białą Różą-Augustą i to przezwisko bardzo mi do gustu trafiło, może nawet męztwa dodało. Kiedy wyjechałam na wieś, kiedy mi doniesiono, że i pani także w swoje pół litewskie wyjechała bory, mimowolnie cierpkość przez jej zarzuty wywołana, choć tylko w zwrotnym na siebie kierunku (muszę koniecznie raz jeszcze przypomnieć), jednak ta cierpkość wywołana złagodniała powoli; nad innemi wspomnieniami tylko mi „Biała Róża“ wdzięcznie zakwitnęła. Wiejska cisza, pomyślałam sobie, wygładza mnóstwo miejskich chropowatości; jak mój list przyjmie opatowski i suwałkowski stempel pocztowy, zaraz milszym będzie gościem; jak go w samotności panna Kazimiera odbierze, to pewnie pierwej o Białej Róży, niż o milionowej dziedziczce pomyśli i serce do łaskawszego przeczytania usposobi. Biała Róża musi to jeszcze wyszeptać, że i przed poznaniem panny Kazimiery liczyła na takie podkradzione piękną twarzyczką współczucie, umyślnie sobie ku tej czci dobrała balowego stroju, który o tyle przynajmniej do greckiego miał się zbliżać, o ile na to moda pozwalała, a trybunał najwyższej powagi przez usta matki i pani Seydel nie wzbraniał. Mój Boże! i to się nie na wiele zdało!... sprawiedliwości pani przekupić nie mogłam!... tylko zmiękczenia jej nadzieja, w nieobecności podburzających wpływów, w oddaleniu mojem własnem została. Siadłam nakoniec przed stolikiem; wydobyłam jednę ćwiartkę papieru, potem druga już gęściej się zapisała; potem trzecia... na której skończę? ani się domyślam sama; wszakże mówiłam pani, jaka to ze mnie bohaterka, kiedy się raz już z bojaźni wyzwolę—teraz wróćmy do rzeczy.

Powiedziałam, że piękność jest także w liczbie moich utrapień: łatwo tego dowiodę. Gdyby można być piękną dla tych jedynie, którym się chcemy podobać i dla własnej artystycznej przyjemności, miałabym za co Bogu przy każdym pacierzu dziękować; ale być piękną dla wszystkich, to niech mi pani wierzy, naj-

nudniejsza w świecie historya, po sportmańskich żartach mego brata, po koncertach panny Aurelii i po sławnej podróży do Hiszpanii, w którą nas, od czasu jak zapamiętać mogę, ze dwa razy na tydzień wywozi stryjeczna bratowa mego ojca, przed trzydziestoma laty bardzo dowcipna osoba. Najpierw trzeba pani wiedzieć, że w tym świecie wielkim, jak go zowią, a rzeczywiście malutkim i dusznym, uznana piękność przechodzi poczęści na jakąś własność ogólną, niby obrazek w galeryi drezdeńskiej — gorzej nawet — galerya drezdeńska bywa przynajmniej w pewnych dniach zamkniętą, jej malowidła wypoczywają po różnogatunkowych spojrzeniach publiczności; rozgłośna, żywa piękność nie ma tej rekreacyi; gdzie się obróci, tam zawsze musi spotkać czworo lub sześcioro źrenic, to wytrzeszczonych, to mdławych, to zawróconych, to osłupiałych, to szklanych i nieruchomych, jak w woskowej figurze. Niech że pani teraz przypuści, że biedna piękność ma nerwy: chociażby grubsze od postronków były, jeszcze takie patrzenie musi ją fizycznie drażnić. Starożytne dzieje piszą o mieczu nad głową Damoklesa wiszącym — jabym tylko przed nim na kilka dni ciągle w twarz jego patrzące oczy zawiesiła; ciekawa jestem, czyby spazmów nie dostał; a dopieroż ze spazmatycznem rozstrojeniem moralną połączyć niecierpliwość!... Dlaczego mi się ludzie przyglądają?... Pani sądzi, że dla miłego wrażenia, jakie na człowieku każdy piękny twór Boży czyni, albo dlatego, że który zakochać się gotów? Ni to, ni tamto. Już bardzo wykształconym być trzeba, żeby piękność piękne na nas wrażenie czyniła: jaknajdowodniej wyczytuję to z różnych ścigających mię oczy. Jeden patrzy, żeby się pochwalić przed drugimi: „Widziałem tę okrzyczaną Augustę“—jeśli sam jest pod jakimkolwiek względem okrzyczany, to mówi: „Okrzyczaną *Gucię* widziałem“ i następuje pochwała hippodromowa, często nawet od stu nagan gorsza. Inny znów patrzy, wiedziony jedynie owczą ciekawością; gdyby zawołano, że nietoperz po sali lata, patrzyłby jeszcze cieka-

wiej. Są tacy, którzy czują się w prawie okazania życzliwego uwielbienia. Każdy z nich, gdyby miał serce pod żebrami, toby przecież nie dlatego kochał jakąś kobietę, że jest piękna, ale dlatego, że jest ta jedyna, którą kochać może. Nie sposób, żebym ja właśnie tą „jedyną“ dla trzydziestu być miała; w opatrznych rozporządzeniach uczuć i przeznaczeń ludzkich tak niesprawiedliwej, tak niemoralnej omyłki Pan Bóg nie popełnił; dwudziestu dziewięciu zatem udaje, lub się durzy najwyraźniej, że mi zaś wszyscy jedni do drugich zanadto są podobni, więc przypuszczam, że i ten trzydziesty udaje także, a trzydziestego pierwszego, coby nie udawał przedemną, lub przed sobą... jeszcze nie spotkałam dotychczas.

Osądź więc pani, co mi przyszło z mojej greckiej piękności Narobiło się koło mnie trochę więcej zgiełku, kiedy ja właśnie ciszę ustronną przekładam; zaproszono mię na kilka balów więcej, jako ozdobę i przynętę dla drugich; wydarto mi chwilę niejednę, którą chciałam stokroć lepiej i przyjemniej spędzić. Nie liczę już rozmowy naszej przerywanej, gdyż pani sama lepiej się domyśli, jaką to krociową sumę w regestrze krzywd moich zapisałam; ale proszę sobie wyobrazić inne drobniejsze straty moje. Mnieby teraz na przykład przyjemnie było słuchać, co pan Antoni opowiada — tymczasem za mojem krzesłem pochyla się pan Symforyan i stłumionym głosem powierza mi wielką tajemnicę, że wczoraj u hrabstwa tych lub owych bardzo dużo osób się zebrało; jabym się wybornie ubawiła dowcipem pana Aloizego, chciałabym pana Adolfa więcej szczegółowo o jego podróż przeszłoroczną wypytywać — właśnie też! — stają rzędem panowie Józefy, Aleksandry, Remigiusze, plotą po francusku niestworzone androny i myślą, że im za takie czasu mego złodziejstwo wdzięczną być jeszcze powinnam, ja, co tak skąpię każdej minuty życia—bo trzeba mi się i do tego dziwactwa przyznać, lata całe marnuję—lecz mimo to skąpą jestem; zazwyczaj jedna po drugiej wypełniają mi się jakąś maluteczką, ale i nie maluteczką przy-

krością; nie mogę bezwiednie ich tracić; każdą z nich oszacowywam na wartość jaką ma, a jaką miećbym dla niej chciała. Dajmy na to, iż obecnie tylko mię trzewik zbyt ciasny uwiera — wszak prawda, jaki to pyłek, jaki atom niedojrzany w biografii ludzkiej? a przecież owę chwilę, którą skrzywieniu i niemiłej fizycznej boleści oddaję, mogłabym upamiętnić sobie przelotem wzniosłej myśli, spojrzeniem na twarz przychylną, dźwiękiem takiego słowa, które usłyszeć pragnę — nie ciasny więc trzewik mi dokucza, ale pominięta sposobność; nie mojej nogi żałuję, ale żałuję owej myśli, owego spojrzenia, owego dźwięku, owych wszystkich uciech, któremi przykre wrażenie zastąpićbym pragnęła—ztąd moje skąpstwo na chwile i minuty. Ludzie w salonach nie domyślają się nawet takiej fatalnej skłonności; według ich zdania, piękna jestem, więc z obowiązku oglądaną i nudzoną być muszę. Och! gdyby młode, przystojne tylko panienki mogły pojąć, jak wielkich używają przywilejów, jaka swoboda im zapewniona przy każdem przejściu ulicy, na każdem widowisku teatralnem i na każdym balu, ile godzin zyskują wciągu całej swojej młodości, ile ich biorą pod dowolne rozporządzenie dla ukochanych i upodobanych swoich—doprawdy, żadna nigdy piękności drugiej nie zazdrościłaby kobiecie, a jednak zdarza się, że i ta kropelka żółci do szklanki octu wsączoną nieraz bywa!...

Takie są moje zyski z pierwszego daru losu, z piękności. Prócz piękności, mam jeszcze posag milionowy, jestem bogata!—zobaczy pani, jakiem dla mnie szczęściem bogactwo.

Sukien pełne szafy, bransoletek, pierścionków, spinek kosztownych pełne pudełka, koronek i batystów szuflady komód pełne. Pani się zdaje teraz, że Dyogenesową zacznę udawać obojętność. Nie — ja wcale strojami nie gardzę — wielką znajduję przyjemność w doborze odpowiedniej chwilowemu zachceniu tualety, mam nawet bardzo urozmaicone pod tym względem fantazye. Są dni, w których przepadam za

zielonym kolorom, są godziny w którychbym czarnej sukni na prośby niczyje nie zdjęła. Są niedziele, w których biało tylko ubraną być mogę. Mniejwięcej zimą lubię jaskrawsze barwy, latem ciemniejsze lub bledsze; jak się raz jednak z wszystkiemi fantazyami arytmetycznie porachowałam, okazało się, że od zielonych do dzikich mogłabym bardzo łatwo dwunastoma sukniami zadość im uczynić—tak się też składa, że przewyżka zazwyczaj leży sobie spokojnie, a dopiero gdy z mody wyjdzie, matka dla niej dalszą przyszłość obmyśla. Co do świecideł złotych i kamiennych, nie wiem dlaczego znieść ich na sobie nie mogę Czasem lubię się bawić klejnocikami, jak za błogosławionej pamięci mojej niańki ukradkiem w piasku bawić się lubiłam; ale niech tylko do czoła, do uszu, do ręki przymierzę, natychmiast wstręt mię ogarnia, bo sobie przypominam różne w jakiejś książce przed laty oglądane hindostańskie bałwanki. Mam tylko pewien pierścionek z opalem i z dyamencikiem szpileczkę, które mi nie zawadzają wcale; pierścionek dostałam od ojca, szpileczkę wybrała mi swoim gustem Urszulka, jedyna poczciwa dusza, co mię poczciwie kochała; napiszę o niej w dalszym ciągu listu, teraz jeszcze muszę sumienny bilans między majątkiem a przyjemnościami życia mojego ułożyć. Już pani widziała, że pod względem wszelkich domowych ruchomości bez trzech czwartych obeszłabym się wygodnie, cała resztująca masa jest dla mnie jakoby nie była; na użycie zostaje mi czczy tytuł właścicielki; a kiedy mówię, że czczy i próżny zupełnie, to dlatego, bo mi nie nadaje praw kodeksem napoleońskim zawarowanych. Nad własnością moją ja nie mam władzy żadnej; nie mogę jej za okno wyrzucić, nie mogę tak jak mi się podoba nią rozporządzić. Chociaż jestem pełnoletnią według urzędowych przepisów, zawsze jednak to wszystko, co niby moje, do matki rzeczywiście należy. Jeszcze nigdy w życiu mem nie ośmieliłam się matce przełożyć, że to, czego wszyscy pragną, mnie jest zupełnie niepotrzebnem, a to, co chwalą i cenią, mnie się podoba. Do in-

nych zewnętrznych korzyści bogactwa trzeba dodać, że zwykle jeżdżę koczem lub karetą, choć nadzwyczaj lubię piesze, tak na wsi, jak w mieście wycieczki; czasem koniecznie chciałoby mi się w błocie pochlapać; co jabym miała śmiechu i zabawy! aż mię zazdrość bierze, gdy patrzę na uniesione sukienki, na opatrzone kaloszami nóżki; zdaje mi się, żebym tak daleko, tak prędko biegła... a innym się zdaje, żeby tak wygodnie w turkoczącej siedziały karecie; pono tam jakieś mądre łacińskie przysłowie: de gustibus, mówi, non est... nie wiem czy dysputando, czy dysputandum; pani przyzwoitego zakończenia dobierze, nawet pozwalam się z mej łaciny i z gustu mego uśmiechnąć. Nie bronię go przecież, szlachetnym nie nazywam, w jedenaste przykazanie nikomu nie zapisuję; ale wyszczególniam dlatego, by dowodniej przekonać panią, jak mi jest osobiście mało bardzo przydatnem bogactwo, które, przeciwnie, tylu już zmartwień moich stało się powodem. Toć ono mi serce i myśl zatruło zwątpieniem, wysuszyło obojętnością, zbrukało podejrzliwością. Każde grzeczne słówko brzęczy mi w uchu, jak odbite echo posagowych dukatów, na każdej prawie twarzy uśmiechniętego młodziana leży, jakby wypisał: „Chcę się z panią ożenić, bo to będzie przepyszny interes“ — a są znów inne twarze, nieczęsto wprawdzie spotykane, lecz na swój sposób śmieszne i puszyste, któreby się zapłakały, gdyby mi spojrzeniem lub umyślnem zaniedbaniem nie wyraziły, że mię dlatego unikają, bo milionową jestem dziedziczką. Niech pani sama powie, czy to nie smutno, nie gorzko w moim wieku, z mojem poczuciem własnej godności, być przeważaną, lub niedoważaną, na wagę złota, srebra, miedzi i listów zastawnych! Alboż to ja nie warta jestem, żeby mię szczerze ukochać miłością, lub uszanować przyjaźnią życzliwą? Czyż Nemrodom posagowym się zdaje, że w ślubnym kontrakcie przed Bogiem nie zażądam prawdziwego uczucia, wyższego nad moje własne ukształcenie, i tych cnót, tych zasad do życia wcielonych, których spełnienie i zastosowanie jest

pierwszą duszy mojej potrzebą? Czyż mniemają, że tylko hypoteki na dobrach ziemskich wymagać będę dla wniesionej w dom męża sumy, a nigdy się o podział słowa Chrystusowego, wiary Chrystusowej, błogosławieństw i praw Chrystusowych nie dopomnę?... Szaleni i nikczemni...

A ci drudzy znowu, co oni sobie myślą? jakaż to dla nich wielkość, jakiż zaszczyt wysoki, że pominą kobietę, która może całą dążnością swoich myśli i przekonań na ich względy zasługuje — że opuszczą bez wsparcia serce bliźnie, które może niejednem dobrem wywdzięczyłoby się uczuciem! Ot, wszystko w kółko, wszystko z tegoż samego źródła zepsutego bije; tylko tam próżność próżności, a tu pycha pychy. Lecz ja może niepodobnych wymagam rzeczy; widzę wszędzie ludzi majątkowi hołdujących i spotykam kilka wyjątków, co znowu tak przesadnie majętnych jak grzechu się strzegą, tak ostrożnie z nimi jak z ogniem postępują. Według mego zdania, powinni być jeszcze ludzie trzeciego gatunku. Sumienni, niezależni w stosunkach swoich ani od cudzej nędzy, ani od bogactwa cudzego; ludzie religijnej sprawiedliwości, czystych intencyj, którzyby sobie śmiało powiedzieć mogli: „Ja od panny Augusty nie chcę ani pożyczyć, ani dostać pieniędzy; widzę tylko, że to jest stworzenie na obraz i podobieństwo Boskie, tak jako ja stworzone. Opatrzność razem nas sprowadza, mam więc względem niej równie jak względem innych blizko ścieżki mego życia przechodzących obowiązki; dłużny jej jestem każde dobre słowo i wrażenie, które ona przyjąć odemnie może, a nawzajem nie powinienem tracić dobrego słowa i wrażenia, które ja od niej wziąć mam prawo. Wszakże Pan Bóg najsilniej tem ludzkość całą zjednoczył, że zawsze jeden człowiek drugiemu zbawienie ułatwia lub utrudnia, chwilą grzechu lub zasługi do wieczności jego się przyczynia; obojętnością w tej mierze tłumaczyć się nie wolno; obojętność jest sama przez się grzechem; według ustaw najwyższych, człowiek człowiekowi nigdy obojętnym nie bywa: zawsze

ten tego, a ten owego może zniecierpliwić lub pocieszyć, zgorszyć lub nauczyć, zabawić lub znudzić. Sztuka życia i prawda życia na tem się opiera, by z każdej osobistości właściwy sobie zysk moralny wyciągnąć; dając czy odbierając jałmużnę duchową, równie się niebem przyszłość nasza zbogaca. Otóż więc pójdę, zaznajomię się z panną Augustą i dla spokojności sumienia przekonam, czego od siebie nawzajem wymagać, czego spodziewać się możemy.

Przyznaj pani sama, że nadzwyczajnych rzeczy nie żądam; upominam się o bardzo prostą sprawiedliwość tylko, lecz upominam tem śmielej, im pewniejszą siebie jestem, że co otrzymam, to zwrócić potrafię; jeśli względność, względność; jeśli szacunek, szacunek; jeśli przyjaźń, przyjaźń; jeśli miłość?... ach! przypuśćmy tę osobliwość, tę niespodziankę, że się we mnie, nie w moich milionach, zakocha młody człowiek, godny wzajemnego kochania... Stawiam go w najtrudniejszych okolicznościach; rodzina moja nie życzy sobie tego związku, ja mu się zupełnie obojętną wydaję— cóż tedy? ma ustąpić, wyjechać daleko, zapomnieć? Och! bluźnierca! bluźnierca! A toż miłość, to nie lada klejnot ze skarbnicy łask Bożych! Są ludzie, co się zestarzeją, a nigdy nie zdobędą się choćby na jednę chwilę takiego uczucia, w jego pełni i prawdzie najwyższej; jeśli on znalazł, lub zasłużył sobie, niechże nie marnuje—niech walczy -- nie o damę swych myśli, ja się nabok usuwam — ale niech walczy o wieczność pozyskanego daru, o to uczucie właśnie, co w sercu nosi. Więc dla chciwości, dla dumy, dla byle zdrożnej skłonności swojej człowiek się uniża i trudzi, a dlatego co jest świętem, najlepszem, najszczęśliwszem, dla tego nie miałby znieść kilku niesłusznych potrąceń, wytrwać przez jakiś czas niepowodzenia? Głupiec albo handlarz będzie mi nadskakiwał, będzie grał komedyą kłamanego uczucia, żeby mię oszukać potem, a on, co ma siłę własnego serca, potęgę prawdy, on mię nigdy na wzajemność nie wyzwie, z letargu nie obudzi tem słowem: „kocham ciebie!“ Czyż jemu na

myśl nie przyjdzie, że taka duma niedołęztwem, takie zwycięztwo nad sobą przegraną zupełną? Piękna mi chluba, że kto potrafi stłumić w sobie jaki popęd szlachetny, wyrzec się jakiego natchnienia, oprzeć się aniołowi, co w jego duszę wstępuje; że potrafi z korzeniem wyrwać cudowne trójziele, które się w ogródku jego życia rozwijać niespodzianie zaczyna! Podobnych Herkulesów, Izraelów podobnych jak piasku w morzu i gwiazdek na niebie. Rzeczywisty Herkules Grecyi Homerowej hydry tylko i potwory zabijał, Izrael syn Izaaków pokonał Anioła, lecz pokonał dlatego, by mu Anioł błogosławił szczęściem i mocy Bożej błogosławieństwem. Przeciw dobremu w sobie każdy bardzo łatwo na skuteczny opór się zdobędzie. Kiedy przyjdzie za dobrem w sobie bojować, dla dobrego w sobie zdobywać zewnętrzne okoliczności i anielskie błogosławieństwa, dopieroż to prędkie znużenie ogarnia, piórka skrzydeł gorzeją i duch niziutko na ziemię upada. Może mię pani wyłaje, lecz ja żadnej abnegacyi za cnotę nie przyjmuję — wyrzeczenia się żadnego dobra nie lubię; inna sprawa złe tępić, ze złego się poprawiać, roztrącać w sercu pogańskie bożyszcza, czy złote cielce, czy Aspazye modne, inna znów sprawa odsunąć lub nie sięgnąć po to, co mi się według myśli Bożej i praw osobistości mojej przynależy. Prawem szczerze kochającego jest właśnie wywołanie odpowiedniej sobie miłości i zwyciężenie opacznego losu. Kto swoję miłość zwycięży jedynie, ten mi jest równie grzesznym, jak oszust, co ją skłamał. Nie cierpię wszystkich bohaterów ujemności! Gdybym ja pokochała kiedy... No, kto znów słyszał o takich dziwach gadać—przepraszam pokornie i wracam do dziennego porządku.

Chciałam dowiedzieć się od pani, czy nie znasz takich ludzi, którzyby mogli przecież zbliżyć się do mnie towarzysko bez tej pobudki, lub tej przeszkody, że bogatą jestem? Ja w moim wielkim świecie nie znam nikogo dotychczas, prócz mojej Urszulki kochanej, prócz Morysia, a i on więcej przyzwyczajeniem,

niż uczuciem się rządzi, prócz pani, chciałam dodać jeszcze, lecz pani także przez milionowy pryzmat patrzyłaś na owym balu. Jakkolwiek przyznaję, że musiałam nieznośną się wydawać, że moja powierzchowna martwota główną wszystkich nieporozumień przyczyną, jednak pewna jestem, że gdyby pani o mojem bogactwie nie wspomniano, Biała Róża, choć sucha jak kreda, byłaby sobie zawsze względniejsze pobłażanie wyjednała. Niechże to panią przekona, co za intraty z owych milionów ciągnę!

Lecz pani tymczasem dziwi się bezwątpienia, że zapomniałam o najważniejszym i najświętszym przywileju bogactwa, o wspieraniu uboższych braci. Śliczny to jest przywilej; lecz mnie się zdaje, że go nie używam podobno! Zaufany kamerdyner cotydzień dostaje kilka złotych dla przychodzących pod drzwi żebraków. Na składki dobroczynne matka często kilka, kilkanaście, czasem i kilkadziesiąt dukatów rzuca; ja zaś sama — ja nic dla nieszczęśliwych uczynić nie mogę; tańczyłam parę razy na ich korzyść, to jedyna moja ofiara, do której sumiennie przyznać mi się wolno. Cały aparat powszedniego życia, całe moje otoczenie tak się ustawiło, że prócz żebractwa nie znam nędzy innej. Słyszałam i czytałam o rodzinach bez przytułku, bez chleba i bez zarobku, o ludziach którym garstki złota brakuje na wydobycie uwięzionego w przymusowej niewiadomości geniuszu, o kobietach, którym opieki tylko i pomocy brakowało, żeby się na drodze poczciwej sławy i cnoty utrzymać—cóż, kiedy owe rodziny, owi ludzie, kobiety owe biedne ani razu nie przyszły do mnie, a ja także pójść szukać ich nie mogłam. Szkoda, zdaje mi się, że umiałabym wspierać, i co więcej znaczy, wspartych przez siebie kochaćbym umiała. Jeśli mi się zdarzy kiedy służącej sukienkę podarować, lub jakiemu wiejskiemu dziecku dać krasną zadzierżkę, nie uwierzy pani, jak mię ich prosta radość do głębi serca raduje. Wiem jednak, że nie z takich prezencików, choćby stokroć kosztowniejszych, nie z podarunków żadnych jałmużna chrześciań-

ska powstaje; nie o zrobienie przyjemności, ale o prawdziwe zrobienie dobrego w niej chodzi. Musi to być jakieś religijne skupienie ducha naszego, jakaś wdzięczna pokora, jakieś nakształt modlitwy wzruszające uczucie, kiedy nam jest danem nakoniec bratu bliźniemu „dobrodziejstwo“ wyświadczyć. Mam o tem lekkie wyobrażenie, bo już odbyłam próbę maleńką, tylko że nie powtórzyłam od tego czasu, więc mi rozprawiać o wrażeniach dobroczynności wcale nie wypada. Gotowa mię pani jednák o lekkomyślność i niedbałość posądzić. Muszę wyznać, jak to było na prawdę.

Mieszkaliśmy wtedy w Warszawie dla ukończenia mojej „edukacyi.“ Ma się rozumieć, brałam lekcye śpiewu, muzyki, malarstwa i angielskiego języka.

Dzięki Bogu, że przez parę lat pierwej uczyłam się wielu innych rzeczy z moją Urszulką, bo gdyby nie to, miałabym dziś pamięć pełną wyrazów, zręczne palce u rąk, kilka piersiowych tonów zadziwiającej siły i giętkości—a myśli własnej, a pojęcia, a zrozumienia prawdy, a tęsknoty przynajmniej ku prawdzie tyle, ile było na początku, gdy ziemia była pusta i gdy ciemności unosiły się nad przepaściami. Lecz to wszystko do trzeciego rozdziału, lub raczej, mówiąc językiem niezupełnie z mody wyszłym, do trzeciego „awantażu“ w moim losie należy i pod rubrykę starannego wychowania zapisane być winno. Otóż mówiłam pani, że mieszkaliśmy w Warszawie, że pierwej jeszcze Urszulka przesączyła mi w serce trochę własnych swoich, zawsze poczciwych i zawsze gotowych do zrzeczywistnienia się chęci. Ideał dobroczynności zachwycał mię szczególniej. Mogłam wprawdzie przy pierwszej zdarzającej się sposobności iść prosto do matki i o stosowną sumę pieniędzy poprosić. Byłoby to najrozsądniej, najprzyzwoiciej i najkrócej zarazem — ale jak zwykle młoda głowa przewrócona, rozmarzyłam się w jakieś ofiary i poświęcenia osobiste: uparłam się koniecznie, żeby to oddać tylko, czego się sama pozbawię; w tym zaś względzie trzeba mieć jasne zrozumienie mego położenia. Już wspomniałam pani, że mi

mnóstwo zbytkowych rzeczy sprawiają—tak samo było i wówczas— sprawiano mi wszystko, ot, wszystko nieomal, co modniarki i kupcy sprawić poradzili; pieniędzy jednak bardzo mało brałam do ręki i trzeba mi było całorocznej oszczędności, żeby sobie dwadzieścia dukatów uzbierać. Dwadzieścia dukatów!... jak zaokrągliłam tę sumkę, myślałam, że oszaleję z radości; codziennie przed zaśnięciem z godzinę sobie rozmaite projekta tworzyłam. Komu dam? na co kto użyje tego datku? ile mu później pierwsza moja zapomoga przyniesie korzyści? Lecz dzień za dniem upływał; dukaty nie wychodziły z mojej kieszeni, choć je zawsze miałam na podorędziu. Pierwszy raz wtedy zrobiłam sobie uwagę, że nie tak łatwo o sposobność do dobrego uczynku. Ludzie nadużywają różnych wyrażeń, dlatego mnóstwo śmiesznych częstokroć drobnostek dobremi uczynkami zowią; w mojem przekonaniu dobry uczynek składał się głównie z dobrego w mojej duszy usposobienia, z dobrych w przyjmującym wrażeń i z dobrych skutków przyjęcia nakoniec. Gdyby moje dukaty poszły na wódkę, lub zabezpieczyły wygodniejsze próżniactwo choćby też prawdziwemu pod względem majątkowym biedakowi, nie byłyby według mego przeświadczenia „dobrze“ użyte; ja zaś chciałam dobrze ich użyć: chciałam i troszczyłam się wielce, bo sposobności ani widać, ani słychać. Przecież nie mogłam zatrzymywać na ulicy tych, którzy mieli smutniejsze i poczciwsze według mego sądu twarze; nie mogłam wpadać do ciasnych izdebek w piwnicach lub na poddaszach i pytać: — „czy tu niema kogo, coby czterystu złp. na poczciwy użytek potrzebował?“ Po długich jednak oczekiwaniach, zbiegły się naraz wszystkie wymarzone w mem sercu dobrego uczynku warunki. Jednego dnia latem, pogoda była prześliczna i matka pozwoliła mi, w zwykłej asystencyi panny służącej i lokaja, pójść samej sobie jakieś desenie na kanwową robotę wybrać. Kupcowa zajęła się mną bardzo grzecznie, ale w jej twarzy z łatwością niezwykłego roztargnienia dostrzegłam. Od strony sieni, na

schodach ogromny ruch panował; razporaz odbijały się szybkie zbiegających, lub wbiegających tupania, a przed bramą gromadka ciekawych skupiać się i zwiększać zaczęła. Możebym na to wszystko jeszcze żadnej nie zwróciła uwagi, lecz w tej chwili, gdy rachunek płacić miałam, nadbiega zadyszana panna sklepowa:

— Już sąd zjechał—woła do swojej pani.

— Dzięki Bogu! przynajmniej prędzej trupa zabiorą—odpowiada kupcowa.

— Jakiego trupa? co się to stało? — pytam zaciekawiona ich słowami.

— A to u nas na górze powiesił się dziś rano malarz pokojowy—i dalej-że mi opowiadać smutną historyą malarza, jak od trzech lat się ożenił, choć jemu samemu chleba brakowało; jak potem z żoną pracowali we dwoje; jak za przybyciem na świat synka, matce zdrowia ubyło, a ojcu roboty; jak się dał Żydom na farbach i obstalunkach oszukiwać; jak zniechęcał się, niedołężniał, i wkońcu, gdy coraz głodniejsza nędza do jego facyatki zaglądać zaczęła, znać obłęd przystąpił do niego i powiesił się z rozpaczy.

— Jego to niema co żałować—mówiła rozsądna kupcowa—sam sobie winien: zawsze był taki nieradny i ślamazarny; ale żona biedaczka, chorowita, z dzieckiem maleńkiem—nie wiem jak sobie da radę. Bo to, na domiar złego, okrutnie jeszcze tego męża kochała. Zawsze jej się zdawało, że niema lepszego człowieka pod słońcem. Ślicznie mi dobry człowiek, co żonę i dziecko w ostatniej potrzebie zostawia, a sam jakby się spać położył. Byłam ja tam dzisiaj, jak tylko hałas o trupa się zrobił: nawet mówić z nieszczęśliwą kobietą niepodobna; ciągle krzyczy albo mdleje—osobliwość jak go kochała!...

Domyśla się pani, że nie usprawiedliwiałam tej osobliwości przed panią kupcową, tylko wziąwszy pannę służącą, coprędzej pobiegłam na górę. Ten jedyny raz widziałam nędzę tak okropną, a taką upozorowaną jeszcze. Rozpaczająca wdowa miała dość porządne ubranie, ściany były czyste i podłoga schludnie zamie-

ciona; zresztą brak wszelkich sprzętów, została jedna tylko kolebka chłopczyny. Jak się później od matki dowiedziałam, i ta już miała raz iść na sprzedaż, ale dziecko przywiązało się do niej; miało już tyle pojęcia, że broniło swojej własności. Kiedy ojciec chciał wynosić, zaczęło krzyczeć i płakać—a ojciec—ten nieradny ślamazarnik według pani kupcowej, już o sprzedawaniu kołyski nigdy więcej nie pomyślał, tylko pomyślał o śmierci. O Boże. mój Boże! gdybym dniem pierwej była się z nim spotkała! gdyby on mógł był wiedzieć, że się od kilku dni z dwudziestoma dukatami dla wsparcia którego z potrzebujących noszę... gdyby - jedno gdyby. a życie człowieka uratowane, rodzina ocalona, środek dalszej pracy zapewniony. Myślałam, że mi się serce rozgniecie pod ciężarem tego „gdyby;“ zdawało mi się, że jestem w dalekim lecz niemniej prostym stosunku winną zgonu tego samobójcy. Jeszcze raz serdeczniej. troskliwiej zajęłam się losem jego wdowy. Lokaja i pannę służącą rozesłałam na skupowanie potrzebniejszych rzeczy; sama zostałam z biedną kobietą i tuliłam dziecię zgłodniałe, a nadzwykłem zbiegowiskiem przestraszone jeszcze. Musiało być pełnem współczucia i ożywczej siły serce moje, kiedy po odejściu cudzych ludzi, przy mnie, na głos mej pociechy, kobieta ciągle pierwej martwa jak kamień, lub gwałtowna jak wściekłość w boleści swojej, zaczęła zwolna opamiętywać się, uspokajać — aż wreszcie suche jej oczy cichemi łzami zapłakały i razem ze mną pomodlić się mogła. Trochę późno dnia tego wróciłam do domu. Matka surowo mnie przyjęła, lecz gdyśmy ze służącą zdarzenie całe opowiedziały, pod wpływem naszych wrażeń sama się rozrzewniła i żaden z jej strony zarzut mię nie spotkał. Nazajutrz wyszłam znowu, żeby moję biednę wdowę odwiedzić; przyjęła mię tak serdecznie, że widać było, jak się nawet ucieszyć starała. Trzeciego dnia miał być pogrzeb. Nie przyrzekłam, lecz zdawało mi się, że znajdę wolną chwilę, aby z matką i dziecięciem do niepoświęconego grobu zmarłemu towarzyszyć; czułam,

jaką to wielką i prawdziwą łaską będzie dla osieroconej rodziny—im surowsze prawa, tym ludziom potrzebniejsze ludzkie miłosierdzie. W oznaczonej godzinie zaczęłam się więc wybierać, kiedy na całą gorliwość moję, na cały mój zapał litosny chłodnem spostrzeżeniem dmuchnięto.

— Jeśli chcesz iść koniecznie—mówiła matka—to ci nie wzbraniam, moja Guciu; proszę cię tylko, zastanów się rozsądnie, na co te wszystkie odwiedziny twojej ubogiej się zdadzą? Że jej wsparcie dałaś, to dobrze; że chciałabyś co więcej dla niej uczynić, i to mię nie dziwi; ale że teraz codziennie ze służącą po ulicach latasz, że się na dalekie pogrzeby wybierasz—to wszystko sensu nie ma. Wiesz najlepiej, jak ja żadnej przesady nie cierpię. Przesadna dobroczynność jest okropną śmiesznością tylko. Ciekawam coby też powiedziano, gdyby cię kto ze znajomych spotkał daleko za miastem, w towarzystwie takiej pani malarzowej, przy takim konwoju? Jeśliby szkodliwej potwarzy nie ukuł, to pewnie zapisałby cię do jakiego bractwa modnych dobroczynności komedyantek. Rozsądniej daleko zrobisz, jeśli mnie to zostawisz; ręczę ci, że i twoja biedna wdowa więcej na tem skorzysta.

Otóż widzi pani, zrobiłam daleko rozsądniej i moja biedna wdowa istotnie więcej na tem skorzystała, bo ją matka wzięła do dóbr swoich i uposażyła jakiemś miejscem, na jakimś folwarku. Słyszałam, że bardzo jest wdzięczna, że bardzo dobrze jej się powodzi, moich sentymentów nic a nic nie potrzebuje. Od tego czasu wszelkie miłosierne przedsiębierstwo na rozsądek mojej matki zdaję, a jeśli czasem chęć samodzielności się odezwie, natychmiast brzmią mi w uszach te słowa: Przesada! coby na to powiedzieli! „Bractwo modnych dobroczynności komedyantek“ — i widzę się zakapturzoną po sam czubek nosa, w litościwych przed okiem ludzkiem pielgrzymkach, z woreczkiem pełnym biletów na różne fantowe loterye, z ametystowym różańcem zamiast bransoletki na ręku; a muszę pani powiedzieć, że ametystów nienawidzę. Słowem, uprzy-

tomniają mi się wszelkie możliwe okoliczności miłosierdzia, jako pewien stan, pewien urząd sprawowanego pod dozorem właściwych komitetów, z upoważnienia administracyi krajowej, miłosierdzia o bochenku chleba na szalkach stemplowanych, o cudzej kieszeni w zapasie—ja, co chciałam oddawać i kochać... wstyd mi, gdy sobie wspomnę...

Może też z przytoczonego zdarzenia lepiej pani zrozumie kierunek „starannemu wychowaniu“ mojemu nadany. Jak drzwi spiżowe na kardynalnej zawiasie, tak ono, ciężkie i zimne, obracało się ciągle na zasadzie jakiegoś spotęgowanego rozsądku. Uczucia serca, upodobania wyobraźni, religia nawet moja, składać się musiała do stale zakreślonych wymiarów.

Co pani między swoimi rozsądkiem nazywa, nie wiem, przypuszczam tylko, że to coś bardzo pięknego być może; albo śledzenie prawdy, albo odkrycie stycznego punktu między ideałem i rzeczywistością, albo sztuką życia w uczynkach wedle pojęcia doskonałości w duszy złożonego. Może dla pani rozsądek jest silną a zręczną praktyką jej marzeń?... U nas ta władza despotyczna ogranicza się na trzech przeczeniach jedynie. Nie być przesadną, nie być egzaltowaną, nie być romansową, to wszystko razem dopiero znaczy być rozsądną. Lecz ponieważ jest wielkie podobieństwo, że wyrazy: przesadna, egzaltowana, romansowa inaczej są w pani dykcyonarzu wytłumaczone, inaczej znowu wśród nas używane, koniecznie trzeba do nich krótkie przypiski załączyć. Otóż tedy: przesadna odpowiada śmiesznej, częstokroć tylko dla oka ludzkiego odgrywanej roli. Takim przymiotnikiem zwykle oznaczano przy mnie nerwowe laleczki, spazmujące na byle głośniejszy łoskot, łzami zalane o byle rzewniejszą ploteczkę, lub powiastkę francuską, w każdym niespodziewanym wypadku przytomnie zemdleć gotową. Do przesady liczyły się jeszcze wszystkie na cienką nutę wymoderowane głosy, wszystkie sznurowane usteczka, wszystkie wzdychające wykrzykniki, przechylane główki, umyślnie zpod sukienek wystawiane nóżki,

zbyt często białą rączką odgarniane loki i różne tym podobne, naturze mojej najwstrętniejsze rzeczy. Drugostronnie przesadą uznano także każdy objaw radości, smutku, uwielbienia, każdy ruch szybszy, naglejszy, każde wrażenie znienacka duszę ogarniające. Raz, mój ojciec wrócił z dalekiej podróży; jakem go we drzwiach ujrzała, krzyknęłam głośno, zerwałam się coprędzej, a że mi zbyt wysoko było do szyi ojca sięgać, więc nogi jego z hałaśliwą, niepomiarkowaną, dziecinną namiętnością ściskać i całować zaczęłam.

— Poczciwa moja dziewczyna! — rzekł ojciec.

— Lękam się tylko, żeby nie była przesadną — odpowiedziała matka, a mnie już nieraz przedtem zdarzyło się uważać, kogo to ona przesadnym nazywała. Kiedy na moje serce spadło to groźne słowo, doświadczyłam tak dziwnego skutku, jak żółw, któremuby lodem nagle obmarzły wyciągnięte na słońce ze skorupy łapki. Już nigdy potem nie przyjmowałam ojca z podobnemi demonstracyami nadzwykłej uciechy.

Kiedy miałam lat dwanaście, umarła mi młodsza, siedmioletnia siostrzyczka; prześliczne to było dziecko! a jakie ukochane moje, żeby pani wiedziała! W chwilach od lekcyi wolnych sto razy lepiej z nią się bawiłam, niż ze wszystkiemi mojego wieku panienkami. Dziś jeszcze łzy do oczu się cisną mimowolnie, gdy piszę te słowa, jak gdybym widziała jej główkę, ciemnemi loczkami z natury ufryzowaną, jej oczy duże niebieskie, patrzące na mnie takiem dziwnem, głębokiem spojrzeniem, i ten jej uśmiech tęskny, gdy mówiła czasem: „Guciu baw Zinkę, bo Zince smutno bardzo.“ Umarła moja pieszczotka! prawda, że często zapadała na zdrowiu, prawda, że była wątła jak kwiateczek zimowy, chuda, blada przezroczystą bladością; nikt jej życia długiego nie wróżył, a jednak gdy skonała, mnie trudno było jej śmierci uwierzyć; pierwszy raz też patrzyłam na umarłego; dziecina spała niby cichuteńko i swobodnie, i gdy ją ustroili, piękniejszą była niż kiedykolwiek; wiedziałam przecie, że już nie żyje, że ją mają w trumnę zabić i na cmentarz wywieść; lecz jak

czarno ubrani posługacze istotnie wieko gwoździmi przykuwać zaczęli, ze mną nie wiem co się zrobiło: uroiłam sobie, że Józinka się obudzi, że ją gwoździe skaleczą i zaczęłam krzyczeć na całe gardło: „Nie dam! nie dam! nie dam!“ — i rzuciłam się ku trumnie, rozpychając wszystkich, broniąc całemi siłami biednej mojej siostrzyczki. Jak mnie tam odciągnięto, jak wywleczono do drugiego pokoju, nic sobie nie przypominam; wiem tylko, że później przyszła matka, zapłakana wprawdzie, lecz spokojna, kazała mi się wody napić, a gdym się trochę uciszyła:

— Martwisz mię jeszcze więcej, moja Guciu — rzekła do mnie poważnie; — w każdem zdarzeniu i w boleści nawet człowiek miarkować się powinien; taki żal głośny jemu straty nie wróci, a drugim przykrość tylko lub zgorszenie sprawia. Bierz ze mnie przykład; wszak pewnie więcej niż ty naszej Józinki żałuję; a jednak nie krzyczę, nie szarpię się z ludźmi, bo to wszystko na nieznośną przesadę zakrawa.

Zapewne matka wielką słuszność miała; przypominam sobie, jak później jedna ze znajomych naszych przy pogrzebie swego ojca strasznego narobiła hałasu, dostała palpitacyi serca, trzeba ją było gwałtem od katafalku odrywać, a w kilka tygodni jak się to wesoło po dziedzińcu z Dyonim ścigała, jak gdyby nigdy w życiu czarnej sukni obszytej białemi tasiemkami nie nosiła.

— Patrz, Guciu, na czem się kończą te rozpacze przesadne — mówiła do mnie matka z lekkiem ramion wzruszeniem, a mnie nauka i przykład głęboko do serca wniknęły. Kiedy później sama ojca straciłam, już nie krzyczałam, nie darłam się do trumny, umiałam płakać pocichu i przyzwoicie—tylko... z przeziębienia w tym czasie odbyłam długą, podobno niebezpieczną chorobę.

Przez cały dalszy ciąg mej edukacyi, dwa razy jeszcze zasłużyłam na lekkie o przesadność zgromienie. W tej historyi z wdową malarza i ostatni raz na koncercie Liszta, gdy mu zachwycona najniedorze-

czniej przyklaskiwać zaczęłam; więcej takich grzechów nie pamiętam już wcale. Są przecież inne, stokroć cięższe, które dźwigam na mojem sumieniu!

Egzaltacya! co to jest?—nie wiem — żadnej definicyi nie umiałabym dobrać temu wyrazowi. Z różnych zastosowań wnioskuję, że musi być dubeltową przesadą, wyższym, lub raczej niższym, podlejszym stopniem kłamstwa; lecz może jest cnotą, geniuszem, siłą, która człowieka nad poziom ziemski unosi — och! nie wiem! nie wiem! w głowie mi się mąci.

Kto jak święty Jan Kanty płaszcz ze swych ramion zdejmuje, by nim żebraka na rynku przyodziać, a jak Harpagon domownikom porcye niekraszonej kaszy niepełnemi kwaterkami mierzy; kto po szpitalach obcych chorych nawiedza, a własnym krewnym z głodu umierać daje; kto po szkółkach wiejskie i miejskie dzieci niby uczy, niby zaopatruje, a swoim rodzonym jak dzikim płonkom rość pozwala; kto składa hojne dary na dobroczynność w stolicy, a we własnych majątkach z rozwalających się chałup fartuchy, sierpy i czapki za robociznę lub czynsze fantuje; kto przyozdabia złotem i srebrem kościoły, a rodzeństwo w działach majątkowych krzywdzi; kto deklamuje o miłości bliźniego, a potrąca służących, nie płaci sumiennie najemnikom, oszukuje sąsiadów — krótko mówiąc, kto się bawi cnotą, kto się chwały ludzkiej dorabia obłudą, kto samolubne zyski pozorem świętych uczynków barwi — ten się zawsze w domu naszym „egzaltowanym“ zowie. Lecz bardzo często, może częściej nawet, słyszałam ten przymiotnik w zupełnie innym sensie używany. Gdy jeden z najczcigodniejszych kapłanów naszej okolicy domagał się raz chrześciańskiej od chrześcian odwagi, gdy wołał o cześć Bożą w duchu i prawdzie, gdyż każdem słowem kazania dopominał się o miłość i ofiarę — powiedziano, że ksiądz egzaltowany. Na poezye Adama, Juliusza, Zygmunta powiedziano, że są egzaltowane. Poświęcenie misyonarzy idących w głąb Chin lub Tatarszczyzny pod grozą śmierci męczeńskiej słowo Chrystusa głosić; zapał młodzieńczy,

zrywanie się ku wielkim czynom, tęsknota ku lepszemu, nadzieja przyszłości, wiara w ludzkość zbawiającą się przez wieki — wszystko to ma być egzaltacyą tylko. Jeśli Żółkiewskiego i Chodkiewicza, Kordeckiego i Puławskich, Rejtana i Kościuszkę „egzaltowanymi“ w mej obecności nie nazwano, to dlatego zapewne, iż o nich w naszem poufnem kółku nigdy przydłuższej nie było rozmowy; bodaj jednak, czy już o Napoleonie ktoś tego nie powiedział, a ma się rozumieć, że pani Staël, która tyle prześlicznych rzeczy wydrukowała, i panna Łucya, która swych wierszy drukować nie zaczęła dotychczas, na wieki wieków zrosły się z tym przydomkiem.

Nic dziwnego, że pośród tak różnorodnych znaczeń do jednego wyrazu naczepianych, kilkakrotnie zdarzyło mi się obłąkać, niewłaściwą pójść drogą i o sam kamień obrażenia srodze sercem potrącić. Najpierw pamiętam, było to po śmierci ojca i po przebytej chorobie; niezupełnie jak widać otrząsnęłam się z jej skutków: co dusza czuła, to bezkarniej na jaw się wybijało. Czy byłam smutna, czy zniecierpliwiona, czy się rozrzewniałam, czy nudziłam, zawsze to jakoś łatwo się z mej powierzchowności dawało odgadnąć. Rumieniec, bladość, czasem łza w oku zdradzały najniepotrzebniej wewnętrzne usposobienie. Wzrok ludzki, obojętny, wszędzie mi też przeszkadzał i tylko wtenczas oddychałam swobodniej, kiedy zdala od wszystkich w samotny kącik uciec sobie mogłam. Jednego wieczoru poszczęściło mi się nad wszelkie spodziewanie. Całe domowe towarzystwo siedziało w bawialnych pokojach, a mnie drzemiącą na sofce zostawiono spokojnie w odległym na ogród wychodzącym gabineciku. Gdy się zbudziłam, głęboka cichość panowała dokoła, przez otwarte okno lały się wszystkie promienie lipcowej pełni dorastającego księżyca; ze świeżym chłodem wieczoru falowała w powietrzu jakaś woń upajająca róż pod oknem kwitnących, i liści na drzewach ogrodowych i trawników rosą zwilżonych: te zapachy, te promienie, ta cichość nadewszy-

stko oczarowała mnie zwolna, dałam jej się zamagnetyzować; wszystkie myśli niewolnicze wypuściłam na swobodę i sama z siebie uciekłam daleko. Co się ze mną działo? to pani musisz wiedzieć najlepiej. bo pani przecież nikt nie broni tak całą duszą po całym bujać świecie — ja wtenczas pierwszej mojej używałam wycieczki. Trudno mi dzisiaj w jakiegobądź opisu wyrazy ją ująć. Nie było żadnych wyrazów w mej myśli, nie było myśli nawet, tylko mętne, senne a błogie wrażenia, sensacye, jeśli mi pani przebaczy to słowo z francuskiego języka pożyczone. Wiem, że zdawało mi się, jakobym występowała po za własne ciało, ja druga, ja prawdziwsza, zarysem kształtów zupełnie sobie podobna, tak blada i tak czarno ubrana, ale giętsza, lżejsza, sprężystsza, bogatsza skarbami uczuć i władz niepojętych, doskonalsza nadprzyrodzonem zmysłów rozwinięciem. Czułam się wszędzie i we wszystkiem obecną, piłam nektar z kielicha floksa, kołysałam się na białej jaśminu gałązce, płynęłam z tchnieniem wiatru nad ciemnym szpalerem, ale mi było smutno, smutno, bo chciałam ojca mieć przy sobie, bo i ojciec tęsknił do mnie; a był daleko, wysoko, wyżej niż księżyc, niż gwiazdy. Niech tylko pani o tem pamiętać raczy, że co jej przedstawiam w obrazach, dla mnie nigdy obrazem nie było; że nie złudzenia wzroku, lecz w poczuciu mojem rozgrywające się opowiadam fenomena; istotnie, przytomność rozsądkowa nie opuściła mię ani na jednę chwilę; wiedziałam że leżę na sofce, że o kilka pokojów odemnie matka herbatę nalewa, jednak żyłam pod dziwnem wrażeniem innych miejsc, innych zdarzeń. Jak pająk na wiotkiej nici, którą z własnej piersi ciągnie, tak ja na smutku moim zawisłam w przestrzeni i wzmagałam się, wzmagałam by do góry ciągnąć, a mój smutek, moja nić pajęcza, to był niby srebrny promień księżyca, między mem sercem a niebem drgający. Ojciec zstępował do mnie na tym promieniu, ja się do niego zbliżałam i byliśmy już razem, razem przez siłę wzajemnej tęsknoty, przez miłość naszę, przez promień

księżyca. Gdyby mnie ojciec mniej kochać zaczął, lub gdybym ja go coraz więcej kochać nie mogła, tobyśmy się rozłączyć musieli; czułam postrach takiej groźby w przyszłości; jasna przędza chwiała się czasem pod niewidzialnych naszych postaci brzemieniem; lecz we mnie czucie potężniało i nie ojca ściągałam ku sobie, tylko sama za ojcem wzbijałam się coraz wyżej — wtem niespodzianie chmura przeciągnęła, wszystkie promienie księżyca wstrząsnęły się odrazu i doświadczyłam rozpaczliwego zwątlenia, zaczęłam się osuwać, osuwać, osuwać; czułam, że ziemia blizko, że ojciec znów daleko, i gorzkie łzy twarz mi zalały.

W tej chwili brat mój huraganem wpadł do pokoiku, chcąc się przekonać, czy śpię jeszcze, a najpewniej chcąc mię już obudzić; nachylił się i spostrzegł, że nie śpię, lecz płaczę. Dyoni ma na nieszczęście tak zwane „dobre serce.“ Głód, choroba, niedostatek prawdziwie go rozrzewniają; jeśli sam gniewem uniesiony służącego nie uderzy, lub któremu z dziedzińcowych podwładnych batami dać nie każe, to w zwyczajnem usposobieniu ani bicia, ani ludzkich jęków i łez nie cierpi. Zapłakana twarz siostry przykre też na jego nerwach zrobiła wrażenie.

— Guciu! co to, Guciu? — spytał mię takim serdecznym głosem, że mię na nieostrożność wyciągnął.— Pokazałam mu księżyc i rzekłam tylko:

— Patrz, Dyoni.

Dyoni popatrzył chwilę, nic nie zobaczył, więc na mnie oczy zdziwione obrócił, a ja szalona dodałam:

— Och! gdyby tam raz jeszcze się dostać!

Na te słowa brat osłupiał wyraźnie, postał trochę w milczeniu, ale zbyt długo utrzymać się nie mógł; jak parsknie śmiechem, jak zacznie pędzić, tak dopiero w bawialnym oparł się salonie.

— Mamo! mamo! Gucia się na księżyc wybiera! — zawołał całą siłą mężniejącego w swą dojrzałość głosu.

— Cóż to za dziwne żarty? — niechętnie zrazu odezwała się matka.

— Ale ja nie żartuję—upewniał Dyoni. — Gucia się doprawdy na księżyc wybiera, jak mamę kocham; nawet płacze, że tam pójść nie może.

Biedna Gucia spostrzegła już, co za okropną popełniła niedorzeczność i z miejsca ruszyć się nie śmiała—ale matka sama z zapytaniem do niej przyszła:

— Wytłumacz mi, co to znaczy?

Pewnie wolałabym się była o sto łokci pod ziemię schować, niż dawać żądane wytłumaczenie; gdy jednakże w posadzce ani jeden kwadracik się nie poruszył, zebrałam całą odwagę moję i z częścią prawdy stanęłam przed sądem.

— Dyoni ma słuszność—rzekłam okropnie drżącym półgłosikiem;— mówiłam do niego, że się chcę na księżyc dostać, bo właśnie przed chwilą śniło mi się, że tam ojca widziałam.

— Śniło ci się, moje dziecko, to rzecz łatwa do zrozumienia, nam wszystkim ojciec śni się dosyć często; ale któż słyszał po przebudzeniu jeszcze tak się poddawać sennym wrażeniom?—Widząc zaś, że mię te słowa nic a nic nie uspokajają, że mimowolnie łzy jak groch po twarzy mej lecą, matka zamknęła okno, kazała przejść się trochę i znacznie surowszym tonem dorzuciła:

— Bądź-że rozsądniejszą, moja Guciu, bardzo cię proszę; takie płacze na nic się nie zdadzą, a jak w zwyczaj wejdą, gotowaś rozegzaltować się gorzej, niż panna Olimpia, co po śmierci swego dziadka do klasztoru chciała wstępować.

Nawiasem tylko muszę pani powiedzieć, że panna Olimpia nie wstąpiła do klasztoru, nawet choć jej potem babka umarła, i wuj umarł, i ciotka i przyjaciółka jakaś—lecz wybiera się ciągle; jeszcze na ostatnim balu wspominała mi o znikomości rzeczy ziemskich i o zamiarze swoim.

Tymczasem porównanie z panną Olimpią, niedoszłą zakonnicą, jakkolwiek drażliwe, miało być wstępem jedynie, przedmową stokroć cięższej pokuty.

W kilka dni później był u nas obiad proszony; gdy cukierki podano, Dyoni wybrał jakiś plasterek blado-żółty i sam go uroczyście na talerzu mi podał; z pierwszego rzutu oka nie mogłam odgadnąć co to znaczy, ale Dyoni pośpieszył z objaśnieniem:

— Czy nie poznajesz? To księżyc twój ulubiony.

Zimno mi się zrobiło—spojrzę na matkę, a matka cała w rumieńcach woła coprędzej mego brata, daje mu jakieś pozorne zlecenie i mnie od dalszego ciągu niewczesnych żartów ocala. Kiedy się goście rozjechali, Dyoni porządną burę dostał.

— A czyby ci przyjemnie było—mówiła matka—czybyś się bardzo cieszył, gdyby się wszędzie rozniosło, że twoja siostra lunatyczka, albo egzaltowana? Nikt z obcych przecież twego konceptu inaczej sobie nie wytłumaczy. Wstydź się, Dyoni, nie spodziewałam się po tobie ani takiej lekkomyślności, ani tak złego serca.

Dyoni podobno nie bardzo się zawstydził; mruknął sobie pod nosem:

— Dobrze jej tak, niech po księżycu nie chodzi, to ją lunatyczką przezywać nie będą—i na tem się jego zmartwienie ograniczyło. Ale ja, nieszczęśliwa! do mego serca każdy wyraz połajanki ostrą szpileczką się przypiął. Ciągle miałam przed oczyma ten rumieniec z mego powodu zawstydzonej matki i ciągle echo mi zwracało jej wylęknionym głosem rzucone słowa: „gdyby się wszędzie rozniosło, że twoja siostra lunatyczka, albo egzaltowana...“ egzaltowana!... Plutôt mourir!

Zdaje się jednak, że obawa tego nieszczęścia rozbudziła do najwyższego stopnia czujność macierzyńską. Na każdy mój postępek więcej zwracano uwagi; staranniej przepatrywano każdą książkę, którą do rąk wziąć mi było wolno; z rozrywek pani Tańskiej usunięto dziennik Franciszki Krasińskiej; z Rasyna zostawiono tylko Atalią; z półeczek, na których stali tak zwani klasycy nasi, poczciwy Karpiński zni-

knął, a wszystkie numera „Journal de jeunes demoiselles“ przechodziły srogą cenzurę. Pomimo tylu chłodzących środków, kuracya moja przez parę lat jeszcze opornym i leniwym postępowała krokiem. To przy muzyce zbyt długo siadywałam, to w kościele tak się modliłam, że aż wszyscy patrzyli na mnie, co się zwykle zdarzało, gdy ja właśnie nie patrzyłam na nikogo; to zbyt czule śpiewałam aryą Desdemony; przyszło do tego nakoniec, że mię „romansową“ nazwano. Po tej dozie chininy zgubiłam febrę egzaltacyi.

Ale bo cóż to znaczy przesada? cóż znaczy egzaltacya? one są ledwo cieniem, podnóżkiem, zapowiedzią „romansu!“ Romans—oto dopiero prawdziwa esencya śmieszności, fermentacya w nadużycia i zbrodnie. Każda kobieta złych obyczajów jest, według naszego domowego słownika, romansową; od awantur hańbiących do miłości wszystko jest romansem. Może pani tego zrozumieć nie może, ja wnet przykładami objaśnię. Sławna pani kasztelanicowa, usunięta z towarzystw przyzwoitych—romansuje; sławna pani Leosia, u której nasz Dyoni dwadzieścia tysięcy na jeden wieczór przegrał — romansuje; biedną Alinkę, przez własnego opiekuna uwiedzioną, trzeba było za granicę wywozić — to romans; siostrzenica pana prezesa uciekła z młodym kapitanem od artyleryi—to romans; ale nawzajem w sąsiedztwie naszem panna Karolina odmówiła bardzo bogatemu człowiekowi, z tego jedynie powodu, że się do niego przywiązać nie mogła — znowu romans; panna Róża, posażna, idzie za ubogiego dzierżawcę którego kocha—romans ogromny; państwo Janostwo pobrali się bez majątku, we wspólnej pracy pokładając nadzieję dalszego utrzymania—ach! jaki romans szalony! Słowem, prócz obowiązkowych uczuć dla ojca, matki i rodzeństwa, uczuć, które, jak pani wspomniałam, pilnie jeszcze z przesadą rozgatunkowywać trzeba, wszystkie inne uczucia między ludźmi są tylko- romansem. Wdzięczność słyszałam wyraźnie romansem przezwaną; chęć poświęcenia się dla drugiej istoty—także romansem; przyjaźń roman-

sem — i zmiarkowałam nakoniec, że każde ukochanie jest zawsze romansem.

Teraz pani opowiem, w jakiem zdarzeniu na zarzut romansu zasłużyłam. Po trzech Niemkach, dwóch Francuzkach, jednej Angielce, weszła nakoniec do naszego domu z tytułem „guwernantki“ panna Urszula S**, bardzo światła, jak w okolicy mówiono, osoba. Istotnie moja Urszulka była prawdziwie, czysto, słonecznie światłą kobietą. Wszystko, czegom się pierwej na pamięć wyuczyła, przy jej słowach dopiero rozjaśniło mi się, uporządkowało i w stosunku swoim do życia usprawiedliwiło. Przez cały czas wstępnej edukacyi nigdy sobie sprawy nie zdałam, dlaczego mi każą brać lekcye tylu rozmaitych przedmiotów, od katechizmu zacząwszy, na nieszczęśliwej gramatyce skończywszy.

Zwyczaj, według mego przekonania, był jedyną narzuconej mi pracy przyczyną; dlaczego ten wyraz w tym przypadku, na *a*, nie na *u* się kończy? dlaczego ten rzeczownik nieżywotny ma żeńskie, nie męzkie zakończenie? Bo tak chce prawo zwyczaju—odpowiadano na moje zapytania, i domyśla się pani, że wśród otaczającej mię atmosfery wyrok ten był wyrokiem najwyższej instancyi. Grałam, pisałam, malowałam, uczyłam się dat i nazwisk historycznych, geograficznych, botanicznych — gdyż tak chciało prawo zwyczaju. Przy Urszulce inaczej wszystko zaczęłam pojmować; nie miałyśmy wprawdzie osobnej godziny na religią i moralność; już po pierwszej komunii, rokiem pierwej, te dziecinne kursa zamknięto: ale każda godzina wspólnej pracy naszej, każdy dzień wspólnego pobytu przynosiły mi zawsze jakąś myśl wyższą o Bogu, jakieś szlachetniejsze o ludzkości wyobrażenie. Bóg i ludzkość, te święte słowa wypełniły czczość wszelkich wiadomostek; koło nich, jak ziemia koło osi swej i koło słońca swego, zaczęły krążyć z ładem i celem najdrobniejsze efemerydy nauki człowieczej. Urszulka niby rzadko bardzo wspominała o niebie, o obowiązkach, o cnocie i poświęceniu; ale tak umiała

zestawić prawdę z prawdą—szkaradnie się wyraziłam „umiała zestawić," jakby to jej sztuką i zręcznością było—nie, nie—w niej to prawdy owe tak tkwiły głęboko, że zawsze musiałam ich dosłyszeć i dowidzieć wszędzie. Ach! gdyby Urszulka mogła mi była podarować okoliczności i warunki życia, gdyby choć trochę naturę odmienną!... Panna Kazimiera bardzoby mię dziś kochała, możebyśmy się dawniej już spotkały, może nie na balu. Cóż jednak, kiedy od najlepszej mojej dostałam to jedynie, co przyjąć mogłam: prawdę dla myśli i tęsknotę ku prawdzie dla serca. Nie wiem dlaczego matka moja nie bardzo lubiła Urszulkę; niczego jej zarzucić nie mogła, sama nieraz przyznać musiała, że tak sumiennej nauczycielki spotkać jej się nie zdarzyło jeszcze, wszelką też względność zachowywała dla niej w obejściu; lecz tego wylania serca, tej poufności, którą miewają matki dla szczerych duchowych i umysłowych zastępczyń swoich, tej rodzinnej przyjaźni wreszcie nigdy żadnego dowodu jej nie dała. Czasem posądzam matkę, że w uznaniu zasług Urszulki więcej się opinią ogółu, niż własnem powodowała przekonaniem. Ta raczej odgadnięta, jak dostrzeżona niesprawiedliwość, rozwinęła pewną moralną odwagę w mej duszy; nie zważając na to co powiedzą, wszelkiemi sposobemi starałam się okazać Urszulce moję wdzięczność i moje przywiązanie. Dyoni żartował ze mnie, że na imię panny Urszuli mogłabym w sądzie składać przysięgi. Matka kiedy niekiedy lekką trąciła przymówką, że młode osoby zwykle przebyć muszą szczepienie ospy, odrę, szkarlatynę i adoracyą dla kogo ze znajomych lub nieznajomych sobie, i stawiała różne niefortunne przykłady; ja się niczem zrazić nie dałam. Według wszelkiego podobieństwa, Urszulka wywzajemniała mi się pod tym względem. Dziś jeszcze nie mam prawa wiedzieć i niby nie wiem, czy jej uwagę zwróciła taka grzeczna, układna, cicha wojna domowa; pewną wszelako jestem, że jej serce poczciwe nieraz boleśnie zadrżało od wiejącego zewsząd chłodu, nieraz w dotkliwy sposób odczuło skry-

tą niechęć i brak prawdziwej życzliwości w pozornych uprzejmościach towarzyskich; lecz ona także zrazić się nie dała i śmiało mogę powiedzieć, że mi poświęciła dwa lata swego życia. Poświęciła, bo któż ją przymuszał żyć z ludźmi najwstrętniejszymi jej pojęciom i usposobieniom? Pełno innych domów stało dla niej otworem, pełno rodzin byłoby z błogosławieństwem i radością jak uroczystość obchodziło ten dzień, w którymby między niemi przy wspólnej pracy stanęła; a jednak Urszulka została przy mnie, znalazła biedną, zgnębioną, nierozwiniętą duszyczkę, odgadła nędzę ściśnionego bez miłości serca i nie odstąpiła mię, póki mogła. Jakże ja nie mam kochać tej Urszulki!... Lecz przyszła chwila, w której musiałyśmy się rozłączyć. Matka wybierała się ze mną do Warszawy najpierw, a potem do Drezna, i powiedzianem było, że prywatnemi lekcyami uzupełnię moje wychowanie. Kiedy sobie przypomnę ostatnie nasze pożegnanie, to jeszcze sama własnej śmiałości wydziwić się nie mogę; a toż ja głośno płakałam, rzuciwszy się na szyję odjeżdżającej, a toż gdy powóz ruszył z miejsca, stałam na ganku tak długo, póki tylko chociaż kurzu tumany wiejące za nim widzieć mogłam, i nazajutrz byłam smutna, i trzeciego dnia już list arkuszowy do Urszulki pocztą wyprawiłam. Nie, istotnie, ani mojego męztwa, ani cierpliwości mojej matki pojąć nie jestem wstanie. Od czasu do czasu wzruszyła ramionami i na tem się wszystko kończyło, a może wielka szkoda, że na tem kończyło; byłam w jakimś paroksyzmie bohaterstwa, czułam, że przy dobrej sprawie stoję; oburzałam się nawet, że matka, że Dyoni, że Moryś, że wszyscy wkoło mnie, tak jak ja Urszuli nie żałują; w matce szczególniej podobna obojętność grzechem mi się zdawała, gdybym więc przez matkę była zaczepioną wtedy, może przyszłoby między nami do stanowczej rozmowy, lody między nami zamarzłe raz przecież pęknąćby musiały; lecz matka milczała dopóty, dopóki się nie nastręczyła sposobność bardzo słusznej, na moje nieszczęście, połajanki. Domyśla się pani, że poczucie

swej winy zawsze moralnie rozbraja człowieka — otóż stało się coś takiego, przez co ja sama winną, bo w najwyższym stopniu śmieszną się poczułam. Niech pani na tem ogólnikowem wyznaniu poprzestanie; zbyt jeszcze przykrą dla mnie rzeczą wspominać całą owę historyą, wstydzę się, słów dobrać nie umiem, a jednak powinnabym wszystko szczerze powiedzieć, kiedym raz już zaczęła — no, powiem, i cóż pani za to zrobi? choć się rozśmieje, to widzieć nie będę, a przed drugimi, przed panią Felicyą wszakże mię panna Kazimiera nie zdradzi. Tak się więc stało: Urszulka radziła mi z tego co czytam, co w świecie spostrzegam, co sama sobie myślę, zbierać, w ważniejszych chwilach przynajmniej, notatki maleńkie. Po odjeździe Urszulki, zamiast notatek, rozpoczęłam formalny dziennik... dziennik, to nic jeszcze — ale — Boże mój, jakże to trudno napisać! W tym dzienniku na pierwszej kartce były wiersze, niezupełnie moje wiersze, naśladowane tylko z Kochanowskiego:

„Urszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?“ Niemniej przeto dziennik i wiersze w ręce matki wpadły. Jestem pewna, że miłosny bilecik nie byłby więcej zgorszenia narobił.

— A to znowu co za romanse? Spodziewam się, że cię przecież panna S** nie uczyła wierszy robić; ja też cię wcale na poetkę i dziesiątą muzę nie wychowuję. Od tego czasu proszę mi zawsze pokazywać wszystko, co tylko pisać będziesz; jeszcze gotowaś na autorską monomanią zachorować; na to nigdy nie pozwolę, ani prawdziwych, ani komponowanych romansów w domu moim nie ścierpię. Czy już komu dałaś to do czytania?

— Dać do czytania? ach! mamo, jabym tego sama przed sobą głośno odczytać nie śmiała.

— To wielkie szczęście, moja Guciu; bądź pewna, że ja także w tajemnicy twoję poezyą zachowam.—I zwinąwszy biedny kajecik, oddaliła się z nim matka poważnie, a ja zostałam na pastwę samotności i zgryzoty rzucona.

Od tej chwili, niech mi pani wierzy, dwóch rymów nigdy w życiu nie złożyłam; ale ta cnota szczęścia mi nie zapewniła i owszem, im przyzwoiciej układałam się na zewnątrz, im odpowiedniej do wyobrażeń matki kształciłam, tem coś okropniejszego działo się w mej duszy, tem dziwaczniejsze nagabania dręczyły moję wyobraźnię, tem szaleńsze zachcenia kusiły mię w różnych życia mego kierunkach; coraz bieglej zaczynałam przykrywać zdania, ruchy i czyny moje, według miary towarzyskich foremek, ale też coraz głębiej czułam, że inną jestem, i ogarnął mię strach ciągły, bezprzestanny, ścięła mię lodem codzienna nieufność. Przeczuwałam, że byle się puścić za natchnieniami serca, to bardzo prędko wykieruję się na osobliwość pierwszej próby między Odrą a Dźwiną. Nie wiem zkąd i poco zlatywały się do mnie jakieś nigdzie niespotykane postacie; roiły się w mózgu jakieś myśli bez ładu, przed oczyma obrazki jakieś zwieszały cudowne, w uczuciu budziły smutki, radości, potrzeby, których nikt koło mnie nie doznawał i nikt nie pojmował nigdy; czasem chciałam się już zerwać na równe nogi, biegnąć przed siebie w świat szerszy, nieznany... ale gdzie tam!... wola drętwiała, opuszczały siły. Wychowano mię w czci tak głębokiej, w posłuszeństwie tak ślepem dla rozsądkowych przepisów, a raczej dla dogmatów rozsądkowych, że powoli przeniknęły mój organizm, stały się nie własnością, lecz właściwością moją. Jak nie mogłam się rozstać z dzieciństwa wspomnieniem, jak nie mogłam odjąć z przeszłości tego, co się już zdarzyło, tak nie mogłam się rozstać z pewnemi przywyknieniami, odjąć sobie pewnego sposobu widzenia i sądzenia potocznych towarzyskiego życia wypadków. Szkaradna ta mieszanina bujnej wyobraźni a zimnej rozwagi, szalonych marzeń, a stałych jak prawa matematyczne zasad, przerodziła się we mnie w dziką i sztywną nieśmiałość, z której się dotychczas jeszcze nie otrząsnęłam i którą pani za dumę milionowej dziedziczki wzięła.

Całe dwa lata, po oddaleniu się Urszulki w Warszawie i w Dreznie spędzone, liczą się do najnieszczęśliwszych lat mojej biografii; jednak ludzie mówią, że to lato wiosenne, szczęśliwe; rok siedmnasty, ośmnasty! rok pierwszych balów i ostatnich lekcyj; lata swobody zupełnej między obowiązkami uczennicy a obowiązkami żony i matki. Biedne moje lata młode, zwarzył je przymus, ucisnęła nuda, zatruło gorzkie szyderstwo! Tylkoż niech pani sobie nie wyobraża znowu, że byłam ciągle ofiarą surowej krytyki mej matki, lub wesołego dowcipu Dyoniego. Och! wcale nie! Po znalezieniu tych nieszczęśliwych wierszy, postanowiłam bacznie nad sobą czuwać i żadne już dziwactwo z głębin duszy na jaw mi nie uciekło; lecz miałam innego wroga, sama w sobie nielitosnego szydercę nosiłam. Z łaski czy z dopuszczenia Bożego i mnie się trochę rozsądku dostało—ach! trochę tylko! Gdybym go miała tyle, ile moja matka, spokojna i zawsze umiarkowana, ile mój brat Dyoni, złośliwy i wyrachowany, a choćby tyle co nasz współwychowanek Moryś! Pani go już na balu zauważyła: ten Moryś usłużny, zgrabny, ładniutki, on jest także po swojemu rozsądny; wszyscy u nas są rozsądni, aż do dziewczyny, która mi usługuje; wszyscy też na tem dobrze wychodzą; tylko ja źle wychodzę, oczywisty dowód, że nie dostałam równej z innymi porcyi; ta pół-doza fatalna życie mi tylko zakwasiła; z tym stoczkiem zapalonym w rozległej piwnicy nie widziałam gdzie pójść chciałam, ukazywały mi się same powykrzywiane kształty, głębokości niebezpieczne, lub śmiecie obrzydliwe. Nie raz myślałam sobie, że byle kilka kroków dalej postąpić, rozpadną się przedemną wrzeciądze tajemne i utonę wśród blasku świec jarzących, złota, klejnotów, bodaj nawet, czy nie wśród słońc nowych, a promienniejszych od naszego plamistego słońca; już sobie wszystko przedstawiałam, już prawie miałam zobaczyć — wtem stoczek mignął, zostawały tylko kamienne schody pod nogami i kamienne sklepienie nad głową. Wszystkie takie nagłe zmiany dekoracyi rozwinęły we mnie naj-

dokuczliwszą władzę, chorobę: ironią—zwolna do tego przyszło, że na co spojrzałam, to mi się odrazu, od pierwszego rzutu oka we właściwych sobie formach i w karykaturze ukazywało; co posłyszałam, to sparodyowanem wracało mi echem; co czułam sama, to sama sobie wyśmiać, przedrzeźnić tak doskonale umiałam, że pewnie lepiej Dyoniby nie potrafił — ba, ja przecież samego Dyoniego na fundusz wziąć mogłam: żadna z jego drobnych pretensyjek nie uszła mej baczności; wiedziałam kiedy w lustro się spojrzy, a kiedy oczu przymruży — i tak mniejwięcej wszyscy dla mnie stawali pod promieniem rozwidniającym każdą ich ułomność. Gdybym więcej miała odwagi, albo mniej pobłażania — gdyby rady Urszulki zatarły się w mej pamięci, tobym uchodzić mogła za najostrzejszy dowcip dziewiętnastego wieku. Sama pani Felicya pozazdrościłaby mi niezawodnie; bo ileż to spostrzeżeń, ile odpowiedzi zabójczych uwięzło na języku, a ja z nich korzyści wyciągnąć nie umiałam i nie pragnęłam nawet; odpowiedzi, spostrzeżenia, zawsze prawie przemilczane, kamieniem tęsknoty na serce mi spadały — im ludzie byli śmieszniejsi, im świat cały śmieszniejszy, im śmieszniejszą ja sama, tem bardziej tylko nad ludźmi, nad światem, a szczególniej nad sobą płakać mi się chciało. Rozsądny mój dowcip osobliwszego był gatunku; widział niby arcy-zabawne rzeczy, lecz sam się niczem zabawić nie mógł, ten splinnik niegodziwy! Co ja przez niego ucierpiałam!—racz mi kiedyś Panie Boże w zasługach Jobowych policzyć! Ale znalazłam wreszcie antydot skuteczny. Jak to już pani mówiłam, niepodobna mi było z rozsądku się wyswobodzić; dałam mu berło w rękę i zostawiłam na miejscu — tymczasem zaś obok niego wyniosłam na tron ducha inną, równie potężną władczynię — fantazyą! Ach! panno Kazimiero, jak ja wybornie umiem fantazyować! jak marzyć!... zdaje mi się, że w całej Europie nikt tak nie potrafi — trzeba też wyznać, że nie odrazu do tej doskonałości przyszłam. Zpoczątku bardzo często zamyślałam się, mieniłam na twarzy,

łzami oczy się przepełniały, lub uśmiech po licach przebiegał. Matka wtenczas pytała: „A co ci to, Guciu? czemu tak w jedno miejsce się zapatrzyłaś? czemu zbladłaś? czemu się rumienisz? czy cię co boli? z czego się roześmiałaś?“ — i musiałam zawsze stać pod bronią z gotowem usprawiedliwieniem: — „to nic, mamo; zimno mi, albo gorąco; w zębie mię strzyknęło; albo deklamacya pana Edmunda mi się przypomniała.“ Dzisiaj już nie potrzebuję żadnych wybiegów zażywać. Myśli moje podwójnym płyną prądem — jeden zwierzchni, unosi męty i piany powszednie; drugi, spodni, toczy kryształ najczystszy, drogie perły, dyamenty, korale, rozbija się o granit skał niebotycznych, zapada w przepaści bezdenne, a nic tego nie znać po mnie. Nawet pani się nie domyśliła i dzięki Bogu, przecież to jedyna tajemnica moja, to skarb jedyny; gdyby ludzie się dowiedzieli, pewnieby mnie napadli i złupili do szczętu. Ach! nigdy pani ludziom nie powiadaj; stokroć wolę, że mię suchą kredą i woskową lalką nazywają, że mi przypisują umysłowe niedołęztwo i pogardliwą dumę milionowej dziedziczki; żaden z tych pocisków do wnętrza piersi przebić się nie zdoła. Może dlatego właśnie, iż tak dalekie od prawdy, bawią mię tylko, jakby mię bawiły ostre wymówki zpod domina na rachunek zupełnie obcej osoby słuchane; lecz gdyby kiedy ktokolwiek uchylił maski, rozdarł domino moje, a później mnie już poznanej wymyślać zaczął, toby dopiero było okropnie. Ja też przed panią jedynie składam karnawałowe kostiumy i w swojej własnej ukazuję się postaci. Niech tam ludzie patrzą sobie na martwą pannę Augustę, ty, Kazimiero, Białą Różę twoję w jej Eldorado kwitnącą musisz zobaczyć. Biała Róża nie buja po kwiatach, nie kołysze się na drzew gałązkach, po księżycu nie chodzi, jak to jej się przy pierwszej próbie marzenia zdarzyło. Coby jej dzisiaj znaczył jeden sen oderwany, jedno przelotne wrażenie? Biała Róża ma całą historyą drugiego życia w sobie, a kłamstwem nie są jej złudzenia, są raczej nową potęgą w duszy, bo dla niej teraz nic nie

ginie; najdrobniejsza okoliczność, najobojętniejszy człowiek musi jej się dwukrotnym czynszem opłacić; gołą źrenicą wszystko widzi tak, jak widzi jej matka, jak widzi pan Dyonizy, jak widzą różni znajomi; wewnętrznym wzrokiem zato każdy przedmiot ogląda i przywłaszcza sobie według ceny własnego otaksowania, według prawdy własnych życzeń. A kto ma słuszność? a przy kim prawda prawdziwa? przy tych rozsądnych, czy przy tej marzącej? To, co marzę, jest stokroć piękniejsze od tego, czego doznaję; to, czego doznaję, jest równie znikome, jak to co marzę... a więc... a więc, stworzyłam sobie królestwo udzielne. Nie oderwałam go od smutnego więzienia, które los dla mnie stworzył, i owszem, każda niteczka cudownych arabesków, zdobiących mój namiot monarszy, jest zawsze do jakiegoś zewnętrznego zdarzenia przyczepiona. Co mię na posadzkach salonowych spotyka, to żywcem przenoszę w moje państwa i dopiero według natchnienia złocę, brylantuję, lub roztrącam i w piekło ciskam. Moje królestwo nie jest z tego świata, a jednak ten świat jest w królestwie mojem, tylko wyraźniejszy, rzetelniejszy, dokładniejszemi konturami przerysowany. Możebna dobroć rozrasta się w nim w cnotę anielską; lada zdolność umysłowa staje się geniuszem; nadzieja przechodzi w pewność, życzenia w czyn dokonany, złe w potworność, miernota w głupstwo, a głupstwo... to zależy od usposobienia — głupstwo czasem na taki głęboki rozum umiem przetłumaczyć, że aż sama później między jednem a drugiem różnicy dopatrzeć nie mogę. Ktoby sobie wyobraził jednak, że w mojem królestwie szczęściem tylko oddycham i rozkoszą się poję, tenby o całą połowę granic mi jego umniejszył. Oj! ciężkie nieraz przebywałam troski, okropne ponoszę straty, bo mi wypadki nie tak się snują, jako ja chcę, nie zawsze nawet i ludzie bywają takimi, jakimibym ich dla pociechy serca a chwały Pana Boga widzieć pragnęła—nie—urok mego królestwa i potęga najwyższa w tem jedynie spoczywa, że ja taką jestem, jakąbym być mogła, jaką być sobie ży-

czę, jaką mi się być podoba. Żelazne dyby i konopne powrozy na gruncie rozsądku składam. Tutaj wstępuję z rozwiązanemi rękoma, z hardo podniesionem czołem, z lekko oddychającą piersią. Dowcip, którego nie śmiem w urzędowem życiu mojem spożytkować, tutaj mi służy do chłostania wszelkich niedorzeczności, jakie mi kiedykolwiek od urodzenia mego dokuczyły. Żartem na proch rozbijam, śmiechem na wiatr zdmuchuję każdą bryłkę niesmacznych konceptów, każdą pajęczynę bezprzyczynnych uprzedzeń. Mam tyle odwagi, że co zamyślę, to wykonam, co poczuję, to wypowiem, gdzie zatęsknię, tam pójdę, czego mi trzeba, to wezmę. Niech mi w uchu nie brzęczą obrzydliwe muchy światowych wątpliwości—czy wypada? czy nie wypada? do czego to będzie podobne? co ludzie sobie pomyślą, co powiedzą na to? Miałki piasek owych zagadnień, himalajskim łańcuchem nieraz od szczęścia, od cnoty mię dzielący, tutaj nie czepia się nawet podeszwy moich trzewiczków. Biegnę swobodna i pewna siebie; wspomagam słabszych, śmiało w oczy zuchwałym staję, po nikczemnych depcę bez miłosierdzia, ale jak kocham wszystkich godnych ukochania, jak wielbię moich wybranych, jak pokornie gwiazdom moim na wysokościach niebieskich się kłaniam! To jedna chwila okupić może całą dwudziestotrzechletnią przeszłość w bezwładnej martwocie spędzoną. Długo bardzo bezimiennie rządziłam krajami mojej fantazyi; wstręt mię jakiś przejmował na wspomnienie „biednej Guci.“ lub uroczystej „panny Augusty“ którą po balach i wizytach oprowadzać musiałam; nigdy przecież nie wpadłam na imię różnym wymaganiom tajemnej mojej biografii odpowiednie. Szukałam, lecz mię zawsze coś zraziło; jedno mi się zdawało zatkliwe, drugie zaobojętne; innemu brakło harmonijnego brzmienia, innemu znów siły i powagi, aż na los zdałam tę sprawę; sama przed sobą byłam zawsze *ja*, dla drugich byłam *ty*, albo *pani*. Teraz już spotkałam matkę chrzestną Kazimierę, i ta mi Białą Różą nazywać się kazała. Czyż można było coś prześliczniej-

szego wymarzyć? Biała Róża, to i powaga królewska, i czystość dziewicza, i miłość nieskalana i cierń przeciw niegodnym. Od czasu jak Białą Różą zostałam, jeszcze mi się rozszerzyło moje królestwo, lepiej mi w niem i sama lepszą jestem. Matka coraz więcej kochać mię zaczyna: kiedy się nie rozumimy, to ją przekonywam, tłumaczę jej przyczyny mego postępowania, a matka wierzy i godzi się ze mną. Dyoniego do szkół oddałam: już przeszedł do czwartej klasy, uczy się przykładnie, mówi bardzo mało i profesorowie zaręczają, że się na użytecznego człowieka wykieruje. Z Urszulką widujemy się bardzo często; uprosiłam ją sobie, żeby się do Warszawy przeniosła i codziennie prawie odwiedzamy się nawzajem. Urszulka zachowała niektóre przywileje piastowanej dawniej godności; jest zawsze trochę guwernantką moją, lub raczej głosem sumienia mojego; łaje mię często, a nie upokarza, często żartuje ze mnie, a nic mię tem nie drażni; sprzeciwia mi się, a jeszcze nigdy jej sprzeciwianiem znudzona nie byłam. Czasem całe wieczory targujemy się o jakiś zamiar w mej głowie wylęgły. Urszulka mówi że szalony, ja dowodzę, że rozumny — i wkońcu zwykle z tych sprzeczek wykrzesze się jakaś iskra, co nam obie strony przedmiotu rozjaśnia; następują modyfikacye, zmiany, poprawki, nigdy wszakże zaniedbanie i bezczynność nie następuje. Gdybym na świecie taką Urszulkę obok siebie miała, pewnieby mi już wystarczyła na wszystkie duszy mojej potrzeby i nie odważyłabym się Panu Bogu o inne dary naprzykrzać. Lecz u siebie w królestwie ja sama tak bogatą jestem, że dokoła niewyczerpane skarby mieć muszę— wszakże to nie paradoks żaden — w królestwie tedy. Biała Róża tęskniła do siostry rówiennicy, nie starszej, nie młodszej, ale prawdziwie bliźnięcej siostry, według lat wiekuistych i według miary ducha. Nic mi na tem nie zależało, by moja wytęskniona miała też same co ja zdolności, upodobania i przywyknienia; nie szukałam podobnej sobie, tylko sobie równą spotkać pragnęłam—i spotkałam nakoniec. Dziwi mię to, Kazimie-

ro, że nie pamiętasz tej chwili, kiedy ci w przeddzień balowy lokaj pani Felicyi moje przybycie oznajmił. Tak szczęśliwie trafiłam, że nikogo obcego nie było. Sama siedziałaś z książką przy oknie — ja ci podałam rękę i rzekłam do ciebie:

— Pierwszy raz się widzimy, lecz ty mię znasz, Kazimiero; przeszłość nasza jednakowa, jednakowe w przyszłości nadzieje — o czem rozmyślałaś, gotując się do ciężkiej przez świat wędrówki, o tem ja rozmyślałam także; co umiesz, tego ja się uczę; co kochasz, temu ja cześć składam; co wierzysz, tego ja się spodziewam. Chodziłyśmy ciągle po tych samych drogach, idźmyż teraz obok siebie, jak siostry.

— Jak siostry — powtórzyłaś i uścisnęłaś moję rękę, i zaczęłyśmy o wielu rzeczach rozmawiać, aż wreszcie na Augustę kolej przyszła; mówiłam ci, jakie to śmieszne przez obawę śmieszności, głupie przez nadmiar rozsądku stworzenie. Ty, poczciwa, szczerze się ulitowałaś nad jej niedołęztwem.

— Trzeba temu zaradzić — mówiłaś do mnie — trzeba znaleść jakiś łącznik między jej zewnętrznem życiem, a naszą prawdą. Kiedyś i ona trochę względnej niezależności posiędzie. Jako żona, jako matka, jako pani domu wiele przecież dobrego zrobićby mogła; gdy zaś w fałszywym kierunku zbyt daleko się posunie, trudno ją będzie odwrócić: rozproszy się na nicość wśród drobiazgów światowych, a my dwie, i Urszulka nawet, nigdy już do niej nie trafimy potem. Szkoda! bo w gruncie widzę, że niezła dziewczyna.

Więc naradzałyśmy się długo, czemby ją w jej napadach letargicznych ratować; uradziłyśmy nakoniec, że ty, Kazimiero, „łącznikiem“ między nami staniesz: że jak ci pannę Augustę przedstawię, weźmiesz ją pod rękę i choćby gwałtem w swoję, to jest w naszą stronę pociągniesz, na usta jej dmuchniesz tchnieniem ducha twojego i wymówisz „effeta.“ Pierwszy krok najtrudniejszy: nieme diablę może się zechce opierać; ale niech tylko raz z miejsca ruszy, a panna Augusta niech raz poczuje, że ją silne ramię wspiera i życzliwe

uszy słuchają, to odwagi nabierze; dopieroż wtedy będzie jej dobrze i w marzeniu i w rzeczywistości! Jaką my sobie wdzięczną duszę na całą jej nieśmiertelność kupimy!

W tych nadziejach pożegnałam cię, Kazimiero. Niestety! Panna Augusta wszędzie szyki nam połamała. wszystkie wspaniałomyślne zamiary nasze w niwecz obróciła. Gdyby nie Biała Róża, toby już nawet przepadła nam bezpowrotnie i zostałby tylko na jej pamiątkę jakiś posążek kamienny; lecz Biała Róża przyszła z pomocą, okropnie złajała dziwaczkę, zasadziła ją nad stolikiem, przykleiła pióro do palców, kazała pisać koniecznie. Ile razy ręka sztywnieć, a myśl trwożliwie kryć się w gęstych obsłonkach zaczynała, tyle razy surowa mistrzyni głośnem dyktowaniem nagliła rękę i myśl; czasem w chwilach odpoczynku szła do ciebie, Kazimiero, z niekarną pacyentką swoją i po każdej takiej wizycie Augusta coraz się bliższą Białej Róży stawała.

Pamiętam, że wczasie ostatnich naszych nawiedzin bardzo nam kłopotliwe rzuciłaś zapytanie:

— Dlaczegoście mnie wybrały za pośredniczkę między sobą? Los nas rozstawił na dwóch krańcach dzisiejszej Polski, utrudnił nasze stosunki; toż przecie mógłby inny, silniejszy i bliższy pojednawca się znaleść. Czy która z was kochała się już kiedy?

Na takie słowa zgorszona Augusta wachlarzem twarz zasłoniła, a Biała Róża dziecinnie głośnym śmiechem parsknęła:

— Co tobie, Kazimiero! Kochałam się już z pięćdziesiąt razy przynajmniej, ale Guci na nic się to nie zdało.

Widziałam, że mię zrozumieć nie możesz: moje wyznanie albo żartem, albo przechwałką ci się zdawało; ja tłumaczyłam, że nie jest żartem, tylko szczerością i nie przechwałką, tylko oskarżeniem. Różne twoje uwagi zbiły mię nieco z toru; więc przyrzekłam po głębszym namyśle całą rzecz jaśniej w liście usprawiedliwić.

Otóż przyznam się najpierw, że wielkiej biedy użyłam, gdy mi przyszło z danego słowa się uiszczać. Odbywszy ścisły rachunek sumienia, możebym już nie śmiała tak lekkomyślnie powtórzyć, że już z pięćdziesiąt razy zakochaną byłam; że ani razu, także mi powiedzieć nie wolno—najlepiej sama osądź, Kazimiero.

Wiesz o tem przecie, że ja ludzi jako Bóg nie stwarzam; w królestwie mojem są tylko ci, których dotychczas Augusta widywała; z tych znowu żaden jeszcze gatunku swego nie odmienił; wstąpił jedynie w inną sferę, w której musiał działać i mówić według tego, jakby działał i mówił, gdyby Augusta dla niego istotnie tylko Białą Różą była. Zdawało mi się, że ta główna metamorfoza wystarczy. Augusta nudna, Augusta panna śpiąca, Augusta nieznośna; więc też Augusta niekochana, Augusta cyfrą posagową jedynie na sercu młodych ludzi wyryta. Niech-że teraz ukaże się Biała Róża, fantastyczna monarchini piękniejszej ziemi i wyższego nieba. Biała Róża, zdolna miłością namiętną w proch się ukorzyć przed jedynym swoim, lecz zdolna też ideałem wznieść jedynego ponad miłość samę, Biała Róża tak niech się objawi, wszak prawda, że kochaną będzie? Ja wcale nie wątpiłam o tem — i nie wątpię jeszcze o tem, ale dotychczas przekonać się nie mogłam. Widzę nieufny uśmiech twój, Kazimiero; dlaczegożbym się zapierała przed tobą, wszak nie zaparłam pięćdziesięciu omyłek moich, a spodziewam się, że „omyłka“ w miłości, nie zaś miłość jest upokorzeniem. Bądź pewna, moja droga, że jeśli mi się zdarzy kiedy prawdziwie, szalenie, to jest właśnie rozumnie bardzo zakochać, pewno się tego wstydzić nie będę. Nakażę wielką iluminacyą w całem państwie mojem, zwołam wszystkie słowiki, jakie są między Wisłą, Pilicą a Niemnem, wszystkie muszki, wszystkie koniki polne znad łąk i stawów, wszystkie echa gór i lasów, a każę im powtarzać jedną piosnkę niezmienną: „Biała Róża zakochana! Biała Róża szczęśliwa! Biała Róża zbawiona!“ Tymczasem igram sobie tylko z rozmaitością przejmowanych wra-

żeń, zbieram farby i kształty oderwane; które kiedyś może w jeden cudowny obrazek się zleją. W tajniach mej wyobraźni rozkochiwam się codziennie innaczej, codziennie w kim innym i z innego powodu. Opowiadają mi, jak pan Adolf szlachetnie sobie przy majątkowych działach z siostrami postąpił; jużci ja wychodzę na jego spotkanie, witam przyjaznej dłoni uściśnieniem, chcę życie jego szczęściem otoczyć, chcę każdy zamiar i każdą pracę poczciwą podzielić. aż tu okazuje się że... Pan Adolf nie zna literatury, wiecznie Kamoensa z Cerwantesem, a Dantego z Ariostem plącze. Niewielki grzech, myślisz sobie. W moich oczach bardzo wielki; gdyby nigdy o żadnym cudzoziemskim nie słyszał poecie. gdyby mu los zawistny sposobności do nauki lub uzdolnienia odmówił, kto wie czy tem droższej ceny nie naznaczyłabym jego sercu, a tem wyższego stopnia uwielbieniu mojemu. Na nieszczęście, różne chronologiczne i biograficzne pomyłki pana Adolfa nie są wcale świętą prostotą, tylko są studenckiem niedouczeniem. są wierutnem lenistwem obywatelskiego syna; jakże chcesz, Kazimiero, bym dotrwała w miłości mojej? Krzyżyk daję na drogę szlachetnemu Adolfowi i patrzę z balkonu na Aleje w Warszawie wychodzącego, którą stroną pójdzie sobie; patrzę, jeszcze mi żal go trochę, a wtem na bystrym koniu pędzi jakiś jeździec; składny, istny minotaur z Tezeuszowskich czasów; koń i młodzieniec zrośli się z sobą, koń iskrami zda się pryska. młodzieniec siedzi jak przykuty; postać jego wysmukła, swobodna, ręka niedbale trzyma srebrem wybijaną uzdeczkę. oczy z roztargnieniem błąkają się to po drzewach zielonych, to po sunących na oboczu kapelusikach, aż mój balkon je zatrzymał, i galop konia wolnieje, prosta linia biegu wykrzywia się coraz więcej, za chwilkę, będziemy sobie mogli razem w oczy spojrzeć; ja mam właśnie wiązankę chabru w ręku, rzucę ją nieznajomemu na pamiątkę dobrej chwili i miłego wrażenia. Ot, wychyliłam się nawet, ale cóż, Kazimiero? Krzyknęłam okropnie: jakiś chłopiec rzemieślniczy niósł długą de-

skę na głowie, przez nieostrożność deska po nozdrzach konia uderzyła. kary wspiął się gwałtownie, potem aż przysiadł na tylne nogi w błocie. Dziesięciu innych panów byłby zrzucił ze swego grzbietu, mój nieznajomy doskonale się trzymał. tylko... tylko nieco zamocno szpicrutą trzepnął swego karego i nieco zagłośno krzyknął na biednego chłopca:

— A bodajeś... zjadł... ty... — najlżejszym wykrzyknikiem było słowo: „mazgaju!“

Domyślasz się, moja droga, że prędziuteczko uciekłam z balkonu. Potem znowu, pamiętam, było to na wsi; goście do nas przyjechali, matka do bawialnego pokoju prosić mię kazała. Witam się z jakąś sąsiadką, sędziną, a ta mi przedstawia trochę naboku, w głębokiej framudze okna, stojącego mężczyznę. Zdumiałam—bo to wyobraź sobie nasz bawialny pokój jasno-zielone ma obicie, a framugi okien pokoju powykładane są ciemnem, dość gustownie wyrabianem drzewem; w te ramy, na tło błękitne pogodnego nieba, istnie jak gdyby kto wstawił portret Piotra Aretina; może widziałaś kopią lub sztych przynajmniej tego popiersia, na które młody przyjaciel Tycyanowi wzoru dostarczył? Pamiętasz co to za twarz prześliczna, co za rysy Chrystusowe! ten sam owal nieporównanej czystości, to samo czoło wysokie i otwarte, nos tak idealnie pociągły i bez ostrości delikatny, bez trywialnego zgrubienia, pełnym pociągiem pędzla uwydatniony; usta nawet zdaje się, że są w wymiarach swoich z jakiegoś świętego oblicza wzięte, i owa cera smagława lecz jasna, i owe włosy tak potoczysto na obie strony głowy spadające, i nawet broda lekko środkiem przedzielona; słowem, szczegół każdy zdaje ci się wypowiadać intencyą malarza; przysięgłabyś, że chciał Chrystusa zrobić, a jednak masz ochotę się z nim pokłócić, bo to nie Chrystus, to nie Bóg-człowiek bez grzechu. Gdzież się podziała świętość spojrzenia? gdzie boskość tego czoła? gdzie miłosierdzie i smutek tego uśmiechu? Nie szukaj, Kazimiero, przypominam

ci, że to portret jedynie najpiękniejszego z towarzyszy Tycyana Vecelli, a może jest to...

— Cezary, syn mój — tak powiada o nim pani sędzina.—Jakto? nie poznajesz go?—pyta znowu, nie odgadując, dlaczego wzrok mój tak długo, tak upornie na przedstawionym spoczywa.—Prawda żeście się dawno nie widzieli, bo i ty ztąd wyjechałaś i on także daleko podróżował; mogłabyś jednak wierniejszą mieć pamięć dla wspólnika tylu pustot dziecinnych.

— A więc to pan Cezary? — powtórzyłam radośnie i sama prędko zbliżyłam się do niego, bo on chciał właśnie do mnie się zbliżyć i byłby wyszedł ze swojej framugi, która tak odpowiednią mieszaniną światła i cienia kształtną jego postać obejmowała.

— Witaj, panie wędrowcze—rzekłam, nie podając mu jeszcze ręki, ale jak się godziło, lekko czoło uchylając przed tą jego promienną pięknością;— i cóż, z dalekich stron pan wracasz?

— Z bardzo dalekich, z najdalszych — odpowiedział, bystro patrząc mi w oczy.

— Któreż to są najdalsze strony? — pytałam śmiało, przetrzymując spojrzenie.

— Te, w których człowiek zaczyna od najsmutniejszej tęsknoty, a kończy na najniedołężniejszych nudach.

— Urbi et orbi, panie Cezary; dla zwidzenia takich okolic bezpotrzebnie w obce kraje wyjeżdżałeś; można było i u nas, choćby w stołecznym Opatowie, zamieszkać!

— Ja też nie wyjeżdżałem dla zwidzenia takich okolic.

— Więc dlaczego? więc poco?

— Matka chciała, żebym przywiózł trochę rozumu, a ja chciałem przywieść sobie trochę szczęścia: jedno i drugie zawiodło, ni ja teraz rozumniejszy, ni szczęśliwszy; tego, czego się tam nauczyłem, tutaj zastosować nie mogę, a to, czego tam pragnąłem...

Chwila dość długa ubiegła, a Cezary myśli swej nie kończył.

— Tego pan i tutaj nie znajdzie?—dodałam z pytającym przyciskiem.

— Miałem wymówić te słowa — odrzekł mi wolnym i cichszym o pół tonu głosem — ale teraz nie mogę, nie mam prawa. nie chcę przesądzać przyszłości.

— Nie, nie masz pan prawa — powtórzyłam stanowczo — nowe życie otwiera się przed panem dopiero. Nauki, podróże, tęsknoty, nudy, pragnienia, to wszystko było wstępem przygotowawczym jedynie. Dziś pierwszą kartkę pierwszego rozdziału zacząłeś czytać, panie Cezary. Matka na progu rodzinnego domu z tkliwą a dumną radością cię wita; więc rozdział cały o tem, jakiego syna matce pan powracasz? Za matką, słudzy i włościanie nadziejami swojemi pozdrawiają młodego dziedzica; więc ciąg dalszy, jakim panem dla nich będziesz, jak pojmiesz i wypełnisz obowiązki swoje; nakoniec przyjdzie rozdział o szczęściu.

— Niech mi też pani choć trochę wywróży, co w tym rozdziale będzie dla mnie zapisane?

— Za wróżkę się nie podaję, panie Cezary, wiem jednak z pewnością, że będzie złotemi literami odbite: „Najpierw stań się godnym szczęścia...“

Cezary milczał, a ja patrzyłam na niego. Jakiż on był prześliczny w swojem zamyśleniu! czasem mu niecierpliwie gęste a wązkie łuki czarnych brwi zadrgnęły; czasem jakiś niepewny półuśmiech po twarzy przeleciał.... zdało się, że niby sam w sobie powtarza i rozmyśla ostatnie słowa moje.

— Rozmyślaj! rozmyślaj! — nuciła jakaś syrena po kryształowych toniach fantazyi pluskająca; — czegóż to pragnąłeś w owych najdalszych stronach, młodzieńcze? Pragnąłeś pięknej, jak sam pięknym jesteś, kochającej, jak sam ukochać zdolnym się czujesz: ale obce kobiety zawiodły; rozczarowałeś się kłamanym uśmiechem, zbrzydziłeś sobie kupioną pieszczotę, migotliwa próżność już razi twoje oczy, puste gruchanie turkawcze niemiło wpada do ucha. Ty, biedny orzeł młody, wątpić zacząłeś, czy znajdziesz twoję kochan-

kę-orlicę; miałeś zaprzeczyć nadziejom, wtem oko spotkało się z okiem, błyskawica z błyskawicą; Aretin z Fornariną, Romeo z Juliettą i słowa przeczenia zamarły na ustach twoich. Nie masz prawa ich kończyć, nie śmiesz, nie chcesz przesądzać przyszłości, bo ta przyszłość jest możliwą dla ciebie, możliwą ze szczęściem i ukochaniem; tylko stań się jej godnym, Cezary! Rozwiń skrzydła ducha swojego, uleć wysoko ku niebu, westchnij głęboko nad ziemię — i kochaj! kochaj mnie!...

Pani sędzina w tej chwili po objaśnienie jakiejś ryciny florenckiej syna odwołała. Mój Cezary opuścił rzeźbioną okna framugę — oj! dobre miałam przeczucie, że go jaknajdłużej przytrzymać w niej chciałam.

Pożałuj mię, Kazimiero! na drodze Cezarego stało weneckie zwierciadło; Cezary spojrzał... dajmy na to, że nieumyślnie, że spojrzał przypadkiem; ale ten przypadek trwał tak długo—i na domiar fatalizmu jeszcze wyraźnie spostrzegłam, że Tycyanowski portret starannie sobie wąsików przymuskał. Tym gestem, jak obuchem, zabił półgodzinną miłość moję; trzeba ci też powiedzieć, Kazimiero, że mam prawdziwie idiosynkratyczny wstręt do pięknych mężczyzn, co się w lustrze przeglądają i wąsów niepotarganych przymuskują. Dla brzydkich nierównie jestem pod tym względem wyrozumialsza. Kiedy brzydki przed lustrem choćby cały kwadrans stoi, to przypuszczam, że zastanawia się nad własną brzydotą, że rozważa czy jest podobnem, aby na jakiejś kobiecie mniej przykre zrobił wrażenie; a nakoniec, chociaż wąsów przygładzi, chociaż czupryny poprawi, to myślę sobie, że mnie się chce podobać. Piękny, jeśli tych grzechów się dopuszcza, to najnieomylniej dlatego, że już się sobie samemu podobał. Nie mam szczęścia, moja Kazimiero.

Raz to się przez całą godzinę kochałam; zdawało mi się, że przez całą wieczność kochać będę. Leopold grał na skrzypcach— ile jest smutków w duszach ludzkich, ile modlitw i skarg na ustach śmiertelnych,

tyle ich dźwięczało pod dotknięciem jego smyczka. Zniknął artysta, umilkły sztuczne trudności, pełną tylko, uroczystą pieśnią wypowiadał się człowiek cierpiący. Śmierć ukochanych jego zabrała. piorun mu spalił chatę ojczystą, szalony wicher rozwiał świętych pamiątek popioły, obojętnością ludzie odepchnęli — Boże! Boże! wesprzyj nieszczęśliwego, ażeby nie upadł. Czy namiętność serce zbolałe ukoi? czy blask dyamentów łzy gorzkie osuszy? czy tęsknota wśród gwaru uczt wesołych przygłuchnie? może toasty biesiadne nad żałobnemi zabrzmią wspomnieniami? może oklask tłumu pocieszy? uścisk dziewczyny odurzy, natchnionemu synowi świętości i żalu może część piekła wystarczy! Boże! Boże! obłąkanego strzeż. aby nie zwątpił; ześlij anioła Twego jemu ku pomocy; niech srebrną wodą rodzinnej rzeki spalone usta napoi; niech echem pieśni rodzinnej złe pokusy zaczaruje. Niech mu przypomni szum lasów i klekot z wiosną wracających bocianów i skowronka nad świeżo zaoranym ulatującego zagonem, i ten pacierz rolnika. którym przy ciężkim pługu do nieba się modli. i ten dzwon wiejskiego kościołka, gdzie był chrześcianinem na służbę Panu. na ofiarę ludziom braciom poświęcony. Tak. przybył anioł i w duszy mistrza śpiewa. Coraz głośniej lament Jeremiego Dawidowej obietnicy nutą się odzywa; męzki zapał w młodzieńczej piersi płomienieje. Szatany huczą i szydzą; nie lękaj się. mistrzu młody, wiara twoja silniejsza od siły. miłość twoja wytrwalsza od szyderstwa; idź śmiało naprzód. Tyrteuszu duchowego zastępu; walcz odważnie. wodzu Ossyanowych hufców. Zwyciężaj. pomazańcze geniuszu i cnoty... Ale cóż to się dzieje? twarz artysty pobladła, krople potu na czoło jego występują.

— Co ci to, Leopoldzie? — krzyknęłam przerażona.

— Okropnie mi gorąco—i artysta rzucił skrzypki, przeciągnął się. ziewnął nerwowo, a brat mój na ochłodę kielich wina mu podsunął — kielich zamrożonego szampana.

— Wiwat! przecudownie grałeś!

— Przecudownie!... tylko ja ci nie powiem, Leopoldzie, że się w tobie tak długo, jak długo grałeś, kochałam—wszak dobrze zrobię, Kazimiero? Chłopiec-by sobie niepotrzebnie głowę zawrócił, nabrał śmiesznych pretensyj—ach! jak ten Edmundek mały, co go najniewinniejszym sposobem z właściwej życia kolei wysadziłam. Muszę ci jeszcze i o tem zdarzeniu coś wspomnieć. Edmundek był-to sobie ubogi, dość brzydki chłopczyna, który, kierując się w przyszłości na senatora lub ministra, tymczasowie dawał korepetycye synowi pani hrabiny K**. Zdaje mi się, że każdy mniejwięcej korepetytor pisze wiersze w sekrecie; tak robił korepetytor Dyoniego i Morysia, tak robił korepetytor moich braci stryjecznych, tak robił i Edmundek. Przyznam ci się, Kazimiero, że ta wierszomania, którą w pewnym wieku młodzież nasza przechodzi, wielkie zawsze w mem sercu obudza współczucie, nie dlatego, że tam kiedyś sama panna Augusta jakąś popełniła elegią, ale dlatego, że w tem symptomat zdrowszego organizmu widzę. Nigdy Dyoni, ani żaden z jego przyjaciół, ani żaden ze znajomych mi paniczów wierszy pisać nie próbował, i owszem, każdy prawie biedniejszy student i aplikant, po uszy w prozie niedostatku zagrzebany, jak mógł, na jakim mógł pegazie wzbijał się pod same obłoki, świadcząc niby, że płuca jego mają prawo i potrzebę czystszem odetchnąć powietrzem, że oczy tęsknią za pięknością nieznaną, za szerszym widnokręgiem. A któżby to miał za złe biednemu? a któżby jego wysileniom nie błogosławił? Między stadami tych ptasząt cerkających ileż-to nie raz łabędzi Bojanowych skrzydła rozwinęło. Któż mógł zaręczyć, że Edmundek łabędziem pierzem nie porośnie? Gdyby mu było danem w cichem gniazdeczku, pod cieniem zielonych gałązek dojrzewać, dziś jeszcze pewną jestem, że dobrałby jakich dźwięcznych rymów na dźwięczne myśli, na świeże obrazki i poczciwe serca wrażenia; lecz nieszczęśliwa gwiazda w ręce pani hrabiny skierowała swój zeszycik pierworodnych

jego rymów. Pani hrabina zbiera u siebie literackie towarzystwo; na jej wieczorach czytają się różne nie drukowane powieści i albumowe poezye; musiało jej właśnie zabraknąć materyału na któryś piątek, bo z największem uniesieniem Apolinowy łup pochwyciła. Przez parę tygodni naprzód wszystkim znajomym swoim zapowiadała fenomenalne zjawisko, aż gdy się ich liczba nad objętość salonową zbiegła (a my z matką w tę ciżbę wpadłyśmy niespodzianie), gdy cisza przyzwoita rozlała się dokoła, nastąpiła egzekucya Edmunda. Posadzono przy głównym stoliku, między dwoma woskowemi świecami, drobną figurkę, w trochę zaszerokim fraku, z trochę czerwonemi rękoma, z bardzo czerwonemi policzkami, i kazano jej czytać. Przy pierwszych wierszach mógłby kto myśleć, że wiatr jakiś przeciwny gwałtem do piersi wdmuchuje z ciężkością wymawiane słowa; była to chwila rozpaczliwej walki z niemocą, bojaźnią i fatalizmem; później głos się wyzwolił, nabrał giętkości i pełniejszego dźwięku; wiersze gdzieniegdzie składały się wcale do sensu, nawet gdy przyszło na te słowa:

Któż oświeci, któż poradzi?
Któż przestrzeże, któż nie zdradzi?
Alboż ja się zdradzę komu,
Obce dziecię w cudzym domu?

Gdy przyszło na te słowa, Kazimiero, to przeczułam, że czytający sam od siebie mówi. Jedni przez grzeczność chwalili, drudzy szeptali pocichu „nędzota;“ pewien gramatyk zrobił uwagę, że dla końcówki w którems tam miejscu niewłaściwie czwarty przypadek w przeczącym zwrocie użyty. Ja mój sąd zawiesiłam. „Obce dziecię w cudzym domu“ miałam ciągle przed oczyma; więc gdy Edmundek, dopełniwszy swego obowiązku, zacisnął się w najciemniejszy kącik salonu, poszłam ku niemu z najżyczliwszej siostry przyjaźnią. Zaczęłam go wypytywać o książki, które czytuje, ale chłopiec zmieszał się jeszcze bardziej, niż

przy początku swojej deklamacyi. i niczego z jego oderwanych odpowiedzi wyrozumieć nie mogłam; zaczęłam mówić o szkołach, w których się kształcił, o profesorach mniej lub więcej szanowanych; już nam szła raźniej gawędka—aż nakoniec stoczyła się do jego osobistych stosunków, do rodziców, sióstr, braci. Mojemu Edmundkowi zupełnie się już usta rozwiązały. Słuchałam go z zajęciem; on też odgadywał pewnie i był coraz śmielszy, coraz podobniejszy do samego siebie. Większa połowa wieczoru zeszła nam tak przyjemnie, że gdy musieliśmy się rozłączyć, Edmundek najniezawodniej widział, jak mię wzywający do fortepianu głos hrabiny niecierpliwił, a ja też widziałam dobrze, jak Edmundkowi żal było samemu zostawać, jak mię przez cały salon wdzięcznem przeprowadzał okiem. — Nie śmiej się ze mnie, Kazimiero: ten maleńki podlotek febowy głębsze niżbyś mniemała zrobił na mnie wrażenie. Juścić że nie jego wiersze, ale polubiłam jego ubóstwo, jego pracę syzyfową, jego dzisiaj takie smutne, a jutro takie niepewne; upodobałam sobie w świeżości jego wspomnień chłopięcych, w miłości dla rodzicielskiego domku. nie zrażałam się nawet jego nieświadomością naiwną; a co najwięcej wartość jego w mych oczach podnosiło, to właśnie owa przy czytaniu wierszy lękliwość dziecinna i po rozmowie naszej dziecinna pociecha. Edmundek ze swoją głową, trochę podobną do bronzowych lewków, któremi niegdyś szuflady komód i różne sprzęty pokojowe zdobiono, Edmundek ze swojemi ruchami niezgrabnemi, ze swoim ukłonem na jeden bok zawsze przekręconym, wzruszał mię więcej niż pan Cezary z całą swoją olśniewającą pięknością. Nie powiem ci, że się w nim kochać zaczęłam, ale zaczęłam się do niego „przywiązywać;“ jest to wyrażenie najlepiej określające pewną seryą ludzkich stosunków. Zakochanie, uwielbienie, namiętność, sympatya zwykle więcej robią hałasu; to są jakieś głosy zuchwałe, które nas dręczą, mordują, rozbijają między niebem a piekłem, które pełno niosą z sobą wymagań, zarzutów, swarów. Przywiązanie

zaś bywa ciche i nieznaczne, ale trwalsze od dyamentu i od życia. Przywiązani jesteśmy do rodziny naszej, do matki, co nas na świat wydała, do mamki, która nas piersią swoją karmiła, do ziemi, na którejśmy wzrośli—dlaczego przywiązani? dowiemy się tego później — lecz nim się dowiemy, już każde włókno ciała naszego, każdy nerw zmysłów naszych i każda każdej myśli niteczka przywiąże się do niteczek z drugiego przedmiotu wysnutych i przejmie nas do pewnego stopnia tożsamością wspólnej natury. Może wściekłość huraganów pozrywać niteczki, mogą złe losy najsilniej do siebie przywiązane porozdzielać serca; nic wszakże potem natury zmienić nie zdoła i mimo przeciwności, mimo zaparcia nikczemnego niekiedy, mimo lat długich koleje, zawsze na duszy piętno takiej łączności niestartem zostanie i Bóg nas sądzić będzie według piętna owego. Istotnie, Kazimiero, mnie się zdaje, że namiętności i uczucia wszystkie o tyle w wieczność naszę przesiąkają, o ile właśnie charakter przywiązania noszą. Innym by też najświetniejszem efemerydom naszego życia, wiemy co oddajemy; przywiązanie bierze z nas mnóstwo niedostrzeżonych żywiołów, daje nam mnóstwo niedowidzianych atomików, rozwija się na całej przestrzeni naszego X wewnętrznego i naszej indywidualności nieokreślonej; gdy się rozstawać przychodzi efemerydom, w każdej chwili możemy ich rachunek wylikwidować; gdy siła potemu, cofnąć stawkę, jaką się zaryzykowało; rozum, serce, dobre imię, szczęście lub swobodę — a przywiązanie? proszę, czy kto obliczyć potrafi gdzie niedobór, gdzie nadmiar, gdzie dług, gdzie pożyczka? Piasek z makiem się pomieszał—i cóż radzić na to?...

Ja tedy zaczęłam się do Edmundka przywiązywać; w zwyczaj mi weszło, że pożyczałam książek, że się zajmowałam tem, co mi po ich przeczytaniu mówił, że gdy u hrabiny goście się zebrali, to mu byłam opiekunką i znajomą jedyną. W zwyczaj mi weszło, że Edmundek rumienił się jak piwonia przy każdem naszem spotkaniu, że mię dwa razy krzywszym, niż in-

nych, witał ukłonem, że często ręce składał i mówił: „Ach pani;“ w zwyczaj mi weszło, że się wywiadywałam zwolna o jego zmartwieniach i kłopotach, o jego zamiarach i nadziejach, o upodobaniach i życzeniach najgorętszych; coraz częściej, coraz dłużej przemyśliwałam nad tem, jakby mu rękę podać, drogę życia wygładzić — a tymczasem, kiedy mi się zdarzyło byle przyjemność drobniutką, byle niespodziankę mu zrobić, to doprawdy nie wiem, które z nas więcej się tem radowało. Na nieszczęście dnie za dniami płyną, a dzień dzisiejszy wczorajszemu niepodobny. Edmundek z nieśmiałości przeszedł zwolna w zaufanie zupełne; gdyby się mógł był na tym stopniu utrzymać, to pewnie na chwilę bieżącą pisałabym o nim, jak o moim braciszku ukochanym, a zresztą ręczyć nie śmiem, łatwo bardzo koniecznie potrzebnym się staje ten, któremu się aby trochę użytecznymi czujemy; lecz Edmundek z zaufania nagle w próżność i zarozumiałość przeskoczył, jego śmieszności gimnazyalne ujęły mię za serce, dzika niezgrabność w moich oczach była jego wdziękiem prawdziwym; lecz mu śmieszności eleganta, niezgrabności paniczyka darować nie mogłam. Powoli, powoli najpierw zbliżaliśmy się do siebie, powoli też rozchodziliśmy się później. Jeszcze kiedym spostrzegła, że Edmundek staranniej ręce myje i wykwintniej paznokcie utrzymuje, to mi wielką zrobiło przyjemność; kiedym spostrzegła, że gładziej włosy czesze, za złe mu tego nie wzięłam, tużurek składniej do stanu wpadający, bielsze kołnierzyki nie zawadziły mi także. Dopiero, jak Edmundek zaczął się pomadować, ja zaczęłam głową na to kręcić; jak sobie sprawił laseczkę z koralową gałką, okropnie się skrzywiłam; jak mię raz przyszedł odwiedzić w różowej atłasowej kamizelce, już nie mogłam wytrzymać: powiedziałam mu że nudny i prosiłam, żeby sobie precz poszedł. Czy Edmundek nie domyślił się, o co rzecz chodzi, czy domyśliwszy, chciał ją poswojemu naprawić — nie wiem — w kilka dni potem nasłał na mnie cały arkusz wierszy do mnie i o mnie pisanych. Ka-

zimiero! zpod takiego ciosu przyjaźń zachwiana już nigdy powstać nie mogła. Mnie się zdaje, że gdyby sam Mickiewicz złożył jaką odę pochwalną na cześć Augusty, lub Białej Róży, tobym tego Mickiewiczowi samemu nie przebaczyła. Pominąwszy już to głębokie przekonanie, które w duszy piastuję, że poezya prometejski płomień, że wstyd temu, co ogniem z nieba drewka na kominku lub perfumy w kasoletkach salonowych zapala; pominąwszy wszelkie wymagania prawdy, ideału, boskości, już ten sam podpis Do *** na tytule, jak trupia głowa suche zęby na mnie wyszczerza i strachem nudów przejmuje. Cóż chcesz, Kazimiero, są różne dziwactwa; wspomniałam ci, że mam antypatyą do pięknych panów, co się w zwierciedle przeglądają; nie znoszę prócz tego pasternaku, topniejącego śniegu, skrobanego tępem narzędziem muru, rozdeptanego robaka, muchy w sosie i... wierszy do kogoś pisanych, zwłaszcza gdy się, jak wiersze Edmunda, w ten sposób zaczynają:

O ty! co jesteś mego nieba gwiazdą złotą,
O ty! co jesteś moją wiarą, siłą, cnotą,
Aniołem mego życia, źródłem mej oazy,
W granitach mego świata dyamentem bez skazy,
O ty, co jesteś...

Już nie pamiętam, czem ja tam byłam jeszcze, śnieżnym gołębiem, harfą kryształową, perłą z fal oceanu, kroplą rosy, błyskawicą znad szczytów Horebu, byłam wszystkiem—ej nie, nie wszystkiem znowu: nie byłam przecież ani pietruszką, ani słoniem, ani pchłą, to pewna jednak, że prędzejbym ci mogła wyliczyć, czem nie byłam, jak czem byłam dla pana Edmunda; domyślam się tylko, że jedno i drugie niewiele cię obchodzi; może co najwięcej chciałabyś się dowiedzieć, czem jest sam pan Edmund dzisiaj? Ot, jest sobie co się nazywa panem Edmundem; oswoił się z atmosferą wyższego świata, jak rybka w wodzie, tak on w hrabioskich salonach swobodnie oddycha, nawet

koło Wielkiejnocy nie pluśnie sobie na powierzchnię stojącego jeziora, żeby skrzelami zdrowszej aury naciągnąć. Stał się już prawą ręką hrabiego; ludzie praktyczni wychwalają gruntowność jego przekonań; stryj hrabiny, ksiądz prałat, zawsze jest zbudowany jego zachowaniem się w kościele; hrabina zawsze rozmiłowana w przyszłym jego talencie; dostał już małe wprawdzie, ale blizkie, jak mówią, wielkiego ołtarza miejsce; koledzy wróżą mu świetną karyerę; tymczasem wysługuje się, bawi swoim kosztem wielkich panów, zawraca oczy przy wielkich paniach, wpisuje się do najsuciej oprawionych sztambuchów i nie kłania dawnym znajomym, którzy bez rękawiczek chodzą. Trudno mi sprawiedliwie rozsądzić, o ile ja się do tego nieszczęśliwego szczęścia przyłożyłam, to wiem jedynie, że mię przykład Edmundka wielkiej ostrożności nauczył. Mam obok siebie serdeczne, jak pociecha w smutku, a śliczne i wesołe jak radość przy powitaniu dziecię; nieraz chciałabym je upieścić, do serca przytulić, w czarne oczy ucałować, ale jakkolwiek Białą Różą i królową jestem, nie pozwalam sobie na takie objawy czułości. Gdyby znów dziecię owo zbudziło się przedwczesnym młokosem?... czuję, żebym daleko dłużej, daleko boleśniej żałowała go, jak wszystkich razem Edmundów. Ale nie, nigdy do tego nie przyjdzie, Kazimiero; żadnem słowem, żadnem spojrzeniem nie zamącę wyobraźni naszego Morysia. Niech sobie rośnie bez troski, bez życzeń niespokojnych, bez wymagań zuchwałych. Podoba mi się dzisiaj, podoba takim, jakim jest dzisiaj, ale któż mi zaręczy, że z „pazia“ giermek, z giermka rycerz godny mej barwy się wykształci? Może jemu całe życie być paziem, dziecięciem, pieszczotką? W todze lub kirysie, czyż pan Maurycy zastąpi tego Morysia, co na moje skinienie biegnie, zatrzymuje się, powraca, w oczy mi patrzy i życzenia zgaduje? Czasem to mój trubadur — sadzam go pod światłem lampy alabastrowej, a w lecie pod cieniem lipy na ławie kamiennej, daję mu gitarę w rękę i każę śpiewać wszystkie

moje ulubione piosneczki, później znów do pazia zatęsknię, umyślnie zażądam jakiej przysługi; poślę po co, dam co do trzymania, bo nie uwierzysz, jak lubię głos jego prawie sopranowy, ruchy jego wdzięczne, swobodne i tak często ruchom młodego kocięcia podobne; a te minki, co je bezświadomie stroi, gdy się czem bawi lub smuci, gdy zadziwia lub niecierpliwi! Każdą zosobna można wprost na miniaturę przenieść i w złotą broszkę oprawić. Teraz już Moryś jest bardzo do mnie przywiązany; czy kiedy w sercu jego żywsze wzbudzi się uczucie? Może, gdybym choć raz dłoń jego w żywszym przytrzymała uścisku, gdybym ciszej szepnęła te przyjazne, głośno dziś wobec wszystkich wymawiane słowa; gdybym tylko w nadziei mu rzuciła, gdyby choć w zapytaniu: „Dlaczegóż ja, Morysiu, pokochaćbym cię nie miała?“ Moryś do nóg moichby się rzucił, Moryśby płakał z radości, Moryśby mię tak ukochał, jak niewolnik i jak kobieta zarazem. Lecz ja się sama siebie lękam, ja nie chcę żadnej wywołanej miłości; bo niechże mi zaciąży kiedyś, lub życie struje tem przypuszczeniem, że ja, królowa, ja, Biała Róża, nie upragnioną, lecz przyjętą zostałam tylko? Dźwigać odpowiedzialność czy wątpliwość taką, nie! nie chcę nawet względem tego pazia ślicznego, co go już — i co go jeszcze nie śmiem pocałować...

Patrz więc sama, Kazimiero, nikt mi ciebie nie zastąpi; chcę kochać, będę kochała; ale czuwam nad sobą, żeby mi chochlik Oberona czarnoksiężkim proszkiem sennych oczu nie zasypał i żebym później jak Tytania na oślej głowie szczęścia mego, marzeń moich nie oparła. Bogate jest i rozległe bardzo królestwo Białej Róży, lecz bałwankami go nie zastawiłam; cześć fałszywych bożków, gdzie mogę, wszędzie wytępiam, ciebie, Kazimiero, tylko wprowadzam bez obawy do państw moich, bo pewną jestem, że i ty bez obawy także zamieszkać je powinnaś; bądź pewna, że łokciem nie potrącisz, skrajem twej sukienki nie dotkniesz nawet mniej godnego twej obecności towarzy-

sza. Powiedz mi teraz, czy zostaniesz ze mną? Czy masz jaką o wyleczeniu Augusty nadzieję? czy chcesz być siostrą naszą? Wiele, wiele nam możesz dobrego wyświadczyć; ale nie myśl o tem, z pierwszego wrażenia rozpoznaj jedynie, czy my tobie na cokolwiek w życiu się przydamy? czy będziesz mogła znosić Augustę, a kochać taką, jak twoja

Biała Róża.

Adres: Poste restante Opatów i t. d...

Zapewne pan Tomasz się domyśla, że niezbyt długo mój odpis zwlekałam. W trzy, lub cztery tygodnie już doszedł Białej Róży-Augusty, lecz jeśli pan Tomasz chce wiedzieć, co w nim było, to dłużej trochę poczekać musi, a najpierw musi mi szczerze powiedzieć, czy bardzo jest tego ciekawy i czy mu to koniecznie jako ciąg dalszy na uzupełnienie przeczytanej powiastki potrzebne?

Zostaję z winnym szacunkiem
zawsze wierną i posłuszną

Korespondentką.

Acha! mam cię ptaszku nakoniec, pomyślałem sobie, ostatnich doczytawszy wyrazów — drażnisz ty się ze mną, teraz ja się z tobą podrażnię—i ostro pióra przyciąwszy, taką karteczkę na pierwszą pocztę do Suwałk odchodzącą rzuciłem:

„Szanowna korespondentka wymaga odemnie prawie niepodobnej obojętności względem wszelkich szczegółów, które się do jej osoby odnoszą; zakazuje mi wnioskować o kolorze swych włosów, nie pozwala się domyślać, jakie imię na chrzcie świętym odebrała, żąda zupełnie abstrakcyjnego myśli z myślą braterstwa; jako obrazę swej godności intelektualnej uważa byle słówko zapytania, byle wzmiankę o chęci rzeczywistego stosunku; a kiedy ja moralnym przymusem

wdrapuję się na alpejskie wysokości eteru i ducha; wśród obłoków srebrzystych spotykam się z tem samem co opuściłem na ziemi, to jest z całą ową zalotnością kobiecą, która nam biednym śmiertelnikom serce zakrwawia, rozum odbiera i życie marnuje. Godłem tajemnej rzymskiej polityki było „divide et impera;“ godłem nie tajemnem, a przecież zawsze także tryumfującem polityki zręcznych kokietek jest „odpychając przyciągać.“ Na mocy tej zasady, jedne doskonale umieją grać wachlarzem: prostaczkowi zdawaćby się mogło, że nim twarz zasłaniają, one ją tylko odsłaniają właśnie; drugie znów celują sztucznym układem welonów na kapeluszach: przechodzącego czasem aż licho kusi, żeby lepiej się przypatrzeć tej migającej białością twarzyczce i tym dyamentowo-połyskującym oczom; inne się w gazę kryją przezroczystą: niby je widać, niby ich nie widać, pół jawy niebezpiecznej, pół snu gorączkowego. Dla szanownej korespondentki wachlarzem, welonem, gazą jest jej korespondencya właśnie; to myśl rozwinie, to zwinie, to wysunie się ze swoich tajemnic, to się w nie schowa niespodzianie; to wzbrania patrzeć, a woła: czy chcesz mnie zobaczyć? Krótko mówiąc, szanowna korespondentka biednego członka redakcyi kokietuje nielitościwie—i poco? bezstronny jestem, zwyciężonym się uznaję. Nie kocham się w pani, to prawda, lecz tyle przypuszczeń po głowie się roi, że mi nie dają w innej zakochać się kobiecie. Coraz więcej omyłek zostawiam w korektach, coraz gorzej przepisuję referata biurowe; wczoraj nawet trzy kolumny rachunków trzy razy przerabiać musiałem. Czy pani tego sobie życzyła? No, więc tak się stało: jestem bardzo ciekawy odpisu Kazimiery i koniecznie go, jako dalszego ciągu Białej Róży, potrzebuję. Jestem w tym przypadku śmieszny, rozmarzony, według wszelkiego podobieństwa jestem najgłupszy ze wszystkich literatów warszawskich, ale za moję nędzę moralną, za domysły bezskuteczne i poszukiwania daremne, mam przynajmniej prawo raz jeszcze

powtórzyć, że szanowna korespondentka jest bardzo, bardzo zalotną.

Niecierpliwie oczekujący jej przyszłego listu

Tomasz."

Ledwo rzuciłem w skrzynkę pocztową taki zaczepny akt oskarżenia, wielka niespokojność mię zjęła — a jeśli się rozgniewa?... jeśli pisywać przestanie? Mała strata, krótki żal — perswadowałem sama sobie pomimo wrodzonego stoicyzmu jednak, te myśli mię trapiły zaczęłam ważyć, rozpamiętywać, wnioskować, aż przyszedłem do jaśniejszego od słońca rezultatu Albo nieznajoma Kazimiera jest rzeczywiście kokietką: w takim razie oburzy się, nie odpisze i będę miał głowę spokojną; albo nie jest kokietką, w takim razie odpisze coprędzej z usprawiedliwieniem... i cóż ma być dalej? będę wiedział dalszy ciąg korespondencyi między panną Augustą, a panną Kazimierą. Zresztą, nie moja rzecz rozprawiać o tem, co mi się po głowie roiło; nie własnych pamiętników, lecz cudzych pism jestem wydawcą—dość powiedzieć, że wszystkie moje kombinacye na nic pewnego wprowadzić mię nie mogły; korespondencya nie została wstrzymaną, lecz odpowiedź też prędko nie nadeszła, i owszem, później niż zwykle, a była taką, iż z niej nic wymiarkować mi się nie udało. Może dlatego nie udało, że zawsze pod każdym wyrazem dubeltowego szukałem znaczenia; moja zaś korespondentka, wbrew upowszechnionemu zwyczajowi, myśli swoje przyodziewała w stroje bez podszewki. Kto tam wie i kto zgadnie? Jeśli ciekawy, niech czyta przesłaną mi odpowiedź.

* *

*

„Głodnemu zawsze chleb na myśli, a panu Tomaszowi ciągle kobiece zalotności w głowie. Pytałam

się, czy pan koniecznie odpisu Kazimiery żąda, dlatego jedynie, gdyż go nie miałam pod ręką. Kazimiera nigdy prawie listów swoich dwa razy nie przepisuje. Byłabym więc zmuszona albo drugi raz mniejwięcej pamięciowo komponować, albo starać się różnemi sposobami, żeby mi do ręki ten wymagany przez pana wrócił; otóż przyznam się panu że do „rekompozycyi“ nie czułam żadnej ochoty, w staraniach niewielką pokładałam nadzieję, i gdyby groza tak osobliwszego zarzutu na moję głowę nie spadła, posłałabym dzisiaj ogólne tylko sprawozdanie i usprawiedliwienie; możeby mi się udało pana przekonać, że Kazimiera nic tak bardzo zajmującego odpowiedzieć nie mogła. Lecz kiedy się okazała potrzeba bliższej znajomości, a konieczność usunięcia najniedorzeczniejszych nieporozumień, zrobiłam co tylko dało się zrobić, aby panu dalszego ciągu żądanej korespondencyi dostarczyć. Nie jest to właściwie pismo Kazimiery, lecz jest myśl, którą ona zawsze dzieliła i uznawała. Po przeczytaniu krótkiego pamiętnika raczej niż listu Białej Róży, Kazimiera odpisała, zwyczajnie jak młoda entuzyastka, z oburzeniem na własną niedomyślność, z dziękczynieniem dla ślicznej marzycielki, z oświadczeniami najtkliwszego współczucia, o jedno prześlizgnięcie pióra byłaby już na przyjaźń i kochanie wpadła; szczęściem, że te wyrazy powagą uczuć i nawyknień rodzinnych przyodziane, jak na dnie serca, tak na dnie kałamarza bardzo głęboko leżą i niełatwo w rozmowie na usta, w pisaniu na papier się wydostają. Z tym małym wyjątkiem jednak, rozsypałam przed Białą Różą wszystkie perły mej życzliwości. Pokornie ją też przepraszałam za niewczesny żart Feluni i prosiłam, by mię z królestwa swego nie wypędzała, chociaż po łacinie tylko tyle rozumiem, ile rozumie każdy, co Dantego w oryginale studyował, a z greckiego języka znam jedynie alfabetyczne litery, przez porównanie z literami różnych słowiańskich narzeczy. W końcu jeszcze ważną bardzo zamieściłam prośbę:

„Chcesz ratować Augustę? mówiłam, o ile sobie przypominam, wyłączniej trochę do mojej Białej Róży; — chcesz ją ratować? ja ci szczerze dopomódz w tem pragnę; lecz ja sama, ja sobie zostawiona, to prawie nie ja, toby tylko pół-dusza i pół-rozum odzywały się do ciebie—a i ta dusza trochę twoją fantazyą upojona, i ten pół-rozum trochę wpływem twoim owładnięty, nic nowego przynieśćby ci nie mogły. Daj mi się skupić w całości mego istnienia, daj mi nad przybywającym skarbem do mego życia cieszyć się razem z bratem moim i razem z bratem rozmyślać. Bo to widzisz, moja Biała Różo, Auguście przedewszystkiem dobrego i kochającego brata nie dostaje. Brat jaśniej niż kochanek, bezinteresowniej od najlepszego męża przedstawia siostrze swojej tę całą stronę męzkiego świata, która jej do uzupełnienia pojęć, do starcia słabostek, do zrzeczywistnienia kobiecych ideałów jest nieuchronnie potrzebną. Kobieta swemi dwoma oczami na świat patrząca nigdy żadnego przedmiotu w jego prawdziwem świetle dokoła nie obejrzy; jeśli ma ku pomocy oczy kochanka, można sto przeciw jednemu stawić, że albo jemu swój sposób widzenia choć do czasu narzuci, albo przymknie powieki i będzie pytała tylko, jak on i co on widzi. W małżeństwie znów najczęściej zachodzi potrzeba ukrywania wielu promyków prawdy dla świętej spokojności; słowem, wszędzie między mężczyzną a kobietą rozsądza się proces o wzajemne szczęście, o jednej i drugiej strony interes: przyjaciel nawet, jeśli go znajdziesz, to się szczerze do współki z tobą rozpatrywać będzie w wielu rzeczach i sprawach, ale nie we wszystkiem, nie w całym świecie Bożym, takim jakim jest, od Pana na wysokościach, do najtajniejszej mysli w nizinach ducha swego lub twojego; każde z was będzie miało pewną opokę życia obojętną dla siebie; zwierzenie, opowieść żadna nie wtajemniczy nikogo do tych wrażeń, jakie człowiek w danym czasie przebywa; tak często sami przed sobą inaczej przecież opowiadamy to, co się z nami działo, inaczej pojmujemy to, cośmy czuli nie-

gdyś, bo przeszłości razem zrosłej ani teraźniejszość, ani przyszłość najdalsza zastąpić nie może; nawet choćby ją wynagrodziła, to jeszcze mi się zdaje, że która z nas brata nie ma i nie miała, ta nigdy z zupełną samej siebie pewnością, bez majaczących przypuszczeń lub zastrzeżeń przyjaciela kochać nie potrafi. Brat jest z natury tobą i mężczyzną, ty jesteś ze krwi swojej bratem i kobietą; gdy was uświęci miłość wzajemna, niema już podobieństwa rozdziału; żadne zdarzenie na to wpłynąć nie może, żadna tajemnica, żaden egoistyczny stosunek; szczęście brata i siostry niezależnie, osobno się rozwija; on jej nie potrzebuje, ani przeszkadza; ona jemu nie ciąży ani wymaganiem, ani obowiązkiem; zwyczaj i kodeks prawny chcą tylko od nich cichej zgody i pieniężnej rzetelności; wszelki naddatek jest dobrowolnym, jak wolny wybór, a jest zarazem konieczny, jak dola człowiecza; jest to najwyższy ów stopień przywiązania, o którym wspominasz, Biała Różo; dwie dusze, dwa organizmy, dwa życia tak posupłane ze sobą, że nie rozgatunkujesz władz, skłonności i wspomnień, chociaż to zawsze będą dwoiste władze, skłonności i wspomnienia.

Ty biedna nie masz brata!... z tego samego ojca i z tej samej matki urodził ci się tylko pan Dyoni, współdziedzic majątkowy: lecz Opatrzność chce ten niedostatek wynagrodzić: skierowała twe serce ku takiej szczęśliwej istocie, która właśnie całą świętością uczuć braterskich jest lepsza, a całą pomocą braterskiej myśli mądrzejsza. Nie udaremniaj tego wsparcia, Augusto, przesadną nieśmiałością, lub brakiem ufności. Wszakże nie o karnawałową intrygę, nie o pustą rozrywkę nam chodzi, ale rzeczywiście chcemy być jedna dla drugiej sługą w pracy zbawienia; przyjmijże usługi moje z warunkiem, który ich skuteczność najlepiej zapewnić może...

Tak pisałam do Augusty, bo wtenczas jej list zdawał się zobopólnie ważnem bardzo zdarzeniem, a współudział Hieronima w każdem ważnem dla mnie zdarzeniu zdawał mi się tak potrzebnym, że się bez

niego obejść nie umiałam. Szczęśliwe czasy!... Augusta serdecznie i poczciwie przyjęła moje przedstawienie, pozwoliła Hieronimowi list swój pokazać; zastrzegła sobie tylko, nie wiem dlaczego, by on o jej upoważnieniu nigdy ani słowa z ust moich nie słyszał. Wiernie w tym względzie dopełniłam jej woli; Hieronim był właśnie na kadencyi w Suwałkach, jakoby więc z własnego natchnienia przesłałam mu wszystkie półarkusiki i zażądałam szczerego nad niemi sądu. Brat mi wkrótce odpisał i ten-to odpis w zastępstwie mojego posyłam. Prawda, że wiele wyrażeń zmieniło się i złagodziło pod mojem piórem, były wszakże całe ustępy, które dosłownie z cudzysłowami przepisałam, a nadewszystko tło zostało takie samo, bo odpowiedniejszego próżnobym wtedy i dzisiaj dla przekonań moich szukała. Niech pan Tomasz raczy to odczytać i niech sam później się zastanowi, czy kobieta dzieląca podobne zdania mogła kiedykolwiek życzyć sobie, aby pan Tomasz korektę nieuważnie prowadził, aby się zaniedbywał w pracy biurowej, mylił w rachunkach i nie kochał w takiej młodej osobie, która mu się z praw jego zasług, usposobień i skłonności najsłuszniej przynależy. Proszę coprędzej zdjąć ze mnie ten zarzut, proszę oczyścić mię z tego posądzenia; ach! proszę także nie pozbawiać mię użytecznego memu wykształceniu, a dotychczas dla swej sumienności, dla swych krytyk i dla swej dobrej wiary tak drogiego wdzięczności mojej korespondenta.

Zostaję z lepszą na przyszły list nadzieją —
niech i tak już będzie, że

Kazimiera.“

List Hieronima.

A to widzę, moja siostrzyczko, nie żartem sobie głowę zawróciłaś warszawską pięknością; bodaj czy i mnie nawet nie chcesz bałamucić troszeczkę! Są potemu usposabiające okoliczności. Twoja Biała Róża Augusta, chociaż trudna do zbadania jak artystyczny kaprysik, wielką przecież w moich oczach ma zasługę; najpierw, że uwierzyła słowom pani Felicyi, a potem, że się na wartości mojej Kazi poznała. Świadczy mi to o dwóch bardzo zdrowych jeszcze, bardzo użytecznych i bardzo wiele obiecujących władzach jej duszy; o zdolności wierzenia prawdzie i o przeczuwaniu dobrego w sercach ludzkich. Są-to władze daleko rzadsze, niżby ci się zdawać mogło, Kazimiero. Żeby na świecie, gdzie każdy umie gadać słowami prawdy, chwalić istniejące lub nieistniejące cnoty, wielbić rzeczywistych lub urojonych bohaterów, deklamować szczere lub nieszczere kazania, żeby na tym świecie, pomiędzy tyloma wykrzyknikami, zaręczeniami, sylabami i frazesami blizko-znacznemi nie dać się otumanić, nie wyekspensować na próżnię swego entuzyazmu, na lewo i na prawo swoich sympatyj, ugodzić w samę istotę rzeczy, pochwycić ciało, nie larwę: więcej pono trzeba mieć zręczności, niż jej miał ten, co mu w bajce kazano szukać swej kochanki pośród tłumu dziewcząt w jej zupełne podobieństwo zaczarowanych. Tutaj

rozum, tutaj, co gorzej, poczciwość nie wystarcza. Rozum znajdzie własnemu szematowi odpowiedni szemat, według rozmiarów matematycznych obliczy sobie, iż jeden do drugiego przystaje, więc już spokojnie dalej chce rozwijać swe wnioski i plany. Aż tu, w stanowczej chwili, jednego boku, jednej linii, czasem jednego tylko, lecz głównego punkciku brakuje. Cała robota na nic. Smutniej to wszakże, gdy poczciwość takiemu samemu zawodowi ulegnie; wtedy człowieka chwila zniechęcenia ogarnie. Jakto? więc nawet prawe serce nie wystarcza do rozpoznania twej przytomności, o prawdo wiekuista, tysiącem doczesnych parodyj oplątana? A zapominamy, że prawe serce także dobrowolnie oplątuje się grubą siatką maleńkich ustępstw, ogromnych pobłażań, systematycznej niekiedy ufności. Nie wymawiając, Kazimiero, ale i ciebie już kilkakrotnie podstrzegłem systematyzującą w ten sposób swoje sądy o ludziach: „Póki się nie przekonam, że złe jest, póty mi się go w bliźnim moim domyślać nie wolno; lepiej się zawieść, niżeli powątpiewać; grzechem jest posądliwość nieuzasadniona“ i różne tym podobne stanowisz sobie maksymy, ale tych maksym piękność pozorna nie może wytrzymać probierczego kamienia czynnej życia praktyki. Alboż to niema faryzejstwa, niema obłudy, niema kłamstwa na ziemi? Są, niestety, więc też musisz przyznać, Kazimiero, że kto uwierzy faryzeuszom, zaufa obłudzie, rękę pomocną wyciągnie ku kłamstwu, lub je słodyczą przytakującą uzuchwali, ten srodze zgrzeszy przed Bogiem; subtelne rozróżnienie jakobyśmy cenili wartość pozoru, świętość tytułu, szlachetność roli, a nie podłość aktora, za wymówkę nam wobec Najwyższego Sądu przyjętą nie będzie. Podziśdzień stoją naprzeciw siebie Kaifasz z Chrystusem; zawsze, cochwila prawie, wybierać nam trzeba; żadna omyłka bezkarnie nie ujdzie, bo każda nas w skutkach swoich do pałacu jakiego Piłata lub na szczyt Kalwaryi poprowadzi. Dlatego, siostrzyczko moja ukochana, im więcej widzę serdecznej dla wszech stworzeń Bożych miłości, tem

więcej chciałbym cię na doskonałej, jak się pismo wyraża, „nienawiści“ ugruntować; chciałbym cię taką surowością i ohydą względem złego przejąć, żebyś ani jednej godziny swego życia na teatralne reprezentacye fałszu nie straciła. Ani ja cię prokuratorem królewskim mianuję, ani żądam, byś wojowniczo przeciw fałszerzom wdowich pieniążków i nazareńskich cudów występowała; inna rzecz prześladować, a inna nie przyjmować; precz kamień z ręki, lecz także precz z oczu kamienujący; niech twój pokłon ich nie wita, twój uśmiech nie zachęca; — dobrze, zgadzasz się na to, lecz jakże rozpoznać? pytasz. Oto właśnie co mówiłem, rzadkie to i drogocenne władze owe, przez które mamy skłonność wierzenia prędzej słowom prawdziwym, niż kłamanym, kochania prędzej godnych, niż niegodnych uczucia naszego. Gdyby zdolność podobna nie była stokroć pożądańszą od najświetniejszych talentów, możebym ją nazwał talentem; że jednak nie chcę w drobniejszy wyraz szerszego kłaść znaczenia, nazwę ją łaską Bożą. Tej łaski Bożej tobie brakuje, a ma ją panna Augusta. Jest w tem wielka sprawiedliwość, Kazimiero. Z innych względów ułatwioną masz drogę zbawienia, powinnaś resztę pracą i siłą zdobywać; ona, w trudniejszych obłąkana manowcach, z tym drogoskazem przynajmniej na dobry gościniec wyjść może. Jestem pewny, że doświadczenie i ciągłe z rzeczywistością zapasy wyrobią kiedyś w twej duszy uzupełniające jej doskonałość warunki; jak raz i drugi zepsują ci mozolną twoję robotę, w brudnym procesie nadużyją twego imienia, jak opór stawią szczerej chęci twojej i odrzucą myśl twoję; jak osobiście pocierpisz przez nich, lub co złego popełnisz, tak ci łatwiej będzie zrozumieć, czego to dzisiaj Hieronim od ciebie się dopomina, co mu na sercu leży, gdy tak upornie woła o nienawiść dla kłamstwa, o niewierzenie oszustom. Czy panna Augusta przez współczucie dla dobrych i wiarę dla prawdę mówiących dogoni cię jednocześnie, tego już na moję odpowiedzialność nie biorę; uznałem, że mogłaby dogonić, za nic więcej nie

ręczę. Obok całego przepychu umysłowych zdolności, razi mię w niej pewne ubóstwo serca, pewna oschłość wewnętrzna. Jest tam prawdziwość sądów i spostrzeżeń, a niema jednej zasadniczej prawdy; bardzo trafnym kamertonem rozróżnia czyste i nieczyste brzmienia, lecz sama jako ryba bez głosu. Jej wychowanie wiele się do tego przyczyniło; wszystkiego jednak wychowaniu samemu przypisywać się nie godzi. Żadne okoliczności nie są tak silne, by „już pragnącemu udoskonalenia“ na zawadzie stanęły. Augusta, pomimo wstrętu do świata, który ją otacza, gatunkiem swoim zupełnie jeszcze z nim razem się trzyma. Prócz tęsknoty ku lepszemu, nie dopatrzysz najmniejszej różnicy w składowych żywiołach, bo nie dopatrzysz pierwiastku wszystko przemijającej, wszystko rozświetlającej miłości. Jej skargi na zimny rozsądek matki i na szyderczy dowcip pana Dyonizego są przez pół uzasadnione tylko. Niema tak szczęśliwej pod słońcem istoty, którejby w twarz chłodnem powątpiewaniem lub gorzkim sarkazmem nie ciśnięto; są przecież takie, co powątpiewanie przeczekały, sarkazmu się nie zlękły. Może myślisz, że geniusze tylko i święci; nie, ja widziałem w ich liczbie wszystkie szczerze kochające serca. Ludzie mają prawo, nawet wspomniałem ci, Kaziu, że niektórzy mają obowiązek czujnego powątpiewania; nie przeczę, że sarkazm jest tego prawa nadużyciem, ale niemniej przeto stanowi wyborną asekuracyą przeciw błędnym ognikom i fajerwerkom zwodniczym. Sama Augusta przyznaje, że masa obrzydliwości egoistycznych stroi się w pawie piórka świętości i ofiary; przeciw takim nieufność na straży stoi. Lecz druga masa, równie dla ludzkości niebezpieczna, jest plewą trudniejszą do odwiania, bo ma bliższe ze zdrowemi ziarnkami podobieństwo. Tą masą, tą plewą są właśnie wszyscy „przesadni, egzaltowani, romansowi,“ wszyscy, którzy udają bez obłudy, którzy nie szukając ani osobistego zysku, ani bliźniej krzywdy, sami siebie najpierw zwodzić zaczynają i lekkomyślnie a świętokradzko biorą najpoważniejsze uczucia, myśli,

cnoty dla zabawki. Tacy ludzie, jak wskrzeszone Baltazary, z naczyń Salomońskiej świątyni piliby wino szampańskie przy swoich ucztach szalonych. Nie pyta żaden, co jest prawdą w nim, w drugich i w Bogu; nie zastanawia się, na jakie przedsięwzięcie sił jego ducha wystarczy, jaki z przedsięwzięcia owoc dla drugich dojrzeje, a jaki z owocu rachunek Bogu zdać przyjdzie; o tem nigdy nie pomyślą;— „ach! jak to ładnie, ja muszę tego przymierzyć;“ więc przymierzają wszystkiego, od loków do pięknych uczynków i poświęceń krwawych; kładą rękę na pługu, a ciągle chcieliby się choć w obłokach przyglądać, czy im z tą pracą do twarzy. Otóż przeciw tym muchom egipskim, przeciw tej pladze naszego społeczeństwa, bardzo często sarkazm skutecznym bywa lekarstwem. Muchy rade, by też i na krzyżu Chrystusowym słodyczą miodową się rozkoszować; więc zamiast słodyczy, piołunu kropelka, zamiast rozkoszy, przykrość, zamiast pochwały, żarcik ostro kłujący; przysiądz mógłbym, że większa połowa się odstręczy; jeśli reszta zostanie, to już tak śmiesznie zarozumiała i tak niezręczna, że przynajmniej poczciwi ludzie oszukiwać jej się nie dadzą. Dziwnym sofizmem bronili raz przy mnie jednej takiej muszki rozigranej; była to piękna, zalotna kobieta, która się z prowincyonalnych nudów w literaturę i filantropią rzuciła. Jej stolik biblioteka, jej przedpokój biuro informacyjne żebraków i uliczników; jej najmilsza rozmowa o francuskich ultramontańskich filozofach, jej rozrywka uprzywilejowana loterya na ubogich; jej sprawa najważniejsza bal dobroczynny i podróż do wód zagranicznych; jej suknia ulubiona z mocno wyciętym stanikiem; jej spojrzenie najtkliwsze nie dla męża; jej syn w klasach na oślej ławce, jej córeczka przed lustrem, albo przy każdym młodym człowieku, co z wizytą nadjedzie. Obok tego, twarzyczka pociągła, włosy ogromne, a nieprzyprawne ząbki jak perełki, oczy jak dwie łzy brylantowe w czarną emalią oprawne. Śliczna kobietka jednem słowem:

gdyby chciała żyć taką, jaką się urodziła. toby aż weselej było w jej okolicy. Tańczyłaby sobie ze trzy razy na tydzień, śpiewała od rana do wieczora, nie obmawiała sąsiadek, bo ma dobre serce, nie rozwijała teoryj socyalnych, bo wiedziałaby z pewnością, że się na tem nie zna; wsparłaby nieszczęśliwego tem poprostu, coby miała najbliżej pod ręką, groszem, złotówką, czy cackiem kosztownem, aniby jej na myśl nie przyszło, że to jałmużna i dobry uczynek. Dla dzieci wyszukałaby rozumnych nauczycieli, w powątpiewaniu będąc o własnym rozumie — jeśliby czasem westchnąć jej przyszło, że już zastary trochę jej towarzysz dozgonny, wnetby sama przed sobą uznała, jakiego-to jest gatunku westchnienie, i sztucznemi teoryjkami nie podnosiłaby go do zacności wyższej cnoty, do potęgi ideału. Może nie tak długo klęczałaby na sumie, ale bezwątpienia i na cichej mszy i w domu daleko częściej, daleko pokorniej westchnęłaby do Pana Boga — „Mój Boże! jak mi też marnie dni płyną! jaki ze mnie próżniaczek niegodziwy!“ Pan Bóg pokornym łaskę daje. Kto wie, coby jeszcze za kobieta na starość z tej salonowej lalki się zrobiła? Tymczasem niema nadziei, wpadła w szał poważnej zabawy i z nią razem bawi się mnóstwo starszych i młodszych elegantów; zaraza powietrzem się szerzy; moi zaś koledzy, wracając z proszonego wieczorku, gdy im to wszystko przedstawiam, purytanem mię nazywają i mówią: „Lepiej przecie, że się bawi dobrem, jak złem; lepiej że na szpitale kwestuje, jak żeby na siebie kwestowała; lepiej że nas z de Maistra i Bonalda egzaminuje, jak gdyby egzaminowała z tego, co się w innych domach dzieje; lepiej że na męża nie patrzy, a do wielu słodkie oczy zwraca, lepiej, niż gdyby go zwodziła, a tylko dla jednego z nas miała czulsze spojrzenie.“ Ja powiadam, że nie lepiej, że gorzej daleko. Takie komedye smak ogólny psują, wykrzywiają opinią publiczną, zasypują żwirem, zanieczyszczają śmieciami ciężką drogę, po której inni z dobrą wiarą mniej śmia-

łe kroki już stawiają. Ale niedość na tem: według mojego najgłębszego przekonania, złe nie złem, ale marnotrawstwem dobrego się pleni. Złe samo przez się ograniczone niejako, samo w sobie się kończy. Przeciw zbrodni jest kara, przeciw rozpuście pogarda, nędza, choroba, przeciw grzechom wszelkim jest oburzenie bliźnich i skrucha wewnętrzna, przeciw nadużyciom i przemocy jest walka, jest męztwo, jest poświęcenie. Gdzie spojrzysz, tam znajdziesz dowód tej prawdy najpospolitszego z przysłów narodowych: „niema złego, coby na dobre nie wyszło,“ bo niema złego, coby jakiegoś oddziaływania nie wywołało. Jak się dobre zepsuje, zabłoci, skoszlawi, to już ratunek trudny: gnije, zatruwa powietrze, a nikt śmietnika tknąć nie może lub nie śmie, bo go niegdyś szumnem i uroczystem nazwiskiem ochrzczono. Biada tej choćby najsłuszniejszej sprawie, którą łotr bronić zaczyna! biada tej choćby najpotrzebniejszej instytucyi, którą niegodne ręce zakładają! biada temu, choćby najmoralniejszemu prawu, które skalany niemoralnością człowiek stanowi! Przeczekaj pierwszą chwilę złudzenia, zobaczysz jak sprawa upadnie, jak instytucya do rozszerzenia występków się przyczyni, jak prawo zgnębi niewinnych, a przestępców uwielmożni. Taka jest kolej nieuchronna, Mądrości i Wszechmocy palcem zakreślona. Ilość zepsucia przeważa na świecie—jakość dobrego musi świat podtrzymać. Co jest cnotą, musi być cnotą bez skazy złej myśli; co jest światłością, musi być słońcem bez plamy; co jest pracą, musi być szczerem utrudzeniem; co jest celem, musi być w niebie; co jest przyczyną, musi być w sercu świętością. Bez świętości, bez Nieba, trudu, czystości i prawdy, każde ziarno czynów ludzkich na glebie historyi w pustą słomę wykłosuje. Szczęść Boże wszystkim straszydłom na ptaki, które od rodzinnych zagonów muchy, wróble i trutnie odganiają, czy straszydłem niedowierzanie, czy formułka salonowa, czy potrzask bicza dowcipnych konceptów. Dla skowronka,

dla rolników nie lękam ja się tego; skowronek z piosnką pod obłoki wzleci, rolnik coraz pilniej i głębiej będzie krajał swoję skibę. Kto prawdziwie natchniony, kto z głębi duszy kochający, ten nie poczuje lilipuckich więzów na nogach, nie dosłyszy śmiechu szyderstwa; lub też jeśli poczuje nawet, jeśli dosłyszy, to o jednę tylko boleść zbogacieje, jednę ofiarę więcej anioł stróż jego w życia pamiętnik zapisze — i pójdą dalej oboje...

Dziwi mię to, czemu Augusta nie lęka się, by ją o niedołęztwo i dumę pomówiono, a tak omdlewa i trwoży się, gdy ją drobniutki zarzut przesady, egzaltacyi lub romansu dotknie. Mimowolnie nasuwa mi się smutny domysł, że jest trochę przesadną, egzaltowaną. Z tego co pisała do ciebie widać, że nigdy sobie właściwem znaczeniem tych wyrazów nie określiła. ma do nich lekką słabość nawet; kto wie, czyby nawet jakiej tajemnej a bogatej treści nie podsunęła pod ich formę upośledzoną, a to się nie godzi. Dość już mamy babelskiego między ludźmi zamieszania; dykcyonarze nie wystarczają, trzeba się przynajmniej ściśle trzymać językowego zwyczaju. Językowy zwyczaj, to głos sumienia publicznego. Pani Kajetanowa może się często mylić w swoich zastosowaniach, niemniej wszakże trzy owe synonimy: przesada, egzaltacya, romansowość każdemu na myśl przywodzą trzy gatunki czczej parodyi dobrego i tej lekkomyślnej zabawki, w której maluczcy ludzie wielkiemi się posługują myślami. Co do przesady jeszcze, tobym jej może wcale nie zarzucał Auguście. Przesada jest tylko niewłaściwą łysiną rzeczywistego jądra, strojem dorosłych osób na dziecięcych kształtach: ucieszy się kto na jednę tercyą, a krzyknie całą oktawą; zmartwi na kilka łez serdecznych, a wypłacze na całe bicie serca; zajmie się czem na kilka spojrzeń przyjemniejszych, a rozchwali na dytyramby; polubi kogo na miłe spotkanie, a wyświadcza na przyjaźń dozgonną. Bardzo to niewinna choroba, która czasem jak febra ku zdro-

wiu posłużyć może; jeśli dla wielu temperamentów grozi wyczerpnięciem, dla niektórych trochę leniwszych gimnastykę zastępuje; dziecko, które się długo plątało śmiesznie w swoich zbyt obszernych szatach, rozwija się stopniowo i dorasta ich miary. Twoja Augusta ma słuch tak delikatny, że nie obawiałbym się fałszywej intonacyi w głośnem wypowiedzeniu jej wrażeń; owszem, gdyby mogła sobie zaszczczepić tę wadę, możeby kilku innym zapobiegła przez to; trzeba oddać sprawiedliwość sumiennej rzetelności jej charakteru. Ségur pisze o Polakach: „C'est une nation des héros; ils se disent d'abord plus qu'ils ne sont, mais pas plus qu'ils ne peuvent être, et ils mettent leur honneur a rendre vrai ce qui d'abord n'avait été ni vrai, ni même vraisemblable.“ Nie tu rzecz mówić, czy się zgadzam na ogólne zdanie Ségura, topewnem jednak, że mi się przypomniało, gdym list Augusty czytał. Niechby tylko jakim zewnętrznym objawem wzięła na siebie odpowiedzialność wewnętrznej myśli lub doznanego wrażenia, pewny jestem, że starałaby się później ciągiem życia dorównać tej chwili niebacznej może przesady; lecz ona właśnie jeśli sobie przesady pozwala, to raczej in minus, niż in plus; jej powierzchowna skamieniałość jest zbyteczną, przesadną ostrożnością tylko. Więcej nierównie egzaltacyi wystrzegać się powinna. Egzaltacya ma źródłosłowem swoim „wzniosłość“ i nic dziwnego, że tą wzniosłością bardzo czasem silnie głowy zawraca. Stworzymy sobie pewien ideał doskonałości, zachwycimy się jaką pięknością, uznamy wartość jakiej cnoty; więc też coprędzej dyktujemy sobie własne postępki według zakroju tego ideału, tej cnoty. Zdaje się, że tak robić trzeba właśnie, a przecież, moja Kazimiero, najniebezpieczniejsza to jest metoda, bitym traktem wiedzie nas do obłudy, do zniechęcenia i mizantropii; mielibyśmy daleko więcej poczciwych ludzi, gdybyśmy nie mieli ich tylu, co odrazu, za pierwszym skokiem, doskonałymi chcieli zostać. Człowiek rodzi się z dobremi i złe-

mi i skłonnościami; dobre skłonności w życiu rozwinięte dają ten owoc, który cnotą się zowie; złe dają ten, który wadami później i grzechem dojrzewa. Otóż cnota żadna nie jest cnotą w stosunku do indywidualności człowieczej, nie jest cnotą w tobie, we mnie, w niej, tylko jest cnotą w stosunku uznania bliźnich naszych; jeden się poświęca dla szczęścia rodziny, drugi cieszy strapionych, inny znów pożytecznie krajowi swemu służy; wszyscy są cnotliwi przed sądem ogólnej opinii, lecz przed sądem własnego sumienia wcale to ich cnotą ani zasługą nie jest; proste użycie daru i zdolności—nic więcej. Prawdziwa osobista cnota człowieka daleko niższa, cichsza, ale trudniejsza, ogranicza się na ciągłej walce przeciw naszym wadom, na strzeżeniu się grzechu, na czuwaniu, byśmy o ile można najmniej złego robili. Pełno jest takich szaleńców, którzy zapominają lub nie chcą rozumieć ważności tego obowiązku; zdaje się im, że gdy sobie przywłaszczą klejnot jaki duchowy, gdy sięgną wysoko zamiarem, lub uczynkiem jednym, to już klejnot zaliczy się na ich wartość rzeczywistą, a zamiar i uczynek pozbawiają siły do tych przedsięwzięć, które bez przymusu wykonać mogli. Ogólna zasada moja, Kazimiero, że niewłaściwa cnota przeradza się w szkaradną wadę; najszkaradniejsza wada poprawiona uposaża nas zawsze właściwą naturze, bujną i piękną cnotą. Widziałem ludzi popędliwych, którzy sobie przepisali łagodność; apatycznych, którzy się rzucili w administracyjną służbę społeczeństwa; pysznych, którzy postanowili ultra-ortodoksyi się trzymać; byli to wszystko ludzie szczerej chęci, nie obłudnego serca; i cóż z tego wynikło? — popędliwy stał się zawziętym, apatyczny rozpacza o świecie i przyszłości, pyszny zatracił w sobie miłosierdzie, niedowiarek zatracił wśród dogmatów uczucie religijności. Gdyby każdy pilnował się tylko od strony po której chromał, a nie piął na wysokości mniej dostępne, jest wszelkie podobieństwo, że i z kalectwaby się wyleczył, i w jamę nie

wpadł wilczą i zaszedł może, choć później, tam, kędy zajść pragnął; ale nieszczęśliwa nasza egzaltacya zawsze nas pędzi w górę, jak aeronautów bez spadochronu; ja sam ileż to razy puściłem się pod obłoki! Być kapłanem, żyć z ludem i dla ludu, niema piękniejszego powołania, mówiłem sobie i przez czas jakiś chciało mi się księdzem zostać; aż na szczęście przekonałem się, że nie mam usposobienia na księdza, że przybiłbym się tylko do krzyża, któryby mi bardzo ciężył, a parafianom moim żadnego nie przyniósł pożytku; kiedyś znowu chciałem się w profesorską uzbroić cierpliwość; daremna praca: moja cierpliwość słabością niedołężną dla dzieci, surowością bezlitosną dla starszych, utratą zdrowia dla mnie samego. Wkońcu własnem doświadczeniem się nauczyłem, że tylko tem być mogę, czem jestem... dzisiaj, atom bezimienny; nie tracę przecież nadziei, że kiedyś i kapłańskie przyjmę na duszę święcenie i mistrza obowiązków dopełnię skuteczniej; znajdzie się to u celu drogi, lecz nigdyby nie znalazło, gdybym chciał z wrodzonemi skłonnościami łamane sztuki pokazywać. Co było w mrzonkach mej wyobraźni prawdą i miłością, co było chęcią służenia ludowi, co ukochaniem młodzieży, to zostanie na wieki i stworzy sobie odpowiedniejsze działania warunki; co przyklejonym tynkiem, to już odpadło, dzięki Bogu. Panna Augusta ma jeszcze większą odemnie skłonność do egzaltacyi. Z prawd, przez jej Urszulę podanych, „ideałem dobroczynności szczególniej się zachwyca“ i natychmiast chce być dobroczynną. Och! moja Kaziu! powiedz-że jej, że nie ten dobroczynnym, kto nim chce być, ale ten kto się nim urodził, kto w sobie nosi taką potrzebę wspierania, oddawania, ratowania, że ani o skutki jałmużny, ani o pozwolenie rodzonej matki nie pyta. W sercu panny Augusty jest sprawiedliwość dla ubogich, jest uznanie tego co im się na ziemi Bożej zwrócić przynależy; bardzo to już chwalebne w jej położeniu uczucie; nie często się z niem spotykać musi, więc za uczucie

dobroczynności je wzięła. Myli się jednak. Ta dobroczynność, o której ma jasne pojęcie, a do której nie ma wyraźnej skłonności, ta dobroczynność, co się dzieli wszystkiem, co kocha wspieranych, co swoje, co potrzebne, co miłe sobie oddaje, jest wyłącznie biedniejszych przywilejem, a bogatszych już sprawiedliwość zasługą. Gdyby panna Augusta, jak św. Wincenty à Paulo, ot, nie szukając dalekich przykładów, jak u nas nieboszczka Wilczyńska, lub Stanisław Jachowicz, dobroczynną była z serca, z powołania, z natury, to najpierw wierzę mocno, że wszystkie okoliczności jej życia takby się skombinowały, iżby nigdy z czterystu złotemi w kieszeni długo po ulicach Warszawy nie chodziła; siarka z merkuryuszem zawsze się łączy, magnes żelazo przyciąga: na tej samej zasadzie fizycznej, serce litosne i dobroczynna ręka zawsze potrzebujących wsparcia i prawdziwie biednych przyciągają; a potem pewny jestem, że jakby przyciągnęło, to już żadne przedstawienia pani Kajetanowej, chociażby sobie pana Dyonizego na pomoc przyzwała, na nicby się nie zdały. Co to jest siła najdrobniejszej prawdy przeciw wysileniom najdrażliwszych zaprzeczeń stawiona? to jak słońce przeciw ciemnościom, dyament przeciw uderzeniom drewnianego młotka. Augusta sama porównać może, czem było jej postępowanie względem wdowy biednego malarza, a czem względem Urszuli. Kilka słów ją wstrzymało od pójścia na pogrzeb samobójcy; długa, choć skryta walka, nie wymogła na niej tego, by Urszulę kochać przestała; co najwięcej, to przestała pisać wiersze, naśladowane, czy oryginalne? nie bardzo się nad tem zastanawiam i rozczulam; daleko mię więcej pociesza, że się dla przyjaciółki swojej nie zmieniła; bo też kochać, kochać tylko, a świat nasz i ludzie nasi, niema przeszkód, niema trudności, zniechęceń, ustępstw żadnych. Kto więcej kocha, ten wszystkich obojętnych upór przełamie, a nienawidzących prześladowania zwycięży. Mój Boże! czemuż my tacy nędzni, że sobie na-

wet kochania przysporzyć nie umiemy! Kiedy jest w duszy. to dobrze, kiedy niema, choćbyśmy własne piersi jak Katon rozdarli, to i zdziebełka nie zasiejemy dowolnie. Każdy z nas wie, że miłość potęgą, mądrością, szczęściem; jeśli aby przez chwilę, jeśli cokolwiek lub kogokolwiek w życiu swojem kochał, wie jakim wtedy był cudotwórcą, jakim panem, jakim prorokiem, a przecież gdy się coraz więcej do kochania napędza, to znaczy tyle, co gdy się do cnoty pewnej lub upodobanego idealiku dociąga. Miłość koniecznie być musi samorodną, niezależną, z siebie i przez siebie powstałą, inaczej miłością być przestaje, a romansem być zaczyna. Jest pełno między ludźmi serc do miłości stęsknionych, boć przecież jest i dusz pełno stęsknionych do ostatecznego zbawienia; ale czy sercom, czy duszom narzucony, przymus moralny równie szkodliwym się okazuje. Ty, Kazimiero, nie znasz jeszcze tego rodzaju wewnętrznego dramatu: bodajbyś nigdy nie znała przez własne doświadczenie! staraj się jednak dobrze zrozumieć wszystkie jego przejścia i cały rozkład sceniczny, bo może nieraz drudzy w czynną rolę cię zaplączą. Są także dziwne, niby gwałtowne a bezsilne, niby ogromnie bogate a ciągle potrzebujące i głodne, niby ruchliwe a nieczynne usposobienia, które znają zawiele, myślą zawiele, czują tylko zamało. Gdy się spostrzegą w tem ubóstwie swojem, najpierw nie przypuszczają nigdy, aby to ich osobistej natury było skutkiem; przecież łaskawie chcą kochać, gotowe kochać, wyobrażają sobie jak tkliwie, namiętnie, artystycznie, niezmiennie kiedyś będą kochać; lecz nie kochają!... nudno, zimno, głucho na świecie; więc to świat winien, to ten lub ów przedmiot, ta lub owa przyczyna; trzeba szukać innych przedmiotów, usuwać wewnętrzne przeszkody, gonić za wrażeniami, i dopiero zaczyna się szereg różnokolorowych romansów, nanizują się na przędzę życia szklane weneckie paciorki, żółte, zielone, czarne, białe, częstokroć, a prawdziwej perły jak niema, tak niema!... I cóż na to po-

radzić? Oto, najpierw trzeba przyjść do uznania własnego niedołęztwa i chorobę nie zewnętrznie, ale w sobie zacząć leczyć. Wszakże widzimy tyle jeszcze, nie do zbytku, zawsze jednak wystarczającej do przechowania prawdy; widzimy tyle istot kochających szczerze, prawdziwie, kochających tak, że nie mogłyby nie kochać, chociażby nawet ich losy od tego zawisły; co więcej, widzimy że kochają nie same ideały wcielone, nie same piękności doskonałe, ale wszystko co do kochania Bóg im w blizkości postawił: jeśli rodziców, to rodziców, choć z najsmutniejszemi przywarami; jeśli dzieci, to dzieci, choć wcale nie obiecujące na przyszłość i nieponętne w teraźniejszości; jeśli przyjaciół, to przyjaciół, choć niesłynnych rozumem, znaczeniem, tkliwością; jeśli kochanków, to kochanków, choć zwyczajnych ludzi, choć ułomnych, choć nie bohaterów. „Dlaczegóż oni czy one kochają, a ja ukochać nie mogę?“ Z tego zapytania kto sprawiedliwą odpowiedź wysnuje, kto rozpozna, że jemu władz uczucia, nie zaś przedmiotów uczucia brakuje, ten już trzecią część przynajmniej skutecznej odbył kuracyi.

Może tam na początku przyjdzie do rozpaczy i rąk załamywania, ale na końcu musi przyjść do wniosku, że kiedy miłość nie jest do zdobycia, to jest do wysłużenia zapewne; że kiedy nie jest uszczęśliwieniem, to jest nagrodą i chwilą łaski będzie. Nie rozpraszać się tedy, nie łowić wrażeń w mętnych wodach świata, ale służyć trzeba wytrwale: wiedząc o chłodzie serca, pilniej baczyć na każde jego uderzenie; wiedząc, że drugich nie kochamy, pilniej strzedz, byśmy samych siebie nie pokochali zbytecznie; ustępować, przebaczać, dobrocią wypełniać próżnię piersi naszej, światłem prawdy rozcieplać jej tętna zakrzepłe; oburącz chwycić się jakiej pracy użytecznej, czy nauki dla siebie, czy obowiązkowości dla drugich, nie wymagać, nie oczekiwać, nie gonić. Miłość zstąpi jak Bóg w ducha naszego i będziemy zbawieni. Ludzie

sobie na nieszczęście wielki poemat o miłości ułożyli i w oderwanych wierszach, aforyzmach, ustępach ten poemat jak fałszywa moneta rozbiegł się po kraju. Według tego, com rzekł trochę wyżej, jest to ogólnie przyjętą zasadą, że wielkie czyny, święte sprawy, nieśmiertelne dzieła tylko z natchnienia miłości powstają; drugiem, również słusznem i upowszechnionem zdaniem jest to, że kto nie kocha, ten ani do wielkiego czynu, ani do świętej sprawy, ani do żadnego nieśmiertelnego dzieła ręki przyłożyć nie powinien. Prawda, lecz nawzajem jeżeli nie przyłoży, nigdy kochać nie będzie; jakże tu wyjść z tego cercle vicieux, jak rozwiązać tę fatalną dilemmę? Zdziwisz się, Kazimiero, gdy ci powiem, że jej rozwiązanie w kalendarzu znalazłem! Tak jest, moja siostrzyczko, w kalendarzu, a przecież to nie koncept z kalendarza; w nawiasie tylko daruję ci tę obserwacyą, że kto jest pełnym myśli swojej, ten zawsze ciąg jej dalszy, rozjaśnienie lub wytłumaczenie, stosownie do tego co mu potrzebnem, zawsze, jak mówię, z byle zewnętrznego wypadku, z byle drobnostki wyciągnie. Newton ze spadającego jabłka i t. d.; znasz ten szczegół, na nic się nie zda powtarzać; wracam do siebie i do kalendarza. Otóż mnie przez czas jakiś trapiły wszystkie takie uczuciowe wątpliwości; trochę dla własnej korzyści, trochę dla bliźnich pomocy głowę sobie nad niemi łamałem; aż tu raz mi potrzeba było do kalendarza zajrzeć; szukam daty o kilka tygodni ubiegłej, przesuwam palcem dni za dniami i czytam najpierw bez uwagi, potem z pewną przyjemnością imiona świętych patronów. Są męczennicy, biskupi, apostołowie, papieże; są panny, wdowy, męczenniczki, aż raz po razu spotykam „wyznawca, wyznawca.“ No proszę, jakaż to świętość wyznawcy być może? Zacząłem rozmyślać nad tem i zrozumiałem całą głęboką mądrość tego naszego kościoła godności. Istotnie, czyż każdemu jest dane papieżem, władzcą dusz chrześciańskich zostać, czyż każdemu owczarzem dyecezyalnej trzody? albo kto

zapragnie, ten głosem swoim tłuszczę pogan nawróci? czyż kto się ochrzci, ten za prawdę chrześciaństwa krew swą jak wodę przeleje? Nie, zaiste, los podobny w rozporządzeniu opatrznem niewiadomych nam celów i niezapamiętanych przyczyn spoczywa; tylko wyznawcą każdy być może, każdy być powinien, wyznawcą na wszystkie chwile, zdarzenia i okoliczności swego życia; w biedzie i w dobrym bycie, w oschłości serca i w uniesieniu zachwytu, przed obojętnymi i przed wrogami, przed tymi, którzy nam dobrze czynią i przed tymi, którym my dobrze czynić nie możemy. Od słowa do zwyczaju, od świadectwa do zastosowania, od pochwały do potępienia być ciągle, być zawsze wyznawcą, nigdy kłamstwu nie przychlebić, nigdy prawdzie nie zaprzeczyć; wypowiadać ją, choćbyśmy czuli że sami przy jej blasku zmalejemy, dopominać się o nią, choćby nam jako książeczka apokaliptyczna gorzkością zatruć miała wnętrzności; trzymać się jej, choćby ręce drętwiały. Kościół to narówni z innemi zasługami waży i świętością nazywa. O! gdyby więcej wyznawców... ale ich tak mało właśnie, tak mało, że mniej niż męczenników i apostołów, niż lewitów i pustelników — a czemu? bo ludzie romansują; bo jak twojej Auguście, chce się im tylko rozkoszy serdecznej, a nie pomyślą, że przedewszystkiem duchowej trzeba zasługi. Straszna to bieda z takimi ludźmi i z taką panną Augustą, a Biała Róża jeszcze stokroć gorsza; Augusta przynajmniej szuka miłości na drodze dobrych uczynków, romansuje z ideałem cnoty, poświęcenia, z samą sobą romansuje; lecz Biała Róża gdy o miłości mówi, to jakby tylko jednę na całym świecie miłość pojmowała: kochanki i kochanka; przed jej wyobraźnią ciągle łamią się pryzmata owej gwiazdeczki, którą Bóg nad zenitem drogi naszej rozetlił, aby nam jej zstępną połowę trochę ułatwić, trochę oświecić, trochę rozgrzać. Gwiazdeczka jednak nie każdemu błyszczy: czasem zgaśnie, czasem chmurami zajdzie, czasem rozbije się w przestrzeniach, albo nabok usunie.

Kto rozumny, ten ją do naddatków życia jak urodę, majątek, lub wyższy talent w sztukach pięknych policzy. Waszej Białej Róży zdaje się, że to jej święta przynależność; ku temu jak ku magnetycznemu biegunowi się zwróciła i za byle okolicznością, w byle jakie ramki ją oprawia. Podoba jej się powierzchowność młodego człowieka, rozrzewnia czyje położenie, unosi jakie mistrzostwo, zniewala uprzejmość doznana, w też tropy, zamiast coby poprostu rzecz każdą nazwała imieniem, ona już pyta, czy to nie miłość będzie? Sama z dobrej woli traci prawo do niewinnego ocenienia pięknej powierzchowności, do bezinteresownej ofiary, braterskiego współczucia, do artystycznych nieskalanych wrażeń, do czystej siostrzanej przyjaźni. Często bardzo wytłumaczyć sobie nie umiem, jak mogą niektóre kobiety za jedno urojenie tyle oddawać skarbów; na nieszczęście, coraz dowodniej się przekonywam, że oddają rzeczywiście.

Usunąć tylko romans z towarzystwa, ręczę że się wszystkie foremki rozprzestrzenią, lżej będzie oddychać; kobietom żadne rogatki między wschodem a zachodem, między północą i południem drogi nie przegrodzą. Miłości nawet będzie więcej, i kochanki szczęśliwsze i kochankowie wierniejsi; lecz na co się zdadzą moje pia desideria? Dzięki Bogu przynajmniej, że ciebie jeszcze, Kazimiero, na żadnym nie pochwyciłem romansie; kogo kochasz, to go kochasz, kto ci się podoba, to ci się podoba, kto ci na wyłączną miłość przeznaczony, tego spotkasz i rozpoznasz, a nie rozpoznasz, to wiesz zawczasu, żeś spotkać nie miała, i rozbudzasz i wzmacniasz serce swoje nie pragnieniem, nie tęsknotą jedynie, lecz prawdą, pracą i życiem. Ja też... chciałem najniepotrzebniej w świecie pisać o tem, że cię kocham. Kochałbym cię zapewne, gdybyś nawet inną była; nie o tem mowa wszelako: lepiej ci powiem rzecz daleko ważniejszą. Nie lubię przesady, lękam się egzaltacyi, wstręt mam do romansów, to już wszystko mniejwięcej z listu mojego odgadłaś;

teraz ci powiem, siostrzyczko, że wolę romans bawiący się w uczucie, wolę egzaltacyą bawiącą się w cnotę, wolę przesadę bawiącą się w piękność, wolę wszystko co jest śmieszne, zdrożne, zaczepne, wolę wszystko... niż marzenie! Marzenie! tobie się zdaje że to lekka słabość tylko, a to jest prawdziwie śmiertelna choroba; radź o niej jak możesz najprędzej, moja Kaziu, jeśli chcesz sumiennie odpowiedzieć ważności położonego w tobie zaufania. Radź, niechaj Augusta bez litości swoję Białą Różę uśmierci, niech tańczy aż do płuc zapalenia, śpiewa aż do bólu gardła, niech wszystkie domowe utrzymuje regestra, niech co chce robi, byle tak skupiać musiała uwagę, tak naciągać nerwy i tak się chociaż w najnudniejszem życiu wszystkiemi władzami duszy swej jednoczyć, żeby jej ani jedna chwila, ani jedno wrażenie ku bezpowietrznym szlakom nie uciekło. Dobrzeby zrobiła, gdyby codziennie do ciebie listy pisywała, gdyby wiersze nawet; wszystko jest zdrowsze od tego stanu „marzeniem" zwanego. Młode głowy i niezapełnione serca widzą w niem tylko nadmiar wyobraźni, jakąś władzę szlachetniejszą, którą, co najwięcej, to hamować i ograniczać radzą, a ja ci powiadam, Kazimiero: marzenie jest szkaradnym nałogiem, jest prostem pijaństwem, ze wszystkiemi skutkami pijaństwa, lubo z trochę napozór odmienną przyczyną. Odmienność ta fizycznie jedynie da się rozpoznać: marzyciel nie bierze flaszki z gorzałką, nie zapala naładowanej opium luleczki: niewidzialnie tylko chęć przyzwalającą podsuwa; w umysłowych sferach i różnica znika zupełnie; pijakowi o to chodzi, żeby trapiące działanie rozumu przytępić, o biedzie zapomnieć w błogiem odurzeniu i w przyjemnych fantazyach utonąć. Marzyciel nie ma także innej do marzeń podniety: w marzeniach swoich szczęśliwszym się czuje. Kazimiero, czyż tobie mam przypominać, że w tych krótkich między dwoma nieskończonościami wypożyczonych latach, człowiek ma inne przed sobą zadanie, inne nad sobą prawo Boże?

Ludziom, którzy w zbawienie i konieczność zbawienia swej duszy nie wierzą, próżnobym o szkodliwości marzycielstwa dowodził. „Nam z tem wygodniej“— odpowiedzieliby—zapewne; lecz między braćmi wspólnej wiary mogę całym głosem mych piersi i całą surowością najstraszliwszej groźby o prawdę się upomnieć. Prawdą zaś ostateczną, jedyną, prawdą świętą i rzeczywistą w życiu człowieka jest jego duszy zbawienie; tu nie o szczęście, nie o ciekawość, nie o przepchnięcie łatwiejsze lub trudniejsze jakiej miary czasowej chodzi: tu chodzi o to, by człowiek osobistość swoję wzbogacił we wszelką możebną doskonałość, by dla niej wypracował najbliższe z Bogiem podobieństwo; już i tak trudno z karykatury się otrząsnąć, a cóż dopiero gdy przychodzi coraz jaśniej, coraz czyściej do pierwowzoru wiekuistej piękności się podnosić. Sama najlepiej wiesz, Kazimiero, i cały list mój tem zapełniłem, jaka jest nędza ubogiej naszej natury, ile trudów trzeba ponieść, ile cierpliwości zużyć, ile własnych upadków podźwignąć, by się do jakiejśkolwiek zewnętrznej pracy przysposobić; a taż praca dopiero, czy pigmejska, czy tytanowa, czy pacierza z małem dziecięciem, czy dziejowa siejba ludzkości, ta praca każda w każdej chwili jakiegoż-to potrzebuje przygotowania, jakiego natężenia wszystkich władz naszych, wszystkich potęg ducha naszego: pamięć nie starczy, rozum nie starczy, uczucie nie starczy, wola chwieje się tak często; człowiekby sobie, gdyby mógł tylko, wiary, miłości, nadziei przysporzył, geniuszby wszystkich wieków chciał zebrać do myśli, boleści wszystkich męczeństw chciałby w serce przelać, siłę wszystkich atletów chciałby mieć w ramionach i wie, że wtedy jeszcze niewieleby uczynił, i wtedy jeszcze krokiem zaledwie posunąłby się ku jasności zbawienia, ku obietnicom i splendorom Królestwa Bożego. Tyle jest do roboty, tyle jest do wyrzucenia z siebie, do stworzenia w sobie, do poprawy w zdarzeniach, do odratowania w bliźnich, do wydarcia przy-

szłości, do odpokutowania z przeszłych grzechów, do zasłużenia cnotami! Tyle jest do roboty, a ludzie marzą!... Duch z nich przed grobem jeszcze ulatuje, buja po kwiatkach, śni o miłostkach, rozkwita się nad srebrnemi promykami księżyca, zdaje mu się, że to ciągłe samobójstwo nie liczy się między grzechami wołającemi o pomstę do Boga. Wierz mi, Kazimiero, stokroć lżejszy sąd będzie na złodziei, na samobójców jednorazowych, niż na tych okradających wieczność Pańską i dobrowolnie duszę z ciałem dzielących. Zuchwalec, który w cierpieniu zżyma się i targa, mniej grzeszy Prawdzie Najwyższej, niż ten, co przed troskami tego świata w marzenia się kryje. Augusta, póki marzyć nie zaczęła, póty serdeczniej kochała, głębiej czuła otaczające ją przesądy; kiedyś byłaby musiała z niemi do walki wystąpić, dziś jest spokojniejszą... Nie daj Boże spokoju takiego! Obudź ją prędko, bo zaczadzieje i potem nawet krwi puszczenie nie pomoże. Obudź ją prędko: pałace w których Biała Róża zamieszkała, to domy rozpusty szkaradnej, to groby pobielane. Owa zdolność marzenia może jej się rodzoną siostrą poezyi wydaje? Bluźnierstwo! poezya rozmyśla, poezya tworzy, poezya wypowiada się ludziom; a wiesz czem jest marzenie? oto w niebezpieczeństwie jest bezwładnością, w nieszczęściu jest niedołęztwem, w zepsuciu jest zagłuszonem sumieniem, w Egipcie jest Izraelitą nad garnkiem czosnku i cebuli siedzącym; w chrześciaństwie jest renegatem nikczemnym; w nas, siostro moja, jest utratą Nieba dla kilku chwil martwej rozkoszy. Precz z marzeniami! precz z marzeniami!... Powiedz to Auguście.

Hieronim.

Powiedziałam to Auguście, radziłam jej żeby coraz więcej pisała; ale dotychczas nie było na list mój żadnej odpowiedzi; czy ją rozgniewał, czy znudził?

czy ją to rozczarowało, że po grecku nie umiem?—pomóż mi, panie Tomaszu, do rozgmatwania tych wątpliwości!

(Dalszy ciąg tej powieści, obecnie odnaleziony, zamieszczony będzie w tomie następnym).

KONIEC TOMU IV-GO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE CZWARTYM ZAWARTYCH.

Nr. 18